

ANDERS
ROSLUND
BÖRGE
HELLSTRÖM

BESTIA

GDZIE JEST GRANICA MIĘDZY MORDERSTWEM,
OBRONĄ WŁASNĄ A SAMOSĄDEM?

Nie powinien był tego robić.

Przechodzą tamtędy. Nadchodzą. Już teraz.

Idą wzgórzem obok drabinek gimnastycznych.

Są od niego jakieś dwadzieścia metrów, może trzydzieści, w pobliżu czerwonych kwiatów podobnych do tych, jakie rosną przed wejściem do Säters fasta*. Dość długo uważał, że właśnie tak wyglądają róże.

Nie powinien był tego robić.

Bo nie odczuwa tego w ten sam sposób. Jakoś słabiej. Tępo.

Są dwie. Idą obok siebie, rozmawiając. Są przyjaciółkami, a przyjaciółki rozmawiają w pewien szczególny sposób, na przykład za pomocą rąk.

Wydaje mu się, że rozmowę prowadzi ciemnowłosa. Jest bardziej ożywiona, chce opowiadać o wszystkim naraz. Ta druga, jasnowłosa, głównie słucha. Może jest zmęczona? A może należy do tych, które nie odzywają się, bo nie potrzebują przez cały czas wypełniać przestrzeni słowami, żeby wiedzieć, że żyją? Może właśnie tak jest: ta, która dominuje, i ta, która jest zdominowana. Czyż nie jest

* Säters fasta — w latach od 1912 do 1989 zakład dla psychicznie chorych w miejscowości Säter; na terenie szpitala znajdował się budynek specjalnie oddzielony od innych, w którym zamykano szczególnie groźnych dla otoczenia pacjentów. W 1989 roku z zakładu usunięto wszystkich pacjentów, a teren i zabudowania sprzedano prywatnemu nabywcy. Obecnie znajduje się w stanie częściowej ruiny.

tak zawsze?

Nie powinien był się onanizować.

Ale stało się, dziś rano. Przed dwunastoma godzinami. Może to nic nie znaczy? Może tego nawet nie widać...

Wiedział o tym już wcześniej, zaraz po przebudzeniu, że najlepiej będzie zrobić to dziś wieczorem. Jest czwartek — i poprzednim razem też był czwartek. Świeci słońce i jest sucho. Poprzednim razem też świeciło słońce i było sucho.

Mają takie same kurtki. Cienkie, białe, z kapturem na plecach, materiał przypomina nylon; widział takich sporo od ostatniego poniedziałku. Każda z nich ma na ramieniu niewielki plecak. Te plecaki — wszystkie produkowane według jednego wzoru, jedna wielka masówka... Nie rozumie tego i nigdy nie zrozumie. Są już bardzo blisko, słyszy ich rozmowę, potem śmiech, teraz śmieją się razem, ciemnowłosa głośniej, jasnowłosa trochę nieśmiało, nie żeby się bała, tylko nie ma okazji.

Uważnie dobierał swoje ubranie. Dżinsy, T-shirt, czapka z daszkiem odwróconym do tyłu; widział to, bo od poniedziałku przychodził do parku — nosi się je odwrócone daszkiem do tyłu.

— Cześć, dziewczyny!

Obie wzdrygnęły się i zatrzymały. Zapada milczenie, jest tak cicho jak wtedy, kiedy nagle ustaje jakiś dźwięk, na który nikt wcześniej nie zwracał uwagi, co zmusza ucho do wsłuchiwania się. Może powinien posłużyć się skańskim dialektem? Umie to robić, a niektóre osoby słuchają go wtedy uważniej, bo wydaje im się w pewien sposób wartościowy. Ćwiczył różne rodzaje wymowy przez trzy dni. Nie, skański odpada. Dialekt norrlandzki też. Chyba raczej posłuży się językiem, który można nazwać „literackim szwedzkim”. Na pewno opuści dwugłoski, nie za wiele slangu. Całkiem normalnie.

Ujmuje palcami czapkę, przekręca ją nieznacznie, naciska trochę mocniej na kark, daszek nadal odwrócony jest do tyłu.

— Cześć, dziewczyny. Rodzice pozwalają wam przebywać tak

późno poza domem?

Obie spoglądają na niego, a potem na siebie. Robią taki ruch, jakby chciały iść dalej. Stara się wyglądać na wyluzowanego, opiera się lekko plecami o oparcie ławki. Może jakieś zwierzę? Wiewiórka? Królik? A może samochód? Słodycze? Nie powinien był się onanizować. Powinien przygotować się lepiej.

— Wracamy do domu. I wolno nam przebywać tak późno na dworze.

• • •

Dziewczyna wie, że nie wolno jej z nim rozmawiać. Nie wolno jej rozmawiać z dorosłymi, których nie zna. Wie o tym.

Ale on nie jest dorosły. Nie do końca. W każdym razie nie wygląda na dorosłego. Nosi na głowie czapkę z daszkiem. I nie siedzi tak, jak to robią dorośli. Dorośli tak nie siedzą.

Nazywa się Marysia Stańczyk. To polskie nazwisko. Pochodzi z Polski. Właściwie to nie ona, tylko jej rodzice. Ona mieszka w Mariefred.

Ma dwie siostry — Dianę i Izabellę. Są starsze, prawie mężatki, nie mieszkają już od dawna w ich wspólnym domu. Tęskni za nimi, było jej dobrze, kiedy wszystkie mieszkały razem; została sama, z mamą i tatą, dlatego teraz oboje bardziej się o nią niepokoją, zawsze pytają, dokąd idzie, z kim się spotyka, o której wróci do domu.

Nie powinny się z nim zadawać. Ta starsza ma przecież dopiero dziewięć lat.

• • •

Rozmawia z nim ta z długimi, ciemnymi włosami przewiazanymi różową wstążką. Prawie go prowokuje, mówi wyzywającym tonem. Patrzy trochę z góry na jasnowłosą grubaskę. Decyduje ciemnowłosa, a on to widzi, czuje to.

— Takie małe dziewczynki? Nie wierzę. Co jest aż tak ważne,

że jesteście o tej porze poza domem?

Jasnowłosa grubaska bardziej mu się podoba. Jej oczy rzucają nieśmiałe spojrzenie. Widział już takie oczy wcześniej. Teraz i ona zdobyła się na odwagę, najpierw zerka na ciemnowłosą, a potem na niego.

— Tak naprawdę to byliśmy na treningu.

• • •

Przez cały czas mówi tylko Marysia. To ona zawsze mówi za obie.

Więc teraz jej kolej. Ona też chce coś powiedzieć.

Nie wydaje się jej niebezpieczny. Ani zły. Ma fajną czapkę, taką samą jak Marwin, jej starszy brat. Ona ma na imię Ida i wie dlaczego: bo Marwin lubił Emila*. Dlatego też jej rodzice doszli do wniosku, że powinna nazywać się Ida. Nieładnie. Tak uważa. Ładniejsze imię to Sandra. Albo Isidora. Ale nie Ida.

Jest głodna. Od dłuższego czasu nic nie jadła; jedzenie było dziś wstrętne, jakieś mięso z kaszą. Po treningu zawsze jest głodna. Dlatego za każdym razem obie pędzą do domu, żeby coś zjeść, nie tak jak teraz, kiedy Marysia coś mówi, a ten w czapce pyta.

• • •

Żadne zwierzę. Ani samochód. Ani słodycze. Rozmawiają z nim. Wie, że jest dobrze. Jeśli rozmawiają, to sprawa jest oczywista. Spogląda na jasnowłosą grubaskę. Na tę, która odważyła się przemówić. Nie mógł w to uwierzyć. To ta, która jest naga.

Uśmiecha się. Zawsze to robi. One to lubią. Ufają temu, który się do nich uśmiecha. Uśmiechają się do tego, który uśmiecha się do nich. Tylko jasnowłosa grubaska. Tylko ona.

— Aha, więc byliście na treningu? A co trenujecie, jeśli wolno zapytać?

* Emil Svensson — bohater książek Astrid Lindgren. Ida — siostra Emila.

Jasnowłosa grubaska się uśmiecha. A on wiedział, że tak będzie. Spogląda na niego. Patrzy jakby ponad nim. On wie. Chwyta dłonią za czapkę i przekręca ją tak, że daszek jest teraz na przedzie. Kłania się, zdejmując czapkę, a potem trzyma ją nad jej głową.

— Podoba ci się?

Podnosi brwi, spogląda w górę, nie poruszając głową. Jakby bała się uderzyć w niewidzialny dach. Kurczy się, robi się mała.

— Tak. Jest ładna. Marwin też ma taką.

Tylko ona!

— Marwin?

— Mój starszy brat. Ma dwanaście lat.

Spuszcza czapkę w dół. Przecina nią niewidzialny sufit. Gładzi dziewczynkę szybkim ruchem po włosach. Włosy są gładkie, dość miękkie. Wsadza jej czapkę na głowę. Gładką, miękką. Dobrze jej w czerwonym i zielonym.

— Ładnie wyglądasz. Pasuje ci.

Jasnowłosa nic nie mówi. Bierze ciemnowłosa za rękę. Chce odejść, od ławki i od niego, od tego, który jeszcze przed chwilą miał czerwono-zieloną czapkę.

— Nie chcesz jej?

Zatrzymuje się, puszcza rękę ciemnowłosej.

— Chcę.

— No to bierz.

— Dziękuję.

Jasnowłosa dyga. Rzadko się to teraz zdarza. Dziewczynki robiły to dawniej. Teraz już nie. Teraz wszystkie chcą być podobne, żadna nie dyga, nie kłania się.

Ciemnowłosa milczała dłużej, niż zwykła to robić, teraz chwyta jasnowłosa mocniej za rękę. Prawie ją ściska, obie się potykają.

— Chodź. Pójdziemy już. To tylko jakiś palant w czapce.

Jasnowłosa grubaska spogląda na koleżankę, potem na niego, a potem znowu przekornie na koleżankę.

— Zaraz.

Ciemnowłosa mówi podniesionym głosem:

— Nie. Teraz.

Odwraca się w jego stronę. Przeciaga dłonią po swych długich włosach.

— Zresztą jest brzydka. Chyba najbrzydsza z tych, jakie kiedykolwiek widziałam.

Wskazuje na czerwono-zieloną czapkę. Przyciska ją mocno palcem.

Zwierzę. Zaraz. Kot. Może nieżywy kot. Ma dziewięć, najwyżej dziesięć lat. Kot może być.

— Nie powiedziałyście mi, co trenujecie.

Ciemnowłosa opiera dłonie o biodra. Jak starsza dama, starsza pani, która oskarża. Jak ta, którą miał w Sätters fasta, za pierwszym razem. Jedna z tych, które chciałyby wychowywać i zmieniać. On nie umie się zmienić. Nie chce się zmieniać. Jest, jaki jest.

— Gimnastykę. Ćwiczyłyśmy gimnastykę. Robimy to bardzo często. A teraz już chodźmy.

Odchodzą, najpierw ciemnowłosa, a za nią jasnowłosa grubaska, ale już nie tak szybko, nie tak zdecydowanie. Patrzy na ich plecy, na ich nagie plecy, nagie pośladki, nagie stopy. Biegnie za nimi, wyprzedza, staje przed nimi, rozkłada ręce.

— Co robisz, ty cholerny palancie?

— Gdzie?

— Co „gdzie”?

— Gdzie trenujecie?

Na wzgórzu spacerują dwie starsze panie. Są już prawie w pobliżu kwiatów, które nie są różami. Spogląda na nie. Spuszcza wzrok, liczy szybko do dziesięciu, potem znów spogląda. Obie nadal tam są, ale zaraz skracają, kierują się w stronę innej ścieżki, która biegnie aż do fontanny.

— A co ty robisz, palancie? Żebrzesz?

— Gdzie trenujecie?

— Nie twoja sprawa.

Jasnowłosa grubaska patrzy trochę ze złością na swoją przyjaciółkę. Maria znowu mówi w imieniu ich obu. A ona tak nie myśli. Nie uważa, że muszą być złośliwe.

— Trenujemy w Skarpholmshallen. No wiesz, to ta hala, która stoi tam dalej.

Wskazuje na wzgórze, w kierunku, z którego właśnie przyszły. Kot. Zdechły kot. Do diabła z nim. Do diabła ze zwierzętami.

— Czy to ładna hala?

— Nie.

— Jest jeszcze brzydsza niż ty.

Dały się złapać na haczyk. Nawet ciemnowłosa nie wytrzymała i mówi.

Nadal stoi przed nimi, opuszcza ramiona. Przesuwa jedną dłonią po swych czarnych włosach. Jakby je przyklepywał.

— Znam nową halę. Stoi niedaleko stąd, obok tamtego wysokiego budynku, ten biały, niski dom, widzicie? Znam właściciela. Sam tam chodzę. Może tam mogłybyście trenować. To znaczy w całym klubie.

Gorączkowo pokazuje palcem, obie podążają wzrokiem za jego dłonią, jasnowłosa grubaska z lekkim zainteresowaniem, ciemnowłosa dziwka w typowy dla siebie sposób.

— Tam nie ma żadnej hali, palancie. Na pewno.

— Byłaś tam?

— Nie.

— No widzisz. Tam jest hala. Zupełnie nowa. I nie jest wcale wstrętna.

— Kłamiesz.

— Kłamię?

— Tak. Kłamiesz.

* * *

Marysia ciągle mówi. Zawsze tylko mówi. Nie powinna mówić za nią. Nie powinna być taka złośliwa. Tylko dlatego, że nie

dostała takiej samej czapki.

A ona mu wierzy. Dostała od niego czerwono-zieloną czapkę. No i zna właściciela hali. Jej nie podoba się Skarpholmshallen, załatuje od niej starością, a smród wykładziny prawie wywołuje wymioty.

— Ja ci wierzę. Marwin mówił, że jest tu nowa hala. Byłoby lepiej trenować właśnie w niej.

• • •

Ida wierzy, że stoi tam nowa hala. Zawsze jest taka ufna. I tylko dlatego, że dostała tę brzydką czapkę.

Ona sama wie, jak wyglądają nowe hale. Widziała taką w Warszawie, kiedy była tam z mamą i tatą.

— A ja wiem, że nie ma tam żadnej nowej hali, palancie. Wiem, że nas okłamujesz. Jak tam przyjdziemy i okaże się, że nie ma żadnej hali, to opowiem o wszystkim mamie i tacie.

• • •

Jest piękny dzień. Czerwiec, świeci słońce, jest ciepło, czwartek. Dwie małe dziwki idą przed nim parkową aleją. Ta ciemnowłosa to dziwka, która należy do wszystkich. Jasnowłosa grubaska jest tylko jego dziwką. Dziwki, dziwki, dziwki. Mają długie włosy, cienkie kangurki, obcisłe spodnie. Nie powinien był się onanizować.

Jasnowłosa grubaska, jego dziwka, odwraca się i patrzy na niego.

— Musimy niedługo być w domu. Będziemy jedli kolację, mama, Marwin i ja. Jestem bardzo głodna. Po treningu zawsze jestem głodna.

Uśmiecha się. One to lubią. Wyciąga rękę w stronę czapki, którą tamta ma na głowie, pociąga ostrożnie za daszek.

— Załatwimy to szybko. Przecież wam obiecałem. Jesteśmy już prawie na miejscu. Sprawdźcie, czy wam się podoba. I czy chcielibyście tu trenować. Tak ładnie tu pachnie. Chyba wiesz, jak pachnie, kiedy coś jest nowe?

Wchodzą do środka. Spał tam przez trzy noce. Bez trudu wyłamał drzwi. Piwnica, magazynek, ale jest tu tylko pełno rupieci: kartony ze sprzętem gospodarstwa domowego, książki, dziecięce samochodziki, regały na książki z IKEA, podarte dywany, jakieś stojące lampy. Rupiecie. Poza tym na samym końcu w komórce numer 33 stoi dziecięcy rowerek, czarny, ma pięć przerzutek, mógłby sprzedać go za dwieście pięćdziesiąt koron. Cała piwnica i ten zasrany dziecięcy rowerek.

Kiedy weszli do korytarza prowadzącego do piwnicy, bierze je za ręce. Trzyma mocno, każdą za jedną rękę. Krzyczą tak, jak zawsze. Ścisną je coraz mocniej. To on tu decyduje. To on decyduje, a dziwki krzyczą. Spał tu przez trzy noce, wie, że nie zagląda w to miejsce nawet pies z kulawą nogą, ani wieczorem, ani nocą. Przez dwa dni, rano, słyszał jakichś ludzi w innych korytarzach, ktoś był w magazynku. Potem było już cicho. Dzwinki mogą krzyczeć. Dzwinki mają krzyczeć.

• • •

Myśli o Marwinie. Myśli o Marwinie. Myśli o Marwinie. O jego pokoju. Czy jest tam teraz? Ma nadzieję, że tak, że jest w pokoju. W domu, u mamy. Pewnie leży na łóżku i czyta, zwykle robi to wieczorem. Najczęściej komiksy. Kaczora Donalda w wydaniu kieszonkowym. Ciągłe jeszcze je czyta. Przedtem czytał *Władcę Pierścieni*. Ale najbardziej lubi Kaczora Donalda. Na pewno tam leży, a ona o tym wie.

• • •

Ten palant w czapce. Palant w czapce. Palant w czapce.

Nie wolno jej z takimi rozmawiać. Mama i tata ciągle ją o to pytają, a ona odpowiada, że nigdy z takimi nie rozmawia. I rzeczywiście — nie rozmawia. Zachowuje się jak ktoś ważny. Ida nie ma odwagi. Ale ona tak. Mama i tata będą źli, kiedy dowiedzą się, że rozmawiała z kimś takim. Ona tego nie chce, nie chce, żeby

byli źli.

• • •

Numer 33 jest najlepszy. To tam znalazł dziecięcy rowerek. To tam sypiał.

Już nie krzyczą. Jasnowłosa grubaska, dziwka, płacze, smarki ciekną jej z nosa, oczy ma zaczerwienione. Ciemnowłosa dziwka gapi się na niego hardo, wyzywająco, z nienawiścią. Przywiązuje im ręce do jednej z białych rur, które ciągną się wzdłuż cementowo szarej ściany. Jest ciepła, to chyba rura wodociągowa, parzy je w skórę pod ramieniem. Kopią w jego stronę, a za każdym razem, kiedy kopią, on im oddaje. Aż rozumieją. I wtedy już przestają kopać.

Siedzą cicho. Dziwki mają siedzieć cicho. Dziwki mają czekać. To on tu rządzi. Zdejmuje z siebie ubranie. T-shirt, dżinsy, majtki, buty, skarpetki. W tej kolejności. Robi to na ich oczach. Jeśli nie patrzą na niego, to kopie je, aż zaczną. Dziwki mają patrzeć. Stoi przed nimi nagi. Jest przystojny. Wie, że jest piękny. Wysportowane ciało. Umieśnione nogi. Twarde pośladki.

Nie ma brzucha. Jest przystojny.

— Jak wam się podobam?

Ciemnowłosa dziwka płacze.

— Cholerny palant w czapce.

Płacze. Zabrało to trochę czasu, ale zachowuje się już tak, jak wszystkie inne dziwki.

— Jak sądzicie, jestem przystojny?

— Cholerny palant w czapce. Chcę do domu.

Jego członek się podniósł. Teraz on będzie decydował. Podchodzi do nich, przysuwa członek do ich twarzy.

— Ładny, co?

Nie powinien był się onanizować. Zrobił to dziś rano dwa razy. Zdoła zrobić to jeszcze dwa razy. Zaczyna się przed nimi zaspokajać. Szybko oddycha, kopie jasnowłosą grubaskę, kiedy ta

na chwilę odwraca głowę, a kiedy nadchodzi wytrysk, kieruje go na ich twarze, włosy; robią się od tego lepkie, potrząsają głowami.

Płaczą. Dziwki tak cholernie płaczą.

Rozbiera je. Kurtki — musi je pociąć, bo ręce dziewczynek przymocowane są do ciepłej rury. Są drobniejsze, niż przypuszczał. Nie mają nawet piersi.

Zdejmuje z nich ubranie, zostawia tylko buty. Zdejmie je, ale jeszcze nie teraz. Buty przypominają lakierki. Ciemnowłosa dziwka ma białe obuwie sportowe, takie, jakiego używa się do gry w tenisa.

Pochyla się. Najpierw nad jasnowłosą grubaską. Całuje jej różowe lakierki tam, gdzie są palce. Liże je, zaczynając od palców, a potem posuwa się dalej, w stronę pięt, aż do obcasów. Potem je zdejmuje. Stopy tej dziwki są takie piękne. Unosi jedną z nich, aż dziewczynka prawie przewraca się do tyłu. Liże jej kostkę, palce u nóg, długo ssie każdy z nich. Zerka na jej twarz, widzi, że mała cicho płacze, i czuje gwałtowne pożądanie...

Budzi się, kiedy przywożą gazety. Budzi się tak każdego ranka. I ten cholerny hałas, kiedy gazeta ląduje na drewnianej podłodze. Następne drzwi, i następne. Próbowала go kiedyś zatrzymać, ale zawsze za późno, wiele razy oglądała tylko jego plecy. Młody chłopak z włosami związanymi w kucyk. Jeśli go w końcu dopadnie, to wyjaśni mu, jak ludzie czują się o piątej nad ranem.

Przez długi czas nie może ponownie zasnąć. Obraca się na boki, kręci się, poci, ale musi, musi, musi znowu zasnąć, dłużej nie wytrzyma, jednak teraz myśli atakują ją natychmiast, jest taka spięta już o szóstej nad ranem, niech diabli wezmą poranną gazetę i ten jego kucyk.

„Dagens Nyheter”* jest w niedzielę gruby jak Biblia. Leży w łóżku i przegląda dodatek, szuka jakichś słów, za dużo tekstu, nie potrafi tego wszystkiego przyswoić, powinna przeczytać te interesujące reportaże o ciekawych ludziach, ale nie jest w stanie, więc odkłada gazety na stos, żeby przeczytać je później, chociaż i tak nigdy tego nie robi.

Jest bezradna. Te wszystkie godziny. „Dagens Nyheter”, kawa, mycie zębów, śniadanie, łóżko, zmywanie naczyń, znowu zęby. Nie ma nawet wpół do ósmej, niedzielny poranek czerwcowy,

* „Dagens Nyheter” — największy szwedzki dziennik.

słońce wdziera się przez żaluzje, ale ona odwraca głowę, nadal nie może znieść światła, za dużo lata, za dużo ludzi, którzy trzymają się za ręce, za dużo ludzi, którzy śpią obok innych ludzi, za dużo ludzi, którzy się śmieją, bawią, kochają. Nie wytrzyma już z nimi, nie teraz.

Schodzi na dół, do piwnicy. Jest ciemno, pusto, nieposprzątane, wie, że ma tam roboty przynajmniej na dwie godziny. Będzie już wtedy wpół do dziesiątej.

Pierwsze, co zauważa, to wyrwana kłódka. Podobnie w piwnicach obok. Musi się dowiedzieć, kto jest ich właścicielem, to numery 32 i 34; mieszka w tym domu od siedmiu lat i nigdy nie widziała właścicieli. Teraz już coś ich łączy — każde z nich ma wyrwaną kłódkę. Teraz będą mogli ze sobą porozmawiać.

No i rower. A właściwie brak roweru. Czarny drogi rower Jonathana z pięcioma przerzutkami. Miała go sprzedać i dostać za niego przynajmniej pięćset koron. Teraz będzie musiała do niego zadzwonić, do jego ojca, powinna mu o tym powiedzieć już teraz, to zdąży się uspokoić, zanim tu wróci.

Później, już po wszystkim, trudno jej będzie zrozumieć, że nie zauważyła od razu. Że myślała wtedy o tym, do kogo należą piwnice numer 32 i 34, że mogła myśleć o czarnym rowerze górskim Jonathana. To tak, jakby nie chciała tego widzieć, ale nie mogła. Kiedy przesłuchiwała ją policja, wybuchła histerycznym śmiechem w odpowiedzi na pytanie, co zobaczyła najpierw, zaraz po otwarciu drzwi piwnicy. Jej pierwsze, konkretne wrażenie. Długo się śmiała, aż zaczęła kaszleć, roześmiała się ponownie, podczas gdy łzy spływały jej po policzkach; wyjaśniła, iż jej pierwszą i jedyną myślą była ta, że Jonathanowi będzie przykro z powodu kradzieży czarnego roweru górskiego, że nie będzie mogła kupić gry telewizyjnej, którą mu obiecała za pieniądze pochodzące ze sprzedaży roweru, przynajmniej pięćset koron.

Przecież nigdy przedtem nie widziała śmierci, nigdy nie spotkała „cichych” ludzi, którzy patrzyli na nią, nie oddychając.

Bo tak to właśnie było. Patrzyły na nią. Leżały na cementowej podłodze, ale głowy miały ułożone na doniczkach, jak na twardych poduszkach. Były to małe dziewczynki, młodsze od Jonathana, nie miały więcej niż po dziesięć lat. Ciemnowłosa i jasnowłosa. Były całe we krwi, miały ją na twarzy, na piersiach, na podbrzuszu, na udach. Wszędzie ta zaschnięta krew, z wyjątkiem stóp — stopy były czyste, prawie tak, jakby ktoś je umył.

Nigdy wcześniej nie widziała tych dziewczynek. A może jednak? Przecież mieszkały tak blisko. Oczywiście, że musiała je kiedyś widzieć. Może w sklepie? A może w parku? W parku zawsze jest pełno dzieci.

Leżały w jej piwnicy już trzecią dobę. Tak powiedzieli lekarze policyjni. Sześćdziesiąt godzin. Miały ślady spermy w pochwach, w odbytnicach, na górnych partiach ciała, we włosach. Ich pochwy i odbytnice stały się obiektem gwałtu. Jakiś spiczasty przedmiot, prawdopodobnie metalowy, został wielokrotnie wprowadzony do środka, co spowodowało obfite wewnętrzne krwawienie.

Może nawet chodziły do tej samej szkoły co Jonathan. Przecież na boisku szkolnym zawsze pełno jest dziewczynek, wszystkie wyglądają tak samo, bo wszystkie dziewczynki są podobne.

Były nagie. Ich ubrania leżały przed nimi, dokładnie naprzeciwko drzwi jej piwnicy. Jedna sztuka obok drugiej, jak na wystawie. Kurtki złożone, spodnie zwinięte, sweterki, majteczki, rajstopy, buty, wstążki do włosów, wszystko w najlepszym porządku, w odległości dwóch centymetrów od siebie, dwa centymetry do następnej sztuki ubrania.

Patrzyły na nią. Ale nie oddychały.

W tej masce zawsze czuł się głupio. Dorosły mężczyzna, który nosi maskę, powinien czuć się głupio. Widział innych mężczyzn, którzy robili to samo, jak na przykład Nalle Puh czy Joakim von Anka i paru innych; robili to z pewnego rodzaju godnością, tak jakby maska nie wprowadzała ich w zakłopotanie. Nigdy tego nie zrozumiał, pomyślał. Nigdy się nie przyzwyczaje. Nigdy nie będę ojcem, jakiego sam chciałem mieć i jakim sam postanowiłem być.

Przesunął palcami po plastiku zakrywającym mu twarz. Cienki, wielobarwny, ściśle przylegający. Z tyłu gumowa tasiemka, dzięki której maska mocno przylega do głowy. Trudno w tym oddychać, śmierdziało śliną i potem.

— Tatusiu, no, biegnij! Ty nie biegasz! Stoisz tylko w miejscu! Wielki Zły Wilk zawsze biega!

Stała i spojrzała na niego, odchylając głowę; w swoich długich, jasnych włosach miała żółtą trawę i grudki ziemi. Próbowwała zrobić złą minę, ale złe dzieci nie uśmiechają się, więc tylko uśmiechnęła się tak, jak robią to dzieci, które goni Wielki Zły Wilk dookoła domku w małym miasteczku, okrążenie za okrążeniem, aż opadnie z sił i chce być kimś innym, bez maski, bez tej maski z wilczym jęzorem i wilczymi zębami z plastiku.

— Marie, ja już nie mogę. Wielki Zły Wilk musi teraz usiąść. Wielki Zły Wilk chce być mały i grzeczny.

Potrząsnęła głową.

- Jeszcze raz, tatusiu! Tylko ten jeden raz!
- Mówiłaś tak poprzednim razem.
- To już będzie ostatni raz.
- To też mówiłaś poprzednim razem.
- To będzie już naprawdę ostatni raz.
- Naprawdę?
- Naprawdę!

Kocham ją, pomyślał. Jest moją córką. Potrzebowałem trochę czasu, wcześniej tego nie dostrzegalem, ale teraz już tak. Kocham ją.

Nagle zauważył jakiś cień, tuż obok siebie. Przesuwał się powoli, ukradkiem. Wydawało mu się, że ma go gdzieś przed sobą, pod którymś drzewem, ale on był już za nim; najpierw przesuwał się powoli, potem szybciej. Jednocześnie od przodu zaatakowała go dziewczynka z trawą i ziemią we włosach. Popchnęli go razem w tej samej chwili, każde od swojej strony. Stracił równowagę, upadł na ziemię, a wtedy oboje rzucili się na niego, położyli się na nim, dziewczynka uniosła rękę, a chłopiec uniósł swoją; potem uderzyli dłonią w dłoń, przybijając piątkę.

- On się poddaje, Davidzie.
- Wygraliśmy!
- Świnki są najlepsze!
- Świnki są zawsze najlepsze!

Kiedy dwoje pięciolatków atakuje Wielkiego Złego Wilka, to nie ma on szans. Zawsze tak jest. Dlatego też obrócił się, leżąc na trawie, a znajdujące się na nim dzieci potoczyły się za nim, a wtedy on położył się na plecach, odsunął z twarzy plastikową maskę i patrzył spod przymrużonych powiek w stronę słońca. Wybuchnął głośnym śmiechem.

— To dziwne. Z jakiegoś powodu nigdy nie udaje mi się wygrać. Czy ja kiedykolwiek wygrałem? Czy możecie mi to wyjaśnić?

Mówił tak do dzieci, które i tak go już nie słuchały. Miały bowiem w swoich rękach łup — plastikową maskę; najpierw musiały ją przymierzyć, z dumą zaprezentować swój „skalp”, potem

wejść do domu, na pierwsze piętro, do pokoju Marie, położyć maskę na komodzie obok innych trofeów, przez chwilę postać przed nimi w ciszy, w tym królestwie Ankeborgu* pełnym wiecznej chwały obu pięciolatek.

Podążył za nimi wzrokiem, kiedy już zostawiły go w spokoju. Popatrzył na syna sąsiadów, na swoją córkę. Tyle w nich życia, mają go jeszcze przed sobą tak wiele, tyle miesięcy przecieknie im jeszcze między palcami! Zazdroszczę im, pomyślał. Zazdroszczę im tego nieskończonego czasu, poczucia wieczności albo tego, że jakaś zima nigdy się nie skończy. Dzieci znikły za drzwiami, a on skierował wzrok w niebo; leżąc na plecach, wyszukiwał różne odcienie błękitu, robił to jeszcze jako dziecko i robił to teraz, a niebo jest zawsze błękitne, na różne sposoby. Wtedy, kiedy jeszcze był dzieckiem, było mu z tym dobrze. Ojciec był zawodowym oficerem, kapitanem, tak, kapitanem, oficerem pułku, miał nadzieję na zrobienie kariery i na nowe pagony oficerskie; mama zajmowała się domem, była w nim zawsze wtedy, kiedy razem z bratem wychodzili z domu, i zawsze wtedy, kiedy do niego wracali. Nigdy chyba nie rozumiał, co tam robiła w tym czasie, w czterech pokojach na drugim piętrze w wielorodzinnym domu; często się nad tym zastanawiał, jak ona wytrzymywała przez te wszystkie dni, z których każdy następny przypominał ten poprzedni.

Wszystko się zmieniło, kiedy skończył dwanaście lat. A właściwie następnego dnia po urodzinach, żeby ująć to bardziej precyzyjnie. Wyglądało to tak, jakby Frans celowo czekał, aż on przestanie świętować swoje urodziny, jakby nie chciał mu ich popsuć, jakby wiedział, że dzień urodzin to coś więcej niż tylko kolejna rocznica urodzin jego młodszego brata, że zawsze były dla niego tym dniem, za którym najbardziej tęsknił.

Fredrik Steffansson podniósł się z ziemi, strzepnął z koszuli i

* Ankeborg — szwedzki odpowiednik amerykańskiego fikcyjnego miasta Duckburg, gdzie mieszka Kaczor Donald i wielu innych bohaterów kreskówek Walta Disneya.

spodni żdźbła trawy. Często myślał o Fransie, teraz nawet częściej niż kiedyś, i przypominał sobie swoją tęsknotę, bo nagle Frans zniknął, jego łóżko stało puste i zaścienione, a rodzinne rozmowy były cichsze. Frans dość długo obejmował go tamtego ranka, dłużej, niż kiedykolwiek indziej, jak pamięta, a potem powiedział: „Cześć”, po czym poszedł na stację w Strängnäs i pojechał pociągiem do Sztokholmu, dokąd dotarł po godzinie. Wysiadł, skierował się do metra, skasował bilet i wszedł do składu jadącego „zieloną linią” do Farsta. Na przystanku Medborgarplatsen wyskoczył na peron i idąc torami, wolnym krokiem ruszył w stronę Skanstull. Sześć minut później motorniczy nadjeżdżającego składu w świetle reflektorów zauważył nagle człowieka, chwycił za hamulec i krzyknął ze strachu, kiedy czoło pierwszego wagonu uderzyło z całą siłą w ciało piętnastoletniego chłopca.

Od tej pory łóżko Fransa już na zawsze miało stać nienaruszone. Przykryte kołdrą, z kocem zwiniętym w nogach. Nie wiedział, dlaczego to się stało, i nadal nie wie; tak bardzo chciał, żeby Frans wrócił, miał nadzieję, że nagle znowu przed nim stanie, że to wszystko jest nieporozumieniem, przecież takie błędy czasami się popęnia.

Tamtego dnia jakby umarła cała rodzina, na torach w tunelu między Medborgarplatsen a Skanstull. Mama nie czekała już na niego w mieszkaniu tak jak przedtem, nigdy im nie mówiła, dokąd idzie, ale zawsze wracała do domu o zmroku, bez względu na porę roku. Ojciec jakby skurczył się w sobie — kapitan, który zawsze trzymał się prosto, nagle się pochylił; wcześniej mówił niewiele, ale teraz zachowywał się prawie jak niemowa, no i nie bił go już — Fredrik nie przypomina sobie ani jednego uderzenia więcej.

Marie i David znowu stali w drzwiach. Byli tego samego wzrostu, jak wszystkie pięciolatki; zapominał, ile mają centymetrów, chociaż kiedyś przysłano mu z przedszkola kartkę z ich wzrostem i wagą. Miały jednak chyba tyle wzrostu, ile potrzeba, a on sam nie przykładał zbyt dużej wagi do kartek z danymi. Marie nadal miała

w długich, jasnych włosach żdźbła trawy i grudki ziemi, a ciemne włosy Davida przykleiły mu się do czoła i skroni w miejscach, gdzie przyciskała je maska. Fredrik zauważył to, domyślił się, skąd się to wzięło, i wybuchnął śmiechem.

— Ładnie wyglądacie. Ja chyba też. Myślę, że przydałaby się wam kąpiel. Świnki też się czasem kąpią, nie wiedzieliście o tym?

Nie czekał na odpowiedź. Położył dłonie na ich chudych plecach, wepchnął z powrotem do domu, przeszli przez przedpokój, pokój Marie, obok jego sypialni aż do dużej łazienki. Nalał wody do starej dwuosobowej wanny, którą znalazł gdzieś na aukcji w Svinnegarn, na jakimś zadupiu w pobliżu drogi numer 55. Każdego dnia spędzał w niej ponad pół godziny, pozwalał, żeby ciepła woda orzeźwiała mu skórę, i rozmyślał — po prostu myślał, tworzył szkice tekstu, który zamierzał napisać następnego dnia, następny rozdział, następne słowa. Sprawdził ostrożnie temperaturę wody.

Nie za ciepła, nie za zimna, wszędzie biała piana z zielonej butelki firmy Alfons Berg; wyglądało to zachęcająco, przyjemnie. Ku jego zdumieniu dzieci weszły do wody dobrowolnie i usadowiły się po jednej stronie; on sam też szybko się rozebrał i usiadł naprzeciwko nich.

Pięciolatki są takie małe. Widać to jednak dopiero wtedy, kiedy są nagie. Ich miękka skóra, ich dziecięce twarze są pełne ciągłego wyczekiwania. Spojrzał na Marie; miała na czole białe bąbelki spadające powoli na nos. Potem popatrzył na Davida, który trzymał w ręce butelkę, przekręcał ją w górę i w dół, przez co robiło się coraz więcej bąbelków. Fredrikowi brakowało zdjęć siebie samego z okresu, kiedy miał pięć lat, próbował więc wyobrazić sobie swoją głowę przyczepioną do tułowia Marie, miała przecież takie same barki jak on wtedy, kiedy był mały, co stwierdziło jego najbliższe otoczenie; sam się temu dziwił, podczas gdy Marie była tym speszona. Tak, wpasuje własną pięcioletnią twarz w jej ramiona i wtedy już powinien sobie przypomnieć, co czuł; pamiętał tylko lanie — ojciec i on w pokoju stołowym, jego wielka, ciężka ręka,

którą bił go po tyłku. Pamiętał to i pamiętał twarz Fransa przyciśniętą do szyby w drzwiach dużego pokoju.

— Pianka się skończyła.

David pokazał mu butelkę, potrząsnął nią kilka razy, kierując ujęcie szyjki w stronę wody, żeby mu to udowodnić.

— Widzę. Pewnie dlatego, że już wszystko wylałeś.

— A nie powinienem?

Fredrik westchnął.

— Ależ skąd. Przeciwnie.

— Możesz kupić nową butelkę.

On sam często się przyglądał, kiedy Frans dostawał lanie. Ojciec nigdy nie zauważył, jak stoją przy szybie drzwi prowadzących do pokoju. Frans był starszy, lanie dostawał częściej, trwało ono dłużej, a przynajmniej tak to wyglądało z daleka, z odległości kilku metrów. Fredrik przypominał sobie o tym dopiero jako dorosły. Nie dostał lania już od ponad piętnastu lat, a widok wielkiej ręki i szyby w drzwiach zaczął nawiedzać go dopiero tuż przed trzydzistką. Od tamtej pory jego myśli raz za razem krążyły wokół tamtego pokoju. Nie był zły, dziwne, ale nie pałał żądzą zemsty. Smutek. Smutek był najlepszym określeniem tego, co czuł.

— Tatusiu, mamy ich jeszcze parę.

Spojrzał niewidzącym wzrokiem na Marie. Przegnała jego pustkę.

— Halo!

— Parę?

— Mamy jeszcze kilka takich butelek.

— Naprawdę?

— Na samym dole. Jeszcze dwie. Bo kupiliśmy trzy.

Smutek Fransa był większy. Frans był starszy, przeżył więcej lat, częściej dostawał lanie. Frans miał zwyczaj płakać za szybą, ale tylko wtedy, kiedy Fredrik się przyglądał. Żył ze swym smutkiem, ukrywał go, dusił go w sobie, aż stał się jego częścią, uderzeniem skierowanym przeciwko niemu, jednym wielkim uderzeniem, które pewnego dnia otrzymał od ważącego trzydzieści ton składu.

— No popatrz.

Marie wygramoliła się z wanny, przeszła na drugą stronę łazienki, aż do szafki. Otworzyła ją i z dumą pokazała palcem.

— Dwie butelki. Wiedziałam. Przecież kupiliśmy ich razem trzy.

Podłoga łazienki była wilgotna, z ciałka Marie spływała woda i piana, ale ona tego oczywiście nie widziała, wróciła z butelką w ręce i z powrotem wślizgnęła się do wanny. Z łatwością otworzyła butelkę. David wyrwał ją i opróżnił, nie spoglądając na nich, bez chwili wahania. Potem krzyknął coś, co brzmiało jak „jippi”, i po raz drugi w ciągu ostatniej godziny oboje przybili piątkę.

Nienawidził zboczeńców. Tak jak i inni. Ale on był zawodowcem. Taką miał pracę. Wmówił to sobie. Praca, praca, praca.

Åke Andersson już od trzydziestu dwóch lat przewoził więźniów przebywających w szwedzkich zakładach karnych. Miał pięćdziesiąt dziewięć lat. Gęste, krótko przystryżone, przyprószone siwizną włosy. Kilka kilogramów nadwagi. Wysoki, wyższy niż wszyscy jego koledzy z pracy, wyższy od każdego łajdaka, który siedział w jego więźniarce. Sto dziewięćdziesiąt dziewięć centymetrów wzrostu — jak mawiał. Właściwie to dwieście dwa centymetry, ale ludzi mających powyżej dwóch metrów uważano za odmieńców, pomyłkę przyrody; miał już dość takich komentarzy.

Nienawidził zboczeńców seksualnych. Cholerne gnojki, które siłą musiały zdobywać babską cipkę. Najbardziej nienawidził tych, którzy gwałcili dzieci. Uczucie to było silne, narastało za każdym razem, kiedy ich spotykał; odczuwał wtedy agresję, która go przerażała. Dusił w sobie chęć nagłego wyłączenia silnika samochodu, żeby wskoczyć między siedzenia i przycisnąć takiego skurwysyna do szyby samochodu.

Nic jednak po sobie nie pokazywał.

Wcześniej woził już gorsze męty. Tych z najcięższymi wyrokami. Miał do czynienia z każdym z nich. Każdemu takiemu bandziorowi osobiście zakładał kajdanki, prowadził ich do więźniarki, patrzył

pustym wzrokiem w tylne lusterko. Wielu z nich było idiotami, głupkami. Niektórzy rozumieli, co zrobili. Rozumieli, że to kosztuje, że ten, kto coś kupuje, musi za to zapłacić. Taką miał prostą filozofię życia. Mimo całej tej bzdurnej gadaniny o opiece, trosce i rehabilitacji. Kupujesz, to płać. I tylko tyle.

Znał tych wszystkich zboczeńców. Każdego z nich. Wyglądali w pewien szczególny sposób. Nie potrzebował sprawdzać żadnego wyroku sądowego, żadnych papierów. Widział to po nich i nienawidził ich. Kilka razy próbował o tym opowiedzieć w knajpie, że to widać, że potrafi ich rozpoznać, a kiedy koledzy pytali, skąd wie, nie potrafił im wyjaśnić, więc uznali go za homofoba, pełnego uprzedzeń antyhumanistę; nigdy więcej już o tym nie mówił, nie potrafił, ale widział to, a te bydlaki wiedziały o tym, próbowały się maskować, kiedy napotykały jego wzrok.

Woził już zboczeńców przynajmniej sześć razy. W 1991 roku zrobił kilka kursów między sądem apelacyjnym a aresztem śledczym w Kronobergu; potem, w 1997 roku, kiedy jeden z nich próbował uciec; wcześniej, w 1989 roku, z Sätters fasta do jakiegoś innego zakładu; no i teraz, w środku nocy, do szpitala Södersjukhuset. Popatrzył na niego, ich spojrzenia spotkały się, bezsensowna gra w lusterku, kto dłużej przetrzyma spojrzenie. Wydawał się normalny. Zawsze tak wyglądali. Średniego wzrostu, około stu siedemdziesięciu pięciu centymetrów. Szczupły, krótko ostrzyżony, spokojny. Całkiem normalny. Jeden z tych, którzy hańbią dzieci.

Na wzniesieniu przy skřęćie z ulicy Ringvägen paliło się czerwone światło. Noc, niewielki ruch. Dźwięk syreny i niebieskie światła za ich wozem. Czekał spokojnie, żeby karetka go ominęła.

— Jesteśmy na miejscu, Lund. Trzydzieści sekund. Możesz się przygotować. Już dzwoniłiśmy, zaraz przyjdzie lekarz, żeby cię obejrzeć.

Andersson nie rozmawiał ze zboczeńcami. Nigdy tego nie robił. Jego kolega wiedział o tym. Ulrik Berntfors był tego samego zdania co Andersson. Wszyscy inni też. Ale Ulrik nie nienawidził.

— Nie będziemy musieli czekać na śniadanie. A ty nie będziesz musiał czekać w poczekalni w tym wdzianku.

Ulrik wskazał palcem tego, który nazywał się Lund. Na pas obezwładniający, na łańcuch wokół brzucha. Nigdy przedtem nie używał tego rynsztunku wobec żadnego innego więźnia. Ale taki otrzymał rozkaz. Oscarsson specjalnie do niego zadzwonił w tej sprawie. Kiedy kazał Lundowi się rozebrać, ten uśmiechnął się w odpowiedzi i wykonał w jego stronę kilka wolnych ruchów naśladujących stosunek płciowy. Metalowy pas wokół brzucha, cztery łańcuchy zwisające wzdłuż nóg przymocowane do kajdanek oplatających stopy, dwa łańcuchy wzdłuż tułowia przytwierdzone do kajdanek założonych na przeguby dłoni. Widział kiedyś coś takiego w wiadomościach i w czasie wyjazdu służbowego do Indii, ale nigdzie indziej. Szwedzkie służby więzienne miały zwyczaj kontrolować osadzonych poprzez zwiększenie liczby strażników tak, żeby było ich więcej niż więźniów; czasami zakładano im kajdanki, ale nigdy żadnych łańcuchów pod koszulę czy pod spodnie.

— Co za troska. Jestem niezmiernie wdzięczny. Mili z was faceci.

Lund mówił cicho. Ledwo go można było usłyszeć. Ulrik nie bardzo wiedział, czy Lund powiedział to z ironią. Łańcuchy, ocierając się o siebie, wydawały metaliczny dźwięk, jeszcze zanim więzień się poruszył. Mężczyzna pochylił się w taki sposób, że jego głowa spoczęła na skraju szpary oddzielającej przednie siedzenia od tylnych.

— A tak poważnie, panowie klawisze, to to nie działa. Łańcuchy są do dupy. Zdejmijcie ze mnie to cholerne metalowe ubranko, a obiecuję, że nie ucieknę.

Andersson spojrzał na niego w lusterku. Gwałtownie dodał gazu na podjeździe przy wejściu do izby przyjęć, a potem nagle zahamował. Lund mocno uderzył brodą o ostrą, węższą część szpary.

— Co ty, kurwa, klawisz, wyrabiasz? Jesteś, kurwa, nabuzowany czy co?

Lund był opanowany i mówił językiem poprawnym gramatycznie, do chwili, aż go ktoś obraził. Wtedy zaczynał przeklinać. Andersson wiedział o tym. Oni wszyscy nie tylko tak samo wyglądają. Oni są tacy sami.

Ulrik roześmiał się bezdźwięcznie. Cholerny Andersson, zachował się nie tak, jak powinien. Robił takie rzeczy. Ale nie chciał o tym mówić.

— Niestety, takie rozkazy dostaliśmy od Oscarssona. Jesteś niebezpieczny, Lund. Uznali cię za niebezpiecznego, więc tak już musi zostać.

Z trudnością kontrolował słowa. Wypływały z jego ust same, cisnęły mu się na wargi, chociaż bronił się przed tym, obawiając się, że nie zdoła opanować tłumionego we wnętrzu śmiechu, że będzie słyszalny i jeszcze bardziej sprowokuje osobę, której przewóz im powierzono. Mówił więc dalej, ale zachowywał się tak jak Andersson: patrzył przed siebie.

— Jeśli wbrew rozkazom Oscarssona zdejmujemy z ciebie to gówno, to złamiemy przepisy. Wiesz o tym.

Karetka, która przed chwilą ich wyprzedziła, stała na podjeździe pod izbą przyjęć. Dwóch pielęgniarzy z noszami wbiegło po schodach, w stronę wejścia. Ulrik zauważył jakąś kobietę, jej długie, zakrwawione włosy lepiły się do nogi jednego z sanitariuszy. Pomyślał, że rdzawy kolor nie pasuje do pomarańczowego. Zastanawiał się, dlaczego sanitariusze ubrani są na pomarańczowo, jeśli tak często ich ubrania zabrudzone są krwią. Silne wrażenia, których doświadczał, sprawiały, że zawsze przychodziły mu do głowy jakieś bezsensowne myśli.

— Kurwa mać! Pierdolony Oscarsson! Przecież to dureń! Czemu, kurwa, nie chce mi zaufać, jeśli mówię, że nie ucieknę. Przecież mu to obiecałem w Aspsås.

Lund wykrzykiwał te słowa przez otwór do kabiny kierowców,

a potem rzucił się z wysuniętą głową w stronę ściany pojazdu po stronie kierowcy, na której nie było szyby. Łańcuchy na brzuchu wydały metaliczny dźwięk, a Andersson przez chwilę myślał nawet, że kogoś stuknął; rozglądał się więc za pojazdem, którego oczywiście nie było.

— Przecież mu o tym powiedziałem, gady. Ujmę to więc tak: jeśli nie zdejmiecie ze mnie tej diabelskiej zbroi, to ucieknę. Rozumiecie, gady? Ucieknę. Czy zrozumieliście, co powiedziałem?

Andersson szukał wzrokiem jego oczu. Spoglądał w lusterko, żeby je odnaleźć. Odczuwał nienawiść, czuł, jak go opanowuje, musi uderzyć, ten bydlak posunął się za daleko, o jednego „klawisza” za dużo.

Przez trzydzieści dwa lata nic innego, tylko praca, praca, praca. Nie mógł już tego dłużej wytrzymać. Nie dzisiaj. Wcześniej czy później i tak szlag go trafi.

Zerwał z siebie pas bezpieczeństwa. Otworzył drzwi. Ulrik zrozumiał, ale nie zdążył go powstrzymać. Andersson zamierzał pobić tego zboczeńca tak, jak jeszcze nikt przedtem tego nie zrobił. Ulrik został więc na swoim miejscu i uśmiechnął się. Nie miał nic przeciwko temu.

Największa cisza panowała po godzinie czwartej. Zaraz po tym, jak ostatni klienci baru za rogiem, idąc miejską aleją, z hałasem przemieszczali się z portu w stronę starego mostu prowadzącego do Tosterö. Następnie roznosiciele gazet, podzieliwszy między siebie poranny nakład na Storgatan, zaczęli szybko otwierać drzwi klatek schodowych i skrzynki pocztowe, żeby wrzucać do nich „Strängnäs Tidning” — miejscowe wydanie „Eskilstuna-Kuriren”, gdzie na czwartej stronie publikowano zdjęcia z codziennego życia lokalnej społeczności.

Fredrik Steffansson wiedział o tym. Już nie pamiętał, kiedy udało mu się przespać całą noc. Leżał przy otwartym oknie i przysłuchiwał się odgłosom dochodzącym z miasteczka. Słyszał, jak miasto zasypiało i budziło się; tak to już przecież jest, że jak się żyje na prowincji, to na drugą stronę miasteczka nie jest daleko. Mieszkał tu przez całe swoje życie. Studiował twórczość Strindberga i Lagerkvista, przeprowadził się do Sztokholmu, potem na południe, gdzie studiował religioznawstwo; wyjechał do kibucu w północnym Izraelu, około dziesięciu kilometrów od granicy z Libanem, ale wrócił tutaj, do ludzi, których znał albo przynajmniej rozpoznawał. Tak naprawdę to nigdy się z tego domu nie wyprowadził, nie porzucił swego dzieciństwa, wspomnień, tęsknoty za Fransem. Spotkał Agnes, zakochał się po uszy w tej ubranej na czarno, bywającej w świecie piękności, spotykali się i żyli ze sobą; mieli się

rozstać, ale urodziła się Marie, więc znowu stali się rodziną i znowu spotykali się przez rok, zanim rozstali się ostatecznie. Ona mieszkała w Sztokholmie, wśród swoich eleganckich przyjaciół, bo bardziej pasowała do nich; nie stali się wrogami, ale nie rozmawiali już ze sobą tyle, co dawniej, kiedy trzeba było zabierać i odbierać Marie, a potem przenieść się do innego miasta.

Ktoś przeszedł koło domu. Spojrzał na zegarek. Czwarta czterdzieści pięć. Te przekłete noce! Gdyby tylko mógł myśleć o czymś rozsądnym, o kolejnym tekście, o dwóch kolejnych stronach, ale jakoś mu się nie udawało; żadnych myśli, tylko ten cholerny upływający czas, podczas gdy na zewnątrz trzaskały zamykane drzwi wejściowe do budynków i słyszać było dźwięk zapuszczanych silników samochodowych. Pisanie przychodziło mu z trudem. Kiedy robiło się jasno, a Marie odprowadził już do przedszkola, zasiadał przed komputerem, ale wtedy ogarniało go zmęczenie, te godziny bez snu; trzy rozdziały w ciągu dwóch miesięcy, to była prawdziwa katastrofa. W wydawnictwie zaczęto się już zastanawiać, czym on się właściwie zajmuje.

Ciężarówka. To chyba odgłos śmieciarki. Przyjeżdżały zazwyczaj nie wcześniej niż o piątej trzydzieści.

Cienka ścianka oddzielała go od pokoju Marie. Słyszał ją po drugiej stronie. Marie chrapała. Jak takie słodkie dziecko z jasnymi włosami, które ma dopiero pięć lat, może chrapać tak, jak to robią starsi, silnie zbudowani mężczyźni? Myślał, że to Marie tak chrapie, i tylko ona, ale czasami na noc zostawał u nich David i wtedy odgłos chrapania był dwa razy mocniejszy, oboje wypełniali ciszę między jednym oddechem a drugim.

To nie ciężarówka, tylko autobus turystyczny. Był tego najzupełniej pewien.

Przewrócił się na drugi bok, plecami do okna. Micaela leżała nago, kołdra i prześcieradło jak zwykle zwinięte u jej stóp. Była taka młoda, miała dwadzieścia cztery lata, podniecała go i czuł się przez nią kochany, a innym razem nagle stary; to poczucie

nachodziło go niespodziewanie, często wtedy, gdy rozmawiali o muzyce, książkach i filmach, któreś z nich nawiązywało do jakiejś kompozycji, tekstu lub sceny i wtedy widać było wyraźnie, że jest dorosłą, młodą kobietą, a on mężczyzną w średnim wieku. Szesnaście lat to sporo, kiedy już się zdąży wymienić uwagi na temat filmów i solówek gitarowych, kiedy zdążyły się one już wszystkie postarzeć.

Leżała na brzuchu, z twarzą zwróconą do niego. Pogłaskał ją po policzku, pocałował delikatnie w pośladek. Bardzo ją lubił. Czy kochał? Nie miał sił, żeby się nad tym zastanawiać.

Lubił, kiedy tak leżała obok niego, lubił to, że chciała dzielić z nim godziny; nienawidził samotności, była taka bezsensowna, dusząca, a jeśli nie można było oddychać, to oznaczało to prawdopodobnie śmierć. Odsunął dłoń z jej policzka, zaczął pieścić jej plecy, a ona poruszyła się niespokojnie. Dlaczego tam leżała? Starszy mężczyzna z dzieckiem. Nie wygląda zbyt dobrze, ani brzydki, ani przystojny, nie był bogaty, nie był nawet miły. Dlaczego wybrała więc noc z nim? Taka piękna, taka młoda, miała przed sobą jeszcze tyle życia. Pocałował ją znowu, w udo.

— Ciągłe nie śpisz?

— Przepraszam. Obudziłem cię?

— Nie wiem. A ty nie spałeś?

— Wiesz, jak to jest.

Przygarnęła go do siebie, przycisnęła swoje nagie ciało do jego ciała, biło od niej ciepło, była rozbudzona, ale nie do końca.

— Musisz zasnąć, staruszk.

— Staruszk?

— Bo inaczej nie wyrobisz. Sam wiesz. Śpij już.

Popatrzyła na niego, pocałowała go, objęła.

— Myślę o Fransie.

— Proszę, nie teraz.

— Tak, myślę o nim. Chcę o nim myśleć. Słucham śpiącej Marie i myślę o tym, że przecież Frans też był dzieckiem, kiedy

dostawał lanie, kiedy na mnie patrzył, kiedy wsiadał do pociągu jadącego do Sztokholmu.

— Zamknij oczy.

— Dlaczego bije się dziecko?

— Jeśli będziesz miał oczy zamknięte wystarczająco długo, to na pewno zaśniesz. Na pewno.

— Dlaczego bije się dziecko, które ma dorosnąć, które ma zrozumieć i które ma osądzić bijącego, a przynajmniej siebie samo?

Odepchnęła go od siebie, przekreśliła na bok tak, że leżał teraz plecami zwróconymi w jej stronę, potem przysunęła się do niego.

— Dlaczego bije się dziecko, które wmawia sobie, że bicie go należy do obowiązków ojca? Które będzie sobie tłumaczyć, że to znęcanie się jest spowodowane jego własnym brakiem siły i dobroci? Które będzie sobie wmawiać, że samo ponosi część winy? Cholera, dziecko sądzi, że częściowo przyczyniło się do powstania tej gównianej sytuacji, więc tym samym nie powinno czuć się poniżone i porzucone.

Micaela spała. Oddychała powoli i regularnie na jego kark z tak bliskiej odległości, że zrobił się wilgotny. Słyszał przez okno, jak na ulicy przed domem zatrzymuje się autobus, jak cofa, znowu się zatrzymuje i jeszcze raz cofa. Może to ten sam co wczoraj, autobus turystyczny, dosyć duży.

Lennart Oscarsson ukrywał tajemnicę. Nie był sam i wiedział o tym, ale zachowywał się tak, jakby był sam. Tajemnica ta spoczywała na jego prawym ramieniu, drzemała w jego piersi, wypełniała całe jego wnętrze. Każdego wieczoru postanawiał, że się jej pozbędzie, że ulży sobie i będzie potem mógł czekać na dni bez tajemnic.

Nie potrafił. Nie mógł. Krzyczał głośno i nikt go nie słyszał. Czy mam otwierać usta, kiedy krzyczę?

Każdego ranka siedział tak jak teraz w kuchni, przy okrągłym rodzinnym stole i jadł łyżką jogurt ze szklanki. Obok niego siedziała Maria, która była całym jego życiem, piękną kobietą, kochał ją bez opamiętania, odkąd szesnaście lat temu spotkał ją pierwszy raz. Piła kawę z ciepłym mlekiem, jadła ciemne, chrupkie pieczywo, czytała dodatek kulturalny w „Dagens Nyheter”.

Teraz! Teraz!

Mógłby powiedzieć o tym właśnie teraz i miałby to już za sobą. Miała prawo o tym wiedzieć. Inni nie, ale ona tak.

To takie proste. Krótka chwila, kilka zdań, nic więcej.

Dokończy śniadanie, zajmie się swoimi codziennymi sprawami, a potem wróci do domu i nie będzie musiał już tego dłużej ukrywać. Odłożył łyżkę i wypił jogurt bezpośrednio ze szklanki.

• • •

Lennart Oscarsson był dumny ze swej pracy w zakładzie karnym w Aspsås. Pracował tam jako wychowawca oddziałowy i miał ambicje na dalszy awans. Zapisywał się na każdy kurs, każde szkolenie z zakresu służby więziennej, bo ktoś, kto chce iść wyżej, musi to okazywać, więc pokazywał i wiedział, że ktoś to odnotowuje.

Siedem lat temu został głównym wychowawcą na oddziale dla przestępców seksualnych.

Dzień powszedni spędzał z ludźmi, poddanymi jego opiece, zamkniętymi w celach za to, że dopuścili się przestępstw wobec innych ludzi. To tacy, którzy łamią ostatnie tabu, jakie jeszcze ostały się w społeczeństwie. Odpowiadał za nich i za personel, który miał się nimi zajmować i karać ich. No bo przecież właśnie tym mieli się zajmować, na tym właśnie polegało ich jedyne zadanie. Dozorować, karać i rozumieć różnicę. Myślał to, co myślał, czuł to, co czuł, ale pokazywał, że chce, i ktoś to za każdym razem odnotowywał.

Ta cholerna tajemnica zaczęła w nim narastać mniej więcej w tym samym czasie. Tak bardzo chciał o niej opowiedzieć. Przecież nie mogło być już gorzej. Zdrada zamieszkała w ich domu, plugawiła każde słowo.

• • •

Podniósł się z krzesła, zebrał naczynia i wstawił je do zmywarki. Wytarł stół do sucha zmietym papierowym ręcznikiem.

Nosił niebieski mundur. Mundury strażników więziennych wyglądały identycznie w każdym szwedzkim więzieniu. Tak jak umundurowanie kierowców taksówek w całej Szwecji. Ubrał się w kuchni, spodnie, krawat, koszula, i ciągle zastanawiał się nad rozmową z Marią, o czymkolwiek, co nie byłoby tak cholernie zakłamanie.

— Mocno dzisiaj wieje.

Maria stanęła obok niego, pogłaskała go po policzku. Przycisnął

twarz do jej dłoni, potarł ją, potrzebował tego. Była taka ładna. Chciał, żeby o tym wiedziała.

— Będzie tak wiało przez cały dzień. Będą ci potrzebne rękawiczki.

— Jest ciepło. Poza tym to tylko kilkaset metrów.

— Wiesz, że to nie ma znaczenia. Potem i tak zawsze żałujesz. Kiedy zaczynasz odczuwać ból.

Trzymała jego skórzane rękawiczki. Wziął je i włożył. Pocałował ją najpierw w usta, a potem w ramię. Marynarka wisiała na wieszaku w przedpokoju. Otworzył drzwi, wyszedł na podwórze. Do więzienia miał niedaleko, szary betonowy mur dominujący nad całym miastem, tylko dwie minuty piechotą i już jest na miejscu.

Kiedy Andersson otworzył przednie drzwi więziennego furgonu i szybko wyszedł z szoferki, czuł się jak nigdy przedtem. Jego złość i ta przekłeta nienawiść były silniejsze niż zdolność do zapanowania nad nimi. Przez ponad trzydzieści lat wysłuchiwał wyzwisk kierowanych pod jego adresem przez więźniów. Nienawidził, ale robił swoje, w milczeniu przewoził ich z aresztu do sali sądowej, z pogotowia ratunkowego do zakładu karnego. Zgodził się, żeby z więźniami rozmawiali jego koledzy; transportował te wszystkie męty społeczne, patrzył przed siebie i po prostu wykonywał swoją robotę. Jednak nie mógł się opanować w obecności tego gwałciciela dzieci. Powoli tracił opanowanie, wiedział, co tamten zrobił i jak po tym wszystkim wyglądały dziewczynki. Przez wiele nocy po ostatnim transporcie śnił mu się szyderczy uśmiech zboczeńca i jego zupełny brak empatii, ta sama zbrodnia popełniana na okrągło. Pewnego ranka obudził się i nie zdążył do toalety, tylko zwymiotował na podłogę w przedpokoju, tak jakby ośrodek kontroli usadowiony był w żołądku, a kiedy zabrakło w nim miejsca, musiał z niego coś wyrzucić.

Nie miał pojęcia, co chce zrobić. Już nie panował nad sobą. Kiedy po raz trzeci usłyszał słowo „klawisz”, poczucie obowiązku i przyszłe konsekwencje przestały się liczyć, pozostały tylko zdjęcia nagich dziewczynek z porozrywanyimi narządami rodnymi po brutalnym gwałcie dokonanyim za pomocą metalowego, spiczastego

przedmiotu. Jego wielkie ciało z impetem uderzyło w tylne drzwi pojazdu.

. . .

Ulrik przewoził Lunda wcześniej tylko jeden raz. Działo się to drugiego dnia procesu w sprawie dziewczynek znalezionych w piwnicy. Był tutaj nowy, a proces najgłośniejszy z tych, które do tej pory obsługiwał; dziennikarze i reporterzy stali w kolejce, klębili się w tłumie, bo obie dziewczynki były znane, więc należało to sprzedać. Wtedy wstydził się własnej reakcji, w ogóle nie myślał o samych dziewczynkach, był jeszcze niedoświadczony, nie rozumiał, czuł się wybrany i prawie dumny, kiedy w blasku kamer telewizyjnych siedł obok Lunda. Dopiero później, kiedy córka zapytała go, dlaczego Lund zabił te dwie dziewczynki, dlaczego zniszczył ich życie, była przecież starsza od nich tylko o rok i z uwagą czytała każdy nowy artykuł na ten temat, ciągle miała nowe pytania, a przecież jej tatuś znał tego pana, który to zrobił, przecież szli obok siebie kilka razy. Ulrik nie potrafił oczywiście odpowiedzieć na te pytania. Ale powoli zaczął rozumieć. Jego córka nauczyła go, poprzez swoje pytania i poprzez swój strach, więcej o roli, jaką odgrywał, niż jakikolwiek kurs, w którym brał udział.

Wiedział o nienawiści Anderssona. Nigdy o tym nie rozmawiali, ale wiedział to, słyszał i rozumiał. Być może sam będzie przeżywał taki stan — kiedy tacy jak Lund obrzuca go obelgami wystarczająco wiele razy. Dlatego też to on wziął na siebie obowiązek porozumiewania się z więźniami. Przecież ktoś musiał z nimi rozmawiać. Na tym polegała ich praca. Na przewożeniu więźniów.

Kiedy Lund po raz kolejny krzyknął: „Klawisz!”, Ulrik zrozumiał, że tym razem przesadził. Wiedział, kiedy Andersson zerwał się z siedzenia.

Jeśli skupi wzrok na drzwiach wejściowych prowadzących do izby przyjęć, to nie będzie tego wszystkiego widział. No a jeśli nie

będzie tego widział, to nie będzie musiał kłamać przed jakąś komisją dochodzeniową.

. . .

Na parkingu przed wejściem do izby przyjęć było pusto. Żadnych samochodów, żadnych ludzi. Tak przedstawił to później Andersson. Powiedział też, że nawet jeśli nie byłoby tam pusto, gdyby nawet stali tam inni ludzie albo gdyby ktoś go mijał, to i tak by tego nie zauważył. Popędził na tył samochodu, a wściekłość i nienawiść zaślepiły go zupełnie.

Szarpnął za drzwi. Wystarczyło lekkie pociągnięcie, jego dłonie były przecież równie wielkie jak cała reszta ciała; wystarczyło, że tylko pociągnął.

I wtedy stało się to najgorsze.

Bernt Lund krzyknął kilka razy słowo „klawisz”, falsetem. A potem uderzył. Uderzył łańcuchami trzymanymi w dłoniach. Tymi, które zwisały mu pod spodniami i pod koszulą, które spinały kajdanki na rękach i na nogach z pasem założonym wokół bioder. Andersson nie zdążył nic zobaczyć ani zrozumieć, bo ciężkie, żelazne ogniwa poharatały mu twarz, jeszcze zanim upadł na ziemię. Lund, wyskakując przez otwarte drzwi, ponownie uderzył Anderssona kilka razy w twarz, aż ten stracił przytomność. Kopał go w brzuch i w biodro, w podbrzusze. Kopał tak długo, aż wielki strażnik przestał wydawać jakiegokolwiek dźwięki.

Ulrik przez cały czas patrzył przed siebie. Andersson spuszczał temu gwałcielowi całkiem niezły wpierdół. Przysłuchiwał się, jak Lund nadal wykrzykuje swoje „klawisz”; że też tyle wytrzymał. Czekał tak długo, aż zrobiło mu się niedobrze, Andersson bił go chyba zbyt długo, może już wystarczy, bo jak zaraz nie przestanie, to źle się to skończy. Miał właśnie otworzyć drzwi i wyjść na zewnątrz, żeby powstrzymać Anderssona, kiedy zobaczył, że obok niego stoi Lund. Ciężkim łańcuchem zbił szybę, uderzył Berntforsa w twarz, wyciągnął go na zewnątrz i bił nadal. Jedyne, co Ulrik

zapamiętał, to krzyki Lunda, który zdarł z niego spodnie i uderzył go łańcuchem w genitalia, wrzeszcząc, że powinien ich obu przelecieć, gdyby nie byli tacy duzi, bo duzi ludzie nie zasługują na jego miłość; pragną jej tylko małe dupki i tylko małe dziwki poczują go w sobie.

Sto trzydzieści kroków. Od drzwi zewnętrznych do okutych żelazną blachą drzwi wejściowych. Lennart Oscarsson policzył je. Któregoś razu wyszło mu sto trzydzieści jeden kroków. Był to rekord. Stało się to przed kilkoma laty, dużo wtedy trenował na sali gimnastycznej zakładu karnego. Trenował razem z więźniami aż do dnia, kiedy doszło do pobicia; pewien więzień z wieloletnim wyrokiem został wtedy pobity przez innego albo przez kilku więźniów. Zrobili to, używając hantli lub ciężarków, tak stwierdził lekarz na podstawie wyraźnych, łatwych do zidentyfikowania śladów. Żaden z tych bydlaków oczywiście nic nie widział, bo odciągnęli go w jakieś ciemne miejsce; musiał strasznie głośno krzyczeć, a narożnik, gdzie leżały hantle, był cały zalany krwią i nikt nic nie widział, nie słyszał ani niczego się nie domyślił. Nie wolno mu już było tam chodzić, chociaż nie bał się, bo przecież nikt z nich nie był na tyle głupi, żeby ryzykować nowy proces z powodu napaści na oddziałowego; nie, to nie był strach, tylko obrzydzenie, po prostu nie potrafił przebywać dłużej w pomieszczeniu, gdzie jeden z tych, za których odpowiadał, został pozbawiony prawa do życia.

Przycisnął dzwonek na murze, a potem czekał, aż niewielka, wisząca nad jego głową kamera skieruje się w jego stronę, a z głośnika usłyszy głos. A kiedy tak stał, odwrócił się w stronę domu, z którego właśnie przyszedł. Spojrzał w okno sypialni i w

okno dużego pokoju. Ciemno. Zaslony opuszczone do połowy. Nie widać żadnej twarzy ani pleców przy półce z telefonem.

— Słucham?

— To ja, Oscarsson.

— Zaraz pana wpuszczę.

Brama otworzyła się i wszedł do środka. Spojrzał w stronę muru, który go otaczał; dwa światy, a on mógł się między nimi poruszać. Zbliżył się do kolejnych drzwi, zastukał w szybę budki strażnika, pomachał Berghowi, temu głupkowi, którego nigdy nie potrafił zrozumieć; Bergh też mu pomachał i nacisnął jakiś guzik. Drzwi zaskrzypiały, otworzył je szerzej. Na korytarzu śmierdziało płynem do mycia podłogi i czymś jeszcze.

Zapowiadał się nudny dzień: spotkanie personelu oddziałowego. Rozważali na nich różne skomplikowane kwestie, bezsensowne decyzje dotyczące bezsensownych czynności, trzymali się uporczywie tych samych struktur; żeby rozwiązać problemy, potrzeba było bystrych umysłów i więcej energii. Przesycony punktami porządek dnia stwarzał poczucie bezpieczeństwa na przyszłość, ale wnosił niewiele nowego.

Automat do wydawania kawy był popsuty. Oscarsson kopnął go. W kieszeni munduru znalazł dwie pięciokoronówki, wsunął je do otworu na monety i wyciągnął zmrożoną colę. Kofeina.

— Dzień dobry, Lennart.

— Cześć, Nils.

Nils Roth, wychowawca w zakładzie penitencjarnym, zaczął pracować w Aspsås w tym samym czasie co Oscarsson i obaj w tym samym czasie awansowali. Coś ich ze sobą łączyło — był to niepokój nowicjuszy, który stopniowo zamieniał się w dojrzałość profesjonalistów. Razem weszli do sali konferencyjnej, stał tam długi stół i biała tablica magnetyczna; w takiej sali mogła obradować właściwie każda władza.

— Dzień dobry.

Wszyscy przywitani się ze sobą. Ośmiu wychowawców i Arne

Bertolsson, naczelnik ich zakładu karnego. Usiedli, a niektórzy postawili przed sobą kubki z kawą; pili z nich, a Lennart przez dłuższą chwilę im się przyglądał.

— Skąd to masz?

Odwrócił się w stronę Månssona.

— Z automatu.

— Przecież jest zepsuty.

— Teraz jest zepsuty. Jak ja przyszedłem, to działał.

Bertolsson uciszył ich, sycząc poirytowany. Włączył rzutnik. Słychać było szum, ale nic nie było widać.

— Mam już tego dosyć.

Bertolsson przykucał i naciskał wszystkie możliwe przyciski. Lennart przyglądał mu się, spoglądał na swych kolegów siedzących przy stole. Ośmiu wychowawców. To jego najbliżsi współpracownicy. Ludzie, z którymi każdego dnia spędzał czas, ale z którymi nie umawiał się na spotkania. Z wyjątkiem Nilsa. Żadnego z nich nigdy nie odwiedzał, żaden z nich nie odwiedzał jego. Piwo na mieście, jakiś mecz piłkarski, ale nigdy w domu. Czy można więc w ogóle powiedzieć, że się znają? Wszyscy byli w tym samym wieku co on, wyglądali podobnie.

Bertolsson w końcu zrezygnował.

— Do diabła z tym złomem. Do diabła z porządkiem spotkania. Kto chce zacząć?

Cisza. Nikt się nie odezwał. Gustafsson pił kawę, Nils zapisywał coś w notesie, inni też siedzieli w milczeniu. Ktoś pozbawił ich zwykłej, rutynowej procedury tego rodzaju spotkań i oto siedzieli wszyscy jacyś oklapli, bez ikry.

Lennart odchrząknął.

— To może ja zacznę.

Westchnienie ulgi. Przynajmniej będzie jakiś przypadkowy porządek spotkania.

Bertolsson skinął głową na znak zgody.

— Poruszałem ten temat już wcześniej, ale wiem, o czym mówię.

Czy ktoś zapomniał już o pobiciu w sali gimnastycznej? Nie? Tak też myślałem. Ja też nie zapomniałem. Więźniowie ze zwykłego oddziału chodzą do kiosku i do sali gimnastycznej, tak samo jak moi więźniowie. Wczoraj znowu doszło do incydentu. Mogło się źle skończyć, gdyby Brandt i Persson nie interweniowali.

Ława oskarżonych. Ciągłe cisza. Pomyślał, że za cholerę się nie wycofa. Widział, jak potrafili okaleczyć ludzkie ciało.

Podczas swego wystąpienia Lennart obserwował wszystkich po kolei. Jego wzrok zatrzymał się dłużej na jedynej kobiecie w tym pokoju. Eva Bernard. Wcześniej nieźle się ze sobą pokłócili. Nie cierpiał jej. Nie rozumiała zasad obowiązujących w więzieniu, dotyczących tradycji i czasów, innych niż te, których opisy znajdowały się w grubych segregatorach i które dzisiaj decydują o wszystkim.

Bertolsson zauważył oskarżające spojrzenie Lennarta, ale nie chciał dzisiaj żadnych kłótni, nie teraz, nie na nowo. Podjął decyzję.

— Mówisz o koordynacji?

— Tak. Nie mamy tu do czynienia ze społeczeństwem. To nie jest jakaś rzeczywistość. Więzienie funkcjonuje obok niej i wszyscy w tym pokoju o tym wiedzą. A przynajmniej powinni o tym wiedzieć.

Lennart nie spuszczał wzroku z Ewy Bernard. Bertolsson, który nie chciał tu żadnej kłótni, nie powinien się tym razem wymigać. Nie powinien, do diabła, po raz kolejny zapomnieć o sprawie.

— Jeżeli jakaś osoba z mojego oddziału narazi się komuś z normalnego oddziału, to dojdzie do tragedii. Wiemy o tym. I wszyscy będą się cieszyć z pobitego na śmierć gwałciciela.

Wskazał palcem na Ewę Bernard.

— Bydlak, który podzegał wczoraj innych, to właśnie jeden z takich. Z twojego oddziału.

Ich niechęć była obopólna. Eva Bernard nie chowała jednak głowy w piasek. To musiał jej przyznać. Nie bała się. Wytrzymała jego spojrzenie. Była brzydka i głupia, ale odważna.

— Jeśli masz na myśli Lindgrena, numer zero dwa cztery trzy, to powiedz to wprost.

— Tak, to jego mam na myśli.

— Stig Lillmasen Lindgren to bydlak. Jeśli chce. Bo jeśli nie, to potrafi być wzorowym więźniem. Spokojny. Nie robi zupełnie nic. Leży w swojej celi i pali skręty, nie czyta, nie ogląda telewizji, po prostu odlicza czas. Siedzi już od dwudziestu siedmiu lat z czterdziestu dwóch różnych wyroków. To jeden z tych, którzy mówią w języku romani. Zaprowadza porządek tylko wtedy, kiedy na oddziale zjawia się ktoś nowy, musi wtedy pokazać, kto tu najdłużej kibluje. Hierarchia. Hierarchia i szacunek.

— Daj spokój. Ostatnio nie chodziło o nikogo nowego. Pobiłby na śmierć jednego z moich, gdyby go nie zauważono.

Pozostałe osoby znajdujące się w pokoju zaczęły się niepokoić. Czy obowiązuje jeszcze jakiś porządek tego spotkania? Bertolsson siedział w milczeniu. Dla niego była to ciekawa wymiana zdań. Do czasu.

— Czy wolno mi powiedzieć to wprost? Przestępcy seksualni. Tylko oni. Jak ich widzi, to od razu jest ślepy na wszystko. On ich bardziej niż nienawidzi. Przeglądałam jego akta. Znalazłam tam wytłumaczenie, dlaczego próbuje ich zabijać. Jako dziecko był wykorzystywany seksualnie. Wiele razy.

Oscarsson wypił do dna płyn z aluminiowej puszki. Słodka woda mineralna. Kofeina. Bardzo dobrze wiedział, kim jest Lillmasen Lindgren. Nie potrzebował żadnych wykładów na jego temat. Drobnny handlarz, który został zinstytucjonalizowany, który tak bardzo bał się za każdym razem, kiedy wychodził na wolność, że sikał na jakiś mur, mając nadzieję, że zauważy to policjant, a jeśli i to nie wystarczało, rzucał się na pierwszego lepszego kierowcę autobusu, którym stamtąd wracał; postąpił tak już po poprzedniej odsiadce, zawsze starał się to załatwić tak, żeby wrócić w ciągu miesiąca do jedynej społeczności, w jakiej potrafił funkcjonować, w której inni wiedzieli, kim jest.

Przesunął wzrok z tej jędzy Bernard i spojrzał na Nilsa, który siedział ze spuszczoneym wzrokiem i bazgrał coś w swoim notesie. Bezsensowni faceci. Chciał zobaczyć oczy Nilsa. Czy uważał, że to niezręczna sprawa? Wstydził się? Lennart wiedział, że Nils uważał tę sytuację za niezręczną — nawet prosił go, aby przestał się spierać z Evą; powiedział, iż tak bardzo jej nie lubi, że już nie potrafi dostrzec tych dobrych uczynków, którymi się wykazuje. Lennart chciał porozmawiać z Nilsem o tajemnicy. O ich tajemnicy. Cekał, aż Nils podniesie głowę, przynajmniej na chwilę, ale ten nadal wolał się gapić w stół. Potrzebuję twojej pomocy, Nils, popatrz na mnie, mówił w myślach. Co, do cholery, powinniśmy zrobić? Muszę o tym powiedzieć Marii.

— Powiedziałaś: romani?

Månsson, nowy zastępca z Malmö, którego imienia Lennart nie mógł sobie przypomnieć, spojrzał pytająco na Evę Bernard.

— Tak.

— Powiedziałaś, że Stig Lindgren zna romani.

— Tak.

— Co miałaś na myśli?

Eva się uśmiechnęła. Był to uśmiech wyższości, z powodu którego inni tak bardzo jej nie lubili. Cieszyła się, że nie musi już dłużej rozmawiać z Oscarssonem na temat ostatniego wypadku, teraz to ona miała przewagę, to ona wygrywała. Zwróciła się w stronę Månssona z Malmö.

— A skąd ty o tym wiesz?

Månsson był nowy, ale uczył się szybko. Nie chciał się znowu przed nią ośmieszyć.

— Nieważne.

— Romani było niegdyś dość rozpowszechnione. Posługiwali się nim między sobą więźniowie. To taka gwara więzienna. Nie chodzi tu oczywiście o język, którym posługują się Cyganie, ale o inny, taki na użytek więźniów. Teraz już się go prawie nie używa. Znają go jeszcze tylko tacy jak Lindgren. Tacy, którzy dłużej żyli

za murami niż na wolności.

Była z siebie zadowolona. Oscarsson naskoczył na nią i sugerował brak wiedzy dotyczącej tradycji panujących wśród więźniów. Teraz pokazała mu, że taką wiedzę posiada, a on jest zerem — jak mógł być na tyle głupi, aby sądzić, że nie będzie miała ostatniego słowa, przecież za każdym razem, kiedy ścierali się ze sobą, to ona miała ostatnie słowo.

Bertolssonowi udało się wreszcie uruchomić rzutnik. Obraz, porządek dnia. Odetchnął z ulgą, teraz wreszcie może zacząć. Miał właśnie podziękować wychowawcom za ich ironiczne brawa, kiedy nagle rozdzwonił się telefon. Nie jego, bo ten był wyłączony. Inne też powinny być wyłączone. Zniechęcony sytuacją naczelnik miał już wybuchnąć, kiedy z krzesła podniósł się Oscarsson.

— To mój. Do diabła, zapomniałem go wyłączyć.

Dwa dzwonki. Nie kojarzył tego numeru. Trzy dzwonki. Nie powinien odpowiadać. Czwarty dzwonek. Nacisnął klawisz.

— Oscarsson, słucham.

Osiem osób przysłuchiwało się jego rozmowie. Był tego świadomy. I wkurzony.

— Tak?

Opadł na krzesło.

— O czym ty, do cholery, mówisz?!

Jego głos był piskliwy. Ci, którzy go znali, wiedzieli, że jest wzburzony. Nils znał go bardzo dobrze. Musiała to być jakaś poważna sprawa, był o tym przekonany, nie przypominał sobie bowiem, żeby kiedykolwiek wcześniej słyszał Lennarta mówiącego tak przestraszonym głosem.

— Nie mów mi tylko, że to on!

Teraz już krzyczał. Ciągłe piskliwym głosem.

— Tylko nie on! Słyszysz, co mówię? Tylko nie on!

Pozostałe osoby znajdujące się w pokoju nadal zachowywały milczenie. Oscarsson wyglądał jak ktoś, kto zaraz się załamie. On, który zawsze zachowywał się tak poprawnie, teraz stał przed nimi

i drżał.

— Przeklęty, cholerny bydlak!

Lennart wyłączył telefon. Twarz mu poczerwieniała, oddychał gwałtownie, zachowywał się jak zwykły prostak. Cała sala czekała, co zdarzy się dalej.

Lennart podniósł się z krzesła. Zrobił krok do tyłu. Jakby chciał lepiej widzieć pozostałe osoby.

— Dzwonił strażnik. Bergh, ten głupek. Powiedział, że doszło do ucieczki więźnia. Jednego z moich. Koło szpitala Södersjukhuset. To Bernt Lund. Pobił obu pilnujących go strażników i ukradł więźniarkę.

Posterunek policji przy Bergsgatan w Sztokholmie wprost kapał się w muzyce Siw Malmkvist. Takie wrażenie można było przynajmniej odnieść, idąc korytarzem na parterze posterunku. Każdego ranka — im wcześniej, tym głośniej. Magnetofon na kasety studwudziestominutowe był takich rozmiarów, jak te z lat siedemdziesiątych. Ten sam plastikowy futerał, te same od trzydziestu lat kasety. Trzy kasety z przebojami Siwan w różnej kolejności. Tego ranka słyszeć było utwór *Mamma är lik sin mamma*, a także *Ingenting går upp mot gamla Skåne*, wytwórni Metronome z 1968, strona A i strona B na tej samej kasecie; Siw ubrana na czarno-biało; krótki szlafrok i miotła jako mikrofon.

Ewert Grens dostał ten magnetofon z okazji trzydziestej piątej rocznicy urodzin, zabrał go do biura i ustawił na półce; zanim został inspektorem, zmieniał pokoje kilka razy i za każdym razem przenosił magnetofon osobiście, własnymi rękami. Zawsze przychodził pierwszy, nigdy nie później niż o piątej trzydziści, dzięki temu miał dla siebie dwie godziny bez tych wszystkich idiotów stojących w drzwiach jego pokoju i bez dzwoniących telefonów. Około siódmej trzydziści przyciszał muzykę, bo ci, którzy wchodzili i wychodzili, bez przerwy marudzili. Zawsze kazał im przez chwilę czekać, ale nie ściszał muzyki sam; jeśli coś od niego chcieli, to sami powinni to zrobić.

Był postacią czarno-białą, zmienną, jak zmienne były tonacje

piosenek Siwan.

Wielki, ciężki, zmęczony. Szara obwódka włosów wokół czaszki. Dziwny chwiejny chód, lekko utykający. Sztywny kark. Kilka lat wcześniej wpadł w zasadzkę, kiedy oddział interwencyjny policji, którym dowodził, miał dokonać nalotu na mieszkanie jakiegoś litewskiego zawodowego zabójcy. Leżał wtedy przez dość długi czas w szpitalu.

Grens był kiedyś solidnym policjantem. Nie wiedział, czy jest nim nadal. Czy miał chęć nim być. A może pracował tylko dlatego, że nie wiedział, co innego mógłby robić? Czy pracował więcej, niż trzeba było? W sprawach, które wydawały się ważne w danej chwili? Do diabła, przecież za kilka lat pies z kulawą nogą nie będzie o nim pamiętał. Ciągłe przychodzili jacyś nowi, bez historii, którzy nie mieli zielonego pojęcia o tym, co ostatnio było najważniejsze, kto posiada nieformalną władzę i dlaczego. Musimy się tego uczyć, pomyślał. Nie wolno nam o tym zapomnieć. Powinno to stanowić część wykształcenia zawodowego: umiejętność dostosowania się i konieczność zrozumienia, jak niewiele jest warta władza i jak krótko trwa, przed nim też przecież byli inni i nikt, dosłownie nikt się potem o nich nie martwił.

Ktoś zastukał do drzwi. Jeden z tych idiotów. Ktoś, kto poprosi go, aby ściszył muzykę. Cholerni tchórze.

Sven. Jedyna rozsądna osoba w całej tej budzie.

— Ewert...

— Tak?

— Niech to szlag trafi!

— O czym ty mówisz?

— Bernt Lund.

Grens otrzeźwiał. Podniósł brwi. Odsunął papiery, którymi się zajmował.

— Bernt Lund? O co chodzi?

— Uciekł.

— Do diabła!

— Znowu.

Sven Sundkvist lubił swojego kolegę. Znosił jego sarkazm, zgorzknienie, strach przed dniem, kiedy ostatni raz przyjdzie do pracy i zrozumie, że trzydzieści pięć lat to trzydzieści pięć lat i tylko tyle. Ewert przynajmniej czegoś chciał. Był naburmuszony i skwaszony, ale wierzył w to, co robi. Różnił się tym od wielu kolegów.

— No, gadajże o wszystkim, Sven!

Sven złożył mu raport na temat wydarzeń, które rozegrały się w czasie przewożenia więźnia z zakładu karnego Aspsås do izby przyjęć w szpitalu Södersjukhuset. O tym, jak Bernt Lund za pomocą ciężkich łańcuchów pobił strażników i ukradł więźniarkę, o tym, że Lund jest teraz gdzieś na wolności, że prawdopodobnie już teraz przyczał się i wybiera nową ofiarę, dziewczynki, dzieci, które dopiero poszły do szkoły.

Ewert podniósł się zza biurka. Chodził bez przerwy po pokoju w czasie składania raportu przez Svena, kołysał się przy biurku, opierając o nie ciężkie ciało, spacerował między krzesłami a kwietnikiem. Zatrzymał się przed koszem na śmieci, wycelował w niego zdrową nogę, a potem kopnął tak mocno, aż kosz wyleciał w powietrze.

— Jak to się, do diabła, stało, że Lunda wypuszczono na miasto tylko z dwoma strażnikami?! Jak mogło do tego dojść, jeśli nadzorował to Oscarsson?! Gdyby mu się chciało podnieść słuchawkę i poinformować nas, to wysłalibyśmy wóz policyjny i ten bydlak nie byłby teraz na wolności!

Kosz okazał się pełen śmieci. Skórki od bananów, opakowania po tytoniu i puste koperty spadły na podłogę.

Sven widział to już kiedyś. Teraz musiał tylko chwilę odczekać.

— Åke Andersson i Ulrik Berntfors. Obaj są dobrzy w tym fachu. Andersson to ten wysoki, ma chyba dwa metry wzrostu. Jest w twoim wieku.

— Wiem, kto to jest Andersson.

— Tak?

— Opowiem ci innym razem. Nie teraz.

Sven poczuł nagle chwilowy atak zmęczenia. Chciał już iść do domu. Do Anity, do Jonasa. Jego dyżur dobiegł właśnie końca. Nie znosił jednak myśli, że w każdej chwili jakieś dziecko może zostać zhańbione. Nie potrafił myśleć dłużej o Lundzie. Przecież specjalnie zamienił się na dyżury. Mieli świętować. Miał w samochodzie wino i tort. Niedługo mieli wznieść toast.

Ewert zauważył, że Sven był przez chwilę myślami gdzie indziej. Ależ on ma zmęczone oczy! Teraz żałował, że kopnął ten cholerny kosz, Sven nie lubi takiego zachowania. Odezwał się, ale tym razem spokojniej.

— Jak się czujesz? Wyglądasz na zmęczonego.

— To nic groźnego. Chciałem już jechać do domu. Mam dzisiaj urodziny.

— To pech. Ale gratuluję. Ile to już lat?

— Czterdzieści.

Ewert gwizdnął głośno. Potem pochylił się nisko.

— No proszę, no proszę. Niech ci uścisknę rękę.

Wyciągnął dłoń, a Sven ją uściskał. Ewert długo trzymał ją w mocnym uścisku, a potem powiedział:

— Niestety, młody człowieku. Czterdzieści lat czy ileś tam, musisz tu jeszcze trochę zostać. — Miał nieświeży oddech. Rzadko stali tak blisko siebie.

— Żartujesz.

— Coś ci opowiem. — Ewert wskazał mu krzesło dla interesantów. Był zniecierpliwiony. Sven opuścił rękę, usiadł na brzegu krzesła, jakby szykował się do szybkiego wyjścia. — Zajmowałem się tym poprzednim razem.

— Dziewczynkami?

— Dwoma dziewczynkami w wieku dziewięciu lat. Związał je, onanizował się przed nimi, potem zgwałcił, a w końcu pociął. Dokładnie tak, jak poprzednim razem. Leżały na podłodze w

piwnicy i patrzyły na nas. Lekarz policyjny stwierdził, że jeszcze żyły, kiedy je ciął, kiedy włożył im między nogi i do odbytnic metalowy przedmiot. Ale ja w to nie wierzę. Nie potrafię w to uwierzyć. Zastanawiałeś się nad tym, że jeśli się chce, to uwierzy się we wszystko?

Jego pomięta koszula, zbyt krótkie spodnie, niespokojne ruchy ciała. Wielu przerażał. Sven zrozumiał, że Ewert odstręczał ludzi, sam przecież go unikał, żaden człowiek nie może obrażać innego człowieka. Unikał go więc aż do chwili, kiedy nie wiedząc dlaczego, został zaakceptowany, prawie że wybrany; Ewert chyba kogoś potrzebował i tym kimś został Sven.

Ewert nie wyglądał już groźnie. Był wielki, siwy i energiczny, ale nie był groźny. Biła od niego żalność. Nie płakał.

— To ja go przesłuchiwałem. Próbowałem patrzeć mu w oczy, ale nie dało się. No nie dało się, za cholere. On patrzył ponad nas, obok mnie, przeze mnie. Nie odpowiadał na moje spojrzenie. Kilka razy przerywałem przesłuchanie, kazałem mu, aby na mnie patrzył.

Jednak nie rozumiesz, Grens.

Grens, do diabła.

Myślałem, że akurat ty zrozumiesz.

Nie napalam się, do cholery, na wszystkie małe dziewczynki.

Jak możesz tak twierdzić?

Podobają mi się tylko te, które są większe.

Jasnowłosa grubaska.

Właśnie takie.

To ważne, Grens.

Dziwki.

Małe dziwki z małymi cipkami, które myślą o kutasie.

Niech tego, kurwa, nie robią.

Dziwki nie będą się obnosić ze swoimi cipkami i myśleć o kutasie.

— Rozumiesz, Sven. Ludzie, kiedy rozmawiają, patrzą na siebie. Ale nie dało się. Nie dało.

Spojrzał na Svena. Sven spojrzał na niego. Obaj byli ludźmi.

— Rozumiem. Nie wiem, czy on należał do tych, którzy nie patrzą. Czy był jednym z nich. Dlaczego nie umieścili go wtedy na oddziale zamkniętym dla psychicznie chorych? Albo w Sätters fasta? W Karsudden? W Sidsjön?

Ewert schylił się i podniósł kosz. Potem wsunął palce pod górną wargę, wyciągnął stamtąd prymkę tytoniu, a wszystko to robił na oczach Svena.

— Tak to właśnie było. Za pierwszym razem. Trzy lata w Sätters fasta. Ale ostatnie jego zaburzenia oceniono jako łagodne. Dlatego trafił do pierdla zamiast do czubków.

Ewert zachłysnął się, ale nie był to szloch. Wrócił do terażniejszości. Podeszedł do magnetofonu, zmienił kasetę na nową, też z muzyką Siwan. Stał przez chwilę w ciszy przed głośnikiem, z zamkniętymi oczami. *Jazzbacillen, original: The Preacher, 1959.* Zwiększył głośność, przykucnął, pozbierał skórki od bananów i zmięte papiery, wrzucił wszystko z powrotem do kosza, podniósł go, zrobił trzy kroki do tyłu, potężnie się zamachnął, a potem kopnął kosz jeszcze dalej, pod ścianę i okno.

Ponownie się odezwał:

— Sven, do jasnej cholery, czy to rozumiesz? Łagodne zaburzenia psychiczne. Załatwił dwie dziewięcioletnie dziewczynki, pocał je na kawałki... Czy to są łagodne zaburzenia? No, powiedz coś, Sven, mów do mnie! Powiedz mi w takim razie, co to są „silne zaburzenia psychiczne”?

• • •

Był ranek, dwadzieścia cztery stopnie ciepła. Znowu będzie gorąco, może nawet ponad trzydzieści stopni Celsjusza. I tak już od trzech tygodni. *Augustin, Konkurs Piosenki Eurowizji, zwycięzca szwedzkich eliminacji, godz. 2.08, 1959 rok.*

Trzymał go mocno w objęciach, przyciskał do siebie. Byli tego samego wzrostu, łatwo mu było dotykać każdego punktu jego ciała, pieścić jego ramiona, kark, policzki, całować go; miał takie miękkie usta.

— Potrzebuję cię.

— Jestem tutaj.

Lennart znów go pocałował, był taki szczęśliwy, że stoją tu razem, że mają czas dla siebie w ten cholerny ranek.

— Nils, zamknąłeś drzwi?

— Tak.

— Dzięki.

Spojrzał na Nilsa, swojego kolegę z pracy, swego ukochanego, swoją przeklętą tajemnicę, nie potrafił już patrzeć na niego, nie myśląc jednocześnie o Marii, swej żonie, życiu, miłości.

Nils usiadł na krześle obciągniętym skórą, z podłokietnikami, poprowadził dłoń Lennarta aż na swoje kolano, objęli się.

— Rozbierz się.

— Chciałbym, uwierz mi, całym swoim ciałem, ale nie teraz, nie możemy, muszę tam być, na konferencji prasowej, to ja muszę odpowiadać na ich pytania, nie mam wyboru. Ale i tak jest mi teraz przyjemnie.

— Zdążymy.

— Nils, kocham cię, tęsknię za tobą. Ale teraz nie możemy.

Nils był rozczarowany. Lennart zauważył to, ale nie narzucał się dłużej, rozumiał go. Dla niego musi to być trudniejsza sytuacja, pomyślał Lennart. Na niego nikt nie czeka, nikt nie leży obok niego, z nikim innym nie może się kochać w ciszy. Marzył o nim, byli tylko Nils i Lennart, i nikt więcej; Nils nie miał przed nim żadnych tajemnic.

Lennart pogłaskał go po policzku, pocałował w czoło. Nils był taki przystojny, dwa lata starszy od niego, ciemnowłosa, z lekką siwizną, w pewien sposób dumny. Całował go tak, jakby całował Marię; kochał ich oboje.

— Muszę już iść.

— Zobaczymy się jeszcze dziś?

— Muszę potem iść do Bertolssona. Zaprosił mnie na lunch. Nie wiem, po co... chce mnie pocieszyć albo skarcić. Może pójdziemy potem na spacer, do wieży ciśnień i z powrotem?

— Będę czekał.

Lennart obejmował go jeszcze przez dłuższą chwilę, dłużej, niż pozwalał mu na to czas; potem powoli wypuścił go z ramion, podniósł się i wyszedł.

* * *

Mur w kolorze szarego betonu, wysoki na siedem metrów, wznosił się wzdłuż skraju lasu, ciągnął się na długości półtora kilometra, wokół pięciu niskich ceglanych budynków.

Z jednej strony muru oni, z drugiej tamci. Zakład karny w Aspsås był jednym z dwunastu szwedzkich zakładów II stopnia bezpieczeństwa. W więzieniach w Kumla, Hall i Tidaholm zamykano morderców, handlarzy narkotyków i im podobnych. W Aspsås zamykano drobnych przestępców, którzy dostali od dwóch do czterech lat, przychodzili i wychodzili. Osiem oddziałów, stu sześćdziesięciu osadzonych. Większość z nich to więźniowie uzależnieni od narkotyków; włamanie, trochę forsy, narkotyków, znowu włamanie, trochę forsy, narkotyków, włamanie, do „puszki”

na dwadzieścia sześć miesięcy, zwolnienie, włamanie, trochę forsy, narkotyków, kolejne włamanie, trochę forsy, narkotyków, włamanie, znów do pierdla na trzydzieści cztery miesiące, zwolnienie, włamanie.

Nic specjalnego. Ja przeciwko tobie, ty przeciwko klawiszom. Tylko dwie zasady: nie kabłujesz i nie pieprzysz się z tymi, którzy tego nie chcą.

W Aspsås funkcjonowały też dwa oddziały dla przestępców seksualnych. Dla zboczeńców gwałcących tych, którzy tego nie chcą.

Znienawidzeni. W ciągłym zagrożeniu.

Jakby cały wspólny wstyd więźniów i pogarda dla siebie samego musiały znaleźć jakieś ujście. Nie potrafię już dłużej znosić pogardy okazywanej mi przez społeczeństwo żyjące z drugiej strony muru, więc będę poniżać kogoś innego, kto popełnił inne przestępstwo; będzie mi dzięki temu łatwiej, jeśli wspólnie postanowimy, że ktoś inny jest brzydszy, jeszcze bardziej porąbany, jeszcze bardziej wyizolowany. To odwieczna zasada panująca w więzieniach na całym świecie: ja, morderca, stoję w hierarchii wyżej niż ty, który zgwałciłeś; ja, który pozbawiłem kogoś prawa do życia, cieszę się większym szacunkiem niż ty z twoim kutasem, którym rozerwałeś czyjaś cipę; ja, który skrzywdziłem kogoś, jestem lepszym przestępcą niż ty, który też wyrządziłeś komuś krzywdę.

W Aspsås nienawiść była może jeszcze silniejsza niż w innych zakładach karnych. Więźniowie byli tutaj wymieszani, oddziały zwykle znajdowały się w tym samym budynku, co oddziały dla więźniów skazanych za przestępstwa seksualne. Wyrok skazujący na osiemnaście miesięcy odsiadki oznaczał więc potencjalnie wyrok śmierci, bo wszyscy, którzy tu siedzieli, byli oskarżeni o popełnienie przestępstw na tle seksualnym. Jeżeli ktoś siedział w Aspsås i przeniesiono go do innego zakładu karnego, to dostawał prawdziwy wpierdol, jeśli jego papiery nie były w porządku: bez wyroku sądowego w kieszeni każdy nowo osadzony uważany był za

przestępcę seksualnego aż do czasu, kiedy udowodnił, że skazano go z innego paragrafu.

Oddział H był jednym z normalnych oddziałów dla drobnych przestępców, takich jak handlarze narkotyków i cała reszta kryminalistów z niższych poziomów więziennej hierarchii: włamywacze, skazani za pobicia, grupa oszustów, ci, którzy awansowali w hierarchii więziennej, którym następnym razem groziła dłuższa odsiadka albo którzy ciągle popełniali to samo przestępstwo i nie chcieli już siedzieć z pijanymi kierowcami i nowicjuszami więziennymi.

Oddział wyglądał jak wszystkie inne oddziały we wszystkich innych więzieniach, w których siedzieli skazani na średnioterminowe wyroki. Zamykane drzwi pancerne na korytarzu wyłożonym żółtym więziennym linoleum. Uchylone drzwi w celach po obu stronach, dziesięć po lewej, dziesięć po prawej stronie. Niewielka kuchnia. Kilka stołów do spożywania posiłków. Kącik telewizyjny. Zaraz obok stół do bilardu przykryty zielonym suknem. Wszędzie więźniowie, którzy ruszają się powoli, starając się zabić czas, nigdy nie myśleć o upływających godzinach, gdyż tęsknota za wyjściem z więzienia to tęsknota za życiem na zewnątrz, a życie to jedyna rzecz, jaka istnieje, kiedy drzwi są zamknięte na klucz.

Stig Lindgren siedział w kącie telewizyjnym, przed sobą na stole miał rozłożone karty do gry, telewizor ustawiony był na jakimś kanale, ale dźwięk wyłączony. Grał w karty razem z pięcioma innymi więźniami; czekali na damy i króle. Stiga Lindgreną nazywano tu „Lillmasen”, tak samo jak w innych więzieniach, a siedział już w większości z nich, czterdzieści dwa wyroki na koncie, razem dwadzieścia siedem lat odsiadki.

Podniósł kartę. Skrzywił się, w ustach błysnął złoty ząb.

— Kurwa, znowu dostałem wszystkie asy. Gracie jak baby.

Pozostali się nie odzywali. Tasowali swoje karty.

— Nie pokazujcie mi, kurwa, swoich kart.

Miał czterdzieści osiem lat, ale wyglądał na starszego,

pomarszczony, zniszczony. Trzydzieści pięć lat brania narkotyków. Skutki amfetaminy dały o sobie znać w postaci tiku na twarzy, policzek drgał w stronę oka, również powieka drgała nierówno. Ciemne, coraz rzadsze włosy, złoty łańcuch na szyi. Osiemdziesiąt kilogramów wagi; po dziewiętnastu miesiącach w Aspsås nabrał muskulatury, ale gdyby wyszedł na wolność i mógł się częściej najarać, ważyłby sześćdziesiąt kilogramów.

Nagle podniósł się z krzeselka. Nieskoordynowane ruchy, gorączkowo szukał pilota od telewizora wśród kart i gazet na stole.

— Co ty, kurwa, robisz?

— Wracaj, kurwa, do gry.

— Zamknąć gęby! Gdzie jest pilot? Hilding, do diabła, rzuć te karty i szukaj!

Hilding Oldéus szybko odłożył karty na stół i zaczął nerwowo przerzucać te same gazety, które przed chwilą przeglądał Lillmasen. Chudy, niewysoki, o ostrym głosie. Dziesięć przeniesień przez jedenaście lat. Wielka rana na nosie, przy prawej dziurce, niegojąca się, chroniczna rana, swędząca w miejscu, przez które wdychał heroinę.

Na stole nie było pilota. Hilding pobiegł do jadalni i zaczął chaotycznie szukać pilota: na stole, na parapetach okiennych, podczas gdy Lillmasen odsunął od siebie stolik, rzucił się do przodu między poirytowanych graczy, przesunął palcami po przyciskach telewizora i ręcznie ustawił głośność.

— Zamknąć gęby, dziewczynki! Hitler w pudle!

Kącik telewizyjny, kuchnia, korytarz, wszyscy natychmiast przerwali to, czym byli zajęci, podbiegli szybko do Lillmasena i ustawili się tuż za nim. W telewizji nadawano właśnie południowe wiadomości. Ktoś gwizdnął z zachwytem, kiedy na ekranie zmienił się obraz.

— Powiedziałem: zamknąć się!

Hitler — to znaczy Lennart Oscarsson przed mikrofonem. W tle więzienie Aspsås. Oscarsson wyglądał na spiętego, nie był

przywyczajony do występowania przed kamerami, nie umiał wytłumaczyć, dlaczego coś, za co odpowiadał, poszło tak źle.

*...jak on mógł uciec
...jak już powiedziałem
...podobno z tego zakładu nie można uciec
...to zdarzyło się gdzie indziej
...co to znaczy: gdzie indziej
...w czasie wizyty na izbie przyjęć w szpitalu Södersjukhuset,
pod eskortą strażników
...jak to: pod eskortą
...dwóch naszych najbardziej doświadczonych strażników
...tylko dwóch
...dwóch naszych najbardziej doświadczonych strażników, a
więzień miał kajdanki
...kto podjął taką decyzję
...obezwładnił ich obu i...
...kto zdecydował, że wystarczy dwóch
...i uciekł więźniarką*

Twarz Oscarssona pokazywana jest przez dłuższy czas, poci się, krople potu spływają mu z czoła, kamera rozkoszuje się tym widokiem aż do bólu. Telewizja pokazywała go tylko na zewnątrz murów więzienia, i to przez krótką chwilę, ale czuł to w żołądku, tak jak teraz, uciekał ze wzrokiem, nie mówił płynnie, przeszedł co prawda szkolenie dla kadry kierowniczej w zakresie prezentacji przed kamerami telewizyjnymi, ale tutaj działa się rzeczywistość, a on za długo się namyślał, jąkał zbyt często, zapominał odpowiadać na pytania za pomocą wyuczonych gotowców. „Wybierz jakąś odpowiedź i powtarzaj ją bez względu na to, jak brzmi pytanie”; znał więc podstawowe zasady technik udzielania wywiadów, ale teraz, kiedy stał przed kamerami, naciskany przez natrętnych dziennikarzy z mikrofonem przytkniętym do twarzy, cała ta wiedza

umknęła, dlatego robił w spodnie ze strachu przed tymi, którzy oglądali wiadomości gdzieś w Alvesta czy Gallivare. Starał się odpowiadać na pytania, ale widział tylko siedzących przed telewizorami Marię i Nilsa. Czy wstydzili się go? Rozumieli? Tęsknił za ich rękami dotykającymi jego twarzy, przesuwającymi się wzdłuż jego szyi, piersi, bioder.

— Pieprzony nieudacznik!

Przenikliwy głos Hildinga przerwał ciszę, którą zarządził Lillmasen.

— Patrzcie, kurwa, przecież to Hitler!

Lillmasen zrobił szybki krok do tyłu i mocno uderzył go pięścią w kark.

— Zamknij gębę! Masz dzisiaj kłopoty z rozumieniem? Ja słucham!

Hilding odwrócił się niespokojnie na krześle, podrapał mocno po nosie, ale nie odezwał się ani słowem. Nauczył się tego już w czasie pierwszej odsiadki. Osiem miesięcy za kradzież w sklepie sieci 7-Eleven w sztokholmskiej dzielnicy Södermalm; miał wtedy siedemnaście lat, był podekscytowany i spanikowany, więc zaczął grozić młodej ekspedientce nożem kuchennym, wyciągnął z kasy sklepowej dwie pięćsetki, a potem kupił działkę u jakiegoś dealera tuż przed wejściem do sklepu. Stał tam nadal, gdy zjawiała się policja. Kiedy zrozumiał, że więzienie to groźne miejsce, nauczył się lizać tyłek temu, kto rządził na oddziale; postawa lizusa dawała mu ochronę, a on nie potrafił się długo bać. Podlizywał się Lillmasenowi już wcześniej, dwa razy w zakładzie karnym w Mariefred w 1998 roku i we Frituna pod Norrköping w 1999 roku. Nie był w tym gorszy od innych.

Na ekranie telewizora pojawił się kolejny obraz. Udręczone oczy Oscarssona widać było jeszcze przez chwilę, chociaż pojawiło się już nowe ujęcie: mury więzienia w Aspsås pokazane z pewnej odległości i ujęcie w zwolnionym tempie ponad górną krawędzią muru, do góry, w stronę nieba i z powrotem, typowe schematy dla

programów informacyjnych. Czyjś głos, rzeczowy aż do bólu, wyjaśniał, że Bernt Lund zbiegł w czasie konwoju, że cztery lata wcześniej złapano go i skazano za serię brutalnych gwałtów na małoletnich, których kulminację stanowiło tak zwane morderstwo w piwnicy popełnione na dwóch dziewięcioletnich dziewczynkach, i że odsiedział te lata w izolatce w zakładzie karnym w Kumla, a ostatnio przeniesiono go na jeden z oddziałów specjalnych dla przestępców seksualnych w Aspsås, gdzie miał odsiedzieć resztę wyroku, i że uważa się go za bardzo niebezpiecznego przestępcę, dlatego też w interesie społeczeństwa redakcja telewizyjna musiała opublikować jego zdjęcia.

— Kurwa mać! To przecież ten gwałciiciel, któremu wczoraj skopałem dupę w sali gimnastycznej! Cholera, to ten skurwiel!

Lillmasen krzyczał, a niektórzy ze stojących najbliżej niego odskoczyli, odsunęli się jak najdalej. Już wcześniej widzieli, jak wylewał kupy gówna na oddział dla seksualnych.

— Co oni tu, kurwa, wyprawiają! Po co trzymają tu jakiegoś pierdolonego gwałciiciela?!

Krzyczał, starając się odegnać te obrazy. Zachowywał się w ten sposób za każdym razem. Także w domu w Svedmyra. Te pieprzone obrazy. Jego stryj. Na pogrzebie ojca. Miał pięć lat i czuł, jak Per przejechał mu ręką po plecach, aż do tyłka.

— Pouryvam im wszystkim jaja!

Obrazy blokowały tok jego myśli, musiał o nich myśleć, widzieć je, przeżywać na nowo. Per powiedział, że pójda do gabinetu ojca. Trzymał swoją dłoń na jego spodenkach. Ściągnął je, najpierw spodnie, a potem majtki. Potem zdjął swoje spodnie. Przycisnął go do siebie, pocierał jego tyłek swoim kutasem.

— Hilding, kurwa, jednego po drugim, pomóż mi, to utniemy im jaja!

Przez dłuższą chwilę charczał, potem zebrał ślinę i splunął na ekran telewizora, na czarno-białe zdjęcie Lunda. Przyglądał się, jak ślina spływa powoli po nieruchomej twarzy, aż zjechała z ekranu i

spadła na podłogę.

Więźniowie się rozeszli. Jedni do swych cel, inni na korytarz, ktoś zabrał karty ze stolika stojącego w kącie telewizyjnym. Lillmasen usiadł ponownie na tym samym krześle, machnął ręką w geście odmowy, kiedy Hilding chciał mu rozdać karty. Obrazy tworzyły jakąś barierę, broniły się przed nim, nie dopuszczały do siebie, więc krzyczał i starał się skoncentrować, uderzał z całej siły rękami o uda, podczas gdy obrazy zajmowały miejsce, którego nie potrafił kontrolować. Znowu Per. W ich domku letnim w Blekinge. Jego wielkie ręce robiły to samo co poprzednio, a on dostał silnego krwawienia z odbytnicy. Chował swoje majtki, żeby matka ich nie widziała. Nigdy nie sprawdzała rzeczy, które trzymał w skrzyni w szopie.

- Masen, kurwa, zacznij w końcu grać!
- Odwal się. Radźcie sobie beze mnie.
- Daj sobie już spokój z Hitlerem.
- Odpieprz się ode mnie, bo ci przypierdolę.

Obrazy. Miał trzynaście lat. Był wtedy najarany jak skurczybyk, preludinem* i piwem. Zabrał ze sobą Larrena, był wielki i nigdy nikogo się nie bał. Pojechali autostopem do Blekinge i weszli do domku. Laila stała w kuchni i zmywała naczynia, a Per siedział w pokoju. Nie rozumieli, co się stało, dopóki Larren nie pociągnął Pera w swoją stronę, a on wbił stryjowi w genitalia kolec służący do ratowania się, jeśli wpadło się w przerebłę.

- Strit!
- Trójka.
- Wygrałem.
- Nie, przecież trójka stoi wyżej niż strit.
- Jasne, że strit. Lillmasen, do cholery, wyjaśnij mu zasady.
- A co mnie to obchodzi? Nie mówiłem wam wcześniej?

* Preludin — handlowa nazwa leku o nazwie fenmetrazyna; jest to jedna z najczęściej stosowanych amfetamin, jego producentem była firma Boeinger.

Bawcie się sami.

Chrobot klucza w zamku. Dwóch klawiszy po drugiej stronie drzwi prowadzących na oddział.

Lillmasen spojrział w ich stronę. Prowadzili kogoś ze sobą. Nowego. Pewnie na miejsce Bojana, jego cela stała pusta. Wczoraj rano szybko przeniesiono go do Hall, bo źle by z nim było; ktoś poinformował klawiszy, a kierownictwo więzienia zareagowało błyskawicznie: na tym oddziale nie będzie przelewu krwi, żadnego.

Nowy był olbrzymem. Ogolona głowa, spalona słońcem skóra, lalusz solarniany. Lillmasen westchnął i przyglądał się nowemu, kiedy ten przechodził obok jego celi, mając po bokach obu klawiszy. Przeszli obok kącika telewizyjnego, teraz zobaczył go Hilding i trzech pozostałych graczy, obrócili się w jego stronę. Nowy patrzył przed siebie, nic nie mówił, nic nie widział. Klawisze wprowadzili go do celi, w której poprzednio siedział Bojan. Nowy wszedł do niej, ale drzwi zostawił uchylone.

— Co to za dupek?

Lillmasen wskazał w kierunku nowego. Hilding oddychał głęboko, wyglądało na to, że myśli o czymś, że przypomina sobie wcześniejsze odsiadki.

— Nie wiem, nigdy go nie widziałem. A wy?

Dragan pokręcił głową. Skłane wzruszył ramionami. Bekir wziął dwie karty ze stołu.

— Chuj z nim. Grajcie, mam dobrą kartę!

Lillmasen nie spuszczał wzroku z celi nowego. Czekał. Taki miał zwyczaj, czekał, aż sami się pokażą, a potem im wyjaśniał.

. . .

Godzina i dwadzieścia minut. Potem nowy wyszedł.

— Ty tam, chodź no tutaj!

Lillmasen pomachał ręką, rozkazująco. Nowy usłyszał go, popatrzył przed siebie, zignorował polecenie, które dobiegło z końca korytarza. Szedł powoli, prawie demonstracyjnie, wszedł do

kuchni, napił się wody bezpośrednio z kranu, trzymając wielką głowę pod strumieniem wody.

— Hej, ty tam, chodź no tutaj!

Lillmasen był poirytowany. To jego oddział. To on decyduje o tym, czy ktoś ma odpowiadać na jego pytania, czy nie. Ten ogolony goguś jeszcze o tym, kurwa, nie wie.

— Ty!

Wskazał palcem na podłogę przed sobą. Czekał. Nowy nadal stał bez ruchu.

— No już!

Nie rozumiał. Nowy nie rozumiał. Hilding poczuł, jak robi się cicho. Zerknął niespokojnie na Lillmasena. Przerwał grę, dał znak pozostałym graczom, żeby poczekali. Dragan, Skåne i Bekir już rozumieli: dojdzie do bójki, a ich to nie dotyczyło, ale mieli nadzieję, że tak się stanie, wyczuli to po ciszy, jaka zaległa.

Nowy się poruszył. Szedł w stronę Lillmasena. Obaj czekali, kto zrobi pierwszy krok. Nowy zbliżył się do miejsca, które wskazał mu Lillmasen, poszedł dalej i zatrzymał się, kiedy od Lillmasena dzieliło go jakieś dziesięć centymetrów.

Lillmasen nigdy nie spuszczał wzroku. Teraz też nie zamierzał. Nowy był wyższy od niego, miał przynajmniej sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu. Miał okropną szramę, która ciągnęła się od lewego oka aż do ust; wyglądało to jak ślad po nożu albo po brzytwie. Lillmasen widział już wcześniej takie rany zadane brzytwą, ostre i głębokie.

— Nazywam się Lillmasen.

— No i co?

— Mam tutaj zwyczaj przedstawiać się.

— Spierdalaj.

Obrazy: Per i Larren, i genitalia Pera, które krwawiły jak cholera, i ciotka Laila, która stoi przy zlewozmywaku i krzyczy, i on sam biegnący dokoła z metalowym kolcem, pytając, czy ma jeszcze coś zrobić, czy ma mu go wbić w jakieś inne miejsce. Per płacze,

a on spogląda mu prosto w oczy, kiedy Larren już go puścił.

Lillmasen się zatrząsł. Próbował to ukryć, ale wszyscy to widzieli, trząsł się, wahał, a potem splunął, tym razem na podłogę.

— Skąd przyjechałeś?

Nowy ziewnął, dwa razy.

— Z więzienia.

— Wiem, kurwa, że przyjechałeś z więzienia, pierdolony lalusiu. Masz jakieś papiery?

Nowy ziewnął po raz trzeci.

— Powiedziałeś: Lillmasen? Przecież wiesz, że nie wolno mi zabierać na oddział wyroku sądowego.

Lillmasen zachwiał się, przełożył ciężar ciała na prawą nogę, potem na lewą. Per nie żył już od dawna, zmarł bez moszny, a policja skonfiskowała kolec jako dowód rzeczowy, zanim osadzili go w domu poprawczym dla nieletnich.

— Gównu mnie to obchodzi, czy ci wolno, czy nie. Chcę wiedzieć, za co siedzisz. Nie chcę tu mieć u siebie żadnych gwałcicieli ani kapusiów.

To dziwne, jak bardzo jakiś pokój może wydawać się ciasny, jak litery, z których powstają słowa, stają się przesłaniem, jak mogą odbić się od ścian, zająć całe miejsce, zabrać całą moc, jakby nie było tam nic innego, tylko oddech, cisza i oczekiwanie.

Nowy nie miał miejsca, żeby podejść bliżej, a jednak zrobił to. Potem syknął w taki sposób, że między nimi spadło kilka kropel śliny.

— Szukasz awantury?

Któryś z nich musiał ustąpić, spuścić wzrok albo iść na całość. Obaj stali na swych miejscach.

— Słuchaj no, Lillmasen, zapamiętaj sobie jedną rzecz: nikt, powtarzam, nikt nie będzie nazywał mnie kapusiem albo gwałcicielem. A jak zrobi to jakiś najarany onanista, to mu gnaty połamie.

Nowy wcisnął Lillmasenowi w brzuch wyprostowany palec.

Zrobił to kilka razy, mocno. Nadal syczał, ale tym razem przeszedł na więzienny slang.

— *Honkar di rotepa, buråbeng?**.

Jeszcze raz wepchnął swój palec w brzuch Lillmasena, a potem odwrócił się i poszedł do swojej celi, tej, której drzwi były wciąż uchylone.

Lillmasen stał w milczeniu. Odprowadził nowego pustym wzrokiem, patrzył, jak tamten znika za drzwiami, a potem spojrzał na Hildinga i na innych. W końcu zawołał w głąb pustego korytarza:

— Co jest, kurwa? Co jest grane?

Nikt nie odpowiedział. Otwarte drzwi i palec wciśnięty w jego brzuch. Lillmasen znowu zawołał na cały głos:

— *Racklar di romani, tjavon? ***.

* Nie czaisz nawijki, ćmilu?

** To ty kumasz gryps, człowieku?

Lennart zobaczył go, jak stoi przy wieży, po wschodniej stronie muru. To tam się zazwyczaj spotykali, w czasie przerwy na lunch albo po południu, kiedy służbę obejmowała nowa zmiana. Nils zdjął marynarkę, przewiesił ją sobie przez ramię; wyglądał młodo, jak chłopiec, który czeka na swoją dziewczynę.

Lennart zbliżył się do niego, zdążył jeszcze przez kilka sekund poobserwować go, zanim sam został zauważony. Nils stał zwrócony w zupełnie inną stronę, w kierunku tej części muru, z której Lennart zazwyczaj przychodził na spotkania. Dzisiaj jadł lunch z Bertolssonem na mieście, wstąpili do zajazdu przy placu, gdzie zamówił polędwicę wołową z gotowanymi ziemniakami i świeżym groszkiem strączkowym. Potem Bertolsson pożegnał się z nim w pobliżu szosy, bo Lennart wyjaśnił, że ostatni odcinek drogi chciałby przejść piechotą, chce przez chwilę побыć sam, chce spróbować przemyśleć to, co się stało, te mikrofony, długopisy i kamery podsuwane mu pod samą twarz; przez te kilka minut, kiedy wszyscy jedli lunch, mieli okazję posłuchać jego gotowych opinii wygłaszanych na temat tego, jak powinna funkcjonować służba penitencjarna.

Wiatr nadal nie przestawał wiać.

Nie wiało chyba od trzech i pół tygodnia. Żar, bezwietrzna pogoda, niekończące się wysokie ciśnienie nad całą Skandynawią, które sprawiało, że ludzie pocili się, co wywoływało ich irytację;

zawsze coś drażniło, zawsze coś stało na przeszkodzie.

Nils się uśmiechnął. Zauważył nadchodzącego Lennarta i nie mógł już dłużej ustać w spokoju, powoli zbliżył się do niego, nie wypuszczał go z objęć, pocałunek w czoło, dotyk dłoni na policzku.

— Widziałeś?

— Tak.

Szli po trawie, w niewielkim odstepie od siebie. Do skraju lasu mieli jakieś siedemdziesiąt metrów. Kiedy weszli między pierwsze świerki, ich dłonie splotły się ze sobą, trzymali się mocno, idąc przed siebie.

— Służby penitencjarne zrobiły to, co do nich należało.

— Nie mówmy już o tym.

— Terapia środowiskowa. Leczenie farmakologiczne. Terapia grupowa. Terapia indywidualna.

— Tu nie chodzi o to, co służba penitencjarna zrobiła albo czego nie zrobiła, ani o to, co ty zrobiłeś albo czego nie zrobiłeś. To było widowisko telewizyjne. Rodzaj rozrywki. Kamera na kozła ofiarnego, obnażyć go, niech się poci, jąka i ucieka ze wzrokiem, redakcja przygotowuje grunt, telewidzowie śmieją się znowu z kogoś, a oni mogą zapomnieć o własnym domowym piekle, bo wygarbują skórę urzędnikom, którzy są głupi, brzydcy i na niczym się nie znają. Do diabła z nimi. Tu nie chodzi o treść. Chodzi o to, aby komuś dołożyć i zdobyć punkty.

— Nils, czy ty nie rozumiesz? Wobec Bernta Lunda zastosowano wszelkie rodzaje istniejących zabezpieczeń, a on tymczasem korzysta z pierwszej nadarzającej się okazji, masakruje dwóch strażników i znika w mieście, żeby się onanizować nad zabitymi dziewczynkami.

Powiew wiatru już do nich nie docierał. Las był gęsty i zaniedbany, stare świerki i jodły; kierowali się ścieżką w kierunku wieży ciśnień, dwa i pół kilometra tam i z powrotem. Zazwyczaj potrzebowali na to pół godziny, a wtedy mogli zostać jeszcze przez pół godziny za niewielką chatką obok wieży, w miejscu, gdzie

wiele razy uprawiali seks. Rzadko ktoś tam przychodził, a oni sami mogli wcześniej zauważyć tych niewielu, którzy tamtędy przechodzili; można tam było dotrzeć tylko z jednej strony, bo nieprzebyty las tworzył jakby drugi mur.

Nils mocniej ścisnął rękę Lennarta, pociągnął go w stronę chaty.

— Chodź.

— Przykro mi, ale nie mogę. Pamiętam, co ci wcześniej obiecałem, ale nie mogę. Chcę z tobą porozmawiać. Tylko tyle. Muszę się pozbyć widoku tej cholernej kamery. Jesteś taki mądry, Nils, pomóż mi. Porozmawiaj ze mną, wyjaśnij mi.

Nils pogłaskał go po skroni, po włosach.

— Mój ty kochany.

Lennart zamknął oczy. Nils oddychał głośno, kiedy mówił do niego.

— Już po wszystkim. Wiem, że tak jest. Bernt Lund to jeden z tych, których nie da się zrozumieć. Jest niebezpieczny dla nas. Jest niebezpieczny dla samego siebie. Czasami nie ma jak się obronić przed innym człowiekiem. Tak to wygląda. Człowiek to jedyny ssak, który unicestwia sam siebie. Człowiek może nienawidzić innego człowieka, może go zamordować, człowiek może zniszczyć własny gatunek. Jest diabelskim stworem, jedynym, który posiada taką moc autodestrukcji. Tak już po prostu jest i nigdy tego nie zrozumiemy.

Objęli się. Ktoś się zbliżał, przyciśnięty do muru gęstymi gałęziami iglastych drzew musiał iść w ich kierunku, ale pewnie przejdzie obok chaty, tak jak wielu innych przed nim, i ich nie zauważy. Lennart obejmował Nilsa, nagle zaczął odczuwać tęsknotę, w jego objęciach poczuł gwałtowną żądzę, zatęsknił za Marią, za jej ciałem, widział jej uda, łono, pragnał jej, tęsknił za nią.

* * *

Pomagali sobie nawzajem, przytrzymując cynfolię, a jednocześnie przeszkadzali sobie, poruszając szybko palcami.

W środku znajdował się płaski, brązowy, czworokątny kawałek masy. Zamówili „turka”, turecki mocno sprasowany haszysz. Rajcował ich najbardziej, dawał najlepszego kopa. Chcieli „poszybować” trochę przez Aspsås, przez oddział H, przetrwać godziny, które wypełniały im oczekiwanie. Starali się wytrzymać.

Zamówili trochę towaru u Greka, który dostarczył towar, a oni zapłacili połowę. Byli mu teraz winni o wiele więcej, niż mogli sobie pozwolić. Powinni byli zadowolić się sprasowanym „marokiem” albo żółtym „libanem”, ale Hilding marudził, błagał, lizał im dupę, więc Lillmasen ustąpił, zamówili „turka” i czekali na niego trzy dni. Teraz stali w łaźni i uśmiechali się na widok małych kawałeczków trzymanego pod lampą błyszczącego jak szkło narkotyku.

— Widzisz to szkiełko?

— Widzę, kurwa, pewnie, że widzę.

— To cholernie dobre gówno.

— Te tureckie zawsze są dobre.

Hilding miał w kieszeni zapalniczkę. Wyjął ją i podał Lillmasenowi. Ten nic nie powiedział, tylko zapalił ją i trzymał płomień pod cynfolią. Wystarczyła jedna minuta. Płaski, brązowy czworokąt zamienił się w miękką masę, a Lillmasen ugniatał ją i nadawał kształt czubkami palców. Hilding miał tytoń w drugiej kieszeni, zazwyczaj mieszała narkotyk w proporcji jedna czwarta „turka” i trzy czarte tytoniu.

— Ładnie pachnie.

— Cholernie.

Hilding wspiął się na palce, przycisnął jedną z płyt na suficie, tę najbliższą lampy. Kilka sekund wystarczyło, by płyta puściła; wsunął do środka dłoń i wyciągnął fajeczkę. Lillmasen przygotował działkę, napełnił fajkę, przyłożył ogień, zaciągnął się, żeby tytoń z haszem zajął się od płomienia, potem jeszcze raz, a następnie oddał fajkę Hildingowi, który łapczywie wsadził ją sobie do ust.

Każdy pociągał po dwa razy, potem przekazywał fajkę kolejnemu.

W pomieszczeniu panowała cisza, z kilku kranów kapiała woda, jedna z lamp pod sufitem migotała, zrobiła się z tego jakby gra światła i dźwięku: kropla—błysk, kropla—błysk. To był dobry „turek”, jeszcze lepszy niż poprzednim razem.

— Cholera, Hilding-Vilding, cholera.

Lillmasen znów zaciągnął się dwa razy, fajeczkę nadal trzymał w dłoni. Zachichotał.

— Wiesz co, Hilding-Vilding? Stoimy tu w tej cholernej łaźni i palimy fajną fajeczkę haszu, i nawet nie pomyśleliśmy o tym, że to najlepsze miejsce, żeby załatwić jakiegoś zboczeńca.

Lillmasen znowu zachichotał. Hilding spojrzał na niego ze zdumieniem.

— Może powiesz coś więcej.

— A my nawet o tym nie pomyśleliśmy.

— Mówisz o tej pieprzonej łaźni? Jak to? Przecież już nieraz spuściliśmy tu wpierdol zboczeńcom i kapusiom. To nic nadzwyczajnego. W amerykańskich pierdlach potrafią między miednicami wbić takiemu śrubokręt w brzuch.

Lillmasen nie mógł się powstrzymać od śmiechu. Tak właśnie działał na niego „turek”; Lillmasen najpierw zaczynał chichotać, potem cholernie się podniecał, a kiedy już był dobrze najarany, zaczynał znowu bać się swoich wizji, w których zjawiał się Per i jego kutas, on sam szukający kolca i krwawiąca moszna stryja.

Jeszcze raz zaciągnął się głęboko, trzymając fajeczkę w dłoni, nie przekazywał jej dalej, żeby podrażnić się z Hildingiem; jednocześnie poklepał go po głowie.

— Ty chyba, kurwa, nic nie rozumiesz, Hilding-Vilding, tu nie chodzi o to, żeby komuś spuścić wpierdol, tu chodzi o coś więcej.

Hilding wyciągnął rękę po fajeczkę, ale Lillmasen przysunął ją do siebie i za nic nie chciał jej oddać.

— Zrozum, człowieku. Jak dadzą jeszcze jakiegoś zboczeńca na nasz oddział, to odczekamy, aż ten chuj przyjdzie do łaźni. Jak tu już będzie, a na głowę będzie mu się lała woda, to wywołasz jakąś

bójkę na spacerunku, żeby zbiegli się tam wszyscy klawisze.

Hilding już go nie słyszał. Chciał tylko fajeczki, znowu wyciągnął po nią rękę.

— Teraz, kurwa, moja kolej.

Lillmasen zachichotał, rzucił fajeczkę do góry, aż pod sufit, a potem ją złapał. Oddał ją Hildingowi, który pociągnął potężnie dwa razy.

— Powiedziałem, że musisz to zrozumieć. Mamy go pod prysznicem. Wtedy zjawiam się ja albo Skåne i walimy go z byka w żołądek, aż się wypierdoli na pysk. Teraz kolej na rzeźnika. Pokroimy mu dupę na maleńkie kawałeczki i pokruszymy wszystkie kości, jakie zostaną. A potem pozbieramy całe gówno, jakie zostanie po tym chuju, i wrzucimy te maleńkie, pieprzone kawałeczki do dziury w posadzce. Potem zamontujemy kibel na swoje miejsce i parę razy spuścimy wodę. Później prysznic i usuwamy ślady krwi.

Hilding zapomniiał, że pali fajkę, zapomniiał ją oddać. Wyglądał na wstrząśniętego, na jego twarzy, która nigdy nie wyrażała żadnych uczuć, bo i tak była dość mętna, jakby nosił maskę wyobrażającą ten sam sztywny wyraz twarzy, widać było na przemian obrzydzenie i zachwyt. Znał nienawiść, jaką tamten żywił, i wypadało nienawidzić razem z nim, ale Lillmasen należał do tych, którzy balansowali na granicy, a on pamiętał, jak to wyglądało, kiedy Lillmasen zmasakrował jednego frajera w sali gimnastycznej za pomocą hantli i ciężarków, aż tamten przestał się ruszać.

— Masen, kurwa, ty chyba żartujesz.

Lillmasen chwycił fajeczkę, której Hilding nie chciał wypuścić; czuł się tak błogo, kiedy palił.

— Nie żartuję. Po chuja miałbym żartować. Udowodnię ci to. Udowodnię ci to na pierwszym lepszym zboczeńcu, który tu trafi. Chcę zobaczyć, jak to zadziała. Chcę się jeszcze raz przekonać, jak to jest, jak się komuś wbije kolec, a potem kręci nim we wszystkie strony.

* * *

Lennart Oscarsson się spieszył. Został w chacie przy wieży ciśnień zbyt długo, ale ciężko mu było wracać; Nils nie chciał go puścić, a i jemu samemu też nie chciało się jeszcze iść. Minał strażnika, to znowu ten cholerny Bergh; czy naprawdę nie ma już nikogo innego? Kierował się na swój oddział A, gdzie siedziało ośmiu więźniów, wszyscy skazani za poważne przestępstwa na tle seksualnym, tacy, których nie można było wsadzić na normalny oddział, tacy, którzy wywołują nienawiść i chęć zemsty i zajmują najniższą pozycję w więziennej hierarchii.

Bergh pokivał mu i uniósł kciuk. Lennart nie bardzo wiedział, czy to ironia, czy też ten cholerny kutas nie zrozumiał, że kamera telewizyjna ukazała go przed kilkoma minutami zupełnie nagim.

Nawet nie miał zamiaru odpowiadać na ten gest.

Szybkim krokiem przemierzał pierwszy korytarz, w połowie drogi zdecydował się skrócić do klatki schodowej na prawo, żeby wejść na oddział H i przejść przez niego; w ten sposób skróci sobie drogę, zyska parę minut i oszczędzi mnóstwo kroków.

Przeskakiwał po dwa schody i myślał o Marii i o przedstawieniu, jakie znowu będzie musiał odgrywać następnego dnia w czasie śniadania; o Nilsie, który za każdym razem, kiedy się kochali, prosił go, żeby z nią zerwał i żeby założył z nim rodzinę; myślał o Åke Anderssonie i Ulriku Berntforsie, z którymi pracował od wielu lat, a którzy z niewiadomych przyczyn otworzyli tylne drzwi więziarki i wypuścili najniebezpieczniejszego człowieka w kraju; myślał o Berncie Lundzie, który grasował na wolności, szukał i dyszał żądzą, i przebierał wśród dziewięcioletnich dziewczynek; rozmyślał o konferencji prasowej, do której przygotowywał się od wielu lat, która miała stać się dla niego odskocznią do dalszej kariery, a ostatecznie zadała mu gwałt.

Nikt nie czepiał się jego orientacji seksualnej, ale kamera i mikrofon zraniły go w taki sam sposób, jak rani ktoś, kto dopuszcza

się aktu przemocy.

A przecież w tym uczestniczył, a jego własne wyobrażenie o tym, że faktycznie brał w tym udział, sprawiło, że zaczął wierzyć, iż nie jest całkowicie zdany na siebie. Potrzebował jednak dłuższej chwili, by uświadomić sobie, że został wykorzystany przez kogoś w zupełnie innym celu.

Zastanawiał się nad tymi kilkoma godzinami, które upłynęły od chwili, kiedy obudził się tego ranka.

I nad tym, czy życie musi być tak cholernie skomplikowane.

Czasami czuł, że już dłużej nie wyrobi. Przechodził z fazy wieku średniego do okresu starości i nie nadążał. Brakowało mu czasu na refleksję, ciągle istniało tylko „potem” i „później”, a on chciał często po prostu zamknąć oczy i dowiedzieć się, że to już koniec, że ktoś już zdecydował i że wszystko jest takie jasne, jak wtedy, kiedy był małym chłopcem. Siadał wówczas na podłodze i zamykał oczy, podczas gdy mama i tata robili coś w domu, a kiedy znowu otwierał oczy, wszystko było już zrobione, bo coś się działo od chwili, gdy usiadł, zamknął oczy i nie chciał im pomagać; decydował i kierował ktoś inny, a jemu wystarczyło tylko na chwilę zamknąć oczy i było po wszystkim.

Otworzył drzwi prowadzące na oddział H. Wiedział, że ani inni strażnicy, ani osadzeni nie lubili tego, takiej niepotrzebnej bieganiny, ale musiał skorzystać z tego przejścia, bo mu się spieszyło. Pozdrowił jednego ze strażników, chociaż nawet nie pamiętał jego nazwiska, skinął głową kilku więźniom, którzy siedzieli w kąciku telewizyjnym i grali w karty. Minął drzwi łazienki i prawie wpadł na Lillmasena Lindgrena i jego przydupasa. Obaj byli wysocy. Mieli wytrzeszczone oczy, niepewne ruchy, a z łazienki dochodził zapach haszysz. Przydupas wymamrotał: „Cześć, Hitler”, a Lillmasen zachichotał i chciał mu podać rękę, żeby pogratulować występu w telewizji. Lennart Oscarsson udał, że nie widzi wyciągniętej ręki; wiedział bardzo dobrze, tak jak reszta personelu więziennego, że to Lindgren pobił jednego z więźniów w sali gimnastycznej,

wiedział o tym, ale nikt tego nie widział i nikt nic nie słyszał, a bez dowodów nic się nie da zrobić, nawet w pierdlu.

Znowu jakieś zamknięte drzwi, w dół po schodach, na podwórze, do następnego budynku, na trzecie piętro, oddziały A i B, dla więźniów osadzonych za przestępstwa seksualne, to jego działka.

Czekali już na niego, stojąc w szeregu w sali konferencyjnej.

— Przepraszam, spóźniłem się. Tak wiele się dzisiaj zdarzyło.

Zebrani uśmiechnęli się, chcąc mu pewnie w ten sposób okazać współczucie; oglądali telewizję, gdyż odbiornik stojący w sąsiedniej sali nadal był włączony, kiedy tamtędy przechodził. Pięciu nowych strażników, pięciu ludzi po krótkim przeszkoleniu, którzy od jutra mieli rozpocząć pracę na oddziale dla pedofilów i gwałcicieli. Siedzieli przy okrągłym stole, mając przed sobą notatniki i ołówki. Był to pierwszy dzień ich nowego życia.

— Zboczeńcy.

Tak zazwyczaj rozpoczynał swoje wystąpienie. Zdjął nakrętkę z flamastra, w sali rozszedł się intensywny zapach tuszu, a potem wypisał wersalikami na białej tablicy jedno słowo: ZBOCZEŃCY.

Cała piątka siedziała w ciszy. Zaciskali flamastry w dłoniach, pochylali się w stronę sąsiada — pisać czy nie? Warto to zapisać czy też ośmieszę się przez to przed innymi? — zastanawiali się. Jako początkujący czuli się zagubieni, a on im nie pomagał, mówił tylko bez przerwy, od czasu do czasu pisał coś na tablicy, jakieś ważniejsze słowo, jakieś cyfry.

— Oni tutaj mieszkają. Mniej więcej od dwóch do dziesięciu lat, zależnie od tego, jak ciężkie przestępstwo popełnili i jak bardzo są chorzy.

Dalej nic nie mówili. Trwało to dłużej niż zwykle.

— Pięćdziesiąt pięć tysięcy wyroków. Tyle było spraw karnych w zeszłym roku w tym zasranym państewku. Jak tu nadażyć? Nie pojmuję tego. Z tego tysiąc pięćset czterdzieści siedem przestępstw na tle seksualnym. Mniej niż połowa ze sprawców została skazana na karę więzienia.

Niektórzy notowali. Z cyframi było łatwiej. Statystyka nie wymagała oceny.

— Jeśli więc wiemy, że co roku do szwedzkich więzień trafia około pięciu tysięcy osób, to dwustu dwunastu przestępców seksualnych nie powinno stanowić jakiegokolwiek problemu, prawda? Cztery procent. Jeden na dwudziestu pięciu. Ale to właśnie oni stanowią problem. To oni stanowią zagrożenie. Dlatego mają własne oddziały. Jak ten tutaj. Niestety, czasami brakuje miejsca. Wtedy muszą czekać, a my zmuszeni jesteśmy upychać ich gdzieś na normalnych oddziałach. A kiedy inni więźniowie, jak na przykład u nas, w Aspsås, dowiedzą się, że z jakiejś przyczyny na ich oddział trafił zboczeniec, to wtedy zaczyna iskrzyć. Biją go tak długo, aż im przeszkodzimy.

Jeden z nowych — mężczyzna w wieku czterdziestu kilku lat — który trafił tu po przeszkoleniu z innego zawodu, podniósł rękę, jakby siedział w szkolnej klasie.

— Zboczeńcy? Napisał pan to i powiedział.

— Tak?

— Czy to ważne?

— Nie wiem. Tak ich tu nazywamy. Za dwa dni wy też ich tak będziecie nazywać. Bo taka jest prawda. Zalicz i zapomnij.

Lennart czekał. Wiedział, co będzie dalej. Zastanawiał się tylko, które z nich zacznie. Wybrał młodą kobietę siedzącą najbliżej niego. Wyglądała właśnie na jedną z tych, które to robią. To ci najmłodszy zawsze wierzyli, że jest szansa na poprawę, niewiele wiedzieli o czasie, który pożerał życie i siły, choć dawał w zamian doświadczenie i umiejętność przystosowania się.

Tym razem nie zgadł. Odezwał się ten sam mężczyzna, ten po przeszkoleniu.

— Dlaczego tak cynicznie? Jakże ma pan do tego prawo?

Wyglądał na wzburzonego.

— Nie rozumiem. W czasie szkolenia nauczyłem się tego, co umiałem już wcześniej: że ludzie nie są przedmiotami. To, że pan,

jako mój przyszły przełożony, ma takie poglądy, przeraża mnie.

Lennart westchnął. Brał udział w takich przedstawieniach już wiele razy wcześniej. Potem spotykał tych samych ludzi, kiedy byli starsi, pracowali w innych więzieniach, awansowali, obejmowali jakieś inne stanowiska, żartowali sobie, snuli wspomnienia i wspólnie dyskutowali o niespełnionych ambicjach „młodych gniewnych”.

— Może pan sobie myśleć, co chce. To pańskie prawo. Można nazywać mnie cynikiem, ale proszę mi najpierw odpowiedzieć: czy przybył pan do naszego zakładu na oddział dla zboczeńców, żeby ich „odprzedmiotować”, czy też pańskim marzeniem jest ich nawracanie?

Mężczyzna, który następnego dnia miał rozpocząć służbę na oddziale A, spuścił rękę, nie odezwał się.

— Nie słyszę odpowiedzi. Czy tak to jest?

— Nie.

— Ponieważ...?

— Skierowano mnie tutaj.

Lennart starał się opanować, żeby nie pokazać, jak bardzo jest zadowolony. Zrozumiał, że przedstawienie dobiegło końca, na tym polegała jego główna rola. Przez dłuższą chwilę przyglądał im się w milczeniu, wszystkim razem i każdemu z osobna. Jeden się kręcił, drugi mozolnie spisywał cyfry z tablicy do swojego notatnika.

— A teraz bądźcie ze mną szczerzy. Czy ktoś z was zgłosił się dobrowolnie do pracy na oddziale dla zboczeńców?

Znał odpowiedź. W ciągu siedemnastu lat służby w Aspsås nie zdarzyło mu się spotkać ani jednej osoby spośród personelu, której marzenia nie sięgałyby dalej niż na oddziały dla pedofilów, dalej niż A i B. Ponieważ tam ludzi kierowano. Stąd każdy starał się raczej odejść. On został tu szefem. Lepsza pensja i nadzieja, że obecne stanowisko uda mu się wykorzystać jako odskocznię do wyższego stanowiska kierowniczego w innym zakładzie karnym. Przeszedł wolnym krokiem za plecami nowej piątki. Ostatnie pytanie

pozostawił bez odpowiedzi, chciał, żeby starali się zrozumieć i sformułować własną odpowiedź, bo tylko wtedy zdołają odnaleźć i zaakceptować miejsce, jakie będą zajmować w ciągu kilku nadchodzących miesięcy. Zatrzymał się przy oknie, zwrócony plecami do nowych. Słońce stało wysoko, od dawna już nie padał deszcz, a kiedy więźniowie przechadzali się po spacerniaku, z ziemi unosił się kurz. Niektórzy grali w piłkę, inni biegali wzdłuż ogrodzenia. W jednym z narożników przechadzało się dwóch więźniów, szli chwiejnym krokiem, powoli, rozpoznał w nich Lindgrena i jego przydupasa, obaj nadal byli na haju.

Micaela wyszła wcześniej. Chyba wtedy jeszcze spał. Nocka za nocką, ten sam rytuał: podczas gdy za oknami miasto budziło się do życia, a do jego uszu zaczynały docierać pierwsze zawołania gazeciarzy i odgłosy przejeżdżających ciężarówek, tuż przed godziną piątą trzydzieści udawało mu się ponownie zasnąć. Setki myśli cisnęło się w jego zmęczonej głowie, aż w końcu nie mógł im się oprzeć: zasypiał i spał w pustym pokoju aż do późnego popołudnia.

Fredrik miał mętne wspomnienia z tego ranka: widział, jak Micaela kładzie się naga na niego, a on nic nie rozumie, ona nazywa go nudziarzem, całuje go lekko w policzek, idzie do łazienki, wchodzi pod prysznic. Pokój Marie znajdował się za ścianą łazienki, więc czasami, kiedy Micaela brała prysznic, Marie budziła się — to szum płynącej wody wciskał się do jej uszu; tamtego ranka był u nich także David, więc Micaela zrobiła śniadanie dla siebie i dla dzieci, a on nadal leżał w łóżku, ponieważ nogi odmawiały mu posłuszeństwa, więc nie mógł dotrzymać im towarzystwa. Wślizgnął się do pustego pokoju, znowu zapadł w sen i wstał dopiero po jedenastej, kiedy Marie zmieniała film w odtwarzaczu wideo, a bohaterowie kreskówek krzyczeli z telewizora głośnym falsetem.

Musi zacząć wysypiać się w nocy.

Nie można tego tak dłużej ciągnąć.

Naprawdę.

Przestał pracować i nie brał udziału w życiu innych ludzi. Skończyły się owe przedpołudnia, kiedy pisał najwięcej, od ósmej rano do pory poobiadowej; teraz nie miał nawet czasu, żeby pojechać do Strängnäs do swego kącika na wyspie Arno. Taka podróż zabierała piętnaście minut jazdy samochodem każdego ranka i piętnaście minut z powrotem po południu. Marie sama znajdowała sobie jakieś zajęcia na przedpołudniowe godziny, a Micaela, która dzięki Bogu pracowała w przedszkolu, do którego zapisali Marie, zadbała o to, aby reszta wychowawców nie robiła zbyt dużych problemów z tego powodu, że Marie pojawiała się w przedszkolu dopiero w porze obiadu.

Było mu wstyd.

Czuł się jak alkoholik, który dzień wcześniej ślubował wstrzemięźliwość alkoholową, a następnego ranka budził się z kacem, bólem głowy i strachem przed rozpoczęciem kolejnego dnia od obietnicy, że teraz to już na pewno się poprawi.

— Cześć!

Stała przed nim jego córka. Podniósł ją z podłogi.

— Witaj, moja kochana córeczko. Dasz mi buziaka?

Marie przycisnęła swoje wilgotne wargi do jego policzka.

— David poszedł już do domu.

— Naprawdę?

— Był tu jego tatuś i zabrał go ze sobą.

Znają mnie przecież, pomyślał. Wiedzą, że jestem osobą odpowiedzialną. Wiedzą. Pozbył się szybko nieprzyjemnego uczucia zakłopotania, postawił Marie na podłogę.

— Jadłeś coś?

— Micaela zrobiła nam śniadanie.

— Ale to było tak dawno. Zjesz coś jeszcze?

— Zjem w przedszkolu.

Było piętnaście po pierwszej. Do której godziny przedszkole jest otwarte? Czy Marie dostanie jeszcze obiad? Ubranie się zajmie mu

dziesięć minut, a jeśli pojedą samochodem, będą tam pięć minut później. Czyli o wpół do drugiej. Tak, zdążą na wpół do drugiej.

— W porządku, no to się ubieramy. Zjesz w przedszkolu.

Fredrik wyciągnął z szafy spodnie sztruksowe, jego biała koszula wisiała na krześle. Na dworze było ciepło, ale on nie znosił krótkich spodni, wyglądał w nich komicznie, miał takie białe nogi. Marie pobiegła do przedpokoju, niosąc w ręku T-shirt i parę krótkich spodenek; pochwalił ją, podnosząc kciuk, po czym pomógł jej przewrócić koszulkę na prawą stronę.

— Świetnie. Które buty?

— Te czerwone.

— Dobrze, niech będą czerwone.

Podniósł jej stopy, najpierw jedną, a potem drugą, zapiał metalowe sprzączki. Byli gotowi.

Telefon.

— Tatusiu, dzwoni telefon.

— Nie zdążymy.

— Zdążymy.

Marie pobiegła do kuchni, w swoich bucikach mogła dosięgnąć do aparatu wiszącego na ścianie przy lodówce. Powiedziała: „Halo”, a jej buzia rozjaśniła się w uśmiechu; był to ktoś, kogo kochała. Szepnęła Fredrikowi do ucha:

— To mamusia.

Skinął głową. Marie opowiadała jej o Wielkim Złym Wilku, który wczoraj ją gonił, i o Świnkach, które wygrały, i o butelce z płynem do kąpieli, która się skończyła, i o tym, że wiedziała, że są jeszcze dwie w szafce łazienkowej na najniższej półce. Śmiała się, głośko słuchawkę, a potem oddała ją Fredrikowi.

— To do ciebie, tatusiu. Mama chce z tobą mówić.

Nadal nie był do końca rozbudzony. Podszedł i wziął słuchawkę, ale jego umysł miał problemy z rozróżnieniem głosu kobiety, która miała na imię Agnes i której pożałował bardziej niż każdej innej, która prosiła go, żeby sobie od niej poszedł, i kobiety, która jeszcze

przed kilkoma godzinami leżała na nim naga, miała na imię Micaela i była od niego szesnaście lat młodsza. Wyczuwał nagość Micaeli i słyszał głos Agnes w słuchawce, znajdował się i tutaj i tam, kręciło mu się w głowie, brakowało mu powietrza i silnego oparcia; odwrócił się, ale nigdzie nie widział Marie.

— Tak?

— Kiedy przyjdziecie?

— Kiedy przyjedziemy?

— Marie ma być u mnie dzisiaj.

— Nie.

— Co to znaczy: nie?

— Będzie u ciebie w poniedziałek. Przecież się zamieniliśmy, prawda?

— Nigdy się nie zamienialiśmy.

Był zbyt zmęczony. Nie teraz. Nie dzisiaj.

— Agnes, ja nie wyrabiam. Jestem zmęczony i spieszy mi się, obok stoi Marie, nie chcę się z tobą kłócić, kiedy ona jest obok.

Oddał słuchawkę Marie, po czym splótł dłonie, co stanowiło ich umówiony znak, że trzeba się spieszyć.

— Mamusiu, nie zdążę, musimy jechać do przedszkola.

Agnes była na tyle mądra, że nie pozwoliła, aby wszystko skupiło się na Marie. Nigdy tego nie robiła. Fredrik kochał ją za to.

— Mamo, kończę.

Marie podniosła się na palcach, odłożyła słuchawkę na widelki, ale słuchawka spadła na kuchenkę mikrofalową stojącą na blacie. Fredrik cofnął się, podniósł ją, odwiesił na miejsce.

— No, kobieto, musimy już pędzić.

Przeszli przez kuchnię. Zerknął na zegar wiszący nad stołem. Dwadzieścia pięć po pierwszej. Mieli być na miejscu o wpół do drugiej. Marie będzie tam mogła zostać do piątej piętnaście, Fredrik wiedział o tym. Zdąży jeszcze zjeść późny obiad i spędzić w przedszkolu kilka godzin. Będzie zadowolona — jak prawie po każdym dniu, kiedy odbierał ją z przedszkola.

Godzina trzynasta trzydzieści. Sven zerknął na duży budzik stojący na biurku Ewerta. Skończył służbę przed kilkoma godzinami. W samochodzie przed posterunkiem miał wino i tort. Chciał wracać do domu, do Anity i Jonasa, zaraz! Na obiad, w spokoju. Dzisiaj kończy czterdzieści lat.

Odnosił wrażenie, jakby praca w policji miejskiej — dniami i nocami — nie była już ważna. Jeszcze niedawno był gotów przyjść na służbę nawet w swoją noc poślubną, rozwieść się, aby nie iść na kompromis w kwestii nocnych dyżurów. Ostatnio sporo na ten temat rozmawiał z Ewertem. W ciągu tych kilku lat bardzo się do siebie zbliżyli, Sven próbował wyjaśnić mu, co kryje w sobie owo zabronione uczucie, jak olewa wszystkich tych głupców i to, co zrobili, i czy ich złapią, czy nie. Czuł się wykończony, w wieku czterdziestu lat czekał na emeryturę; teraz już tylko chciał spędzać czas w swojej altanie, w spokoju i ciszy jeść śniadanie, chodzić na długie spacery wzdłuż zatoki Årstaviken, być w domu, kiedy pełen nowych wrażeń Jonas wraca biegiem ze szkoły. Pracował od dwudziestu lat. Pozostało mu jeszcze dwadzieścia pięć lat pracy. Oddychał ciężko, już nie mógł, nie miał sił, nie potrafił zaakceptować tego, że życie upływa mu na posterunku policji wśród coraz grubszych segregatorów zawierających dokumentację prowadzonych dochodzeń. W dniu, w którym przejdzie na

emeryturę, Jonas będzie miał trzydzieści dwa lata. Za cholerę nie ich już wtedy nie będzie łączyło.

Ewert rozumiał. Nie miał własnej rodziny i dla niego dzień w mundurze był wszystkim, dosłownie żył i oddychał pracą policjanta. Ale wiedział to, co wiedział Sven, rozumiał, że jest tylko małym trybikiem w pracy, która pewnego dnia się dla niego skończy; mówił, że rozumie, iż i on sam kiedyś skończy na emeryturze. Rozumiał to, ale nie miał ochoty martwić się na zapas.

— Ewert...

— Tak?

— Chcę iść do domu.

Ewert klęczał na podłodze, żeby po raz drugi zebrać śmieci wyrzucone z kosza. Skórki od bananów porwały się, starły na papkę, na beżowym dywanie zrobiły się duże plamy.

— Wiem, że chcesz. I ty wiesz, że pójdziemy do domu dopiero wtedy, kiedy Lund będzie nasz.

Podniósł głowę, chciał spojrzeć ponad krawędzią stołu na budzik.

— Sześć i pół godziny. A my nadal gównie wiemy. Żadnego cholernego śladu. Może jeszcze upłynąć trochę czasu, zanim posmakujesz swojego tortu.

Skona mitt hjärta, original: Pick up my pieces, na chór i orkiestrę, nagrane w Szwecji w 1963 roku. Siw Malmkvist na trzeciej kasecie — składance, tej ze zdjęciem Siwan na plastikowej okładce, szeroki uśmiech o niewyraźnych konturach kierowany w stronę zwróconego ku niej aparatu fotograficznego.

— Sam zrobiłem to zdjęcie. Opowiadałem ci o tym? To było w parku Folkets w Kristianstadzie, tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty drugi rok.

Podszedł do Svena, który nadal siedział na krześle dla interesantów, pochylił się nad nim, rozłożył ramiona.

— Czy mogę prosić do tańca?

Nie czekając na odpowiedź, odwrócił się, wykonał kilka kroków jak w tańcu. Niezwykły widok: kulawy, szorstki Grens, który

kołysał się, tańcząc wokół stołu w takt muzyki z wczesnych lat sześćdziesiątych.

• • •

Pojechali samochodem Svena. Ewert przełożył karton z tortem i siatkę z drogim winem z siedzenia dla pasażera na półeczkę przy tylnej szybie. Jechali przez miasto, z Kronobergu wzdłuż Sveävagen, kierując się na drogę E18. Ulice w centrum były puste, żar wypędził tych, którzy wzięli letni urlop, do parków, na plażę, nad wodę.

Sven jechał z dużą prędkością. Najpierw dwa razy przejechał w chwili, kiedy światło zielone zmieniał się na żółte, potem dwa razy na czerwonym, zignorował zmianę światel i kilka samochodów, które zatrafiły na niego ze złością. Na terenie całego kraju ogłoszono stan wzmożonej czujności, mieli do dyspozycji kilkudziesięciu policjantów na służbie, o niczym innym nie myśleli.

— Liże ich stopy.

Od chwili kiedy Sven zapuścił silnik, Ewert milczał. Jeśli mówił, patrzył wprost przed siebie. Sven wzdygnął się, prawie zjechał na środkowy pas, mało brakowało, a wpadłby na autobus, który właśnie wyprzedzał.

— Nigdy przedtem się z czymś takim nie spotkałem. Widziałem zgwałcone dzieci, zamordowane dzieci, nawet dzieci okaleczone ostrymi metalowymi przedmiotami, ale nigdy przedtem nie widziałem czegoś takiego. Leżały na tej betonowej posadzce, jakby je ktoś wyrzucił, były brudne, zakrwawione, ale stopy miały czyste. Lekarze sądowi znaleźli ślady śliny, on po prostu lizał ich stopy przez kilka minut, zarówno przed ich śmiercią, jak i potem.

Sven przyspieszył. Plastikowa siatka z winem przesuwiała się z jednego końca półki na drugi, butelki brzęczały nieustannie.

— Buty też. Wszystkie ubrania leżały poskładane na podłodze w odstępach dwóch centymetrów od siebie. No i te ich buty. Para różowych lakierów, para białych tenisówek. Ubrania były tak samo zabrudzone jak dziewczynki. Kurz, piasek, krew. Ale nie buty. Te

błyszczały od czystości. I na nich też znaleziono ślady śliny. Dużo czasu im poświęcił.

Na El8 też nie było zbyt wielkiego ruchu. Sven jechał lewym pasem, z dużą prędkością wyprzedzał samochody. Nie miał sił, żeby rozmawiać, żeby stawiać kolejne pytania dotyczące Lunda, nie chciał nic więcej wiedzieć, nie teraz. Prawie przejechał swój zjazd z autostrady, w ostatniej chwili w panice gwałtownie zahamował, przeciął trzy pasy i zjechał zjazdem prowadzącym do Aspsås.

Lennart Oscarsson stał na parkingu i czekał.

Wyglądał na zestresowanego, znerwicowanego, jakby przed kimś uciekał. To on został kozłem ofiarnym. To on pozwolił się obnażyć w telewizji. Wiedział też, jaki pogląd miał Ewert Grens na to, że zgodził się, żeby Bernta Lunda przewoziło w środku nocy przez miasto tylko dwóch strażników.

— Cześć.

Ewert Grens o kilka sekund za długo zwlekał z wyciągnięciem ręki, czerpał satysfakcję z tego, że jeden z tych idiotów, którzy go otaczali, przeżywa niepewne chwile.

— Cześć.

Oscarsson uściśnął podaną mu rękę, ale szybko ją puścił, po czym spojrzał na Svena.

— Dzień dobry, Lennart Oscarsson. Chyba się nie znamy.

— Sven. Sven Sundkvist.

Szli razem w stronę wielkiej więziennej bramy wjazdowej. Kiedy podeszli bliżej, brama otworzyła się, a oni weszli do środka. Na bramie stał Bergh. Poznał Ewerta, pozdrowili się skinieniem głowy. Natomiast Svena widział po raz pierwszy w życiu.

— A pan dokąd?

Oscarsson zatrzymał się, wrócił do budki poirytowany.

— Ten pan jest ze mną, pracuje w policji miejskiej.

— Nikt go wcześniej nie zgłaszał.

— Obaj panowie zajmują się sprawą Lunda.

— W ogóle mnie to nie interesuje. Interesuje mnie natomiast to, czy byli wcześniej zgłaszani.

Sven przerwał Oscarssonowi, który chciał właśnie coś krzyknąć, czego prawdopodobnie później mógłby żałować.

— Proszę. Oto moja legitymacja służbowa. W porządku?

Bergh przez dłuższy czas przyglądał się zdjęciu przypominającemu fotografie wklejane do paszportów, wpisał do bazy danych numer osobowy Svena.

— Obchodzi pan dzisiaj urodziny.

— Tak.

— To co pan tu robi?

— Wpuści mnie pan w końcu?

Bergh machnął ręką, weszli jeden za drugim w pierwszy korytarz. Ewert roześmiał się głośno.

— Co za cholerny idiota. Po co go tu, do diabła, jeszcze trzymacie? Jak on stoi na warcie, to pewnie łatwiej stąd wyjść, niż tu wejść.

Szli piwnicznym korytarzem. Ewert rozglądał się, westchnął, bo ściany korytarza wyglądały dokładnie tak samo, jak wszystkie piwniczne korytarze w szwedzkich więzieniach. Długie napisy na ścianach, mniej albo bardziej udane — to rodzaj terapii dla osadzonych prowadzonej przez wynajętych konsultantów. Zawsze niebieskie podłóże i zawsze mnóstwo wieloznacznych symboli: otwarte drzwi więzienne i ptaki na tle nieba, i inne podobne bzdury odnoszące się do wolności. Coś jakby graffiti dla dorosłych podpisane „Benke Lelle Hinken Zoran Jari Geten 1987”.

Oscarsson, który szedł przed nimi ze sporym pękiem kluczy, otwierał metalowe drzwi. Po drodze spotkali grupę wrzeszczących więźniów idących do sali gimnastycznej, towarzyszyło im dwóch strażników z przodu i dwóch z tyłu. Ewert ponownie westchnął, z niektórymi spotkał się wcześniej. Niektórych przesłuchiwał, przeciwko innym świadczył, kilku starszych wiekiem więźniów, których schwytał w czasach, kiedy jeszcze patrolował ulice.

— Czołem, Grensen. Przyszedłeś do nas na spacer?

Stig Lindgren, jeden z mieszkańców „społeczności za murami”, jeden z tych, którzy nigdy nie będą mogli mieszkać nigdzie indziej niż za murami więzienia, pod kluczem. Jeden z tych łotrów, którzy nie marzyli o życiu na wolności. Ewert miał już takich dosyć.

— Zamknij gębę, Lindgren, bo opowiem twoim żałosnym kumplom, dlaczego nazywają cię Lillmasen*.

Jeszcze jedne schody, na oddział A. Dla przestępców seksualnych.

Lennart Oscarsson szedł kilka kroków przed nimi, Sven i Ewert wolniej, rozglądając się wokół siebie. Wyglądało tu dokładnie tak samo jak na innych oddziałach. Taki sam kącik telewizyjny, taki sam stół do bilardu, kuchnia, cele. Różnica polegała tylko na tym, że przestępstwa, za które odsiadawali tutaj wyroki, wywoływały taką samą nienawiść w „społeczności za murami” jak na ulicach i placach miejskich; osadzeni tutaj więźniowie mieli wyrok śmierci jak w banku, gdyby znaleźli się w innym miejscu w tym samym budynku.

Oscarsson wskazał na drzwi jednej z cel. Numer 11. Pusta cela. Wszystkie inne drzwi były dokładnie ozdabiane przez tych, którzy zajmowali je przez kilka lat. Plakaty, wycinki z gazet, jakieś zdjęcia. Ale nie w celi numer 11.

Ewert Grens zdążył jeszcze pomyśleć, że powinien tam być, właśnie za tymi drzwiami, niecałe pół roku wcześniej. W celi Lunda. Wtedy, kiedy badał skomplikowaną sprawę siatki pedofilów, kiedy po raz pierwszy mógł wejrzeć w niedostępny wcześniej świat tych przestępców, w bazy danych i połączeń internetowych. Widział zdjęcia dzieci, których istnienia wcześniej nie podejrzewał: nagie,

* Lillmasen — w szwedzkich zakładach karnych więźniowie nadają czasami sobie albo innym osadzonym przezwiska związane np. z regionem, z którego pochodzą, stąd jednego z więźniów nazywano „Skåne”, czyli „Skania”; Lillmasen pochodził z regionu Dalarna, dla którego używa się określenia „Masen”; słowo „Lillmasen” ma jednak także zupełnie inne odniesienie, a mianowicie można je przetłumaczyć jako „Ptaszek” — potoczne określenie męskiego członka. Jest to wyraźna aluzja do przeżytych Lillmasena, który w dzieciństwie był wykorzystywany seksualnie przez swego stryja.

wykorzystywane seksualnie, poniżane, torturowane, samotne. Pośrednictwo dziecięcej pornografii, które — jak sądził on sam i jego koledzy z ekipy dochodzeniowej — miało swoje powiązania z zagranicą; pedofilia, zyski i ciemne interesy, które jednak, jak się wkrótce okazało, miały dość ograniczony charakter, wyszukany, wyzywający.

Było ich siedmiu.

Zgrane towarzystwo recydywistów — przestępców seksualnych.

Któryś jeszcze siedzi, pozostali wyszli już na wolność.

Stworzyli wirtualną salę kinową. Przedstawienia, które przekazywali sobie za pomocą komputerów i sieci internetowej o stałych porach, jakby stanowiły one część ramówki telewizyjnej. Każdego tygodnia, o tej samej godzinie, w sobotę o ósmej. Siedzieli przy swoich komputerach, oczekując na zapowiedziane widowisko, z coraz większymi wymaganiami. Każdy następny pokaz musiał przynieść coś więcej niż poprzedni; nagie dzieci, które wystarczyły przedtem, teraz już nie, i potem też już nie. Dzieci, które wcześniej tylko siedziały spokojnie, teraz musiały się obejmować; dzieci, które się wcześniej obejmowały, stawały się obiektem gwałtu; te, które wcześniej zgwałcono, teraz gwałcono kilkakrotnie. Kolejny fotograf musiał być lepszy od poprzedniego. Siedmiu pedofilów, zamknięte towarzystwo, prywatne zdjęcia własnych zbrodni, dokładnie zeskanowane i rozesłane do innych.

Trwało to prawie cały rok, zanim ich wykryto.

Jak wyjść, jak udział w zawodach na pornografię dziecięcą.

Bernt Lund był jednym z tych siedmiu. Tylko on przebywał w więzieniu, jedyny, któremu pozwolono, aby przez komputer zainstalowany w celi nadal przysyłał i pokazywał zrobione wcześniej zdjęcia; jego status — ze względu na popełnione przestępstwo — był bezsporny. Trzej inni wkrótce po wykryciu sprawy zostali skazani na wieloletni pobyt w więzieniu. Czwarty, Håkan Axelsson, został oskarżony w procesie, który nadal się toczył. Przeciwno dwóm ostatnim materiał dowodowy był słabszy, prawdopodobnie

zostaną więc uniewinnieni; wszyscy o tym wiedzieli, ale miało to mniejsze znaczenie, bo to, czego nie dało się udowodnić, nie istniało, więc w cieniu toczącej się sprawy sądowej mogli nawiązywać nowe kontakty, tworzyć podstawy pod nowe pośrednictwo w zakresie dostarczania zdjęć pornografii dziecięcej.

Wielu ich było na zewnątrz, ktoś odpadał, ktoś nowy dołączał.

Ewert przeklinał sam siebie. Powinien był skontrolować celę Lunda wtedy, w czasie postępowania przygotowawczego. Byli jednak pod presją czasu, towarzyszyła im nagonka prasowa ze strony wzburzonej opinii publicznej, a on wbrew swym zasadom zrezygnował z wizyty w zakładzie karnym w Aspsås; zamiast niego Lunda odwiedzili dwaj młodszy policjanci, którzy zastali tam całe stosy nagranych przez niego płyt CD, zawierających zdjęcia dzieci poddanych przestępczym praktykom. Gdyby wtedy kazał otworzyć celę numer 11, pewnie dowiedziałby się więcej; gdyby wtedy zainteresował się tym, czym na co dzień zajmuje się Lund, nie tkwiłby w próżni.

— To tutaj.

Oscarsson przekręcił klucz, otworzył drzwi.

— No tak, widzicie, jaki z niego pedant.

Sven i Ewert weszli do celi. Zatrzymali się zaraz za progiem. Była to dość szczególna cela. Z pozoru przypominała te sąsiednie. Okno, łóżko, szafka, kilka półek, dzbanek na wodę, jakieś osiem metrów kwadratowych. Chodziło jednak o coś innego. Świeczniki, kamienie, kawałki drewna, ołówki, tasiemki, ubrania, segregatory, baterie, książki, notatniki — wszystko to ułożone według określonego porządku. Wzdłuż podłogi, na zaścienym łóżku, na parapecie okiennym, na półkach. Jak na wystawie. Jeden przedmiot w odległości dwóch centymetrów od drugiego. Jak kostki domina ustawione jedna za drugą w jednej linii: jeśli potrącić jedną, to runą pozostałe.

Ewert zaczął szukać czegoś w kieszeni marynarki. Miał krótką linijkę namalowaną na brzegu kalendarza, przypomniał sobie o

niej. Podszedł do łóżka, położył kalendarz wzdłuż rzędu kamieni. Dwa centymetry. Dwadzieścia milimetrów. Nie mniej, nie więcej. Zmierzył odległość między ołówkami leżącymi na parapecie. Dwa centymetry. Dwadzieścia milimetrów. Na półkach, między książkami, dwa centymetry, na podłodze, tasiemki dwadzieścia milimetrów od baterii, dwadzieścia milimetrów od notatnika, dwadzieścia milimetrów od paczki papierosów.

— Czy zawsze tak to tutaj wygląda?

Oscarsson skinął głową.

— Tak, zawsze. Kiedy wieczorem zdejmuję narzutę z łóżka, każdy kamień kładzie na podłodze, w nowym rzędku. Mierzy odległość. Rano, po raz kolejny, kiedy ściele łóżko, podnosi każdy kamień, kładzie je na zaścielonej narzucie, dokładnie dwadzieścia milimetrów od siebie.

Sven przyjrzał się kilku ołówkom. Zwykle ołówki. Odwrócił kilka kamieni na drugą stronę. Zwykle szare kamienie, jeden bardziej bezsensowny od drugiego. Segregatory, notatnik. Nic. Segregatory puste, zamknięte, notatnik nieruszony, żadna ze stron nie jest zapisana. Odwrócił się do Oscarssona.

— Cholera, nie rozumiem tego.

— A co tu jest do rozumienia?

— Nie wiem. Coś. Na przykład dlaczego ktoś liże dziecięce stopy.

— Dlaczego uważasz, że musisz to zrozumieć?

— Chcę wiedzieć, gdzie on teraz jest. Dokąd się kieruje. Chcę tylko dostać w swoje ręce tego skurwysyna, żebym mógł wreszcie pojechać do domu, zjeść kawałek tortu i urządzić się.

— Przykro mi. Nigdy tego nie zrozumiesz. Nie ma w tym nic racjonalnego. Nawet on sam nie wie, dlaczego liże stopy zabitych dzieci. Nie sądzę, żeby też wiedział, dlaczego układa przedmioty w rzędzie, i to w odległości dwóch centymetrów od siebie.

Ewert wziął kalendarz, przyłożył kciuk do miejsca, gdzie dwie kreski wyznaczały odległość dwóch centymetrów. Podniósł go na

wysokość twarzy, żeby wszyscy mogli zobaczyć jego palec i te dwa centymetry.

— Kontrola. Tylko to. Z nimi wszystkimi zawsze tak jest. Odczuwają satysfakcję, kiedy dokonują gwałtu, bo wtedy sprawują kontrolę. Mają władzę i kontrolę. Lund jest skrajnym przypadkiem. I właśnie o to chodzi w tych kamieniach ułożonych w rzędku. Porządek. Struktura. Kontrola.

Opuścił kalendarz na łóżko, przytrzymał go za kilkanaście rzędami kamieni, a potem mocno przeciągnął do przodu w taki sposób, że kamienie spadały na podłogę, jeden za drugim.

— Przecież my o tym wiemy. Jest sadystą. Wiemy też, że kiedy tacy jak Lund mają władzę, to im staje. W taki sposób to przebiega. Kiedy to on ma władzę, kiedy ktoś inny jest bezbronny, kiedy to on może decydować, czy kogoś skrzywdzi i jak bardzo. To od tego mu staje. To dlatego dostaje wytrysku w obecności związanych i posiniaczonych dziewięciolatek.

Parapet, ołówki w jednym rzędzie, zrobił to tak samo jak przed chwilą: kalendarz z tyłu, jeden ruch do przodu i wszystko ładowało na podłogę.

— No a zdjęcia w komputerze? Jak je uporządkował?

Oscarsson długo przyglądał się ołówkom leżącym na podłogę, na jednej kupce, w zupełnym nieładzie. Potem spojrział na Ewerta, jakby pytanie było niezrozumiałe.

— Uporządkował? Co pan ma na myśli?

— Jak je posegregował? Do cholery, nie mogę sobie przypomnieć. Pamiętam ich twarze, ich oczy, ich cholerną samotność. Ale nie odległości, nie to, jakie były między nimi odstępy.

— No tak, faktycznie. — Oscarsson usiadł na łóżku. — Wystarczy, jak dostanie pan materiały jutro?

— Nie.

— To dostanie je pan później. Kiedy skończymy z tym tutaj. Materiały są w moim pokoju.

• • •

Razem przewrócili celę do góry nogami. Każdy zakamarek celi Bernta Lunda, który znali od czterech lat. Nie znaleźli żadnej informacji.

Nie miał żadnego planu.

Nie wiedzieli, czy zmierza w jakimś określonym celu.

Fredrik otworzył drzwi samochodu. Zbyt szybko jechał przez Strängnäs, wiedział o tym. Na moście Tosteröbron dozwolone było trzydzieści na godzinę, a on jechał siedemdziesiąt; ale ponieważ obiecał Marie, że będą w przedszkolu o wpół do drugiej, to trzeba było się spieszyć.

Musiała pojechać do przedszkola, żeby jej tatuś mógł popracować. Jedno kłamstwo dzisiaj, jedno wczoraj. Miała pojechać do przedszkola, żeby jej nie wypisano, bo było to częścią całej układanki; jednym z elementów był ciężko pracujący tata, który pisał i musiał być sam, kiedy nawiedzały go jego wielkie myśli. Jednak od wielu miesięcy nie nawiedziła go żadna wielka myśl. Od tygodni nie napisał ani słowa. Miał blokadę twórczą i nie wiedział, jak rozwiązać ten problem.

To dlatego Frans zapędzał go do nocnej roboty, to dlatego pamiętał bójkę, to dlatego nie był w stanie kochać się z tą piękną kobietą, która każdego ranka kładła się na nim naga; zamiast tego porównywał ją z inną kobietą, a poza tym gubił się coraz bardziej w związku, który już od dawna nie istniał — tym z Agnes. Tak jakby pisanie i praca zabierały mu czas na refleksję; właściwie zawsze tak robił — praca, praca, praca, żeby nie musieć czuć. Miał w sobie silnik, który obracał się, który pchał go ciągle naprzód, bo jeśli szedł do przodu, to tym samym oddalał się od przeszłości.

Zaparkował samochód na ulicy przy przedszkolu. Było to miejsce

do zawracania i kiedyś zapłacił tam mandat, ale nie miał siły jechać dalej i szukać na chybił trafił. Pomógł Marie rozpiąć pas, otworzył tylne drzwi samochodu. Wyszli na ulicę. Na zewnątrz było jeszcze bardziej gorąco niż w samochodzie, słońce osiągnęło już swój najwyższy punkt nad horyzontem, dochodziło chyba do trzydziestu stopni w cieniu. Było to niezwykle lato, zaczęło się już na początku maja i trwało bez przerwy ponad miesiąc; zdarzyło się tylko kilka pojedynczych dni z chmurami i deszczem.

Podeszli do drzwi wejściowych. Marie skakała przed nim, raz na lewej, raz na prawej nodze, cieszyła się, bo czekali tam na nią Micaela, David i dwadzieścia pięcioro innych dzieci, których imion powinien się nauczyć, ale tak naprawdę wcale go to nie obchodziło.

Przeszli obok ławki stojącej tuż przed zamkniętą bramą, siedział na niej ojciec któregoś z dzieci i czekał; Fredrik starał się skojarzyć jego twarz, skinął mu głową, ale nie mógł go połączyć z twarzą żadnego z dzieci, które bawiły się wewnątrz domu.

Micaela czekała na nich w szatni. Pocałowała go, zapytała, czy już się obudził, czy za nią tęsknił. Tak, odpowiedział, tęskniłem za tobą. Czy na pewno? Nie wiedział. Brakowało mu jej miękkiego ciała nocą, kiedy nie mógł spać, przysuwał się wtedy do niej, żeby ogrzać się od jej ciała; kiedy leżał tak blisko niej, mniej się bał. Ale w ciągu dnia? Niezbyt często. Popatrzył na nią. Była młoda. Młodsza od niego o szesnaście lat. Zbyt młoda. Zbyt ładna. Tak jakby on był zbyt mało przystojny. Jakby nie był jej godny. Najlepiej, jeśli się jest w tym samym wieku. Jeśli się ma podobną urodę. Kto, do cholery, nabił mu głowę takimi bzdurami? Czy wierzył w to? Myśli kłębiły się w jej wnętrzu. Jak ich spór, on też tam tkwił, głęboko w niej. Szukał bliskości Micaeli wtedy, po rozwodzie, czekał na nią pod przedszkolem, przyprowadzał i odbierał Marie każdego ranka, któregoś dnia spacerowali przez chwilę razem, a on zaczął mówić o bólu i o tęsknocie, a ona go słuchała. Byli na wielu spacerach, a on ciągle się użałał, ona go słuchała, aż pewnego dnia poszli do niego i kochali się przez całe

popołudnie, podczas gdy Marie i David dokazywali w pokoju stołowym, za zamkniętymi drzwiami.

Pomógł Marie zmienić buty, te czerwone z metalową sprzączką; rozpiął je, postawił na półce ze znaczkiem słonia — to był jej znaczek. Inni mieli czerwone wozy strażackie, słynnych piłkarzy i postacie z filmów Disneya, a ona wybrała sobie słonia, więc musiało tak zostać. Założył jej papcie z białego materiału.

— Nie odchodź, tatusiu. — Objęła go mocno ramionami.

— Ale przecież chciałaś tu przyjść? I Micaela tu jest, i David.

— Zostań, tak bardzo cię proszę.

Podniósł ją z podłogi i potrzymał.

— Ależ, kobieto, wiesz przecież, że tatuś musi iść do pracy.

Spojrzała mu głęboko w oczy, zmarszczyła czoło. Miała taki błagalny wyraz twarzy. Westchnął głęboko.

— No dobrze, zostanie. Ale tylko na krótką chwilę.

Marie nadal przy nim stała. Głaskała swojego słonika. Przesuwała palcem wzdłuż konturu obrazka, od nóg poprzez grzbiet aż po trąbę. Fredrik odwrócił się w stronę Micaeli i wykonał gest cichej rezygnacji. Trwało to od czasu, kiedy zaczęli ją tu przyprowadzać; niedługo miną cztery lata od dnia, gdy Agnes się wyprowadziła. Za każdym razem miał nadzieję, że to już ostatni raz, że następnego dnia będą ją mogli zostawić, pożegnać się i wyjść bez wyrzutów sumienia.

— A jak długo zamierzasz dzisiaj zostać?

To była jedyna rzecz, co do której nie mogli się zgodzić. Micaela uważała, że już powinien iść, by pokazać jej, że chociaż szedł do domu, to po południu wracał, aby ją odebrać. Uważała, że może sobie trochę popłakać, ale w końcu jej przejdzie, przyzwyczai się. Odpowiadał jej wtedy, że sama nie ma dzieci i nie potrafi zrozumieć, co się wtedy czuje, tak naprawdę.

— Piętnaście minut. Jak zwykle.

Marie usłyszała jego odpowiedź.

— Tatuś tu ze mną zostanie.

Teraz mocniej objęła go za ramię. I nagle nadbiegł David, na twarzy miał wymalowane wodnymi farbami barwy wojenne Indian, przebiegł obok niej, zawołał ją, Marie puściła ramię Fredrika i pobiegła za nim. Micaela się uśmiechnęła.

— No widzisz. Tak krótko to jeszcze nie trwało. Już o tobie nie pamięta. — Zrobiła krok do przodu, stanęła blisko niego.

— Ale ja pamiętam.

Całus w policzek i poszła. Fredrik stał bezradnie w miejscu, patrzył za Micaelą, patrzył za Marie. Wszedł do pokoju z zabawkami. Marie, David i troje innych dzieci leżało obok siebie i malowało sobie twarze barwami Siuksów czy innych Indian. Fredrik pomachał Marie, a ona jemu. Wyszedł z pokoju, a indiański okrzyk wojenny dobiegał go jeszcze w chwili, kiedy otwierał drzwi wyjściowe.

Słońce natychmiast oświetliło mu twarz. Może kawa gdzieś w cieniu? Gazeta na rynku? Postanowił pojechać na wyspę, do Arno, do swego kącika. Posiedzi tam i poczeka. Prawdopodobnie nie napisze ani jednego słowa, ale przynajmniej będzie czekał w gotowości, włączy komputer, przejrzy notatki.

Otworzył bramę, ponownie skinął głową siedzącemu na ławce ojcu któregoś z dzieci, po czym ruszył w stronę samochodu.

Lubił to przedszkole. Wyglądało dokładnie tak samo jak przed czterema laty. Niewielka brama, pomalowane na białą sztachety, niebieskie otwory okienne. Siedział przed wejściem już od czterech godzin. W środku musiało być przynajmniej dwadzieścioro dzieci. Widział, jak dzieci przychodzą i wychodzą z mamami i ojcami, jedno po drugim. Żadne nie szło samo. Szkoda. Byłoby łatwiej, gdyby chodziły same.

Trzy dziewczynki nosiły tenisówki. Dwie miały rodzaj sandałów, takich ze sznurowadłami oplatającymi stopy. Niektóre szły na bosaka. Było co prawda nieznośnie gorąco, ale żeby iść na bosaka? Nie podobało mu się to. Jedna z dziewczynek miała czerwone lakierki ze sprzączką. Te były najładniejsze. Przyszła do przedszkola późno, prawie o wpół do drugiej, przyprowadził ją ojciec. Jasnowłosa, mała dziwka z naturalnymi lokami, którymi potrząsała, kiedy rozmawiała z ojcem. Nie miała na sobie za dużo ubrań, tylko szorty i zwykły T-shirt, chyba sama się ubrała. Wyglądała na wesołą, dziwki najczęściej takie są, przez całą drogę aż do drzwi skakała, raz na dwóch nogach, a raz na jednej lub drugiej. Ojciec skinął mu głową, pozdrowił. On odwzajemnił pozdrowienie, tak jest uprzejmie. Kiedy ojciec wyszedł z budynku — trwało to trochę dłużej niż w przypadku innych ojców — znowu go pozdrowił; dziwny gnojek.

Próbował wypatrzeć dziwkę przez okno. Przed szybą przesuwano

się wiele główek, ale nie blondynki z lokami. Na pewno szukała jakiegoś kutasa. Dziwkom potrzebny jest kutas, i to bardzo. Schowała się gdzieś w środku, w swoich szortach, koszulce, czerwonych lakierkach z metalową sprzączką; miała tylko nogi, dziwki powinny pokazywać skórę.

Lillmasen siedział w kącie telewizyjnym na oddziale H. Był zmęczony, zawsze potem był zmęczony, im bardziej się najarał, tym większe nachodziło go zmęczenie, a najbardziej bywał zmęczony po „turku”. Smakował cholernie dobrze. Grek, który go dostarczył, dotrzymał słowa, mówił, że to najlepsze gówno, jakie kiedykolwiek sprzedawał, a Lillmasen nie miał powodu, żeby się skarżyć, rzadko palił coś lepszego, a przecież sporo tego było. Popatrzył na Hildinga, którego niedawno nazywał Hilding-Vilding, a który teraz leżał i drzemał. Jego twarz już od dawna nie wyrażała takiego spokoju, nie drapał się nawet po tym obrzydliwym strupie na nosie; jego ręka, która zazwyczaj znajdowała się gdzieś na wysokości twarzy, leżała teraz nieruchomo na jednym z kolan. Pochylił się nad nim, uderzył go w ramię, Hilding obudził się, a Lillmasen uniósł kciuk. Uniesiony kciuk, a palec wskazujący wyciągnięty w stronę łazni. Mieli jeszcze więcej tego proszku w łazni pod deską sufitową przy przewodzie świetlnym. Jeszcze przynajmniej na dwa razy. Hilding zrozumiał, jego twarz okraślił uśmiech, odpowiedział Lillmasenowi podniesionym kciukiem, a potem znowu zapadł w półsen.

Tego dnia na oddziale panowało cholerne zamieszanie. Najpierw ten nowy goguś, gładko ogolony, który nie wiedział jeszcze, jakie tu obowiązują zasady. Stał tam z tą swoją miną na twarzy i gapił się jak jakiś, pożałuj Boże, bokser. Lillmasen dowiedział się

później, jak ten kutas się nazywa, powiedział mu o tym jeden z młodszych klawiszy, kiedy go o to poprosił. Jochum Lang. Co za idiotyczne imię. Cyngiel, pierdolony egzekutor. Mnóstwo pobić i zabójstw na koncie, ale wyroki krótkie, bo żaden kutas nie ośmielił się przeciwko niemu świadczyć. Ale na tym oddziale już niedługo zacznie kapować, o co chodzi. Na tym oddziale są zasady, i w ogóle. No i Hitler, który najpierw złał się w czasie bezpośredniej transmisji telewizyjnej, a mimo to był na tyle głupi, że przeszedł przez ich oddział w drodze do bunkra dla seksualnych. Zaszczany klawisz Hitler wpadł na nich, kiedy „turek” wprowadził ich w błogi nastrój, ale nie odważył się nic powiedzieć, choć pewnie wyczuł zapach. Mimo to wołał iść dalej, do zboczków, których powinno się wyróżnić. No i Grens, pieprzony kuternoga. Od dawna powinien gnić w ziemi, przecież już tyle lat jest gliniarzem, pewnie jeszcze dzisiaj mu staje, kiedy wraca pamięcią do tamtych wydarzeń; Grens był jednym z tych gliniarzy ze Sztokholmu, którzy w 1967 roku przyjechali do Blekinge, żeby odwiedzić płaczącego trzynastolatka do pogotowia opiekuńczego dla młodzieży i tym samym oszczędzić mu widoku krwawiącej moszny Pera.

Bekir potasował karty, przełożył, rozdał. Dragan dołożył na kupkę do puli dwie zapalki i wziął karty, Skåne też dołożył dwie zapalki do puli i wziął karty, Hilding zabrał swoje zapalki, podniósł się, poszedł do toalety. Lillmasen odkrywał karty pojedynczo, filował. Gównu. Bekir tasował jak baba. Dobrali karty. Lillmasen wymienił wszystkie oprócz jednej, króla trefl; nie wiadomo, po co to zrobił, ale z zasady nigdy nie wymieniał wszystkich. Cztery nowe karty. I znowu nic. Król trefl i cztery błotki nic mu nie dawały. Teraz trzeba wyłożyć karty. Położył swojego króla treflowego, dwójkę kier, czwórkę pik i siódmkę pik. Ostatnie rozdanie. Dragan rzucił damę trefl, a ponieważ i król, i as poszły wcześniej, uderzył triumfalnie pięścią w stół, zapalki należały do niego, a tym samym należała do niego cała forsa, jaką te zapalki zastępowały. Miał właśnie zgarnąć stos zapalek, kiedy Lillmasen

podniósł rękę.

- Poczekaj, kurwa, co ty robisz?
- Zgarniam pulę.
- Ale ja się jeszcze nie wyłożyłem.
- Dama wygrywa.
- Nie.
- Jak to: nie?
- Ja się jeszcze nie wyłożyłem.

Lillmasen wyłożył karty na stół. Król trefl.

- No właśnie.

Dragan zaczął wymachiwać rękami.

- Kiego chuja? Przecież król już poszedł.
- Widziałem. Ale jest jeszcze jeden.
- Przecież nie możesz mieć, kurwa, dwóch królów.
- Mogę czy nie, ale mam.

Lillmasen złapał Dragana za ręce i je odepchnął.

— To wszystko moje. Moja karta przebiła twoją. Jesteście mi winne sporo forsy, dziewczynki.

Wybuchnął śmiechem i uderzył pięścią w stół. Klawisze w dyżurce dla strażników, którzy zazwyczaj spędzali czas na rozmowach, odwrócili się, żeby sprawdzić, skąd dobiega ten dźwięk. Zobaczyli, jak Lillmasen rzuca pod sufit stos zapalek, a potem próbuje je łapać do ust. Wrócili do swoich zajęć.

Hilding szedł korytarzem, wracając z toalety. Poruszał się powoli, już trochę do siebie doszedł, w ręce niósł jakiś papier.

— Hilding-Vilding, jak myślisz, kurwa, kto zgarnął pulę? Do jednego razu sztuka. Jak myślisz, kto tu siedzi i czeka na piękne tysiączki?

Hilding nie słuchał go, tylko pokazał Lillmasenowi papier.

— Powinieneś to, kurwa, przeczytać, Masen. List. Milan go dzisiaj dostał. Dał mi go w kiblu. Uważa, że powinienem ci go pokazać. To od Branca.

Lillmasen pobierał zapalki, a potem włożył po kolei do pustego

pudełeczka.

— Świński ryj, po jakiego chuja mam czytać czyjeś listy?

— Myślę, że powinienes. Branco też tak uważa.

Podał list Lillmasenowi. Ten długo się w niego wpatrywał, a potem chciał go oddać Hildingowi.

— Nie.

— Wystarczy, jak przeczytasz sam koniec. Odtąd.

Hilding pokazał mu czwartą linijkę od końca. Lillmasen zerknął na fragment, który wskazywały brudne paluchy Hilinga.

— Ja...

Odchrząknął.

— Ja...

I znowu odchrząknięcie.

— Mam nadzieję...

Przetarł powieki, a potem oddał list Hildingowi.

— Kurwa mać, nie widzę, litery latają mi przed oczami. Ty przeczytaj.

Hilding zaczął czytać, podczas gdy Lillmasen wciąż przecierał powieki.

— „Mam nadzieję, że unikniemy niepotrzebnych nieporozumień. Jochum Lang to mój kumpel. Dobra rada: lepiej będzie, jak go polubicie”.

Lillmasen wysłuchał go w ciszy.

— Podpisane: Branco Miodrag. Rozpoznaję charakter jego pisma.

Lillmasen wziął list, przyjrzał się podpisowi pod treścią. Jugole. Pieprzone Jugole. Zmiał kartkę, rzucił ją na podłogę razem z pudełkiem zapalek, a potem zaczął deptać i list, i pudełko. Następnie rozejrzał się niespokojnie, popatrzył na korytarz, na cele, na Hilinga, który powoli pokręcił głową, na Skånego, Dragana, Bekira, ale oni też długo kręcili głowami, jak Hilding. Lillmasen schylił się i chciał właśnie podnieść papier, kiedy na końcu korytarza otworzyły się drzwi. Wyglądało to tak, jakby tam stał i czekał. Z

celi wyszedł Jochum, a potem zbliżył się do klęczącego Lillmasena. Ten podniósł się i odwrócił w jego stronę.

— Jochum, do cholery, nie musisz mi pokazywać żadnych listów. Przecież kapujesz, że trochę sobie z tobą żartowaliśmy.

Jochum nawet nie spojrzał na niego, kiedy ich mijali. Odpowiedział prawie szeptem, ale tak, że słyszeli go wszyscy; było cicho, więc ten szept zabrzmiał jak zawołanie:

— Dostałeś jakiś list, *tjavon?*

Przedszkole nazywało się Gołąbek. Nadano mu tę nazwę już na samym początku. Dawno temu. Trudno było zgadnąć, skąd wzięła się ta nazwa. W pobliżu nie było żadnych gołębi. Może coś z miłością? Gołąbki symbolizują pokój, coś światowego? Nikt nie wiedział. Żadna z osób, która była tam zatrudniona obecnie, nie pracowała od samego początku. Jedna ze starszych pań z wydziału opieki socjalnej pamiętała, jak otwierano przedszkole, ale też nie potrafiła odpowiedzieć na to pytanie, uczestniczyła co prawda w otwarciu, świetnie to pamięta, bo było to pierwsze nowoczesne przedszkole w Strängnäs, ale nie ma zielonego pojęcia, skąd wzięła się taka właśnie nazwa.

Było już po południu, dochodziła czwarta, większość spośród dwudziestu sześciorga dzieci została w środku i tylko kilkoro zdecydowało się wyjść na zewnątrz, na obezwładniający żar — w takich przypadkach, gdy słońce ogrzewało przedszkole, zalecano dzieciom wychodzić na podwórko, ale żar, który od wielu tygodni gościł na niczym nieosłoniętym podwórku, zwyciężył; małeńkie dziecięce ciała nie były w stanie wytrzymać temperatury, która w cieniu dochodziła do trzydziestu stopni, a na nieosłoniętym placu zabaw mogła być nawet o piętnaście stopni wyższa.

Marie postanowiła wyjść na dwór. Zmęczyła ją zabawa w Indian i malowanie twarzy, bo inne dzieci nie malowały zbyt dobrze, żadne z nich. Wychodziły im z tego zwykłe, przeważnie brązowe albo niebieskie kreski, a ona chciała mieć czerwone kółka, ale nikt

nawet nie chciał malować czerwonych kółek. Dlaczego nikt nie chciał tego robić? Nie rozumiała, chciała za to kopnąć Davida, bo on też nie chciał, ale uświadomiła sobie, że to jej najlepszy kolega, a najlepszych kolegów nie kopie się z takiego powodu. Zmieniła kapcie na lakierki i wyszła na chwilę na podwórkę; chciała sobie pojeździć samochodzikiem na pedały, tym żółtym, bo nikt nim akurat nie jeździł.

Jeździła nim dość długo. Dwa okrążenia wokół domu i trzy okrążenia wokół podwórka, tam i z powrotem, potem po szerokim chodniku, aż wreszcie utknęła w piaskownicy, chciała go podnieść od tyłu, żeby go wyciągnąć, ale ten głupi samochód nie dał się ruszyć, więc zrobiła to, co chciała zrobić Davidowi — kopnęła go i powiedziała mu kilka niemiłych słów, a mimo to samochodu nie dało się wyciągnąć. Udało się dopiero wtedy, kiedy przyszedł tamten pan, który siedział na ławce przed bramą, który ją pozdrowił; był taki miły i zapytał, czy może wyciągnąć samochód, a potem zrobił to, a ona mu podziękowała, a on był taki zadowolony, chociaż powiedział, że koło ławki leży malutki króliczek, który umiera, a jemu tak jest go żal.

* * *

Prowadzący przesłuchanie (PP) Sven Sundkvist: Cześć.

David Rundgren (DR): Cześć.

PP: Mam na imię Sven.

DR: Ja... (*nie słysząc*)

PP: Powiedziałeś: David?

DR: Tak.

PP: Ładne imię. Ja też mam syna. Jest dwa lata starszy od ciebie.

Ma na imię Jonas.

DR: Znam go.

PP: To świetnie.

DR: To mój kolega.

PP: Masz wielu kolegów?

DR: Tak, całkiem sporo.

PP: Dobrze. Świetnie. Czy któraś z twoich koleżanek ma na imię Marie?

DR: Tak.

PP: Domyślasz się, że to właśnie o niej chciałbym przede wszystkim porozmawiać?

DR: Tak, o Marie.

PP: No to świetnie. Wiesz co? Chciałbym, żebyś mi opowiedział, jak to dzisiaj było w przedszkolu.

DR: Dobra.

PP: Czy było tak jak zwykle?

DR: Co?

PP: No, czy był to zwykły dzień?

DR: Tak, zwyczajny.

PP: Wszyscy się bawili?

DR: Tak, najwięcej bawiliśmy się w Indian.

PP: Byliście Indianami?

DR: Tak, głównie tak. Ja miałem namalowane niebieskie kreski.

PP: Aha, niebieskie kreski. I wszyscy się w to bawili?

DR: Prawie wszyscy. Prawie przez cały czas.

PP: A Marie? Ona też się z wami bawiła?

DR: Tak, ale nie do końca.

PP: Nie do końca? Czy możesz mi opowiedzieć, dlaczego nie chciała się z wami bawić do końca?

DR: Nie chciała... (*nie słychać*) ...kresk, i w ogóle. Ale ja chciałem. Więc sobie poszła na podwórko. Bo nie namalowaliśmy jej kótek. Nikt nie chciał malować kótek. Wszyscy chcieli kreski. Takie... (*nie słychać*) ...jak ja mam. Więc jej powiedziałem, że też musi mieć takie kreski, a ona, że chce kółka, ale nikt nie chciał malować kótek. Więc wyszła na podwórze. Nikt inny nie chciał wyjść. Jest tak gorąco. Mogliśmy sobie wybierać, więc wybraliśmy zabawę w Indian.

PP: Widziałeś, jak Marie wychodziła?

DR: Nie.

PP: W ogóle nie?

DR: Po prostu sobie poszła. Była zła.

PP: Więc wy bawiliście się dalej w Indian, a ona sobie poszła, tak?

DR: Tak.

PP: Czy widziałeś jeszcze Marie?

DR: Tak, później.

PP: Kiedy?

DR: Widziałem ją przez okno.

PP: A co widziałeś przez okno?

DR: Widziałem Marie, jeździła samochodziem. Prawie nigdy wcześniej nim nie jeździła, a potem zakopała się w piasku.

PP: Zakopała się w piasku?

DR: Tak, w piaskownicy.

PP: Zakopała się z samochodem w piaskownicy?

DR: Tak.

PP: Powiedziałeś, że ją widziałeś. Że się zakopała. Co wtedy zrobiła?

DR: Kopnęła.

PP: Kopnęła?

DR: Tak, samochód.

PP: Kopnęła samochód. Czy zrobiła coś jeszcze?

DR: Powiedziała coś.

PP: A co powiedziała?

DR: Nie słyszałem.

PP: Co było potem? Jak już kopnęła samochód i coś powiedziała?

DR: Wtedy przyszedł ten pan.

PP: Jaki pan?

DR: Ten, co przyszedł.

PP: A gdzie wtedy stałeś?

DR: Przy oknie.

PP: Czy oni stali daleko od ciebie?

DR: Dziesięć.

PP: Dziesięć?

DR: Dziesięć metrów.

PP: Od Marie i od faceta?

DR: ...*(nie słyhać)*

PP: Czy wiesz, ile to jest dziesięć metrów?

DR: To dość daleko.

PP: Ale nie wiesz dokładnie?

DR: Nie.

PP: Davidzie, popatrz tu przez okno, czy widzisz tamten samochód? Czy stoi daleko?

DR: Tak.

PP: Czy to była taka sama odległość?

DR: Tak.

PP: Na pewno?

DR: To było tak daleko.

PP: Co się działo potem, kiedy przyszedł ten pan?

DR: Po prostu przyszedł.

PP: A co wtedy zrobił?

DR: Pomógł Marie przy samochodzie.

PP: A jak to zrobił?

DR: Podniósł. Był silny.

PP: Czy ktoś inny oprócz ciebie widział, jak on podnosi ten samochód?

DR: Tylko ja to widziałem, na korytarzu.

PP: Byłeś sam? Nie było tam żadnych innych dzieci?

DR: Nie.

PP: A pani?

DR: Też nie. Tylko ja.

PP: Co on zrobił potem?

DR: Rozmawiał z Marie.

PP: A co robiła Marie w czasie tej rozmowy?

DR: Nic. Po prostu rozmawiała.

PP: Jakie miała na sobie ubranie?

DR: To samo.

PP: To samo?

DR: To samo, w którym przyszła.

PP: Jak sądzisz, czy możesz opisać to ubranie? Jak wyglądało?

DR: Zielona koszulka.

PP: Z krótkim rękawem?

DR: Tak.

PP: I co jeszcze?

DR: Czerwone buciki. Bardzo ładne. Z takim czymś żelaznym.

PP: Żelaznym?

DR: To takie coś, co się zapina.

PP: Czy miała na sobie spodnie?

DR: Nie pamiętam.

PP: Może to były długie spodnie?

DR: Nie. Nie długie. Chyba krótkie. Albo sukienkę. Przecież na dworze jest gorąco.

PP: A ten pan? Jak wyglądał?

DR: Duży. Był silny, bo wyciągnął samochód z piasku.

PP: Jakie miał na sobie ubranie?

DR: Chyba spodnie. Może koszulkę. No i czapkę.

PP: Czapkę? Jaką czapkę?

DR: No taką, co się nosi na głowie.

PP: Taką z daszkiem?

DR: Tak, właśnie.

PP: Czy pamiętasz, jak ta czapka wyglądała?

DR: Taka sama, jaką można kupić na stacji Statoil.

PP: A potem? Co zrobili? Kiedy już skończyli rozmawiać?

DR: Potem sobie poszli.

PP: Poszli sobie? Dokąd?

DR: Podeszli do bramy. Ten pan poradził sobie z tym.

PP: Z czym?

DR: Z tym, co jest w bramie.

PP: Z haczykiem? Z tym, który jest tak wysoko i który się podnosi?

DR: Tak, z tym. Poradził sobie.

PP: A potem?

DR: Potem wyszli.

PP: W którym poszli kierunku?

DR: Nie widziałem. Po prostu wyszli.

PP: Dlaczego poszli?

DR: Nie wolno nam. Wychodzić. Nie wolno.

PP: Jak wyglądali, kiedy wychodzili?

DR: Nie byli źli.

PP: Nie byli źli?

DR: Byli nawet zadowoleni.

PP: Wyglądali na zadowolonych, kiedy wychodzili?

DR: Nie byli źli.

PP: Jak długo ich widziałeś?

DR: Niezbyt długo. Jak wyszli za bramę, to już nie.

PP: Po prostu znikli gdzieś?

DR: Tak.

PP: Czy chcesz coś jeszcze powiedzieć?

DR: ...*(nie słychać)*

PP: Davidzie? Jesteś bystrym chłopcem. Masz dobrą pamięć.

Czy możesz tu jeszcze przez chwilę posiedzieć, a ja porozmawiam w tym czasie z innymi panami?

DR: Mogę.

PP: Potem przyprowadzę twoich rodziców, oni już czekają na ciebie na dole.

II

(TYDZIEŃ)

Fredrik zdążył na prom odpływający o drugiej. Kursował tylko raz na godzinę, był pomalowany na żółto-zielono — takich kolorów używały służby drogowe; łączył ze sobą Oknön i Arno. Trwająca cztery do pięciu minut podróż, która stanowiła symboliczną granicę między stałym lądem a wyspą, między czasem, który pędził, a czasem, który trwał w oczekiwaniu. Piętnaście minut samochodem ze Strängnäs. Czerwony domek z białymi narożnikami kupił jakiś miesiąc przed narodzinami Marie, kiedy już nie potrafił siedzieć w domu i pisać. Była to prawdziwa ruina w samym środku gąszczy roślinności. Razem z Agnes spędzili pierwsze lata, żeby tę ruinę odnowić, a gąszcz zamienić w ogród. Niedługo minie sześć lat, napisał tam trzy książki, trylogię, która sprzedała się w dużym nakładzie. Mieli ją przetłumaczyć na niemiecki, gdyż wydawnictwo przeprowadziło badania marketingowe i uznało, iż książka jest na tyle dobra, że zysk przewyższy koszt promocji; od niedawna szwedzkie książki zaczęły coraz częściej zapełniać półki niemieckich czytelników.

Wiedział, że nie zdoła nic napisać, mimo to włączył komputer, wyjął stos notatek pełnych różnych szkiców i wpatrzył się w ekran monitora. Kwadrans, pół godziny, trzy kwadranse. Włączył telewizor, który stał w drugim kącie pokoju, spokojne obrazy, niezbyt głośno. Włączył radio, jakąś rozgłośnię reklamową, nadającą setki przebojów, które słyszał już tyle razy, więc nie musiał ich

słuchać teraz. Poszedł na krótki spacer, aż do wody, przypatrywał się przez lornetkę pasażerom na farwatrze, ludziom na łodziach, którzy zachowywali się normalnie, nie udawali.

Ani jednego słowa. Ale będzie tam siedział tak długo, aż napisze choć jedno.

Telefon.

Za każdym razem dzwoniła do niego Agnes. Inni przestali wydzwaniać, ale dopiero po roku zauważył, że telefony zamilkły; wiedział, że bywał niemiły, kiedy dzwonek telefonu przerywał mu w pół zdania, i trudno mu to było ukryć, kiedy z kimś rozmawiał, więc udało mu się w ten sposób pozbyć ich wszystkich, po kolei, a kiedy nadchodził kryzys, a ekran nadal był pusty, zobaczył pustkę, która się nagle załęgła. Była zarazem podstępna, piękna i brzydka.

— Słucham?

— Nie musisz się tak złościć.

— Piszę.

— Co?

— Nie bardzo mi idzie.

— To znaczy nic.

— Mniej więcej.

Nie mógł jej oszukać. Widzieli się nago.

— Przepraszam. W jakiej sprawie dzwonisz?

— Chcę moją córkę. Chcę wiedzieć, jak się ma. To w tej sprawie czasem do siebie dzwonimy. Próbowалам dzwonić wcześniej. Zmusiłaś Marie, żeby odłożyła słuchawkę. I tak nie dostałam żadnej odpowiedzi. Chcę ją dostać teraz.

— Dobrze. Wszystko u niej w porządku. Wydaje się, że jest jedną z tych nielicznych osób, które nie skarżą się na tę pogodę. Ma to po tobie.

Zobaczył przed sobą opalone ciało Agnes. Wiedział, jak wygląda, także teraz — siedziała w fotelu biurowym, wciśnięta w oparcie, w cienkiej sukience. Dawniej tęsknił za nią, każdego ranka, każdego

dnia, każdego wieczoru, teraz nauczył się nie tęsknić, zamykać się w sobie, być szorstkim, poirytowanym i wolnym.

— A przedszkole? Jak poszło ci dzisiaj z zawiezieniem jej tam?

Micaela. Chce wiedzieć coś o Micaeli. Czuł się dobrze z tym, że przeszkadza jej jego związek z kobietą, która była o szesnaście lat młodsza od niego. Pojął, że nie odgrywa to większej roli, że nie wróci do niego na klęczkach tylko dlatego, iż kocha kobietę, która jest równie ładna jak ona; a mimo to było to miłe uczucie, w jakiś dziecięcy sposób nie potrafił zaprzeczyć, że sprawia mu to przyjemność, tak właśnie było.

— Lepiej. Dzisiaj zabrało mi to dziesięć minut. Potem Marie biegła i bawiła się z Davidem w Indian.

— W Indian?

— Właśnie. Dzieci chyba tak się teraz bawią.

Siedział w niewielkiej kuchni, przy kuchennym stole, było to jego miejsce pracy. Podniósł się, zabrał ze sobą telefon bezprzewodowy i poszedł do jeszcze mniejszego pokoju, gdzie usiadł w fotelu. Agnes zadzwoniła o właściwej porze, przez chwilę będzie mógł oderwać się od gapienia w pusty ekran monitora. Miał ją właśnie zapytać, jak jest w Sztokholmie, jak jej się wiedzie, bo rzadko potrafił pytać ją o takie sprawy; bał się odpowiedzi, bał się usłyszeć, że jest jej dobrze i że ona też pozostaje z kimś w nowym związku. Poszukiwał jakiegoś obojętnego sformułowania i miał je właśnie na końcu języka, kiedy jego wzrok padł na ekran ciągle włączonego telewizora stojącego w kącie pokoju.

— Agnes, poczekaj chwilę.

Zdjęcie czarno-białe, uśmiechnięty mężczyzna, ciemne, krótko przyszyryżone włosy. Fredrik rozpoznał tę twarz. Widział ją niedawno. Widział ją dzisiaj. To ten ojciec siedzący na ławce w parku. Obok przedszkola. Wymienili pozdrowienia. Ten mężczyzna siedział na ławce tuż obok bramy przedszkola i czekał.

Fredrik podszedł do odbiornika, podkreślił głośność.

Kolejne zdjęcie mężczyzny. Kolorowe. Z więzienia, z jakimś

murem w tle. Obok niego dwóch strażników. Macha w stronę kamery. Przynajmniej tak to wyglądało.

Podeksycytowany głos lektora czytającego wiadomości. Za każdym razem ten sam terkoczący ton, z wyraźnym akcentem na każde słowo, neutralne głosy bez osobistego zabarwienia.

Głos informował, że osoba pokazywana na zdjęciu, ów ojciec z ławki parkowej, ma trzydzieści sześć lat i nazywa się Bernt Lund. W 1991 roku skazano go za serię gwałtów popełnionych na nieletnich dziewczynkach. W 1997 roku skazano go ponownie za te same przestępstwa, których kulminacją było tak zwane morderstwo w Skarpholmie, kiedy to brutalnie wykorzystał dwie dziewięcioletnie dziewczynki i zamordował je w jakiejś komórce piwnicznej. Dzisiaj rano, gdy był przewożony do szpitala Södersjukhuset, udało mu się uciec. Bert Lund, więzień z zamkniętego oddziału dla przestępców seksualnych w zakładzie karnym w Aspsås, był na wolności.

Fredrik siedział w milczeniu.

Nic nie słyszał, choć podkreślił głośność; nadal nie słyszał.

Człowiek ze zdjęcia. Pozdrowił go.

Przedstawiciel służby więziennej z podstawionym pod nos mikrofonem dukał coś, a z czoła spływały mu krople potu.

Jakiś starszy policjant o szorstkim wyglądzie nie udzielał żadnych informacji i zakończył konferencję apelem o pomoc społeczeństwa w tej sprawie.

A on go pozdrowił.

Siedział na ławce pod bramą, a on skinął mu głową, najpierw w drodze do przedszkola, a potem, kiedy wychodził. Fredrik nie mógł się poruszyć.

Słyszał, jak Agnes woła coś do słuchawki, jej ostry głos przeszywał mu uszy. Niech sobie krzyczy.

Nie powinien był go pozdrawiać. Nie powinien był skinąć mu głową.

Podniósł słuchawkę.

— Agnes, nie mogę teraz rozmawiać. Muszę wykonać inny telefon. Odkładam słuchawkę.

Nacisnął jeden z guzików na słuchawce, czekając na wolny sygnał.

Agnes nadal się nie rozłączała.

— Agnes, do diabła, odłóż słuchawkę!

Rzucił telefon na podłogę, podniósł się szybko, pobiegł do kuchni, żeby zabrać marynarkę, która wisiała na jednym z krzeseł, wyciągnął telefon komórkowy i wybrał numer do Micaeli, do przedszkola.

Lars Ågestam rozejrzał się po sali sądowej. Cóż za barwna zbieranina ludzi.

Realizujący swe polityczne zadania ławnicy o zmęczonych oczach ignorantów, sędzina van Balvas, która już na samym początku procesu zachowała się nieprofesjonalnie, kiedy to w wyraźny sposób okazała z góry przyjętą postawę wobec osób oskarżonych o przestępstwa popełnione na tle seksualnym; Håkan Axelsson, który w ciągu całego procesu nie potrafił nawet okazać emocjonalnego zrozumienia tego, co jego czyny oznaczały dla wielu nastoletnich dzieci; strażnicy więzienni stojący tuż za nim, którzy udawali, że cokolwiek rozumieją; siedmiu dziennikarzy z gazet, na samym przedzie, zasiadających w ławkach prasowych, którzy nieustannie coś notowali, ale nawet w kwintesencji swych tekstów nie potrafili oddać w sposób właściwy przebiegu procesu; dwie kobiety na ławkach z tyłu, które wysiadywały na każdej rozprawie, ponieważ wstęp był bezpłatny, miały tu rozrywkę, no i obowiązywały prawa obywatelskie; grupa pryszczatych studentów prawa na samym końcu sali. Ci, tak jak i on przed kilku laty, przysłuchiwali się sprawom sądowym, a dzisiaj potraktowali proces w sprawie o łamanie praw dzieci jako pracę na zaliczenie, która w ostatecznym rozrachunku da im upragniony tytuł magisterski.

Chciał krzyczeć i prosić ich wszystkich, żeby opuścili salę sądową albo przynajmniej trzymali gęby na kłódkę.

Był jednak dobrze wychowanym, ambitnym i stosunkowo krótko pracującym prokuratorem, który w przyszłości chciałby robić coś innego, niż oskarżać przestępców seksualnych i drobnych handlarzy, który chciał piąć się coraz wyżej, więc był na tyle sprytny, że nie wypowiadał prywatnych opinii. On tylko oskarżał i przygotowywał akt oskarżenia, a kiedy rozpoczynał się proces, wiedział o wiele więcej niż ktokolwiek na sali, więc trzeba było cholernie dobrego adwokata, żeby w ogóle się opłacało próbować walczyć.

Kristina Björnsson była takim adwokatem. Cholernie dobrym adwokatem.

Była jedyną osobą na tej sali, której nie zdołał umiejscowić w barwnej mozaice zgromadzonych ludzi. Doświadczona, mądra, jedyna, z jaką dotychczas zetknął się po drugiej stronie barierki, która na okrągło broniła idiotów i nadal uważała ich za ważniejszych niż bieżące wynagrodzenie. Należała do tych nielicznych osób, które dzięki temu zdobyły sobie szacunek swoich klientów. Jedną z pierwszych historii, jakie mu opowiedziano, kiedy stawiał pierwsze, dziewicze kroki na wydziale prawa uniwersytetu sztokholmskiego, była opowieść o Kristinie Björnsson i jej kolekcji monet. Była z zamiłowania numizmatykiem, posiadała jedną z bogatszych kolekcji monet w kraju, którą jej ukradziono gdzieś na początku lat dziewięćdziesiątych. Życie w więzieniach zamieniło się wtedy w piekło; za pośrednictwem mężów zaufania wieść o tym zdarzeniu rozeszła się wśród osadzonych, a po tygodniu dwóch wielkich typów z warkoczami odwiedziło panią adwokat w domu, przynosząc kwiaty i nietkniętą kolekcję, zawiniętą w papier do pakowania prezentów z zawiązaną wstążeczką. Każda moneta leżała na swoim miejscu, ułożona w oddzielnej plastikowej kieszonce. Załączono też list napisany starannie przez trzech zawodowych kryminalistów specjalizujących się w kradzieżach dzieł sztuki i przedmiotów antycznych, długi list, w którym bardzo prosili o przebaczenie i usprawiedliwiali się, że nie wiedzieli, do kogo te monety należą, i że oferują swoją pomoc, gdyby kiedykolwiek

chciała uzupełnić swoją kolekcję, oczywiście pod warunkiem że nie przeszkodzi jej niezgodna z prawem forma ich nabycia. Lars Ågestam wielokrotnie zastanawiał się nad tym, że gdyby kiedykolwiek znalazł się w sytuacji, w której potrzebowałby adwokata, to zwróciłby się właśnie do Kristiny Björnsson.

Wykonał dobrą robotę, także i tym razem. Håkan Axelsson był jednym z tych pozbawionych ludzkich uczuć bydlaków, którzy zasługiwali na wieloletni wyrok — i właśnie takiego wyroku będzie domagać się strona skarżąca, opierając się na dowodach rzeczowych w postaci zdjęć gwałconych dzieci, które pokazano z płyt CD, zeznaniach złożonych przez kilku innych członków zamkniętego kręgu siedmiu pedofilów, którzy uczestniczyli w mrocznej dystrybucji dziecięcej pornografii w sobotnie wieczory o godzinie ósmej, a także na podstawie przyznania się pozwanego. Pewnie jednak wymiga się jakimś niewielkim wyrokiem jednego, dwóch lat. Björnsson starannie obalała argumenty oskarżenia, jeden po drugim; twierdziła, że jej klient cierpi na ciężkie zaburzenia psychiczne i dlatego zasługuje na leczenie w zamkniętym zakładzie psychiatrycznym. Nigdy nie udałooby się jej wywalczyć takiego orzeczenia i wiedziała o tym, ale w ten sposób otwierała sobie pole manewru na znalezienie kompromisowego rozwiązania, co z chwilą przyznania się Axelssona do winy wydawało się rzeczą niemożliwą. Teraz jednak bardziej możliwą. Kontynuowała tę linię obrony i otrzymała akceptację ławników, widać to było wyraźnie. Zapachniało łagodnym wyrokiem, kiedy któryś z ławników stwierdził, że jedno z dzieci ubrało się w sposób wyzywający.

W Ågestamie się zagotowało. Ten pieprzony polityk gminny siedział przed nim ubrany w szary garnitur i gadał o dziecięcym ubranku, o spotkaniu między ludźmi i o współodpowiedzialności. Ågestam miał ochotę bardziej niż kiedykolwiek przywalić z pięchy całej tej zbieraninie ławników, a potem odesłać ich do wszystkich diabłów i pożegnać się z karierą.

Już wcześniej obserwował procesy prowadzone przeciwko trzem

spośród siedmiu pedofilów, dostali wtedy wysokie wyroki, a Axelsson był tak samo winny jak oni. Tymczasem Kristina i ci faceci zza ławy zawarli staromodny pakt, i gdyby tego samego ranka Bernt Lund nie uciekł z więzienia, to skończyłoby się uniewinnieniem, a opinia młodego kandydata na stanowisko prokuratora okręgowego ucierpiałaby. Zniknięcie Lunda wzbudziło ponownie ożywione zainteresowanie wśród dziennikarzy, którzy nagle zaczęli poświęcać procesowi Axelssona więcej uwagi. Ich wypociny nie będą już więcej drukowane na stronie jedenastej, tylko na siódmej, i każdy związek, jaki istnieje między Axelssonem a najbardziej nienawidzonym i ściganym człowiekiem w Szwecji, będzie roztrząsany na dwóch kolumnach; trzeba więc orzec przynajmniej rok więzienia, żeby uniknąć pytań opinii publicznej.

Ågestamowi odechciało się raz na zawsze wszystkich spraw o przestępstwa seksualne.

Zabierały zbyt dużo energii, nie miały żadnego znaczenia, jeśli sprawca i ofiara były anonimowymi osobami z kartki papieru. To przestępstwo zawładnęło nim, zmuszało do rezygnacji z zachowywania dystansu i urzędniczego opanowania; prokurator znajdujący się w afekcie ryzykował, że stanie się prokuratorem bezwartościowym.

Chciał zajmować się napadami na banki, morderstwami, oszustwami wszelkiego rodzaju. Sprawy karne o przestępstwa seksualne były łatwe do przewidzenia, każda ze stron miała własne zdanie i już od dawna zaprezentowała swoje argumenty. Jeszcze przed sprawą Axelssona starał się zrozumieć, czytać coś na temat pornografii dziecięcej, zapisał się nawet na kurs organizowany przez Urząd Prokuratora Generalnego, żeby nauczyć się zasad prowadzenia spraw z oskarżenia o gwałt; było ich tam czterech prokuratorów i trzech adwokatów, którzy wieczorami próbowali razem znaleźć narzędzia pozwalające na ustalenie podstaw lepszego osądzania takich przypadków.

Nie chciał już więcej prowadzić spraw przestępców seksualnych,

a już absolutnie nie chciał zajmować się Berntem Lundem, kiedy go w końcu złapią; Lund kosztował go zbyt dużo nerwów, jego zbrodnie były tak ciężkie, że Ågestam nie był w stanie czytać akt, a potem przedstawić w formie pisemnej jego czynów.

Zamierzał dopilnować, by kiedy przyjdzie właściwy czas, trzymał się od takich spraw jak najdalej.

Otworzył drzwi, zaczął szukać kluczy, ale w końcu zostawił dom otwarty i pobiegł w stronę samochodu.

Marie.

Biegł i płakał, a gdy dobiegł, szarpnął klamkę samochodu.

Kluczyk tkwił w stacyjce, cały pęk kluczy, zapuścił silnik i szybko wycofał przez wąski wjazd.

Nie było jej tam.

Micaela słuchała jego nieskładnej opowieści, odłożyła słuchawkę i poszła jej szukać. Najpierw w budynku, potem na zewnątrz. Nigdzie jej nie było. Zaczął krzyczeć, a Micaela poprosiła go, żeby się uspokoił, więc zaczął mówić spokojniejszym tonem, po czym znowu podniósł głos i krzyczał jeszcze głośniejszym tonem, o ławce przed bramą i o wiadomościach w telewizji, i o „ojcu”, którego zdjęcie znajdowało się w witrynie przed więziennym murem.

Odłożył słuchawkę, a teraz siedział w samochodzie, jadąc krętą drogą zupełnie spanikowany; dalej płakał i krzyczał.

Był najzupełniej pewien, że człowiek z ławki to ten sam mężczyzna, którego zdjęcia pokazywano w telewizji. Zdjął jedną rękę z kierownicy i połączył się z centralą policji w Sztokholmie, wykrzykiwał przez jakąś minutę do słuchawki swoją sprawę, po czym połączono go z oficerem dyżurnym. Wyjaśnił mu, o co chodzi, że widział Lunda przed przedszkolem w Strängnäs i że jego

córka, która była w tym przedszkolu, gdzieś znikła.

Od domu do promu były trzy kilometry. Minał w pełnym pędzie zamkniętą szkołę przy placu Skvallertorget, a kilkaset metrów dalej kamienny kościółek z XIII wieku. Na cmentarzu znajdowały się trzy osoby: jedna zajmowała się podlewaniem, druga stała spokojnie na trawniku przed grobem, a trzecia grabiła piaszczystą alejkę.

Przyjechał o kilka minut za późno; prom, który właśnie odpłynął, znajdował się już w połowie drogi na drugi brzeg. Ze stałego lądu odchodził co godzinę, a z powrotem, z wyspy, dziesięć minut później. Spojrzał na zegarek, była piętnasta czternaście, zaczął trąbić i dawać sygnały światłami.

Bezskutecznie.

Zadzwoił. Kapitan promu rzadko wsłuchiwał się w różne sygnały, ale dzisiaj było jeszcze ciszej niż zwykle, bezwietrzna pogoda, żadnych motorówek w zasięgu wzroku; Fredrikowi udało się do niego dodzwonić, próbował mu wyjaśnić, co się stało, i otrzymał obietnicę, że po opuszczeniu promu przez pasażerów i samochody natychmiast zawróci na wyspę.

Po jaką cholerę pojechali do tego przedszkola?

Dlaczego nie zostali w domu, przecież było już wpół do drugiej?

Fredrik zobaczył, jak prom dobija do brzegu, czuł, jak ucieka czas; Marie nie było ani w przedszkolu, ani na zewnątrz. Myślał o swojej córce, która stała się dla niego kimś więcej niż człowiekiem, sprawił, że stała się większa, może zbyt duża; według Agnes wyglądało to tak, jakby Marie miała przejąć od niego całą jego miłość, skupić ją w sobie, a potem obdarzać nią ich dwoje. Chodziło o tę miłość, którą Fredrik koncentrował na niej. Marie miała też przejąć miłość od Agnes, skupić ją w sobie, a potem również ich nią obdarzać, miała wiązać ich ze sobą, a on często myślał, że to nie tak powinno być, że nikt nie powinien być w oczach innych kimś więcej niż tylko człowiekiem, że nie wolno kogoś takiego zmuszać do okazywania więcej miłości, niż mieści się jej we wnętrzu człowieka, a pięciolatka nie jest przecież duża.

Znowu zadzwonił do Micaeli. Nikt nie odpowiadał. Jeszcze raz. Jej telefon był wyłączony. Po połączeniu z numerem rozlegał się głos automatycznej sekretarki, który prosił go o pozostawienie wiadomości.

Już od dawna nie płakał. Nawet wtedy, kiedy Agnes się wyprowadziła, nie potrafił już płakać, czasami próbował, naprawdę się starał, ale nie udawało mu się, nie mógł się zmusić, nigdy nie potrafił; sięgnął pamięcią w przeszłość i zrozumiał, że jako dorosły nigdy nie płakał.

Był zamknięty w sobie.

Przynajmniej kiedyś.

Dlatego teraz nic nie pojmował. Ten cholerny strach, który nim zawładnął, i ten cholerny płacz, którego nie mógł opanować. Wiele razy wyobrażał sobie, że będzie to pięknie wyglądać, ale to, co przeżywał teraz, to była kradzież, coś wyciekało z niego, jakiś regularny dźwięk, tym głośniejszy, im więcej się go wydobywało.

Unióś rękę do czapki, zawsze się tak pozdrawiali. Wjechał na pokład promu.

Woda wokół niego. Prom pokonywał swoją zwykłą trasę. Fredrik przeglądał wiadomości w popołudniówkach. Najpierw zdjęcie małego formatu, czarno-białe. Mężczyzna się uśmiechał. Potem krótka przebitka na mury więzienne. Stał między strażnikami i machał do kamery. Fredrik starał się pozbyć widoku tej twarzy, która wciskała się do jego świadomości, nie chcąc zniknąć. Ten uśmiechający się i machający do kamery człowiek gwałcił dzieci. Jedno za drugim. Fredrik już wiedział. Przypomniawszy sobie. Dwie dziewczynki, które zostały zbezczeszczone i zamordowane w piwnicy. Zostały zmasakrowane. Lund pociął je, poszarpał, pobił, jakby to były jakieś stare lalki ze stosu śmieci. Fredrik czytał o tym wtedy. Nie potrafił jednak wziąć tego do siebie, nie umiał myśleć w ten sposób. Czytał i podzielał wściekłość opinii publicznej, ale miał do tego taki stosunek, jakby jemu nie mogło się to przydarzyć; przekazywane przez środki masowego przekazu informacje na

temat procesu wciskały się w jego życie codzienne każdego dnia, przez długie tygodnie, tak że już nie potrafił tego śledzić.

Na mostku kapitańskim, na górze, stał starszy mężczyzna; Fredrik pamiętał, że wcześniej kierował promem tylko w czasie rannych kursów, pewnie jakiś emeryt, którego wstawili do grafiku w oczekiwaniu na kogoś młodszego, kto zostanie tu przeniesiony z innej linii. Mądry człowiek; zauważył, jak bardzo wzburzony jest Fredrik, więc nie zszedł schodami w dół i nie pytał go o nic, choć często to robił, takie tam gadanie o pogodzie i cenach nieruchomości. Słyszał, jak Fredrik dawał z brzegu sygnały i jak dzwonił, chciałby się teraz dowiedzieć więcej, ale trzymał się z dala, a Fredrik zamierzał mu kiedyś za to podziękować, może następnym razem.

Drugi brzeg. Owczarek starszego mężczyzny stał przywiązany przy jednym z drzew w pobliżu wody, rozszczękał się z radości, kiedy jego pan mu pomachał. Fredrik ruszył z piskiem opon, z promu zjechał dokładnie w tej chwili, kiedy dotknął brzegu.

Bał się.

Strasznie się bał.

Marie nigdy nie odchodziła od niego, nie mówiąc o tym wcześniej. Wiedziała, że Micaela jest w środku i że musi jej powiedzieć, iż chce wyjść z ogródka, za płot.

Mężczyzna na ławce za bramą. Czapka z daszkiem, niewysoki, dość szczupły. Nawet go pozdrowił.

Droga Arnövägen, dziewięć kilometrów zakrętów na piaszczystej powierzchni, potem droga numer 55, osiem kilometrów asfaltu. Nie było tam zbyt dużo samochodów, więc zwiększył prędkość, jechał szybciej niż kiedykolwiek wcześniej.

Widział jego twarz. To był on. Wiedział, że to był on.

Pięć samochodów przed nim. Jechały wolno, z przodu mały czerwony samochód z ogromną przyczepą campingową zarzucał mocno na zakrętach, a sznureczek samochodów jadących za nim trzymał się w bezpiecznej odległości. Próbował ich wyprzedzić,

raz, drugi, ale za każdym razem musiał zwolnić, kiedy pojawiał się następny zakręt, a widoczność spadała do zera.

Następny zjazd, na Tosterö, zjazd w prawo tuż przed mostem i centrum Strängnäs.

Zobaczył ich już z dużej odległości.

Stali przed bramą, między podwórkiem przedszkola i ulicą, która biegła wzdłuż niego.

Pięć wychowawczyń i dwie kucharki. Czterech policjantów z psami. Kilkoro rodziców, których rozpoznawał, i kilkoro, których nie znał.

Jeden z nich, trzymający dziecko na ręce, wskazywał w stronę lasu. Któryś z policjantów poszedł tam z psem, żeby znaleźć trop, potem dołączyły do niego jeszcze dwa inne.

Fredrik podjechał aż pod samą bramę, przez chwilę siedział jeszcze w samochodzie, zanim otworzył drzwi i wyszedł na ulicę; czekała tam na niego Micaela, wcześniej jej nie zauważył, wyszła mu na spotkanie z budynku.

Kawa była czarna. Żadna tam kawa z mlekiem, żadna neska, cappuccino czy inne modne gówna, tylko prawdziwa szwedzka kawa, czarna jak węgiel, bez fusów. Ewert Grens stał przed automatem ustawionym na korytarzu; nie, nie zapłaci nawet pół grosza, żeby wsypać do kubka trochę suchego białego proszku, paskudnie to wtedy smakuje, jakieś konserwanty i jeszcze coś, co przypominało prawdziwą chemię. No a Sven — ten musiał ją mieć obowiązkowo. Kawa powinna wyglądać jak brązowa lura, chętnie nawet płacił za to, żeby ją rozcieńczyć. Ewert specjalnie trzymał plastikowe kubki w pewnej odległości jeden od drugiego, tak jakby kawa jasnobrązowa mogła skazić tę czarną; starał się utrzymywać równowagę, niosąc oba kubki w rękach i idąc lekko chwiejnym krokiem po korytarzu. Wszedł do swojego pokoju, wyciągnął rękę z kubkiem w stronę krzesła dla gości, na którym siedział Sven, skurczony, bezsilny.

— Masz. To twoja lura.

Sven podniósł się, wziął kubek.

— Dzięki.

Ewert stanął przed nim, to chyba coś z oczami, nie wiedział jednak co.

— Co z tobą? Chyba nie jest aż tak cholernie niebezpiecznie, żebyś musiał pracować w swoje czterdzieste urodziny?

— Nie.

— No to co?

— Przed chwilą dzwonił Jonas, dokładnie wtedy, kiedy walczyłeś z automatem.

— No i?

— Pytał, dlaczego nie wróciłem do domu, skoro obiecałem, że przyjdę. Powiedział, że jestem kłamcą.

— Kłamcą?

— Powiedział, że dorośli kłamią.

— No dobra. Przejdź do rzeczy.

— Widział w telewizji reportaż o Lundzie. Pytał, dlaczego dorośli kłamią i mówią, że pokażą dziecku nieżywą wiewiórkę albo piękną lalkę, skoro jedyną rzeczą, jakiej taki dorosły chce, jest zadowolenie swojego kutasa i pobicie kogoś. Tak właśnie powiedział. Dosłownie.

Sven przez chwilę pił kawę w ciszy, potem zagłębił się w myślach, bezwiednie pokręcił się trochę na krześle, raz w lewo, raz w prawo. Ewert podszedł do półki z książkami, do magnetofonu, szukał czegoś między plastikowymi pudełkami na kasety.

— Jak można na to odpowiedzieć? Ojciec kłamie, dorośli kłamią, niektórzy dorośli kłamią, wykorzystują swojego kutasa i biją. Ewert, ja już nie wyrabiam. Ja już, do cholery, nie wyrabiam.

Sju vackra gossar, med Harry Arnolds Radioband, 1959.

Zaczęli słuchać muzyki.

Mój pierwszy, mały przyjaciel był cienki jak szabla,

Ten drugi był blondynem i tak bardzo go pokochałam.

Tekst piosenki był banalny i nic nieznaczący, i właśnie dlatego ulotny; Ewert powoli kołysał głową, zamknięte oczy, inny czas, kilka minut spokoju.

Ktoś zapukał do drzwi.

Sven spojrzał na Ewerta, który z irytacją pokręcił głową. Znowu pukanie, tym razem mocniejsze.

— Proszę!

Ågestam. W drzwiach ukazała się gładko przyczesana grzywka i przymilny uśmiezek. Ewert Grens nie bardzo lubił zdolnych chłopaków, a szczególnie nie lubił tych, którzy byli zdolni i udawali prokuratorów, ale tak naprawdę chcieli tylko iść coraz wyżej i coraz dalej.

— Czego tam, do cholery?

Lars Ågestam wzdrygnął się na dźwięk tych słów.

— Lund.

Ewert spojrzał znad krawędzi kubka, odstawił go na bok.

— Tak?

— Widziano go.

Ågestam opowiedział, że oficer dyżurny skończył przed chwilą rozmowę dotyczącą Bernta Lunda, którego przed kilkoma godzinami widziano w Strängnäs, w okolicy przedszkola. Jeden z ojców, dość opanowany i wypowiadający się składnie, choć trochę przestraszony, zadzwonił z telefonu komórkowego i mówił coś o ławce w parku, o czapce z daszkiem i twarzy, którą rozpoznał. W przedszkolu zostawił swoją córkę, pięcioletnią dziewczynkę, która według tego, co mówili pracownicy przedszkola, gdzieś znikła.

Ewert zmiął plastikowy kubek i wrzucił do kosza na śmieci.

— Bydlak! Bydlak!

Przesłuchanie. Najobrzydliwsze, jakie kiedykolwiek prowadził. Człowiek, który był „czymś” innym, i te oczy, które zawsze unikały jego wzroku.

Grens, do cholery.

Lund, chcę, żebyś na mnie spojrzał.

Grens, one są dziwkami.

Przesłuchuję cię, Lund. Chcę, żebyś na mnie patrzył.

Suki. Małe, podniecone, cholerne suki.

Albo zaczniesz na mnie patrzeć, albo przerwiemy przesłuchanie, natychmiast.

Chcesz wiedzieć. O tych małych pizdeczkach. Wiem, że chcesz.

A więc nie masz odwagi na mnie spojrzeć?

Cipki chcą kutasa.

Dobrze. A teraz popatrzmy na siebie.

Małe, maleńkie cipeczki, które chcą mieć mnóstwo kutasów.

Może jednak spojrzysz mi prosto w oczy?

To właśnie tego trzeba je nauczyć. Żeby nie myślały o kutasie przez cały czas.

Widzę, że już nie wyrabiasz. Masz takie tchórzliwe oczy.

Małe cipki są najgorsze, są najbardziej podniecone, dlatego trzeba być twardym.

Chcesz, żebym wyłączył magnetofon i stracił panowanie nad sobą.

Grens, czy ty kiedykolwiek lizałeś dziewięcioletnią cipkę?

Wyłączył muzykę. Kasetę włożył ostrożnie do pudełeczka.

— Jeśli jest aż tak zdesperowany, że pozwala, aby go zauważono, zanim porwie się na jakiegoś dzieciaka, to istnieje duże ryzyko, że puściły mu wszelkie hamulce.

Podszedł do wieszaka, który stał wciśnięty za drzwiami, i zdjął wiszącą na nim marynarkę.

— Ja go przesłuchiwałem, wiem, jak myśli. Czytałem też raporty biegłych z wydziału medycyny sądowej, które potwierdziły to, co już wiedziałem wcześniej: Lund ma wyraźne tendencje sadystyczne.

Ewert nie tylko czytał opinie biegłych sądowych, ale nawet zadał sobie trud, żeby je zrozumieć, słowo po słowie. Już zanim zaczął przesłuchiwać Lunda i nawet po przesłuchaniu, był wstrząśnięty o wiele bardziej niż kiedykolwiek wcześniej; nic nie wywarło na nim takiego wrażenia, nic, co znał wcześniej. Nienawiść, strach, zawód policjanta uczyniły z niego zimnego typu, wiedział o tym, i dosyć trudnego człowieka, o czym też wiedział; zachowanie ludzkich uczuć było jednak cholernie trudne w tamtych czasach, które były,

jakie były, ale Lund, jego zbrodnie i jego obcość sprawiły, że Ewert po raz pierwszy w życiu chciał zrezygnować, wycofać się, przestać się starać. Rozmawiał też z psychiatrami, którzy pisali opinie, którzy opowiedzieli mu więcej, niż powinien wiedzieć, opowiadali o Lundzie i o sadystycznych gwałtach, jakich się dopuścił, o złości, która dla niego oznaczała to samo co seksualność; krzywdzenie sprawiało mu przyjemność, a oglądanie tego i czynienie kogoś bezbronnym stało się rozkoszą. Ewert pytał, czy Lund w ogóle rozumie, co zrobił, czy pojmuje, co czuje i jak reaguje samo dziecko i jego rodzice, i wszyscy inni, którzy w tym uczestniczą. Psychiatra ostrożnie pokiwał głową, a potem opowiedział o dzieciństwie Lunda, o przemocy, jakiej dość wcześnie zaczął się wobec niego dopuszczać, o tym, że Lund, aby wytrzymać z samym sobą, zamknął się dla wszystkich innych.

Marynarka w ręce, najpierw wskazał na Svena, a potem na Ågestama.

— Łagodne zaburzenia psychiczne. Kapujecie? Facet gwałci małe dziewczynki, a psychiatra uznaje to za łagodne zaburzenia psychiczne.

Ågestam westchnął.

— Przypominam sobie. Byłem wtedy na uniwersytecie. Pamiętam, jakie to było dziwne, jacy byliśmy wtedy wściekli.

Ewert zarzucił marynarkę na ramiona, potem odwrócił się do Svena.

— Pojedziemy samochodem. Do Strängnäs. Gaz do dechy. Ty prowadzisz.

Lars Ågestam nadal stał w drzwiach, powinien już stamtąd odejść, ale nie zrobił tego.

— Pojadę z wami.

Ewert nie lubił tego młodego prokuratora. Okazał mu to już wcześniej, a teraz zrobił to ponownie.

— A więc prowadzisz postępowanie przygotowawcze w tej sprawie?

— Nie.

— No to się odsuń.

. . .

Słońce powoli zniżało się do linii horyzontu, ciągle było gorąco, a silny blask drażnił oczy, kiedy jechali szybko drogą E4 na południe. Wyjechali z miasta, minęli przedmieścia, Królewski Zakręt, Fittja, Tumba, Södertälje. Skręcili na zachód, drogą E20 w stronę Strängnäs, a wtedy Sven odetchnął z ulgą. Gesty Ewerta, który dawał mu do zrozumienia, że powinien zwiększyć prędkość, i jego narzekanie z powodu osłon przeciwsłonecznych, które były za krótkie, ustały dokładnie w tej samej chwili, kiedy zmienili kierunek jazdy. Teraz mógł pędzić z jeszcze większą prędkością, natężenie ruchu było tu niewielkie, a promienie słoneczne padały w innym kierunku.

Nie rozmawiali zbyt wiele. W okolicy przedszkola widziano Bernta Lunda. Zaginęła pięcioletnia dziewczynka. Nie musieli mówić zbyt wiele. Każdy z nich sam zastanawiał się nad tym, co się stało, co mogło się stać, a każdy scenariusz kończył się nadzieją, że jest to fałszywy alarm, że dziewczynka wyjdzie nagle z jakiejś sali zabaw, którą pominięto, że ojciec, twierdzący, iż widział Bernta Lunda, jest jednym z tych, którym strach miesza się z fantazją.

Czterdzieści trzy minuty. Z centrum Sztokholmu do przedszkola Gołąbek w Strängnäs.

Już kilkaset metrów przed dotarciem na miejsce zrozumieli, że jest inaczej. Że to nie fałszywy alarm. Że chodzi o coś innego, prawdopodobnie o to najstraszniejsze. Zobaczyli wychowawczynie i opiekunki, rodziców i ich bawiące się dzieci, dwa samochody policyjne z umundurowanymi policjantami i niezliczoną liczbę psów; z daleka widzieli, że w pobliżu ogrodzenia przedszkola panuje ogromny bałagan, wywołany głośno zadawanymi pytaniami, strachem, zamieszaniem.

Sven zaparkował samochód w pewnej odległości od ogrodzenia. Jeszcze chwilę. Na moment złapać trochę ciszy, zanim wpadną w ten chaos. Cisza wokół wykrzykiwanych pytań. Przyjrzał się spanikowanym ludziom. Przez cały czas się ruszali. Niespokojni ludzie się ruszają. Tak się właśnie zachowują. Popatrzył na nich przez szybę samochodu, oglądał to jak jakieś przedstawienie teatralne, scenę. Zerknął z ukosa na Ewerta, domyślił się, że on też obserwuje, tłumaczy sobie coś, próbuje być częścią tej rozmowy na zewnątrz, bez otwierania drzwi.

— No i co myślisz?

— To, co widzę.

— A co widzisz?

— Że stało się najstraszniejsze.

Wysiedli z samochodu. Dwóch policjantów skierowało się w ich stronę.

Spojrzeli na jednego z nich, podeszli.

— Witam.

Podali sobie ręce.

— Sven Sundkvist.

— Leo Lauritzen. Jesteśmy tu od dwudziestu minut. Przyjechaliśmy z Eskilstuny, to najbliższy posterunek.

— To jest Ewert Grens.

Leo Lauritzen uśmiechnął się z zaskoczeniem. Wielki, ciemnowłosy, krótko ostrzyżony, z poczuciem pewności siebie, które mają tylko osoby w jego wieku, to znaczy trzydziestu kilku lat, swego rodzaju brak wrażliwości. Przytrzymał dłoń Ewerta trochę dłużej, niż należało.

— Nie może być. Słyszałem o panu.

— Naprawdę?

— Czuję się, jakbym oglądał film. Ale muszę coś powiedzieć: wygląda pan na niższego, niż to sobie wyobrażałem.

— Ludzie wyobrażają sobie cholernie dużo rzeczy.

— Nie chciałem być nieuprzejmy.

— Ma pan do powiedzenia także coś konkretnego? O sytuacji, jaka tu panuje? A może jest pan tak samo stuknięty, na jakiego pan wygląda?

Policjantka, która stała kilka kroków dalej, usłyszała, co Ewert powiedział, i podeszła bliżej. Nie przywitała się.

— Zaczęło się przed godziną. Zadzwoił oficer dyżurny ze Sztokholmu i wyjaśnił, że zaginęło jedno z dzieci z tutejszego przedszkola. Kilka minut później nadeszła uzupełniająca informacja: widziano Bernta Lunda, którego wiąże się z zaginięciem dziewczynki. Zarządziliśmy alarm. Patrole z psami i ludzie przeszukują fragment lasu, który się tu zaczyna, a ciągnie się w stronę Enköping. Za chwilę rozpoczynamy kolejne przeczesywanie. Chcieliśmy z tym chwilę odczekać, bo psy muszą złapać jakiś ślad, a potem zacząć od nowa, zanim w lesie zjawi się połowa mieszkańców Strängnäs.

Policjantka mocno się pociła, jej jasne włosy przykleiły się do skroni, musiała intensywnie pracować w tym zatykającym, nagrzanym powietrzu. Przeprosiła, podeszła do jednego z właścicieli psów, który miał na sobie kurtkę z napisem Szwedzki Klub Psów Użytkowych, z emblematem organizacji na piersi. Sven i Ewert spojrzeli na siebie, jakby żadnemu z nich nie chciało się przystąpić do pracy, typowa niechęć do robienia tego, co jest trudne. Ewert odchrząknął, odwrócił się w stronę Leo Lauritzena.

— A rodzice dziewczynki?

— Co „rodzice”?

— Czy zostali poinformowani?

Lauritzen wskazał w stronę ogrodu, pokazując ławkę, która stała tuż przy wejściu do przedszkola. Na jej brzegu siedział jakiś mężczyzna. Długie włosy związane w kucyk spadający na plecy, brązowy garnitur ze sztruksu, siedział pochylony, opierając łokcie na kolanach, wpatrywał się w bramę, a może w któryś z krzaków? Obok siedziała kobieta, obejmowała go, głaskała po policzku.

— Ojciec dziewczynki. To on dzwonił. I to on go widział. Dwa

razy w odstępie piętnastu, dwudziestu minut. Lund siedział na tej samej ławce, tak zwyczajnie.

— Nazwisko?

— Fredrik Steffansson. Rozwiedziony. Matka dziewczynki nazywa się Agnes Steffansson, mieszka w Sztokholmie, w Vasastan, jeśli dobrze usłyszałem.

— A kobieta?

— Pracuje w tym przedszkolu. Micaela Zwarts. Mieszka z nim. Dziewczynka przebywa oficjalnie w dwóch miejscach na zmianę, ale w ciągu ostatniego roku chyba sama wybrała Strängnäs jako miejsce zamieszkania, właśnie u tych dwojga. Rodzice żyją chyba w zgodzie, mają na względzie przede wszystkim dobro dziecka, więc jeśli dziewczynka zażyczyła sobie, że chce mieszkać w Strängnäs, to nie sprzeciwiali się. Mała spotyka się z matką głównie w weekendy. Byłoby dobrze, gdyby wszyscy potrafili rozwiązywać takie sprawy w podobny sposób. Ja też jestem rozwiedziony i...

Ewert Grens nie chciał już tego więcej słuchać.

— Chyba sobie z nim porozmawiam.

Mężczyzna na ławce nadal siedział pochylony.

Oczy wpatrzone w jedno miejsce, pusty wzrok.

Siedział w takiej pozycji, jakby odczuwał ból. Jakby z dziury w brzuchu wyparowywała cała jego moc, jakby kropla za kroplą wyciekała stamtąd jego chęć do życia, brudząc trawę, na której opierał stopy.

Ewert Grens nie miał dzieci. Nigdy nie chciał ich mieć. Dlatego nie potrafił zrozumieć tego, co rozgrywało się na jego oczach. I sam o tym wiedział.

On to tylko obserwował.

Rune Lantz niedługo skończy sześćdziesiąt sześć lat. Już wkrótce minie rok od dnia, kiedy przeszedł na emeryturę. I rok od chwili, kiedy stracił wszystkich swoich kumpli. W piątek, w lipcu zeszłego roku, po raz ostatni opróżnił pojemnik o pojemności czterech metrów sześciennych, mieszalnik do soku jabłkowego. Rozebrał go, wymył i przygotował dla pracownika na następnej zmianie; zaraz ktoś przyjdzie na nocną zmianę i przywita się z nim, założy słuchawki chroniące od hałasu, czapkę na głowę i zacznie mieszać sok według zawartości cukru: ten mniej słodki do Niemiec, słodszy do Wielkiej Brytanii, bardzo słodki do Włoch, a słodki na granicy możliwości picia do Grecji. Po trzydziestu czterech latach opuścił teren fabryki, żeby odkryć, że koledzy, których spotykał na swojej zmianie, byli kolegami z przerwy na kawę, kolegami, z którymi obgadywał szefa, kolegami, z którymi typował wyniki gonitw w czasie przerwy na lunch. Tylko tacy. Żaden z nich od tamtego dnia nie zadzwonił ani go nie odwiedził. Sam był sobie winien, bo nie szukał z nimi kontaktu, ani w fabryce, ani w domu, nie był nawet pewien, czy mu ich brakuje. Dziwne, pomyślał, przeżywasz całe życie z ludźmi, których w ogóle nie potrzebujesz ani na których ci nie zależy, z ludźmi, którzy przypominają włączony telewizor w kącie pokoju. To przyzwyczajenie i rutyna, które kryją pustkę i ciszę. Przypominają ci, iż możesz być pewien tego, że istniejesz, ale nic dla ciebie nie znaczą. Ani dla ciebie, ani dla nikogo innego.

Znikasz i nagle cię nie ma, podczas gdy tam, u nich, wszystko toczy się bez zmian. Mieszejają różne rodzaje soku i wypełniają swoje kupony na gonitwy, a potem wykrzykują do siebie nad kubkiem kawy — i wygląda na to, że ciebie nigdy tam nie było.

Złapał ją mocniej za rękę.

Teraz widział ją wyraźniej.

Margareta nadal pracowała w położonej obok fabryce. Zostały jej jeszcze dwa lata, nie było jej w domu całe dnie, ale nigdy wcześniej nie potrafił zrozumieć, jak bardzo jej potrzebował; razem spędzali czas, życie i mieli odwagę, żeby się razem zestarzeć.

Szli blisko obok siebie, dość powoli, bo Margaretę bolały kolana. Ten sam spacer, każdego popołudnia, z domu w dzielnicy portowej przez most Tosteröbron, obok placu ratuszowego, aż do lasu. Czekał już ubrany, kiedy ona przyszła do domu; ta ostatnia godzina, kiedy w domu był sam, była najgorsza, strasznie wtedy za nią tęsknił. W lesie jest kilka ścieżek, można sobie którąś wybrać, kilka z nich zmierzono i oznakowano żółto-zielonymi tabliczkami — było to oznakowanie dla tych, którzy uprawiają jogging; tabliczki wisiały w odstępach stu metrów od siebie. Kiedy jeszcze było jasno — wiosną, latem albo wczesną jesienią — mieli zwyczaj schodzić z oznaczonego szlaku, żeby szukać nowych drózek; szli wtedy między gęstymi świerkami i dziko rosnącymi jagodami, bo ich życie powoli zbliżało się do końca, więc byłoby przyjemnie znaleźć jeszcze jakiś swój szlak.

Był to jeden z takich wieczorów. Trzymając się za ręce, zeszli z oznakowanego szlaku już po kilku metrach, szli obok siebie przez suchy las. Od wielu tygodni nie padało, lato i front wysokiego ciśnienia nie chciały opuścić tego regionu w północnej Europie, ściółka była coraz bardziej sucha, co zwiększało ryzyko pożaru. No i grzybów jesienią też nie będzie za wiele.

Sarna. Kilka zajęcy. Ptaki, dość duże, chyba myszolowy. Nie mówili do siebie zbyt wiele, nie musieli, byli małżeństwem od czterdziestu trzech lat i prawdopodobnie wypowiedzieli już

wszystkie słowa, jakie mieli do dyspozycji. Czasami któreś z nich zatrzymywało się, wskazywało na coś, podnosząc rękę; zwierzętom przyglądali się zawsze tak długo, aż same uciekały. Mieli mnóstwo czasu, niedługo zrobi się wieczór, a oni byli za starzy, żeby się dokąś spieszyć.

Okolica zmieniła się, teren był teraz pofałdowany, zaczęli oddychać głębiej; przyjemnie było poczuć, jak krew krąży w żyłach, dostarczając im życiodajnego tlenu.

Pokonali właśnie niewielkie wzgórze, kiedy usłyszeli jakiś dźwięk.

Usłyszeli go oboje. Helikopter.

Nad ich głowami. Przeleciał blisko nich, blisko ziemi, kołysząc się nad czubkami świerków.

Zaraz potem nadleciał drugi.

Helikoptery policyjne. Widzieli je i Rune, i Margareta; nie wiedzieli, co tu robią, ale od razu poczuli niechęć i niepokój, ten intensywny odgłos silnika i ich bliska obecność, policjanci, którzy czegoś szukali, spieszyło im się, i to właśnie tutaj.

Margareta się zatrzymała. Śledziła wzrokiem obie maszyny w powietrzu, aż znikły za linią horyzontu.

— Nie podobają mi się.

— Mnie też nie.

— Nie idziemy dalej.

— Pójdziemy dalej dopiero wtedy, kiedy odlecą.

— Nie, nawet wtedy zawrócimy.

Trzymała męża za rękę, ale położyła ją tak, żeby ją obejmował, wokół pasa. Pocałował ją lekko w policzek, stali tak sami wobec całego świata, helikopterów, mundurów i dźwięku silników.

Przycisnęła go do siebie jeszcze mocniej. Była niespokojna. Spojrzał na nią, bo zazwyczaj nigdy się nie bała, z ich dwojga to ona była odważniejsza. Ale teraz chciała stamtąd wracać, te helikoptery nad ich głowami zwiastowały jakieś nieszczęście.

Daleko, na skraju lasu, Rune zobaczył go, zanim ujrzała go

Margareta. Policjant z psem. Posuwali się wolno wzdłuż drzew, pies czegoś szukał, prowadził na zachód, w przeciwnym kierunku, niż szli, w stronę helikopterów.

— No popatrz, coś takiego.

— Chyba nie są razem... ci dwaj i helikoptery.

— Są.

Teraz już wiedzieli. Coś się wydarzyło, w ich lesie, w ciągu ich przerwy od wszystkiego.

Schodzili szybkim krokiem ze wzgórza, przez gęste krzaki. Dalej trochę zwolnili, wyrównali oddechy, chcieli wyjść z tego lasu, w którym na kogoś polowano, nie chcieli stać się częścią czyjśgo nieszczęścia.

* * *

To Margareta zobaczyła go pierwsza. Był taki czerwony.

Dziecięcy bucik. Bucik małej dziewczynki.

Czerwony lakierek i metalowa sprzączka, która wyróżniała się na jego tle.

Szli tak szybko, jak tylko mogli, ból w kolanie stawał się nieznosny, ale nie zwracała na to uwagi. Kiedy Rune spytał, czy ją boli, pokręciła głową i wskazała palcem przed siebie, w stronę najkrótszej ścieżki prowadzącej do domu, na skróty przez inne szlaki, obojętne, czy prowadziły przez wzgórza, czy nie. Helikopter był tak blisko, podobnie jak policjant i jego pies, nie chciała myśleć o tej mrocznej sprawie, ale była przekonana, że coś czai się w pobliżu. Po prostu wiedziała. Zauważyła, że Rune niepokoi się jej reakcją, więc skinęła uspokajająco głową, nie mogła mu nic odpowiedzieć, bo czasami po prostu nie ma czego wyjaśniać.

Musiała puścić jego rękę, kiedy na ich drodze wyrósł ogromny świerk, dalej zaczynały się krzaki i nie mogli teraz iść obok siebie. Szli szybkim krokiem już ponad kilometr, więc do skraju lasu, do asfaltowej drogi i do domu nie było chyba już zbyt daleko.

Zobaczyła coś pod gęstymi gałęziami świerku; najpierw

pomyślała, że to grzyb, i ostrożnie go kopnęła. Potem go podniosła, obróciła i zrozumiała; rozejrzała się, zastanawiając się, gdzie ona może być? Czy jest tu gdzieś? Ta dziewczynka?

Nie krzyknęła, nie była nawet zdziwiona, wzięła czerwony bucik ostrożnie w palce, a kiedy mąż podszedł bliżej, podała mu go.

Kolejny ranek wypełniony kłamstwem. Leżał obok niej, przesuwając dłonią po jej piersiach, udach, brzuchu, całował ją w kark, szeptał do jej ucha czułe słowa na dzień dobry. Starał się, jak mógł najlepiej, żeby nie myśleć o tym, że ją zdradza.

Lennart Oscarsson siedział w swoim gabinecie, a przez okno widział, jak zakład karny budzi się do życia. Był piękny dzień, równie ciepły jak wczoraj, równie ciepły jak każdego innego dnia w zeszłym tygodniu. Westchnął głośno. Od czasu, kiedy poznał Marię i zakochał się w niej, stale bał się dnia, w którym przyjdzie i poprosi go, żeby usiadł i posłuchał, co ma mu do powiedzenia o tym, że poznała kogoś innego, że kocha kogoś innego i dlatego musi od niego odejść.

Tymczasem spotkało to jego. Kto by pomyślał? Maria była piękna, a on przeciętny. Ona była spontaniczna, a on zamknięty w sobie. Ona była jak iskra, a on nigdy nie błyszczał. Tymczasem to właśnie on znalazł miłość poza ich domem, to on zrezygnował z ich wspólnego życia na rzecz tego trzeciego.

Wyszedł z pokoju i szedł po schodach, na oddział. Skinął głową dwóm nowym strażnikom, którzy mieli pół roku do odsłużenia na oddziale dla przestępców seksualnych. Wiedział, że marzą o przydziale na każdy inny oddział, byle nie tutaj, że pogardzają tymi, których mają pilnować; Lennart rozumiał i nie robił z tego wielkiej sprawy, bo wszyscy nowi tak do tego podchodzili, pluli na

zboczeńców aż do ostatniego dnia.

Pusto, panowała cisza, więźniowie zajęci byli w warsztacie, korytarz z zamkniętymi drzwiami do cel świecił pustką; więźniowie podlegali obowiązkowi pracy, zarabiali kilka koron na godzinę za pracę polegającą na obrabianiu na tokarce okrągłych drewnianych pierścieni i trójkątnych klocków drewna, z których wykonywano potem zabawki — pomoce naukowe dla nauczycieli. Cokolwiek by mówić na temat przestępców seksualnych, to nie kombinowali w codziennej robocie, przychodzili posłusznie do warsztatu i produkowali tam przeróżne bzdury, nie tak, jak osadzeni na normalnych oddziałach dealerzy narkotyków, którzy strajkowali w celach co drugi dzień i co drugi dzień prosili o zwolnienie lekarskie.

Lennart szedł korytarzem wzdłuż ciągu metalowych drzwi. Zatrzymał się przed numerem 11. Cella, którą niedawno opuścił Bernt Lund. Minęło już półtorej doby, odkąd udało mu się uciec. Zazwyczaj tak długo nie wytrzymywali. Nie mogli spać, nie mogli się przemieszczać, bezustannie czujni, kosztowało ich to sporo wysiłku i pieniędzy, żeby znaleźć miejsce, w którym mogliby się ukryć, kiedy w każdej chwili kilkudziesięciu policjantów przeczesywało kryjówkę za kryjówką.

Drzwi zamknięte. Pęk kluczy, był w kieszeni, zawsze tam był. Otworzył.

Wyglądało tu dokładnie tak samo jak wczoraj, kiedy zamknęli drzwi po poprzedniej wizycie. Cały pokój zawalony rzeczami, wszystko w rzędku, w odstępach dwóch centymetrów jeden od drugiego. Zobaczył przed sobą ogromny stos na środku celi, który powstał po tym, jak ten szaleniec Grens chwycił kalendarz i zgarnął nim na podłogę wszystko, co leżało uporządkowane na łóżku. Ten drugi, szczupły, który tamtego dnia obchodził czterdzieste urodziny, wyglądał przez chwilę na skonsternowanego. Nazywał się Sundkvist. Najpierw spojrzał z niepokojem na swego kolegę, a potem westchnął głośno, kiedy Grens zrobił to jeszcze raz, to znaczy zgarnął rzeczy na podłogę.

Oscarsson usiadł na pomiętej narzucie. Po chwili położył się na łóżku i starał się zobaczyć to, co Lund widział każdego dnia, każdego wieczoru. Gapił się na jaskrawobiały sufit, przez jakiś czas jego spojrzenie zatrzymało się na zbyt wielkiej jarzeniówce, potem przeniósł wzrok na ościeżnicę drzwiową. Co on tu robił? Leżał i onanizował się, myśląc o małych dziewczynkach? Fantazjował o tym, że będzie panował i kontrolował? O dziecięcej naiwności, która kończyła się w tej samej chwili, kiedy zadawał dziecku ból? A może jednak zrozumiał, może w myślach odważył się pojąć konsekwencje, dziecięce uczucia, strach, upokorzenie? Zamknięty w tych ścianach, na ośmiu metrach kwadratowych, z poczuciem winy — tylko on i poczucie winy, dniem, wieczorem, nocą; dusiło go pewnie, aż musiał uciec, pobić dwóch klawiszy, gdy przewożono go do szpitala.

Jego wzrok spoczął na drzwiach zamkniętych od środka.

Ktoś zapukał.

Kto to może być? Drzwi się otworzyły. To Bertolsson, dyrektor zakładu karnego.

— Lennart?

— Słucham?

— Co ty tu robisz?

Lennart podniósł się szybko z łóżka, poprawił włosy, które były zawsze rozczochrane, kiedy leżał na łóżku.

— Nie wiem. Wszedłem tutaj. Chyba chciałem dowiedzieć się czegoś więcej.

— No i co?

— Nic.

Bertolsson wszedł do celi. Rozejrzał się po niej.

— To jakiś szaleniec.

— No właśnie. Przed chwilą to pojąłem. On nic nie zrozumiał. Nie czuje żadnej winy. Nie potrafi zrozumieć żadnego innego punktu widzenia poza własnym.

Bertolsson kopnął stos przedmiotów na podłodze, popatrzył na

półki, na to, co leżało na parapecie. Nie umiał tego w żaden sposób ze sobą powiązać — bałagan na podłodze i porządek panujący w innych miejscach w celi, pedanteria, której nie było końca. Spytał o to Lennarta, który odwrócił się w drugą stronę, ale też nie potrafił tego wyjaśnić.

— No to do cholery z tym. Szukałem cię, żeby porozmawiać o innym durniu, o jednym z jego kumpli. To jeden z tych siedmiu, którzy razem z Lundem tworzyli klub pornografii dziecięcej.

— Słucham.

— Nazywa się Håkan Axelsson. Wcześniej karany za drobne przestępstwa. Jutro ogłoszą wyrok w jego sprawie. Skażą go. Nie dostanie tyle, na ile zasłużył, ale na pewno Boże Narodzenie i Wielkanoc spędzi za kratami.

— No i co?

— Pochodzi z Kronobergu i powinien siedzieć u nas. Po prostu go tu przysłał. Ale u ciebie wszystkie cele są już zajęte.

Oscarsson ziewnął, głośno i głęboko. Zastanawiał się przez parę sekund, a potem położył się na łóżku.

— Przepraszam, jestem już nimi zmęczony.

Bertolsson udawał, że nie zwraca uwagi na to, iż jeden z jego oddziałowych leży i odpoczywa na łóżku należącym do więźnia, który uciekł.

— Masz przecież tylko tę celę. Jest pusta. A Lund wróci tu cholernie szybko.

— Widzisz? Przestępstwa na tle seksualnym są w modzie, a zbrodnie czekają w kolejce.

Bertolsson zwinął żaluzję, wpuszczając do celi trochę jaskrawego światła. Na zewnątrz był już dzień. Łatwo można o wszystkim zapomnieć. W żadnym zakładzie karnym nie było czegoś takiego, czasu dzielącego się na dni, wszystko zlewało się ze sobą, wszystko było oczekiwaniem złożonym z takich samych miesięcy i lat.

— Możemy go zamknąć na jednym z normalnych oddziałów. Na kilka dni, może na tydzień, aż znajdziemy dla niego miejsce w

jakimś innym zakładzie.

Lennart się wzdrygnął. Przez kilka sekund leżał cicho, potem oparł się na łokciu i odwrócił w stronę Bertolssona.

— Arne, o czym ty, do cholery, mówisz?

— Przecież i tak nie weźmie ze sobą na oddział pisemnego wyroku.

— Inni będą to mieć w dupie. Dowiedzą się, z jakiego paragrafu go wsadzono, i wtedy wiesz, co się stanie.

— Tylko kilka dni. Tylko tyle. Potem stamtąd wyjdzie.

Lennart podniósł się i usiadł na łóżku.

— Arne, nie nalegaj. Obaj to wiemy: jeśli opuści tamten oddział, to tylko w karetce.

Nie poczuje żadnego zapachu. Wiedział o tym. Ale nie miało to znaczenia. Bywał tu już przedtem i teraz, idąc schodami, jego nos i mózg wyczuwały zapach śmierci.

Sven bywał na wydziale medycyny sądowej w Solna tyle razy, że już nawet nie pamiętał, jak często. Inspektor dochodzeniowy w Sztokholmie musi robić takie rzeczy, wiedział o tym, ale wiedział też, że nigdy nie przestanie nienawidzić właśnie tej części swego zawodu, nigdy nie nauczy się patrzeć spokojnie na zmarłą osobę leżącą na noszach, osobę, która jeszcze niedawno oddychała, rozmawiała, śmiała się, a którą jakiś facet w białym kitlu — większość z nich była mężczyznami — potnie na kawałki, rozkroi, wyciągnie wnętrzności i zbada je w ostrym świetle lamp, żeby potem po prostu wrzucić do jamy brzusznej, bez żadnego porządku, zanim zostanie zaszyta, zanim pokawałkowany zmarły leżący na noszach zostanie okryty jakimś materiałem, aby wyglądał trochę bardziej odpowiednio w czasie wizyty członków rodziny, którzy przyjdą obejrzyć swego nieżywego krewniaka i potwierdzą, że osoba, która leży przed nimi, to ten sam człowiek, z kim jeszcze niedawno, pełni nadziei, rozmawiali.

Ewert miał do tego inne podejście. Stał obok Svena, czekając na lekarza sądowego, który rozmawiał przez telefon komórkowy; Sven myślał o wszystkich tych wizytach, jakie tutaj złożyli. Wyglądało

to tak, jakby Ewert nie rozumiał, że ma do czynienia ze śmiercią, jakby go to nie obchodziło, jakby z chwilą, kiedy śmierć zastępowała życie, ludzie przestawali być dla niego ludźmi. Sven pamiętał, jak za każdym razem Ewert kończył taką wizytę: unosił część okrywającego ciało materiału, potem przesunął dłonią po skórze zmarłego i szczypał go w któreś miejsce, a następnie rzucał śmieszny komentarz, jakby chciał udowodnić, że leży przed nim tylko jakaś rzecz, nic innego, że czegoś takiego nie można już zbezcześcić.

Lekarz sądowy stał po drugiej stronie szklanych drzwi. Szukał karty z kodem wejściowym, znalazł ją w wewnętrznej kieszeni swojego kitla, a kiedy wsunął ją do otworu, rozległo się kliknięcie i drzwi się otworzyły. Był to Ludvig Errfors, pięćdziesiąt kilka lat, jeden z najbardziej doświadczonych lekarzy. Sven pomyślał, że to dobrze, iż wybrano właśnie Errforsa, bo obdukcja dzieci jest trudniejsza do przeprowadzenia, a jeśli szukali kogoś, kto miał wystarczająco duże doświadczenie w przeprowadzaniu sekcji zwłok dzieci, to był to właśnie on.

Przywitani się, Errfors spytał o Lunda, a oni wyjaśnili, że nic nie wiedzą. Lekarz pokręcił głową i krótko opowiedział im o poprzednim przypadku sprzed czterech lat, bo to właśnie on przeprowadzał sekcję zwłok obu dziewczynek zamordowanych w Skarpholmie. Mówił głośno, a Sven i Ewert schodzili za nim schodami; dodał, że do czasu tamtego morderstwa nie spotkał się z przypadkiem tak okrutnego gwałtu, przynajmniej jeśli chodzi o dzieci.

Zatrzymał się nagle na schodach. Odwrócił się z poważnym wyrazem twarzy.

— Aż do dzisiaj.

— Co ma pan na myśli?

— Rozpoznaję technikę dokonania gwałtu. To też był Lund.

Ruszyli dalej, schody kończyły się długim korytarzem. Pierwszy pokój na prawo. To tam Errfors zazwyczaj pracował.

Na samym środku pokoju te cholerne nosze. Śmierdziało, naprawdę śmierdziało, ale nie tak bardzo. Sven uświadomił sobie, że gdyby nie wiedział, iż to pokój, w którym dokonywane są sekcje zwłok, to nie domyśliłby się, że to zapach ludzkiego ciała. Klimatyzacja działała, przez cały czas słychać było szum, wpadało świeże powietrze, wysysało smród. Powinni założyć zielone sterylne ubrania, ale Errfors machnął tylko ręką; pracował już tyle lat, że wiedział, kiedy może sobie pozwolić na złamanie przepisów.

Zapalił dwie lampy wiszące na dłuższej ścianie pokoju, ale korzystał tylko z jednej, silniejszej, która stała na środku pokoju, wystarczająco duża, żeby objęła swym zasięgiem całe nosze. Obok nich było ciemno, a blask lampy koncentrował się tylko na scenie.

— Tak jest lepiej. Dzięki temu będziemy lepiej widzieć. Te wszystkie błyszczące urządzenia tylko odbijają światło, przeszkadzają.

Dziecko leżące przed nimi wyglądało spokojnie. Twarz miało taką, jakby spało. Rozpoznali dziewczynkę ze zdjęć, które pokazywali im rodzice.

Errfors podniósł plastikową teczkę leżącą obok niej. Otworzył futerał na okulary, wyjął silne szkła w grubych czarnych oprawkach i dwa arkusze A4.

— No cóż, pod przykryciem nie wygląda już tak spokojnie.

Zapadła cisza w tym dźwiękoszczelnym pokoju, słychać było tylko szelest papieru.

— Ślady spermy znaleziono w pochwie, w odbytnicy, na całym ciele. Sprawca miał na nią wytrysk nasienia, także po jej śmierci.

Uniósł przykrycie, żeby im to pokazać. Sven odwrócił twarz, nie potrafił znieść tego widoku.

— Do pochwy wciśnięto twardy, spiczasty przedmiot, co wywołało silne krwawienie wewnętrzne.

Ewert przesuwiał wzrokiem wzdłuż ciała dziewczynki, starał się podążać za tokiem myśli lekarza.

— Tak jak poprzednim razem.

— Była to bardziej okrutna zbrodnia, ale masz rację, metoda, jaką posłużył się sprawca, jest ta sama.

— Wtedy wykorzystał kawałek karnisza do firanek.

— Nie mogę określić, co to było tym razem. Mogę tylko stwierdzić, że narzędzie było twarde i spiczaste.

Lekarz sięgnął po drugi arkusz papieru.

— Ustaliłem przyczynę śmierci. Silne uderzenie, prawdopodobnie krawędzią dłoni, prosto w gardło.

Ewert spojrzał na szyję dziewczynki. Rozległy ślad. Popatrzył na Svena, który nadal stał z odwróconą głową.

— Sven.

— Już nie mogę.

— Nie musisz. To ja patrzę.

— Dzięki.

— Chcę, żebyś wiedział, że go dostaniemy.

— Na razie nic nie mamy.

— Kiedy go znajdziemy, sprawa będzie zakończona. Lund spuścił się na nią, wszędzie jest jego sperma. Dokładnie tak, jak poprzednim razem. Mamy ślady. Wystarczy jedno badanie DNA i będziemy je mogli porównać z poprzednim, a wtedy będziemy wiedzieć, że to on.

. . .

Dziewczynka leżała w lesie. Sven przyglądał się Rune i Margarecie Lantzom, którzy stali przed nim. Dwoje starszych ludzi, dwoje ludzi, którzy się kochali, którzy trzymali się za ręce, nie opuszczali jedno drugiego, te ich oczy i łzy, które spływały po policzkach w ciągu całego przesłuchania, ona płakała bardziej, za każdym razem, kiedy odpowiadała na pytanie, kiedy musiała coś opisać, łzy napływały na nowo.

Może siądnijmy sobie tutaj, na kamieniu.

Dobrze.

Chciałbym przeprowadzić to przesłuchanie tutaj, żebyśmy mogli widzieć to miejsce. Czy tak będzie w porządku?

Tak.

Chcę wiedzieć wszystko. Od początku.

Czy on może nadal siedzieć?

Jeśli chce.

No, nie wiem.

Proszę spróbować.

Nie wiem, czy zdołam.

Proszę spróbować, ze względu na dziewczynkę.

Na spaceru wychodzimy każdego wieczoru.

Każdego?

Jeśli tylko nie pada deszcz.

Tutaj?

Tak.

Tą samą trasą?

Różnie. Mamy zwyczaj wybierać różne ścieżki.

A tą drogą?

Słucham?

Czy chodziecie także tą drogą?

Nie. Dzisiaj poszliśmy nią pierwszy raz. Prawda, Rune?

Teraz rozmawiam z panią.

Nie przypominam sobie tej drogi.

A dlaczego wybraliście właśnie tę drogę?

Nie wybieraliśmy jej, po prostu nią poszliśmy, kiedy usłyszeliśmy helikopter.

Helikopter?

Uważam, że to było okropne, ten helikopter i pies policyjny.

Poszliśmy sobie stamtąd.

I poszliście wtedy tą drogą?

Wydawała nam się najkrótsza.

Co się stało, kiedy tu przyszliście?

Czy ma pan jakiś papier?

Słucham?

Albo chusteczkę do nosa?

Niestety, nie.

Przepraszam.

Nie musi pani przepraszać.

Trzymaliśmy się za ręce.

Podczas spaceru?

Tak. Aż dotąd, do świerka. Wtedy się rozłączyliśmy.

Dlaczego?

Był za duży. Musieliśmy ominąć go osobno, po dwóch stronach.

Kto szedł pierwszy?

Poszliśmy jednocześnie. Każde po swojej stronie.

I co się wtedy stało?

Wydawało mi się, że widzę grzyb. Był taki czerwony.

Kopnęłam go.

Co pani kopnęła?

But. Dopiero gdy go kopnęłam, zobaczyłam, że to but.

Co pani wtedy zrobiła?

Poczekalam na Rune. Wiedziałam, że coś tu jest nie w porządku.

Jak to: wiedziała pani?

Czasami po prostu się wie. Helikopter, pies, las. Wiedziałam, że dzieje się coś okropnego.

Co pani wtedy zrobiła?

Podniosłam but i pokazałam mężowi. Chciałam, żeby on też go zobaczył.

A potem?

Potem zobaczyłam ją.

Gdzie?

W trawie. Wiedziałam, że jest okaleczona.

Okaleczona?

Że nie jest cała. Wiedziałam to. Rune też to widział. Że nie

jest cała.

Leżała w trawie? Dotykaliście jej?

Była nieżywa. Po co mielibyśmy jej dotykać?

Muszę o to zapytać.

Już nie mogę dłużej.

Jeszcze tylko kilka pytań.

Nie chcę.

Czy kogoś pani tu widziała?

Dziewczynkę. Leżała tu przecież i patrzyła na mnie. Cała okaleczona.

Pytałem o kogoś innego. Czy był jeszcze ktoś oprócz pani i męża?

Nie.

Nikogo nie widzieliście?

Widzieliśmy przecież psa. I policjanta.

Nikogo innego?

Już dłużej nie mogę. Rune, powiedz panu, że ja już dłużej nie wytrzymam.

. . .

Lekarz sądowy długo szukał trzeciego arkusza papieru w swojej teczce. Nie znalazł go. Odszedł od stołu, do półki, z tyłu za sobą. Znalazł, czego szukał.

— Mam jeszcze coś. Coś, co łączy jedną sprawę z drugą.

Zakrył dziewczynkę. Potem odwrócił się w stronę noszy i przykrycia, pod którym leżały zwłoki.

— Kiedy ją tu przywieziono, zauważyliśmy, że stopy są całkiem czyste, podczas gdy reszta ciała jest zakrwawiona i pokryta ranami. Zbadaliśmy jej stopy. Znaleźliśmy na nich ślady...

Ewert mu przerwał.

— Ślady śliny, prawda?

Errfors potwierdził skinieniem głowy.

— Tak, śliny. Tak samo jak poprzednim razem.

Ewert spojrzał na twarz dziewczynki. Już nie żyje. Leżała na stole, ale już nie istniała.

— To gra wstępna, którą stosuje Lund. Liże ich buty, liże ich stopy.

— Ale nie tym razem.

— Przecież tak pan powiedział.

— Tym razem to nie była gra wstępna. Zrobił to potem. Lizał jej stopy już po jej śmierci.

* * *

Nie widział jej od wielu miesięcy. Rozmawiali ze sobą każdego dnia przez telefon, ale tylko o Marie, o tym, kiedy się obudziła, czy jadła, czy wypowiedziała jakieś nowe słowo, czy grała w nowe gry, czy płakała, śmiała się i tym podobne. Każdy kolejny krok w rozwoju dziecka, którego nie mógł oglądać nieobecny akurat rodzic, kompensowali sobie poprzez rozmowy telefoniczne. Jeśli chodziło o Marie — ale tylko o nią — to nie posługiwali się gorzkim tonem, nie rzucali oskarżeń, nie mówili o utraconej miłości.

Jej piękna twarz. Wiedział, jak wygląda, kiedy płacze, jak puchnie, jak słyszać jej przyspieszony oddech. Położył dłoń na jej policzku, a ona uśmiechnęła się do niego, objęła go.

Wpuścił ich jakiś policjant, jeden z tych, którzy poprzedniego dnia przyjechali do przedszkola ze Sztokholmu, starszy mężczyzna, lekko kulą.

— Komisarz Ewert Grens. Widzieliśmy się wczoraj.

— Fredrik. Poznaję pana. A to Agnes, matka Marie.

Przywitali się krótko. Schodami w dół, szpitalnym korytarzem. Fredrik zobaczył drugiego policjanta, który też przyjechał wczoraj, tego; to on go przesłuchiwał. Za nim siedł lekarz, biały kitel i zmęczone oczy.

— My się jeszcze nie spotkaliśmy. Sven Sundkvist, komisarz policji.

— Agnes Steffansson.

— A to Ludvig Errfors, lekarz sądowy. Przeprowadził obdukcję Marie.

Obdukcję Marie.

Słowa, które zabrzmiały w ich uszach jak krzyk.

Których nienawidzili, bo wrzynały się w ich wnętrza, bo oznaczały, że to już koniec.

* * *

Dwadzieścia cztery godziny piekła, pocieszeń, piekła, pocieszeń, piekła i znowu pocieszeń, które wywoływały w nich piekielny ból. Dzień wcześniej, zaraz po obiedzie, Fredrik zaprowadził do przedszkola osobę, która była ich oddechem, a teraz, w sterylnie czystym pokoju na wydziale medycyny sądowej mieli razem popatrzeć na jej poszarpane ciało, a potem potwierdzić, że to ona.

Objęli się.

Czasami ludzie obejmują się tak aż do chwili, kiedy przyjdzie załamanie.

Lato było w pełni.

Duszące powietrze utrudniało oddychanie.

Ale on tego nie zauważył. Płakał.

Sven starał się skupić uwagę na czymkolwiek, nie mógł tak po prostu pęknąć przed tymi, którzy załamali się chwilę wcześniej. Rodzice dziewczynki obejmowali się, stojąc przed noszami, i skinęli głowami potwierdzająco, kiedy zobaczyli jej twarz; mężczyzna pocałował dziewczynkę w policzek, kobieta po prostu opadła na nią, z głową opartą na przykryciu zasłaniającym jej ciało. Oboje krzyczeli tak strasznie, jak Sven nigdy przedtem nie słyszał, oboje umierali przy jej zwłokach, a Sven starał się trzymać wzrok skierowany gdzieś ponad nimi, na jakimś punkcie na ścianie, jak najdalej od noszy, z dala od tego cholernego pokoju; chciał jak najszybciej dostać się na schody, żeby wyjść na świeże powietrze, gdzie nie czuć śmierci.

Obejmowali się także wtedy, kiedy wychodzili z pokoju, a kiedy już poszli, Sven pobiegł korytarzem, schodami, przez drzwi, płacząc głośno, i wcale nie miał ochoty skończyć.

Chwilę potem przyszedł Ewert, podszedł do Svena, wziął go pod ramię.

— Wsiądę do samochodu i będę tam czekał. Poczekam na ciebie tak długo, jak będzie trzeba.

Dziesięć minut? Dwadzieścia? Nie miał pojęcia. Płakał tak długo,

aż poczuł pustkę, aż nie czuł już nic. Płakał tak samo, jak tamci rodzice, jakby w nich nie było miejsca na dalszy płacz i teraz on płakał, jakby razem odczuwali ten sam smutek.

Ewert poklepał go lekko po policzku, kiedy Sven wszedł już do samochodu.

— Siedziałem w samochodzie i słuchałem radia. W każdej rozgłośni pełno informacji o Lundzie i o zamordowaniu Marie. Wszędzie to samo, na cokolwiek przełączę. Mają swoje letnie morderstwo. Od tej chwili będą nam bez przerwy siedzieć na karku.

Sven ujął kierownicę, wskazał na nią, a potem na Ewerta.

— Poprowadzisz?

— Nie.

— Tylko teraz. Nie mam ochoty.

— Poczekam tu tak długo, aż poczujesz, że możesz przekręcić kluczyk. Teraz już tak bardzo nam się nie spieszy.

Sven siedział w milczeniu przez minutę. W radiu nadawano jeden znany przebój za drugim. Odwrócił się za siebie, w stronę tylnego siedzenia.

— Może miałbyś ochotę na tort?

Wyciągnął się do tyłu, żeby sięgnąć po karton, przyciągnął go do siebie. Jeszcze dalej leżała plastikowa siatka z butelkami wina. Położył karton na kolanach.

— Ten tort nazywa się „Tort księżniczki”. Jonas sobie taki zażyczył. Z dwoma różami na górze. Jedna dla mnie, druga dla niego.

Rozerwał sznurek, otworzył karton. Przyłożył nos do zielonego marcepanu.

— Cała doba w takim żarze. Chyba już skwaśniał.

Ewert wzdrygnął się, kiedy nagle doleciał go zapach tortu, skrzywił się okropnie, czując zjełczałą śmietanę, i odsunął od siebie karton tak daleko, jak się dało. Potem dokładnie sprawdził kanały radiowe, zmieniał je i znowu zmieniał...

Te same słowa, jak mantra, jedne wiadomości po drugich.

Morderstwo dziewczynek. Ucieczka. Przestępca seksualny. Bernt Lund. Zakład karny w Aspsås. Nagonka policyjna. Smutek. Strach.

— Nie mogę już dłużej słuchać tego gówna, może je więc wyłączyć, Ewert?

Sven wyjął z torby butelkę, zerknął na etykietę, przeczytał, skinął głową, odkręcił korek.

— Wiesz co? Chyba trochę tego potrzebuję.

Przyłożył butelkę do ust, a potem wypił łyk. Jeden, drugi, trzeci.

— Rozumiesz? Wczoraj skończyłem czterdzieści lat. Świętowałem w taki sposób, że pojechałem do Strängnäs i przesłuchiwałem pewną starszą kobietę, która w lesie znalazła zgwałconą i zamordowaną dziewczynkę. Potem przyjechałem tutaj, żeby tę dziewczynkę obejrzeć, żeby się dowiedzieć, że w odbytnicy ma ślady spermy, a potem widziałem, jak jej rodzice, kiedy jej dotykali, załamują się na moich oczach. Nie pojmuję tego. Nic nie rozumiem. Chcę tylko do domu.

— No to jedźmy.

Ewert wyjął butelkę z ręki Svena, wyciągnął rękę po nakrętkę, zakręcił butelkę i położył u swoich stóp.

— Nie tylko ty tak to przeżywasz, Sven. Wszyscy czujemy się tak samo, sfrustrowani. I opuszczeni. Ale co z tego? Musimy go dostać. Tylko to jest ważne. Musimy go dopaść, zanim znowu kogoś skrzywdzi.

Sven przekręcił klucz. Cofnął ostrożnie, wyjeżdżając z wielkiego parkingu przy placu położonym między wydziałem medycyny sądowej i szpitalem Karolinska Sjukhuset. Było ciasno, mimo letnich wakacji samochody stały blisko siebie, zaparkowane w taki sposób, jak się to robi w Sztokholmie, to znaczy możliwie najbliżej samochodu stojącego obok.

Ewert kontynuował:

— Ja wiem najlepiej, co to za typ. Przesłuchiwałem go i czytałem potem całe to gówno. Każde pojedyncze zdanie, jakie napisali psychologowie i lekarze sądowi z dziedziny psychiatrii. On znowu

uderzy. Pytanie tylko: kiedy? Ale teraz przekroczył wszelkie możliwe granice. Będzie się trzymał tak długo, aż go złapią albo aż popełni samobójstwo.

Lillmasen szukał cienia. Na spacerunku nie było drzew, ścian, desek, niczego, za czym można by się schować, za czym słońce przestaje grzać; pot ściekał mu po plecach, a duże piaszczyste podwórze było jedną wielką chmurą pyłu, która osadzała się po wewnętrznej stronie szarych murów więziennych. Próbowali grać w piłkę, dwie drużyny po pięciu graczy i pięć tysięcy w puli, ale po pierwszej połowie, po której było zero do zera, musieli przerwać mecz, bo piekły ich opalone na czerwono ramiona, a każdy oddech sprawiał ból. Obie drużyny ułożyły się każda za swoją bramką i nie miały sił znowu się podnieść. Dwaj negocjatorzy spotkali się pośrodku boiska, wyjaśniając sobie, że chętnie by kontynuowali grę, ale przerywają ją ze względu na przeciwnika, i że zabierają z powrotem stawkę, którą włożyli do puli, jeśli druga strona sobie tego zażyczy. Skåne, jeden z tych, którzy ustalali warunki, wrócił chwilę później i usiadł między Hildingiem a Lillmasenem.

— Jest tak, jak chcieliśmy. To już, kurwa, koniec. Rosjanie ledwie zipią.

— To dobrze. Bardzo dobrze.

— Druga połowa w poniedziałek. Wtedy znowu ich wykończymy. Podniosłem stawkę w puli: podwoilem ją. Przecież nie będą, do cholery, grać.

Hilding drgnął, spojrzał niespokojnie na Lillmasena i podrapał się po swej głębokiej ranie na nosie. Bekir siedział bez słowa,

Dragan też.

Lillmasen splunął na wyschniętą ziemię.

— Coś ty, kurwa, zrobił? Podwoiłeś stawkę? A kto, kurwa, zapłaci, jak damy dupy?

— Do kurwy nędzy, Masen, nie damy. Przecież oni w ogóle nie mają bramkarza.

Lillmasen spuścił głowę, przyjrzał się graczom siedzącym po drugiej stronie boiska; nadal leżeli na ziemi, próbowali chronić się od słońca, które wysysało z nich ostatnie soki życiowe.

— Jesteś cholernie najarany, Skåne. Widziałeś, jak grają? A ty sam grałeś? Mieliliśmy przecież cholerne szczęście, i tylko tyle. Ale w porządku, Skåne, w porządku. Ja pierdolę, ja pierdolę. Idziemy na to, na tę pieprzoną podwójną stawkę. Jak przewalimy, to ty płacisz. Ty. Jak wygramy, dzielimy się po równo. Sprawiedliwie i uczciwie.

Skåne pokiwał przekornie głową, odszedł kilka metrów od nich. Położył się na brzuchu na pokrytej kurzem ziemi i zaczął robić pompki. Liczył na głos, tak żeby tamci go słyszeli: dziesięć, dwadzieścia, pięćdziesiąt, sto pięćdziesiąt, dwieście pięćdziesiąt. Miał ogoloną czaszkę, a szeroki kark lśnił od potu, który ściekał mu po skórze; Skåne stękał, pozbywając się w ten sposób frustracji, letniego żaru i czterech lat, jakie miał jeszcze do odsiadki.

Lillmasen przymknął oczy. Długo gapił się na słońce, leżąc z otwartymi oczami, potem je zamknął i zobaczył mnóstwo jasnych punktów, kolorów, falowanie i rytm; robił tak jeszcze w czasach, kiedy był dzieckiem, łatwiej mu było zniknąć, wystarczyło tylko przymknąć oczy.

— A ten Cyngiel?

Hilding zrozumiał podtekst, nie chciał odpowiadać.

— Co za cyngiel?

— Jeszcze go dzisiaj nie widziałem.

— A skąd, do cholery, ja mam wiedzieć?

— To twój zasrany obowiązek! Jochum Lang i Håkan Axelsson,

ci nowi, to jest twój zasrany obowiązek, masz sprawdzić, za co ich tutaj dosadzili.

— Tak jak ty sprawdzałeś, kiedy z nim gadałeś?

— Zamknij ryja.

— I co ja mam mu, kurwa, powiedzieć? Nie pójde tam, nie po tym, co napisał Branco w swoim liście.

Zerwał się lekki wiatr. Pierwszy powiew, jaki poczuli od wielu dni. Pojawił się nagle, jakby zesłany, pieścił ich twarze. Przez chwilę zapomnieli o rozmowie. Lillmasen podniósł się, chciał pooddychać tym, co jeszcze przed chwilą nie było letnim żarem. Kiedy odwrócił się w stronę muru, zobaczył tamtego na ścieżce spacerowej, która biegła wzdłuż betonu; blondyn o rudym odcieniu i z brodą, jeden z tych dwóch nowych, ten sam, którego przywieźli rano. Śledził go wzrokiem, każdy krok nowego. Wyciągnął paczkę papierosów i zapalniczkę i zapalił jedną z wielu połówek, które były w środku. Nie spuszczał wzroku z nowego, powoli zaczął się denerwować, a potem wymachiwać rękami.

— To ten drugi, ten, co nazywa się Axelsson. Nikt w całym pierdłu nie wie, co to za jeden. Mówi, że siedzi za pobicie. Chyba sobie jaja robi. Ten piździelec nie potrafiłby się nawet porządnie odlać! Założę się, że to jakiś zboczek. Czuję to, wyczuwam nosem, ja ich zawsze wyczuwam, tych obrzydliwców.

Hilding zbudził się z chwilowej drzemki, w którą zapadł. Podniósł się, stanął obok Lillmasena, przyglądał się spokojnemu spacerowi nowego.

— Słyszałem, co mówili klawisze. Gadali coś o zboczeńcach, że tam jest już pełno. W każdej celi siedzi jakiś zboczek. To może dlatego jest tu z nami. Nie wolno im go wsadzić gdzie indziej.

Lillmasen kopnął nogą w ziemię ze złością. Uniósł się biały kurz. Rzucił niedopałek, który przez chwilę jeszcze się jarzył, a potem powoli zgaśł.

— Skåne.

— Czego?

— Popatrz na mnie.

Skåne odwrócił się w jego stronę.

— Tak?

— Mam dla ciebie zadanie.

— O czym ty bredzisz?

— Idziesz niedługo na sześciogodzinną przepustkę, prawda?

— Tak.

— Bez nadzoru?

— Bez.

— To już wiesz, co masz zrobić. Sprawdzisz, za co posadzili Axelssona.

— Nie mogę, mam inne sprawy do załatwienia. Sześć głównianych godzin. Mam przecież swoją cizję.

Lillmasen wybuchnął śmiechem.

— Możesz o tym zapomnieć, gnojku. Idioci, którzy obstawiają podwójnie w futbolu po remisie w pierwszej połowie, mają trzymać głębę na kłódkę.

Mówiąc to, wskazywał palcem, najpierw na Skånego, potem na Hildinga, a potem znowu na Skånego.

— Hilding-Vilding, bądź tak miły i dowiedz się, jaki Axelsson ma numer osobowy. Potem dasz go Skånemu, który weźmie go w swoje wielkie, durne łapy i wykorzysta jutrzejszą przepustkę, żeby kopsnąć się do sądu rejonowego w Sztokholmie, gdzie zażąda odpisu wyroku. A potem, kurwa, zobaczmy.

Hilding drapał się po nosie tak długo, aż rana zaczęła krwawić, przez dłuższą chwilę chrząkał, ale zanim coś powiedział, Lillmasen rzucił:

— Ani słowa, do kurwy. Zrób to.

. . .

Lennart Oscarsson stał przy oknie w swoim pokoju. Miał stąd dobry widok na spacerniak i boisko. Przyglądał się dorosłym mężczyznom, którzy wymuszali, bili, zabijali, a teraz leżeli na

plecach w palącym słońcu za dwiema bramkami i ciężko oddychali. Rozpoznał Lillmasena i jego harem, widział, jak pokazywali sobie Håkana Axelssona i patrzyli na niego, kiedy ten spacerował wzdłuż muru. Przełknął niespokojnie ślinę — ostrzegał Bertolssona, żeby nie umieszczać skazanego za rozpowszechnianie pornografii dziecięcej z normalnymi więźniami, bo może się to źle skończyć. Widział coś takiego już wcześniej i tylko ktoś, kto nie żyje w tej dziwnej rzeczywistości, mógłby sobie wyobrażać coś innego.

Sam czuł się tak, jakby umierał. W każdej sekundzie.

Oba jego życia już nie istniały, prawie ich nie było. Wyglądało to tak, jakby żywiły się sobą, jakby odbierały sobie wzajemnie soki życiowe, to, co w tym drugim było bogatsze. Dwie pięści, dwoje zakochanych, dwie miłości; chodziło tylko o to, aby dwa razy skończyć.

Oto siedzi przed nim Nils. Obejmowali się. Uświadomili sobie, że potrzebują się wzajemnie. A potem Nils postawił mu ultimatum.

Lennart zrozumiał. To nie było to: żyć samotnie, być dla kogoś tym bliskim, nigdy tak naprawdę nie być wśród innych. Zrozumiał i wiedział, że wcześniej czy później staną tak obok siebie i że pojawi się słowo „ultimatum”.

Znowu odwrócił się w stronę okna. Przyglądał się budynkom za murami, takie same wille. On też tam mieszkał. Mieszkał tam całe swoje życie. Razem z kobietą, którą zawsze kochał.

Nils, który stał teraz za nim, przytulił się do jego pleców. Inne życie. To ten mężczyzna, z którym chciał się zestarzeć. Brakowało mu sił, żeby ciągle kłamać. Wiedział o tym.

Jutro już nie będzie musiał kłamać.

Dziwka krzyczała, kiedy zdejmował z niej jej czerwone buciki. Przycisnął ją wtedy do ziemi, do trawy. Dziwki co prawda krzyczą w takich sytuacjach, ale w pobliżu było zbyt wielu spacerowiczów, emerytów, którzy wybrali się na przechadzkę, i młodych ludzi uprawiających jogging. Nie spodobało jej się, kiedy całował jej czerwone lakierki i metalowe sprzączki, krzyczała głośniejsze niż inne dziwki, krzyczała — jeśli można to tak określić — ładnie. Musiał więc całować jej stopy dopiero później, może niepotrzebnie był wobec niej tak brutalny, może zbyt długo przyciskał jej twarz do suchej ziemi. Z dziwkami jest trudno, bo jak jest się wobec nich miłym, to tylko chcą kutasa. Ta tutaj też nie była inna.

Miała bardzo ładne stopy. Skóra była bardzo jasna, paluszki małe. Prawie zapomniał, jak smakuje małe dziwki. Cztery lata odczuwał pożądanie, bez przerwy się onanizował, na okrągło, a teraz już nie musiał.

• • •

Siedział tam już ponad trzy godziny. To była dobra ławka, niezbyt blisko, a mimo to mógł widzieć wszystkich wchodzących i wychodzących. Wydawało się, że to porządne przedszkole, bywał tu już wcześniej, dzieci zawsze wyglądały na zadowolone.

Byli tu policjanci — wprawdzie tylko zwykłe „krawężniki”, ale mimo to przeszkadzali mu, musiał ich jakoś obejść. Siedzieli w

Strängnäs, po dwóch, przed każdym budynkiem. Ale tutaj było Enköping, trzydzieści kilometrów dalej, nie spodziewał się, że i tutaj będą pilnować.

• • •

Małe dziwki.

Już wiele takich widział.

Prawie wszystkie miały jasne włosy, a on przecież wolał te z jasnymi włosami, bo zawsze były jakby bardziej miękkie, ich skóra, mógł dokładnie widzieć na niej niebieskie żyłki, a kiedy mocniej przyciskał palcami, to robiły się na niej jakby krwawe plamy.

To był piękny kościół. Dumny, biały, potężny, dominował nad całą okolicą, o wiele za duży, zbyt wymagający; Fredrik zastanawiał się, czy wielkość kościoła kiedykolwiek odpowiadała liczbie wiernych, a może taki był standard wielkości, kościół zbudowano w czasach, kiedy chrześcijaństwo stanowiło prawo, a ludzie wyglądali na większych?

Kościół bardzo mu się podobał. Przed wielu laty wystąpił ze Szwedzkiego Kościoła, bo dla niego liczyło się tylko to, co widział, a po śmierci nie oczekiwał już żadnej egzystencji; ale ten kościół i ten cmentarz znaczyły o wiele więcej. Oznaczały życie. Jego dzieciństwo. Każdego lata towarzyszył dziadkowi, który tu pracował i był kościelnym. Widział, jak kopie głębokie doły, przycina trawę i umieszcza na czarnej tablicy złote, metalowe cyfry oznaczające numery kolejnych psalmów. Pomagał na tyle, na ile dziadek mu pozwalał: w każdą sobotę naciskał guzik, który sterował mechanizmem zegarowym, po każdej mszy zbierał pozostawione Biblie i kładł je na wózku z pordzewiałymi kółkami, stawiał na ołtarzu długie białe świece w mosiężnych świecznikach, a potem sprawdzał, czy stoją w równym rzędzie. Uświadomił sobie teraz, że ogarnia go nostalgia i nachodzą piękne wspomnienia, ale nie miało to znaczenia. Interesujące było to, że dawnego idola, którym był Johan Cruyff*, zamienił na nowego, którym został jego dziadek,

* Johan Cruyff— słynny w latach siedemdziesiątych piłkarz holenderski.

i że nadal kocha tego siwego dziewięćdziesięcioczworoletniego staruszka, który na swych drżących nogach chodził po kuchni i popijał małymi łykami kawę, i że były to jednak szczęśliwe czasy.

Z daleka ujrzał Agnes. Nie była ubrana na czarno, bo tak postanowili; miała na sobie letnie ubranie, stała ze spuszczonym wzrokiem. Wyglądała mizernie. Miała już czterdzieści lat, ale zawsze wyglądała na dwadzieścia. Te trzy dni i kilka ostatnich miesięcy pozostawiły na niej swój ślad, bo wcześniej czy później miesiące zostawiają taki ślad na wszystkich. Chciał ją objąć. Chciał, żeby i ona go objęła. Potrzebowali się wzajemnie teraz i za chwilę, gdyż za chwilę razem umrą, a bez Marie ich rozstanie stanie się właściwie ostateczne.

Zdecydowali się na skromny pogrzeb. Bez klepsydr w gazetach, bez stypy. Fredrik i Agnes. Micaela. Nikt więcej. Zupełnie nikt. Obaj policjanci, którzy prowadzili dochodzenie, też chcieli tu być, motywując to dobrem śledztwa, na co Fredrik z pewnym wahaniem się zgodził; dopóki nic nie gadali i stali z tyłu, mogli robić, co chcieli.

Wszedł na trawę, krążył powoli między grobami pokrytymi mnóstwem kwiatów i tymi, których nikt nie odwiedzał, a które z czasem pokrył czarny mech, sprawiając, że litery na płytach nagrobnych stały się nieczytelne. Przychodził tutaj jako dziecko, chodził po cmentarzu, przyglądał się nagrobkom, czytał nazwiska, liczył, ile lat mieli zmarli w chwili śmierci, rozmyślał o kobiecie, która urodziła się w 1861 roku i zmarła w 1963, o dziecku, które urodziło się w 1953 i zmarło w 1954 roku, i o tym, jak życie może być tak nierówne co do długości trwania, że komuś dane było dorosnąć, podczas gdy ktoś inny nie zdążył się nawet nauczyć chodzić.

Już za chwilę odbędzie się pogrzeb jego własnej córki. Skończyła pięć lat.

— Fredrik?

Nie zauważył, jak podeszła. Ostrożnie położyła rękę na jego

ramieniu.

— Jak się czujesz?

Szybko odwrócił się do niej.

— Nie słyszałem, jak przyszłaś.

Uśmiechnęła się. Była dobrym człowiekiem. Znał ją od niepamiętnych czasów. Dziadek bardzo ją lubił, regularnie jej pomagał; pracowała aż do ukończenia siedemdziesiątego piątego roku życia i szczególnie na początku, kiedy obroniła dyplom i była młodą, niedoświadczoną kobietą w świecie mężczyzn, wspierał ją, chronił, walczył o to, aby została nowym pastorem w ich małej społeczności. Fredrik uświadomił sobie później, że musiała być wtedy bardzo młoda. Będąc dzieckiem, postrzegał ją zawsze jako jedną z osób starszych; kiedy był już dorosły, nagle stał się niemal jej rówieśnikiem.

— Nigdy nie będę mogła doświadczyć tego, jak się teraz czujesz. Ale myślałam o tobie. Przez każdą chwilę od ostatniego wtorku.

— Rebecko, cieszę się, że tu jesteś.

— Jestem tu już pastorem od trzydziestu lat. To najbardziej cholerny dzień w całym tym okresie.

Fredrik się wzdrygnął. Jej przekleństwo odbiło się od niego, od nagrobków, kłóciło się z jej wiarą. Zawsze uważał ją za ostoję bezpieczeństwa, ale teraz jej twarz pokrywały zmarszczki — miękka, spokojna twarz była spięta i zniszczona.

. . .

Fredrik spojrzał na trumnę. Drewniane deski, na wierzchu kwiaty, leżała tuż przed nim. Podtrzymywał Agnes. Stali przy pierwszej ławce, a każdy ich ruch odbijał się echem w pustym kościele. Nadal nie chciał przyjąć do wiadomości, że leży tu dziecko. Jego dziecko, z którym jeszcze przed kilkoma dniami rozmawiał, śmiał się, które obejmował. Agnes płakała, cała drżała, przycisnął ją do siebie, objął jeszcze mocniej.

Nie potrafił płakać. Ból całkowicie wypełnił jego wnętrze, odebrał

mu wszystko, została tylko pustka w piersi.

• • •

Już jej nie ma.

Już jej nie ma.

Już jej nie ma.

Chyba powinien coś zaśpiewać. Organista grał jakąś melodię.

Wyszli razem z rozbrzmiewającego echem kościoła. Rebecka trzymała nad trumną miseczkę z wodą, powiedziała to, co miała do powiedzenia, uściśnęła Agnes i Fredrika, chciała ich jakoś pocieszyć, ale nie potrafiła, bo jej własny ból, złość i delikatna natura sprawiły, że najpierw gwałtownie odsunęła ich od siebie, popatrzyła na nich, a potem natychmiast przycisnęła ich znowu, objęła i po prostu odeszła.

Stali w milczeniu na piaszczystej ścieżce. Tak jak przedtem świeciło słońce, trwało lato, takie samo długie lato jak wtedy, kiedy Fredrik przychodził tu z dziadkiem.

Teraz mieli ją tu pochować, wśród innych.

— Bardzo mi przykro.

Za nimi stali obaj policjanci, ten starszy, który kulał, i Sven Sundkvist, który ich przesłuchiwał. Ubrani byli na czarno, Fredrik zastanawiał się, czy sami tak zdecydowali, czy po prostu taki panował w policji zwyczaj.

— Co prawda, nie mam własnych dzieci, więc nie rozumiem tego, ale ja też utraciłem kogoś bliskiego, więc wiem, co państwo czują.

Policjant miał wzrok skierowany w dół, kiedy to mówił. Brzmiało to szorstko, na granicy grzeczności, ale Fredrik zrozumiał, że zostało powiedziane szczerze i że kosztowało go to o wiele więcej

wysiłku, niż to było widać.

— Dziękujemy.

Przywitali się uściskiem ręki. Sundkvist powiedział coś do Agnes, ale Fredrik nie słyszał co.

Zapanowała cisza. Słyszać było tylko lekki powiew wiatru, który ich muskał, wiało tak już od kilku dni, może zbierało się na deszcz, od ostatnich opadów minęły trzy tygodnie i wszyscy prawie już zapomnieli, że może być też inna pogoda niż tylko upalny skwar.

Starszy policjant odchrząknął, a potem powiedział:

— Nie wiem, czy to ma dla państwa jakieś znaczenie, ale już niedługo go dostaniemy. Wielu z nas nad tym pracuje, wielu bierze udział w pościgu.

Fredrik wzruszył ramionami.

— Ma pan rację, nie wie pan, czy to ma dla nas jakiegokolwiek znaczenie.

— A ma?

— Nie. Nasza córka nie żyje. I nic już tego nie zmieni.

Policjant powoli skinął głową.

— Rozumiem. Sam też tak to przeżywałem. Dla nas to zwykła praca. Chodzi o to, aby ukarać winnego i nie dopuścić do kolejnych zbrodni.

Fredrik wziął właśnie Agnes za rękę, szykując się do odejścia, żeby przez chwilę mogli przeżywać swój ból w samotności. Teraz jednak odwrócił się do obu policjantów, spojrzał na starszego z nich, a potem na drugiego, który nazywał się Sundkvist.

— Co pan ma na myśli?

— Że od dzisiaj będziemy pilnować każdego przedszkola, każdej szkoły.

— Bo uważacie, że tam go znajdziecie?

— Tak.

Fredrik puścił rękę Agnes, spojrzał jej w oczy; nadal czekała na niego, jeszcze przez krótką chwilę.

— A które przedszkola i szkoły?

— Tutaj, w okolicy. Jest sporo takich miejsc, to rozległy teren.

— I chcecie ich pilnować, bo przypuszczacie, że on może to zrobić jeszcze raz?

— Będziemy pilnować, bo jesteśmy pewni, że spróbuje kolejny raz.

— A dlaczego?

— Wiemy, jak działał wcześniej. Mamy też jego wyraźny profil osobowy, badali go psychiatrzy i psychologowie, i to o wiele dokładniej niż jakiegokolwiek innego więźnia w tym kraju. Prawdopodobnie będzie to robił nadal, aż nie zostanie mu nic innego, jak tylko popełnić samobójstwo.

— A wy o tym wiecie?

— Wiemy tylko tyle, że pozwolił się panu zobaczyć przed... przed tym tutaj. Lekarze tłumaczą to w ten sposób, że przekroczył tę cholerną granicę, ostatnią, jaka była, poza którą istnieje już wyłącznie autodestrukcja i nienawiść, i tylko to.

Fredrik ponownie ujął Agnes za rękę.

Cmentarz wydawał się taki wielki.

Był teraz sam. I ona też.

Ich życie będzie toczyć się nadal — on może zostanie z Micaelą, Agnes z kimś innym. Ale odtąd już zawsze będą samotni.

. . .

Prosto z cmentarza pojechali do restauracji w centrum Strängnäs. Po drodze wysadził Micaelę przy ich wspólnym mieszkaniu, długo ją obejmował.

Chciał zostać jeszcze z Agnes, tylko we dwoje, jeszcze przez chwilę.

Siedzieli na zewnątrz, jakiś brzydki ogródek uliczny, który latem wykorzystywano na potrzeby restauracji, jakiś stół wciśnięty między trzepak a parking dla rowerów; był tu jednak cień i czuło się chłodzący powiew wiatru, a poza tym nie było tu innych ludzi.

Potem pojechali na stację kolejową, ale kiedy Agnes chciała

skasować bilet w automacie, zmienili zdanie. Fredrik zaproponował, że odwiezie ją do domu, do Sztokholmu, posiedzą jeszcze razem z godzinę, nie będą w ten sposób musieli żegnać się tutaj; zyskali trochę czasu, żeby w trakcie stukilometrowej drogi spróbować zrozumieć, jak to się stało, że nie tylko stracili dziecko, ale też zerwali więzi między sobą. Byli przecież dwojgiem dorosłych ludzi, którzy od następnego dnia będą dzielić ten sam ból.

Nie mówili zbyt wiele. Nie było o czym. Wysadził ją przy placu St. Eriksplan, bo chciała zrobić zakupy, nie zamierzała wracać od razu do pustego mieszkania. Objęli się, Agnes pocałowała go lekko w policzek, a on śledził wzrokiem jej kroki, kiedy szła długim chodnikiem, aż znikła za skrzyżowaniem z Birkagatan.

Jeździł bez celu po dzielnicach położonych w centrum. Gorące lato wypędziło ludzi z miasta, widać było tylko pojedynczych turystów, którzy z mapą w ręce zmierzali ku kolejnej atrakcji; kilku starszych panów z laskami, którzy nie mogli nigdzie wyjechać, kilku młodych ludzi, których nie było na to stać, i asfalt ulic, z którego buchał żar. Kupił sobie loda, usiadł obok jakiejś młodej kobiety pod parasolem i zaczął jeść, spoglądając na przejeżdżające obok puste autobusy i pojedyncze samochody. Zatrzymał się jeszcze, żeby kupić wodę mineralną u znudzonego właściciela kawiarenki, a potem znowu jeździł po mieście, którego mieszkańcy powoli wracali do domu, jedli kolację, kładli się spać. Zmrok nie był jednak całkowity, bo krótka noc i łuna sztucznego oświetlenia przegnały ciemność. Zasnął później w samochodzie, na przednim siedzeniu, z głową opartą o szybę na jakiejś parkowej alei w dzielnicy Djurgården.

• • •

Ubranie prawie przykleiło mu się do skóry. Jasny garnitur był wygnieciony, a on sam powinien się gdzieś umyć. Obudził się o świcie, ranne ptaki miały się na ulicy z pijanymi nastolatkami wracającymi do domu. Musiał się przez chwilę przejść, żeby

rozprostować plecy, w których odczuwał ból po pięciogodzinnym śnie w pozycji siedzącej.

Wsiadł do samochodu, przejechał przez most Djurgårdsbron, minął Berwaldhallen i zatrzymał się na parkingu przed siedzibą Telewizji Szwedzkiej. Ostatnio był tu przed trzema laty, kiedy Vincent przestał pracować w „Dagens Nyheter” i przeniósł się do telewizji; tam zatrudniono go w redakcji programów informacyjnych, gdzie przygotowywano program informacyjny *Rapport och Aktuellt*; kiedy Fredrik go wtedy odwiedził, Vincent siedział w ogromnej sali, rozdzielał newsy agencyjne i krótkie wstawki informacyjne wśród pędzących we wszystkich kierunkach dziennikarzy. Od tamtej wizyty minął rok, a Vincent przeniósł się do wiadomości porannych, gdzie z informacji i zdjęć, które nadeszły nocą, próbował „ugotować jakąś zupę”, jak sam się wyrażał. Od tej pory stał się typowym trybikiem w wielkiej fabryce produkującej wiadomości, a dla kogoś, kto miał żonę i dzieci, ten tryb pracy był odpowiedni.

Fredrik czekał na niego przy budce ochrony. Poprosił surowego, umundurowanego strażnika, aby zadzwonił do Vincenta Carlssona, po czym usłyszał, że potrwa to dziesięć minut, redaktor Carlsson zejdzie i go przyjmie.

Wyglądał jak dawniej. Fredrik zobaczył go przez szybę okna; miła aparycja, wysoki, ciemnowłosy, miał w sobie jakąś godność, która sprawiała, że kobiety się do niego uśmiechały; Fredrik zauważył to wiele razy, kiedy w czasie studiów dziennikarskich wpadali czasami po zajęciach do knajpy. Potem Vincent wypatrywał jakąś kobietę przy barze i mówił, że chce ją mieć, po czym podchodził do najbardziej atrakcyjnej dziewczyny w lokalu, rozmawiał z nią, śmiał się, dotykał jej i wychodził z nią pod rękę. Taki już był, łatwo go było polubić i trudno go było posłać do diabła, nawet jeśli na to zasługiwał.

Vincent pomachał strażnikowi i poprosił, aby otworzył zamknięte od wewnątrz drzwi.

— Fredrik, co ty tu robisz? Wiesz, która jest godzina?

— Piąta.

— Piętnaście po piątej.

Szli korytarzem — niebieskie linoleum, białawe ściany, korytarz, który ciągnął się bez końca.

— Zamierzałem się z tobą skontaktować. Oczywiście, prywatnie. Ale bałem się, że zakłócę ci spokój, nie wiedziałem, co mógłbym ci powiedzieć, i teraz też nie wiem, co powiedzieć, żeby nie zabrzmiało to... nieszczerze.

— Pochowaliśmy ją wczoraj.

Fredrik zauważył, jak trudno było Vincentowi rozmawiać na ten temat, jak trudno mu było dobrać słowa, jak stał zupełnie zagubiony wobec sytuacji, jakiej nigdy nie zrozumie.

— Nie musisz nic mówić. Wiem, że się starasz. Doceniam to, ale powiem szczerze: do diabła z tym, nie to jest mi teraz potrzebne.

Korytarz nagle się skończył, ale od razu zaczął się kolejny.

— No to czego chcesz? Wyglądasz okropnie. Wiesz, że możesz przyjść tutaj albo do mnie do domu, kiedy tylko będziesz chciał. Ale dlaczego właśnie teraz, o piątej rano, dzień po pogrzebie?

— Chciałbym, żebyś mi w czymś pomógł. Możesz to zrobić. To jedyna pomoc, jakiej teraz potrzebuję.

Schodami do góry. Obok wielkiego pokoju redakcyjnego.

— Nie możemy tam dzisiaj wejść, nie da rady. Połowę czasu w naszych audycjach zajmują wiadomości o Berncie Lundzie, o tobie, Marie i o policjantach ścigających Lunda. Ludzie zaczęliby się dziwić, widząc cię w tym miejscu. Wejdziemy tutaj, nikt tu nie przyjdzie przed ósmą.

Vincent wprowadził go do mniejszego pokoju, w którym w trzech kątach stały trzy biurka. Potem wyszedł na chwilę i wrócił z dwoma kubkami kawy.

— Proszę. Chyba ci się to przyda.

Fredrik skinął głową.

— Dzięki.

Pili przez chwilę w milczeniu, starając się nie patrzeć na siebie.

— Mamy dużo czasu. Poprosiłem jedną z redaktorek, aby mnie przez jakiś czas zastąpiła. Jest cholernie zdolna, o wiele lepsza ode mnie. A jeśli widać to w ramówce, to tym lepiej.

Fredrik nachylił się nad jednym z biurek.

— Papieros. Mogę jednego zapalić?

— Przecież już od dawna nie palisz.

— Dzisiaj zapalę.

Wyciągnął papierosa bez filtra, był to jakiś zagraniczny gatunek, ale nie rozpoznał marki. Wypuścił dym, wokół nich zrobiło się białe.

— Pamiętasz, kiedy pomogłeś mi ostatni raz?

— Tak, wtedy w tej sprawie z Agnes.

— Podejrzywałem, że pieprzy się z tym pierdolonym ekonomistą. Pomyliłem się. Ale to dzięki tobie dowiedziałem się, kim był.

Vincent w sposób demonstracyjny odegnał od siebie chmurę dymu. Fredrik natychmiast zdusił papierosa o dno popielniczki.

— A co teraz? — spytał Vincent.

— To samo.

— To samo?

— Dane osobowe. Wszystko, czego możesz się dowiedzieć.

— Kto to jest?

Fredrik podał Vincentowi numer osobowy: 640517-0350.

— Kto to jest? — powtórzył dziennikarz.

Fredrik wyciągnął z kieszeni marynarki skrawek papieru.

— Bernt Lund.

Mówili podniesionymi głosami, wymieniali argumenty za i przeciw, kłótnia wygrana ze względu na współczucie. Byli bliscy osiągnięcia zgody.

— Nie złamię prawa. Ale tym samym podeptam to, co uważałem za przyjaźń.

— Wcale nie.

— Czy ty nie rozumiesz? Jeśli pomogę ci zdobyć informacje o mordercy twojej córki, to zrobię jedyną rzecz, jakiej mi nie wolno.

— Tylko to. Tylko to jest mi potrzebne.

— Wchodzisz na śliski teren.

— Nie pierdol już tyle, tylko mi w końcu pomóż.

Vincent podniósł się z krzesła, jakby chciał tym coś zaznaczyć, potem znowu usiadł i włączył stojący na biurku komputer.

— No więc?

— Co?

— Co chcesz mieć?

— Wszystko. Wszystko, co uda ci się wyciągnąć.

Vincent przeleciał wzrokiem wszystkie informacje, jakie pokazały się na ekranie monitora, odkładając je na później. Potem wcisnął kilka klawiszy, wpisał nazwę użytkownika, hasło i wszedł na pierwszą stronę bazy informacyjnej. Przeskakiwał z jednego nagłówka na drugi. Spisy spółek akcyjnych, handlowych, zrzeszeń, bank danych osobowych, baza pojazdów, rejestr nieruchomości.

— Cyfry. Już je podałeś. Numer osobowy.

Fredrik powtórzył ciąg cyfr, a Vincent wystukał je na klawiaturze.

Na ekranie monitora pojawiło się potwierdzenie. Udało się!

— Chcesz wiedzieć, gdzie mieszka? No to się dowiemy.

Poranne słońce wkładało się powoli do wnętrza pokoju. Zrobiło się ciepło, powietrze było nieruchome.

— Czy mogę otworzyć okno? Ciężko się tu oddycha.

— Tak, otwórz.

Fredrik podniósł się, otworzył dwa narożne okna; nawet nie zauważył, że nadal się poci w swym jasnym garniturze. Dwa głębokie oddechy, uniesione ramię Vincenta.

— Bernt Asmodeus Lund. Ostatni adres: *care of**

— No, jaki?

— Skeppargatan dwanaście, *care of*. Håkan Axelsson. To w Sztokholmie, gdzieś w Östermalmie. Ale to adres sprzed kilku lat. Od tamtej pory Lund w zasadzie cały czas przesiedział w więzieniu, ale innego adresu i tak nie ma. Skeppargatan to ostatni oficjalny adres.

Fredrik nadal stał za Vincentem, plecy ciągle go jeszcze bolały po nocnym spaniu w samochodzie, rozkoszował się świeżym powietrzem, które wpadało do pokoju przez szeroko otwarte okna.

— A są jakieś inne adresy?

— Dwa wcześniejsze. Poprzednio Kungsgatan numer trzy w Enköpings, a jeszcze wcześniej Nelsonstigen w Piteå.

— Czy to już wszystko?

— Tylko tyle tu widzę. Jeśli chcesz mieć wcześniejsze dane, to musisz zadzwonić do urzędu skarbowego w Piteå.

— To wystarczy. Ale chcę jeszcze więcej danych. Innych.

Fredrik czekał za plecami Vincenta ponad godzinę. Zapisywał wszystko na pustym listowniku z nadrukiem Telewizja Szwedzka,

* *Care of* — adres należący do innej osoby z zaznaczeniem na kopercie, że przesyłka przeznaczona jest dla odbiorcy, który pod tym adresem nie zamieszkuje.

który wziął z tego samego biurka, z którego wcześniej poczęstował się papierosem; w punktach zapisał sobie wszystkie dane z komputera.

W gminie Vetlanda znajduje się nieruchomość zapisana na nazwisko Bernta Lunda: dom na wynajem, wyceniony dziwnie wysoko, położony poza miastem.

W bazie obejmującej płatności długa lista niespłaconych długów: jakieś zaległe podatki, raty kredytu studenckiego, wiele nieudanych prób egzekucji długów.

Zatrzymane prawo jazdy.

Dwie spółki akcyjne z zawieszoną działalnością zajmujące się obrotem papierami wartościowymi.

Cztery wcześniejsze zlecenia zarządu w związkach sportowych.

Bernt Lund wiódł na wolności życie, które nie wyróżniało się niczym szczególnym, często się przeprowadzał, przeżywał ciągle problemy finansowe, od czasu do czasu próbował nawiązywać kontakty z ludźmi. Fredrik zapisywał to wszystko, próbował ustalić, co będzie mu potrzebne, starał się czytać między wierszami.

Vincent odwrócił się i spojrzał na niego.

— Wolałbym, żebyś sobie dał spokój z tym głównym.

Fredrik nie odpowiedział. Zaciśnął zęby i tylko popatrzył na przyjaciela, nic nie mówiąc.

— Możesz się na mnie gapić, ile chcesz. A ja myślę to, co myślę. — Vincent podniósł się z krzesła, zabrał oba kubki po kawie i wyszedł na korytarz.

Fredrik popatrzył za nim, a potem pochylił się, żeby podnieść słuchawkę jednego z dwóch telefonów stojących na biurku. Wybrał jej numer.

— Cześć, to ja.

Chyba ją obudził.

— Fredrik?

— Tak.

— Jestem zbyt zmęczona. Wzięłam tabletkę nasenną.

— Chcę tylko spytać o jedną rzecz. Gdzie są tamte dwa worki, które spakowaliśmy, kiedy sprzątaaliśmy mieszkanie twojego ojca?

— O czym ty mówisz?

— Chcę tylko wiedzieć.

— Nie zabierałam ich stamtąd. Nadal leżą na strychu w Strängnäs.

Do pokoju wrócił Vincent, niosąc kubki pełne kawy. Fredrik odłożył słuchawkę.

— Dzwoniłem do Agnes. Ciężko z nią.

— Jak się czuje?

— Cholernie źle.

Vincent skinął głową ze zrozumieniem, podał Fredrikowi kubek, a swój przyłożył do ust.

— Musimy już kończyć. Powinienem wracać do pokoju redakcyjnego, bo znowu zważyło nam się na głowę mnóstwo roboty. Pod Moskwą rozbił się samolot.

Jeszcze raz przesunął myszką, aż doszedł kursorem do głównego menu, do rejestru handlowego: spółki i osoby fizyczne. Wpisał w dwie ramki numer osobowy Bernta Lunda, numer, który otwiera tak wiele baz danych w całej Szwecji. Dziwne, pomyślał, że jest takie prawo, żeby za pomocą zwykłego numeru można było kontrolować życie obcej osoby; to takie praktyczne, a jednocześnie niezwykle.

— B. Lund Taxi.

Fredrik usłyszał to, ale mimo to spytał:

— Co powiedziałeś?

— Firma taksówkowa. Zarejestrowana jako B. Lund Taxi. Nie została wyrejestrowana.

Podszedł do biurka i usiadł obok Vincenta, żeby odczytać dane.

— Kiedy?

— Założona w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym czwartym roku.

Fredrik wybuchnął krótkim śmiechem.

— O co chodzi?

— O nic.

— Śmiejesz się z niczego? Z kim, do cholery, myślisz, że masz do czynienia?

Fredrik znowu wybuchnął śmiechem.

— Nie chodzi absolutnie o nic.

— O nic? Daruj sobie stary, okay? Siedzisz tu dzień po pogrzebie swojej córki, ubrany w garnitur z pogrzebu, i rechoczesz. Z czego? Z niczego? Zamknij się.

— Uspokój się.

— Mam się uspokoić? Do cholery, patrzcie go. Czegoś jeszcze potrzebujesz?

— To mi wystarczy.

— Nazwiska akcjonariuszy? Protokoły posiedzeń?

— To naprawdę mi wystarczy.

* * *

Na dworze padał deszcz.

Trzy tygodnie bez opadów i nagle z nieba na głowę spadają krople deszczu. Otworzył drzwi, wszedł do samochodu, włączył wycieraczki, które lekko przesuwają się po szybie; wody nie było zbyt dużo, wystarczyło kilka ruchów i szyba była znowu czysta, a wycieraczki można było wyłączyć.

Szybko przejechał przez miasto, był jeszcze wczesny, sobotni ranek, ruch na ulicach nawet się nie zaczął. Przejechał przez Hornstull, most Liljeholmsbron, kierował się w stronę Strängnäs. Kartkę z zapisanymi informacjami położył na desce rozdzielczej, a jadąc ostrożnie, zerkał na tekst.

Dom na wynajem w Smålandzie. Nieudane próby egzekucji długów. Adresy w Piteå, Enköping, Östermalmie. Darował sobie to wszystko. To nie tam zamierzał prowadzić swoje poszukiwania. To, czego szukał, znajdowało się w dolnej części listy, w spisie handlowym pod nazwą B. Lund Taxi. Firma, która istnieje od

wielu lat.

Fredrik pochylił się, wsunął rękę pod siedzenie, pogrzebał w skrzynce. Chciał posłuchać muzyki w drodze z nieciekawych przedmieść Sztokholmu do Strängnäs. Chciał posłuchać Creedence i *Proud Mary*, miał ochotę śpiewać na cały głos i próbował jakoś zapomnieć, że jego ból nie chce śpiewać razem z nim.

. . .

Kiedy dojechał na miejsce, deszcz przeszedł w ulewę. Taką, jakby ktoś powoli przecinał powłokę wiszącą nad głowami ludzi, nad budynkami, nad życiem; było to jak poród i radość, a chociaż na miasto spadały strugi deszczu, nie zauważył nigdzie parasolek, nikt nie uciekał, żeby się schronić. Przed sobą widział idących wolno kobietę i mężczyznę, mieli przemoczone ubrania, uśmiechali się i spoglądali w niebo. Fredrik poczuł, że ubranie odlepiło mu się od ciała, zrobiło mu się lżej, a powietrze nasycone było tlenem. Wysiadł z samochodu i ruszył do domu; z każdym krokiem szedł wolniej i pozwalał, aby deszcz zmył z niego trzy tygodnie spiekoty i kurzu.

Kiedy otworzył drzwi, ona już tam stała. Trzymała w ręku kilka masek, Wielkiego Złego Wilka i Świnki. Zawołała: „Tatusiu!” i chciała wyjść, bawić się, spieszyła się, była taka zaabsorbowana, jak wszystkie pięciolatki.

Usiadł przy kuchennym stole. Karton soku w lodówce, wypił wszystko, trzy duże szklanki. Dom — taki cichy, wyzywający.

Przesunął krzeselko od stołu do telefonu, który wisiał na ścianie. Zaraz wróci Micaela, musiał się spieszyć. Dwie rozmowy. Potem już będzie gotów.

Szukał książki telefonicznej Enköping, wiedział, że gdzieś ją ma, w szufladzie na samym dole. Przerzucał kartki. Znalazł numer, rozpoznał cyfry znajdujące się obok dużego logo firmy, dzwonił tam już wcześniej kilka razy.

Odezwał się kobiecy głos.

— Taxi w Enköping.

— Dzień dobry, mówi Sven Sundkvist. Poproszę z działem kadr.

— Chwileczkę, już pana łączę.

Kilka sekund. Fredrik odchrząknął, nabrał powietrza.

— Taxi Enköping, Liv Steen.

— Mówi Sven Sundkvist, inspektor policji w Sztokholmie, sekcja do spraw gwałtów.

— Słucham pana.

— Szukam informacji dotyczących jednego z waszych wcześniejszych kierowców, z którym współpracowaliście. Nazywa się Bernt Lund. — Fredrik podał kobiecie numer osobowy Lunda.

— Miał firmę o nazwie B. Lund Taxi.

— Dobrze.

— To pilne.

— Co chce pan wiedzieć?

— Chciałbym wiedzieć, jakie miał stałe zlecenia w okresie, kiedy dla was pracował.

— Hm, sporo tego było.

— Wystarczy, jak mi pani poda stałe zlecenia na przejazdy do szkół i przedszkoli.

— No, nie wiem, zazwyczaj nie przekazujemy takich informacji.

Fredrik się zawahał. Kobieta zachowała się tak, jak powinna. Nie umiał kłamać, nie lubił tego, zawsze z trudem przychodziło mu ustalić, gdzie przebiega granica i czy jeszcze jej nie przekroczył.

— Prowadzę dochodzenie w sprawie morderstwa.

— Nie wiem, czy to coś pomoże.

— Może pani o tym czytała. Pięcioletnia dziewczynka. Morderstwo na tle seksualnym.

Wypowiedział te słowa z wielkim trudem. Nie potrafił już powiedzieć więcej. Kobieta nadal się wahała.

— Powiedział pan, że nazywa się Sundkvist?

— Tak.

— Czy mogę oddzwonić?

— Oczywiście.

Długie milczenie.

— Nie będę utrudniała, zrobię to od razu.

— Dziękuję.

Słyszał, jak kobieta przeszukuje segregatory. Charakterystyczny dźwięk, kiedy metalowe pierścienie przytrzymujące dokumenty otwierają się i zamykają. Poczuł, jak jego przemoczony garnitur klei się do ciała, jak wtedy, kiedy się pocił.

— Osiem stałych zleceń na kursy do przedszkoli. Cztery w Strängnäs i cztery w Enköping.

— Poproszę o adresy.

Kobieta szukała dalej, a potem podyktowała mu je. Rozpoznał cztery w Strängnäs. Jeden z nich należał do przedszkola o nazwie Gołąbek. Lund znał więc to przedszkole. Był tam wiele razy przedtem, jeździł tam regularnie prawie przez rok. Teraz wrócił do miejsca, gdzie czuł się bezpiecznie, gdzie wiedział, jak poruszają się dzieci, jak wyglądało wejście i wyjście.

Fredrik podziękował za pomoc, odłożył słuchawkę. Teraz druga rozmowa, z Agnes.

— To znowu ja.

— Teraz też nie dam rady.

— Wiem. Potrzebuję tylko klucza na strych. Wiesz, gdzie jest?

— Nie ma żadnego klucza, bo nie ma tam żadnego zamka. Nigdy go nie zamontowałam. Na strychu były tylko rzeczy ojca, ja nigdy nie miałam z tym miejscem nic wspólnego.

— Dzięki.

Chciał zakończyć rozmowę. Wiedział już to, czego potrzebował.

— Po co ci to potrzebne?

— Są tam niektóre rzeczy należące do Marie. Drobiazgi, które robiła w przedszkolu, a potem dała dziadkowi. Chcę je stamtąd zabrać.

— Po co?

— Po prostu. Muszę to uzasadnić?

Stanął przed lodówką. Chciało mu się pić. Jeszcze jeden karton soku.

Napisał coś na kartce papieru, kilka zdań, wyjaśniając, że na jakiś czas wychodzi, ale szybko wróci. Powiesił ją na drzwiach lodówki i przytwierdził magnesem.

Nadal padał deszcz, choć już nie tak rzęsy. Przeszedł przez ulicę, kierując się w stronę domu z ośmioma mieszkaniami za fasadą przypominającą fasadę willi. Wsiadł do windy, nacisnął guzik na strych.

Podniósł się z ławki.

Deski były z twardego drewna, pomazane graffiti, siedział na niej od rana, cztery godziny, był zeszytywniały, w całym ciele odczuwał ból.

Widział te dziwki już tyle razy, wiedział, jak się poruszają i jak wyglądają, kiedy ze sobą rozmawiają. Były to piękne dziwki, jak ta ostatnia, może niekoniecznie, jeśli chodzi o piersi, ale miały za to długie, szczupłe nogi i oczy, które widziały kutasa.

Najbardziej podobały mu się dwie z nich, dwie blondynki, wyglądały tak radośnie. Wiedział, jak się nazywają, bo rozmawiały ze sobą głośno, i nawet je sfotografował, zarówno wtedy, gdy przyszły, jak i wtedy, kiedy wychodziły do domu; często oglądał te zdjęcia i czuł się tak, jakby je znał od dawna.

• • •

Były dosyć duże.

Dziewki w tym wieku wiedzą już, czego chcą.

Kiedy rodzice zostawiali je przed wejściem, prawie nie machały im na do widzenia, nie widziały ich już. Często myślał o takich dziewczynach, którym się wydaje, że o czymś decydują, o tym, jak do nich przemówi, jak się do nich zabierze.

• • •

Czuł się taki samotny. Przyglądał im się już tak długo. Pragnął, żeby w końcu byli razem, we troje.

Rodzice przyjdą późno, tak właśnie postępowali tacy rodzice. Spojrzał na zegarek. Pięć po jedenastej. Miał na to prawie sześć godzin.

* * *

Po południu. Tak jak z tą drugą.

Dziwki są wtedy zazwyczaj na zewnątrz, wcześniej było gorąco, a teraz, kiedy pada deszcz, pozostaną na zewnątrz jeszcze dłużej, zawsze tak robią. Będzie zamieszanie, wszystkie w tym samym czasie na podwórku, ochroniarze nawet nie zauważą.

Wiedział już dokładnie, co trzeba zrobić.

W środku panowała ciemność. Fredrik był już tu kiedyś, gdy sprząтали mieszkanie Birgera, a potem wynieśli na strych wszystkie te jego rzeczy, które nie nadawały się jeszcze do wyrzucenia. Birger zmarł nagle, w jednej chwili przeszedł z życia do śmierci, znaleźli go nagiego w łóżku z gazetą „Tidningen Båtnyt” w rękach; w połowie siedział, w połowie leżał, lampka na szafce przy łóżku była zapalona, obok leżał jego dziennik z wpisem z tego samego dnia, Birger zapisał wtedy temperaturę i wysokość opadów, a także posiłek, jaki zjadł w południe w sklepie sieci ICA; kilka zdań dalej napisał, że czuje się zmęczony, nie rozumie dlaczego, i że zażył dwie tabletki, aby stłumić potworny ból głowy.

Fredrik nigdy tak do końca go nie poznał. Był człowiekiem trudnym w obejściu, wysoki, otyły i agresywny, ciężko więc było zrozumieć, że może być ojcem Agnes, tak bardzo różnili się od siebie w sposobie bycia i z wyglądu.

Otworzył drzwi prowadzące na niezamknięty strych. Kilka kartonów z ubraniami, żyrandol, dwa fotele, cztery wędki, przyczepka do roweru. Na samym końcu oba worki jutowe. Fredrik wcisnął się w wąską przestrzeń, wciągnął brzuch, żeby móc przesunąć się między dwoma fotelami, kiedy nagle usłyszał, że drzwi na strych się otworzyły.

Zatrzymał się. Czekał w ciszy w słabo oświetlonym

pomieszczeniu.

Przynajmniej dwie osoby. Szeptały coś do siebie.

Głos należał do chłopca.

— Halo!

Znowu szepty.

— Halo! Wychodzimy do was! Jest nas tu wielu!

Rozpoznał ten głos. Uśmiechnął się. Miał właśnie coś powiedzieć, kiedy druga osoba, która do tej pory milczała, odezwała się. Głos był trochę starszy, twardszy.

— Ha! No widzisz! Wiedziałem, to się zawsze tak kończy.

Dwaj chłopcy ruszyli przed siebie, wypatrywali czegoś przy wejściu na strych. Oddychali głęboko, ale nic nie mówili. Jeszcze chwila i Fredrik wreszcie ich zobaczy, byli już blisko, kilka metrów od niego. Nie chciał ich przestraszyć.

— Cześć, Davidzie.

Za późno. Przestraszyli się, wzdrygnęli ze strachu, rozpaczliwie się rozglądali.

— To tylko ja, Fredrik.

Teraz już ich widział. Kierując się w ciemnościach głosem, zobaczyli go w końcu, jak stoi między fotelami i macha w ich stronę. David, niski chłopiec z krótkimi, potarganymi włosami, niższy o głowę od swojego kolegi — silnie zbudowanego, rumianego chłopaka, którego Fredrik nigdy wcześniej nie widział. Wpatrywali się w niego, zerkali na siebie, bo oto nagle spotkali upiора, którego się bali, i dlatego rozczarowali się tak bardzo, jak bardzo mogą się rozczarować łowcy duchów, kiedy stwierdzą, że to „coś strasznego i przerażającego” było tylko jakimś facetem, który znalazł się w niewłaściwym miejscu.

David wskazał na Fredrika.

— Aha, to tylko tata Marie.

David był najlepszym przyjacielem Marie. Trzymali się razem od pierwszej chwili, kiedy się poznali, bawili na tym samym placu zabaw, chodzili do tego samego przedszkola, jadali zazwyczaj

razem kolację, spali razem i budzili się przed wszystkimi innymi. Funkcjonowali jak rodzeństwo, którym przecież nie byli. David powiedział: „To tylko tata Marie” i zaraz nagle ucichł, ze wstydem odwrócił wzrok. Nie powinien sprawiać tacie Marie przykrości, nie powinien wypowiadać jej imienia, przecież ona nie żyje i już nigdy jej tu nie będzie.

Chwycił kolegę za rękę, chciał już iść, chciał zejść ze strychu i zostawić tatę zmarłej Marie w spokoju.

— Chłopcy, zostańcie.

David rozplakał się i odwrócił w jego stronę.

— Przepraszam, zapomniałem.

Fredrik wyczołgał się z ciasnego miejsca. Zastanawiał się, czy pięcioletnie dzieci rozumieją pojęcie „śmierć”. Czy rozumieją, że zmarłej osoby już nie ma, że już nie oddycha, nie widzi, nie słyszy, i że zmarła osoba nigdy więcej nie przyjdzie na podwórko i nie będzie się z nimi bawiła? Nie, chyba nie. On sam tego nie rozumiał.

— Davidzie, podejdź tutaj. Ty też podejdź. Jak masz na imię?

— Lukas.

— To ty też podejdź.

Fredrik usiadł na podłodze, czerwonobrazowe cegły, brudne, kanciaste. Wskazał palcem na kawałek podłogi obok siebie, chcąc, żeby chłopcy usiedli razem z nim.

— Coś wam opowiem.

Siedli obok niego. Po obu stronach. Objął ich ramionami.

— Davidzie, czy pamiętasz, jak się razem bawiliśmy?

David się uśmiechnął.

— Pan był Wielkim Złym Wilkiem. My byliśmy Świnkami. My wygraliśmy. My zawsze wygrywamy.

— Tak, to wy zwyciężyliście, jak zwykle. Czy fajnie się bawiłeś?

— Tak, fajowo. Z Marie zawsze bawi mi się tak dobrze.

Marie znowu tam stała. Uśmiechała się. Powiedziała, że będą się bawić jeszcze raz. Westchnął, tak jak zawsze, ona wybuchła śmiechem, a potem znów się bawili.

— Tak, wiem. Zawsze się z nią fajnie bawiłeś. A ona śmiała się tak często. Sam wiesz, Davidzie.

— Tak, wiem.

— No tak. Więc powinieneś też wiedzieć, że nie musisz się bać wypowiadać jej imienia. Nawet wtedy, kiedy rozmawiasz ze mną czy z kimkolwiek innym.

David wpatrywał się w podłogę. Starał się zrozumieć. Odwrócił się do Lukasa, a potem do Fredrika.

— Z Marie zawsze jest fajna zabawa. Znam ją. Wiem, że już nie żyje.

— Niestety, to prawda.

— Nie będzie panu przykro, że wypowiadam jej imię?

— Nie, nie będzie.

Przesiedzieli tak na podłodze jeszcze pół godziny. Fredrik opowiadał im o pogrzebie, o pani pastor, która położyła grudkę ziemi na trumnie, i o tym, że trumnę spuszczano potem do grobu. Później David i Lukas zadawali mu tysiące pytań: dlaczego człowiek ma w brzuchu krew, dlaczego dziecko umiera czasem wcześniej niż dorosły; mówili też, jakie to dziwne, że najpierw się z kimś rozmawia, a potem już nie ma jak.

Fredrik objął ich obu i uświadomił sobie, że oto po raz pierwszy potwierdził jej śmierć. Zmusili go do tego. Chciał im wyjaśnić, a im to nie wystarczyło, więc musiał wyjaśnić po raz kolejny. Mówił nawet o bólu, że jeszcze nie płakał, a oni zdenerwowali się i spytali dlaczego, on zaś opowiedział, jak to jest: że nie wie, że nie umie zrozumieć, ale że czasami ogarnia go ogromny smutek i nie może się go pozbyć.

Chłopcy wyszli i zamknęli za sobą drzwi, a on znowu został sam. Przez chwilę panowała zupełna cisza. Potem wcisnął się do komórki, między fotele, do samego końca, aż dotarł do obu worków. Podniósł je i wysypał ich zawartość. Na podłogę wypadła cała masa książek, gratów i starych ubrań. To, po co przyszedł, było w drugim worku. Było duże i utknęło w środku, musiał to wytrząsać.

To była dobra strzelba. Tak przynajmniej twierdził Birger. W ciągu ostatnich lat swego życia sporo polował na łosie, sarny, zające. Był z tego dumny, pielęgnował ten zwyczaj, i tak go między innymi Fredrik zapamiętał: Birger siedzący wieczorem przy stole kuchennym, rozkłada broń na części, czyści dokładnie każdą z nich osobno, potem znowu wszystko składa, a następnie długo siedzi i celuje we wszystkich i we wszystko.

Fredrik podniósł strzelbę z podłogi. Włożył ją do pustego worka, a wychodząc ze strychu, trzymał pod pachą.

Siw Malmkvist śpiewała tak głośno, że aż ściany się trzęsły. *Du har bara lekt med mig, original: Foolin around*, 1961. Brzmiało to tak, jakby jej głos odbijał się od ścian pokoju, spotykał się ze sobą i stawał duetem, jeszcze mocniejszym, jeszcze bardziej intensywnie brzmiącym.

*Wiem, że tylko się mną bawiłeś, więc odejdz,
zabierz z powrotem pierścioneł, który mi dałeś.*

Ewert Grens syczał na tych, którzy wchodzili do jego pokoju, mawiał, że trzy osoby to już zgromadzenie i że mogą zostać, jeśli będą trzymać gębę na kłódkę. Puszczzał im już trzeci kawałek, za każdym razem troszkę głośniej. Sven Sundkvist i Lars Ågestam spojrzeli na siebie, Ågestam pytająco, podczas gdy Sven wzruszył ramionami; tak to już było z Ewertem, będą tak siedzieć, aż Siw przestanie śpiewać, i nie było sensu mu przerywać. Ewert trzymał w ręku jej zdjęcie, które sam zrobił w Kristianstadzie w parku Folkets, w trakcie tournée w 1972 roku; śpiewał razem z nią, znał każde słowo, trochę głośniej, gdy śpiewała refren. Siw kończyła śpiewać, potem kilka sekund ciszy i znowu trzeszczące nagranie z longplaya. Ågestam chciał właśnie coś powiedzieć, kiedy zaczęła się następna piosenka. Ewert podkreślił głośność i poirytowany machnął ręką w stronę prokuratora: niech siada i trzyma gębę na kłódkę.

*Domyślam się, że chcesz mnie opuścić!
A więc to, co o tobie słyszałam, to prawda.*

Lars Ågestam nie wytrzymał. Spieszyło mu się, to on tu decydował.

Nie życzy sobie więcej przestępstw na tle seksualnym, żadnych więcej przestępców, pedofilów, gwałcicieli. Chciał czegoś więcej, chciał piąć się coraz wyżej.

Tymczasem znowu przydzielili mu podobną sprawę.

Znowu przestępstwo na tle seksualnym.

Zarazem jego bilet wstępu do przyszłej kariery.

Ledwo się opanował, żeby nie wybuchnąć głośnym śmiechem, kiedy go do tej sprawy wyznaczili. Prowadzi postępowanie przygotowawcze dotyczące ucieczki Bernta Lunda. Morderstwo popełnione na pięcioletniej dziewczynce przez osadzonego w celi więźnia i przestępcę seksualnego zajęło natychmiast mnóstwo miejsca w środkach masowego przekazu. Każda wiadomość, każda pierwsza strona gazet w kraju, w którym do tej pory panowała cisza, przekazywała informacje na bieżąco. To jest jego szansa. Tu się może przebić. Właśnie przed chwilą został jedną z najciekawszych postaci w kraju.

*Bo jeśli nie wystarczy, że cię kocham,
to nie masz tu nic do szukania.*

Jeszcze nie, jeszcze nie teraz. Żeby to się już skończyło.

Podniósł się z krzesła, podszedł do biurka Ewerta, zrobił krok w stronę półki z książkami i niezgrabnego magnetofonu, pochylił się i nacisnął guzik.

W pokoju zrobiło się zupełnie cicho.

Sven wbił wzrok w podłogę. Ewertem zatrzęsło, twarz mu poczerwieniała. Lars Ågestam wiedział, że w tym momencie złamał najstarsze niepisane prawo w tym budynku, ale miał to gdzieś.

— Grens, musi mi pan wybaczyć, ale nie zdołam dłużej wysłuchiwać tych żalonych rymów.

Ewert ryknął:

— Wynocha z mojego pokoju! Ty mały pieprzony karierowiczu! Ale Ågestam się zawiązał.

— Siedzi pan tu i słucha muzyki ludowej, zamiast wykonywać swoją pracę. Musiałem to wyłączyć, do cholery!

Ewert podniósł się z krzesła i dalej wrzeszczał na prokuratora.

— Słuchałem jej i pracowałem najciężej ze wszystkich, kiedy ty robiłeś jeszcze w gacie! Wynocha stąd, zanim zrobię ci krzywdę!

Ågestam podszedł do krzesła, na którym przed chwilą siedział, i z przekorą usiadł na nim.

— Chcę wiedzieć, gdzie jesteśmy. Kiedy się dowiem, wskażę wam ślad, którego jeszcze nie macie. Jeśli okaże się właściwy, zostanę. Jeśli nie, obiecuję, że wyjdę. W porządku?

Ewert zdecydował właśnie, że osobiście wyrzuci z pokoju tego małego gnojka. Pogardzał tymi pieprzonymi karierowiczami z prokuratury, chłopcami po uniwersytetach, którzy nigdy nie dostali po gębie. A ten będzie się stąd wyczołgiwał. Już szedł w jego stronę, kiedy podniósł się Sven.

— Ewert, opamiętaj się. Niech będzie tak, jak mówi. Niech nam da ten ślad, którego jeszcze nie mamy. Jak nie ma nic, to sobie pójdzie.

Ewert się zawahał. Ågestam skorzystał z tej niespodziewanej przerwy i szybko odwrócił się w stronę Svena.

— No więc co macie?

Sven odchrząknął.

— Sprawdziliśmy jego wszystkie znane wcześniej adresy. Nadal nadzorujemy te miejsca.

— A jego kumple pedofile?

— Byliśmy u wszystkich. Pilnujemy ich.

— Jakież wskazówki?

— Ciągłe coś napływa. Wiadomości telewizyjne, gazety... ludzie

słuchają, widzą, toniemy w takich informacjach, widziano go w zasadzie na terenie całego kraju. Sprawdzamy wszystkie doniesienia, ale jak dotychczas bezskutecznie.

— Potencjalna następna ofiara?

— Pilnujemy tyle miejsc, ile się da, utrzymujemy kontakt z każdym przedszkolem i szkołą w promieniu pięćdziesięciu kilometrów od tamtego przedszkola.

— Co jeszcze?

— Nie tak wiele.

— To znaczy, że stoicie w miejscu?

— Tak.

Ågestam czekał w milczeniu. Ewert wałnął swoim notatnikiem w stół, mówił teraz podniesionym głosem.

— Twoja kolej, pajacu. A potem wynocha.

Prokurator wstał z krzesła, wolno chodził po pokoju.

— Pracowałem kiedyś jako taksówkarz. W ten sposób zarabiałem na studia. Przez pięć lat woziłem ludzi po całym regionie. Nieźle wtedy zarabiałem. Było to jeszcze przed zmianą ustawy, można było wtedy zobaczyć taksówki na każdym rogu.

Ewert ryknął, nie wstając z krzeselka:

— No i co?!

Ågestam udał, że nie zauważył tej agresywnej, pełnej nienawiści zaczepki.

— Sporo się wtedy nauczyłem i wiem, jak funkcjonują korporacje taksówkowe. Założyłem nawet własną stronę w internecie, takie „info-taxi”, no wiecie, strona zawierająca wszystkie możliwe informacje, jakie nie są zebrane gdzie indziej w jednym miejscu: numery telefonów, struktura korporacji, porównanie cen. Wszystko razem. Stałem się w ten sposób jakby ekspertem, do którego zwracali się turyści i dziennikarze, żeby uzyskać informację.

I znowu Ewert. Trudno było rozstrzygnąć, czy słucha, czy nie, uderzył pięścią w stół, ciężko oddychał. Sven już wcześniej widział go, jak szydzi z ludzi i wścieka się na nich, ale nigdy nie widział

go takiego jak teraz; stracił godność i opanowanie.

— No i co dalej?

— Bernt Lund pracował jako taksówkarz, prawda?

Sven skinął twierdząco głową. Ågestam mówił dalej:

— Prowadził nawet własną firmę, która nazywała się B. Lund Taxi. Zgadza się?

Odwrócił się znowu w stronę Ewerta, czekając na jego odpowiedź. Cztery minuty.

Długi czas, kiedy w pokoju została zachwiana równowaga, kiedy myśli, uczucia i ciała tańczą nierówno.

Syk Ewerta.

— Tak, zgadza się. Cholernie dawno temu. Wiemy o tym. Przewróciliśmy do góry nogami gniazdo tego pieprzonego bankruta.

Lars Ågestam nadal przemierzał pokój na swych cienkich nogach, ale mówiąc, nie chodził już od ściany do ściany, tylko prawie biegał, jakby mu się dokądś spieszyło, jakby był zdenerwowany. Jasne włosy falowały mu na głowie, szkła okularów zaszyły mgłą, teraz jeszcze bardziej niż kiedyś wyglądał na uczniaka, na chłopca, który postanowił się zbuntować i uparcie trwał w swym zamiarze.

— Skontrolowaliście księgowość firmy, strukturę, zakres działania. To świetnie. Ale nie sprawdziliście tego, czym się tak naprawdę zajmował.

— Prowadził taksówkę. Woził różnych głupków, a ci mu za to płacili.

— A kogo woził?

— Na to nie ma żadnych dokumentów.

— Nie chodzi mi o osoby prywatne. Mam na myśli stałe zlecenia. Umowy z gminami i sejmikiem samorządowym.

Ågestam się zatrzymał. Stał przez chwilę w milczeniu między Ewertem siedzącym za biurkiem i Svenem, który siedział na krześle dla interesantów. Podjął rozmowę na nowo, pilnował się teraz, żeby za każdym razem zwracać się do tego z nich, do którego mówił.

— Każdy zwykły taksówkarz miałby problemy, żeby się utrzymać tylko z klientów prywatnych. Większość z nich szuka więc stałych zleceń, nazywaliśmy je „zleceniami szkolnymi”. Mniejsze wynagrodzenie, ale stały przyływ gotówki. „Zlecenia szkolne” obejmują często dzieci, które wozi się do przedszkoli i szkół. Jeśli ktoś prowadził działalność tak długo jak Lund, to istnieje duże prawdopodobieństwo, że miał też i takie zlecenia. A przede wszystkim jeśli ktoś jest tak chory jak on. Uważam, że jeśli dokładniej zbadacie tego typu zlecenia, które miał Lund, to znajdziecie te przedszkola, do których jeździł regularnie. O których marzył. Do których być może powróci.

Ågestam wyciągnął grzebień z tylnej kieszeni, przyczesał włosy. Wygląd zewnętrzny, krawat, biała koszula, szary garnitur — lubił czuć się dobrze, elegancko.

— Zbadacie to?

Ewert siedział w milczeniu, patrzył przed siebie, złość, jaka go wypełniała, szukała drogi ujścia. Rzadko dawał się tak sprowokować, to był przecież jego pokój, jego muzyka, jego metodyka pracy, i albo ktoś to akceptował, albo zostawał na korytarzu z całą resztą tych idiotów. Nie wiedział, skąd naszła go taka złość, dlaczego uderzyła z taką siłą, ale już się stało; z drugiej strony każdy człowiek w miarę upływu lat zasługuje na prawo bycia sobą, nie musi już nic wyjaśniać. Inni mieli na to swoją definicję, nazywali to „zgorzknieniem”. Ich opinia w ogóle go nie interesowała, mogli jego zachowanie nazywać, jak chcieli, nie muszą go ciągle lubić, wiedział sam, kim jest, i starał się w takiej postawie wytrwać.

Uświadomił sobie, że ten młody prokurator wskazał na coś, co może popchnąć sprawę dalej, ale nie miał ochoty przyznawać mu racji. Natomiast Sven wyprostował się na krześle, spojrzał na Ågestama z szacunkiem.

— Brzmi rozsądnie. To całkiem możliwe. Obszar, jaki nadzorujemy, zmniejszy się dzięki temu drastycznie. Brakuje nam

czasu i środków, staraliśmy się, żeby było ich więcej, ale to nie takie proste. Jeśli jest tak, jak pan uważa, to zyskamy na czasie, możemy skoncentrować się na środkach i zbliżyć do celu. Zbadam to od razu.

Wyszedł z pokoju, przeszedł szybkim krokiem przez korytarz. Ågestam i Ewert zostali w pokoju, nie chciało im się ciągnąć tego tematu; Ewert nie miał już sił, by krzyczeć, a Ågestam stwierdził, że stary policjant jest bardzo zmęczony i spięty.

Nie ruszali się ze swoich miejsc, żaden z nich. Cisza, długa przerwa w rozmowie. Aż do chwili, kiedy Ågestam opuścił środek pokoju, zbliżył się do Ewerta, ominął go, podszedł do półki i ponownie włączył magnetofon.

Slit och släng, original: Lucky lips, 1966.

*Powiadają, że widują cię każdego dnia
w towarzystwie słodkich dziewcząt, tu i tam.*

Tępe, puste rymy, bełkot. Ågestam wyszedł z pokoju i zamknął za sobą drzwi.

Przestało padać. Ostatnie krople spadły na ziemię w chwili, kiedy wychodził z domu. Powietrze było rześkie, łatwo się nim oddychało. Chmury zmieniły kolor, słońce zaczęło się przez nie przebijać, zapowiadając, że już niedługo znowu będzie sucho, gorąco, bezwietrznie.

Fredrik niósł w ręce worek. Szybko przeszedł przez ulicę, kierując się do samochodu, po czym położył worek na puste tylne siedzenie. Rozmowa, jaką przeprowadził przed chwilą z dwoma małymi chłopcami, oraz ich pogląd na śmierć utkwiły mu w pamięci. David i Lukas siedzieli obok niego na twardej podłodze strychu i słuchali, trochę z roztargnieniem, ale za każdym razem po jego odpowiedziach stawiali kolejne pytania, oparte na rozważaniach pięciolatka i siedmiolatka, dotyczące ciała i śmierci, a także duszy i ciemności, których nikt nie potrafi zobaczyć.

Myślał o Marie. Od ostatniego wtorku myślał o niej w każdej chwili, o obrazie martwej córki, jej cichym obliczu, które uniemożliwiało jakąkolwiek próbę zobaczenia czegoś innego; zastanawiał się, jak wyglądało jej pojęcie śmierci, nigdy o tym nie rozmawiali, nigdy nie było ku temu okazji.

Czy zrozumiała?

Czy bała się?

Czy zamykała oczy albo czy walczyła?

Czy kiedykolwiek wiedziała, że śmierć może zdarzyć się w każdej chwili i że jest tym samym co wieczna samotność w białej

trumnie pokrytej kwieciami, leżącej pod świeżo przystrzyżonym trawnikiem?

Krażył po ciasnych uliczkach Strängnäs. Spojrzał na listę z adresami: cztery przedszkola w Strängnäs, cztery w Enköping. Był pewien, że ma rację. Lund siedział teraz przed jednym z nich. Czekał tam, tak jak wtedy, przed tamtym przedszkolem. Fredrik pomyślał o kulejącym policjancie na cmentarzu, o tym, co wtedy powiedział, że Lund będzie to robił tak długo, aż ktoś go powstrzyma.

Najpierw do Gołąbka. To przedszkole też znajdowało się na liście, a Lund mógł sobie tam siedzieć jak każdy inny, jak zwierzę w miejscu, gdzie niedawno wyłożono jedzenie. Fredrik jeździł tą trasą przez prawie cztery lata. Znał każdy autobus, każdy znak drogowy i nienawidził tego. Ta znajomość dawała złudne poczucie bezpieczeństwa i przyzwyczajenia, ale okazała się dławiącym bólem. Był w domu, lecz miejsce to tak naprawdę nigdy nie stanie się jego domem.

Zaparkował samochód w odległości stu metrów od przedszkola. Przed bramą stał samochód firmy ochroniarskiej z dwoma strażnikami wyposażonymi w pałki; kawałek dalej parkował samochód policyjny z dwoma umundurowanymi funkcjonariuszami. Było to dziwne — siedzieć tak przed tym samym przedszkolem, do którego sześć dni wcześniej przyprowadził córkę, żeby została tam na kilka godzin, od wpół do drugiej do piątej. Że też nie zrezygnował wtedy z tego wyjazdu do przedszkola! Byli przecież tak spóźnieni, Marie marudziła, a on miał wyrzuty sumienia, że spał za długo. Gdyby został wtedy w domu, gdyby wziął ją za rękę i poszedł na spacer do miasta, kupił w porcie lody, jak to zazwyczaj czynił. Gdyby powiedział jej, że jak inne dzieci powinna zostać w taki upał w budynku. Siedział w samochodzie, czekał, wszedł do lasu w pobliżu bramy i rozglądał się wokół przedszkola, na wszystkie strony, aż był przekonany, że Lunda tu nie ma i że nie obserwuje przedszkola.

Przekręcił kluczyk w stacyjce, wycofał i pojechał w stronę Dungen, kilka kilometrów bliżej od miasta. Włączył radio, dochodziła pierwsza po południu, ustawił na kanale PI, na wiadomościach. Najpierw katastrofa lotnicza pod Moskwą, stu szesnastu zabitych, prawdopodobna przyczyna: usterka techniczna, rosyjski samolot po niedokładnym przeglądzie. Potem prokurator, któremu powierzono prowadzenie dochodzenia w sprawie Lunda, udzielał wywiadu, ale nie miał zbyt wiele do powiedzenia. Któryś z policjantów, prawdopodobnie Grens, poprosił głośno dziennikarza, żeby spadał. Wreszcie biegły psychiatra, który kiedyś przy kilku okazjach badał Lunda, ostrzegał teraz przed jego postępowaniem wynikającym z obsesyjnej potrzeby powtarzania pewnych zachowań, przed wewnętrznym popędem, który Lund będzie mógł zaspokoić tylko wtedy, gdy znajdzie ujście dla swych gwałtownych impulsów.

Zatrzymał się i raz jeszcze rozejrzał wokół Gołąbka. Potem pojechał przez miasto do przedszkoli o nazwie Park i Potok.

Firma ochroniarska, samochody policyjne.

Lunda nie ma i prawdopodobnie nie było go tam.

Fredrik wyjechał ze Strängnäs drogą numer 55, kierując się na Enköping. Jechał szybko, zostały mu jeszcze cztery adresy do sprawdzenia.

Zerknął na worek.

Nie wahał się.

Sprawiedliwości musi stać się zadość.

Spacerniak, na którym nie rosły drzewa, stał się nagle bardziej znośny. Deszcz rozpadał się nad zakładem karnym w Aspsås i w ciągu kilku minut dziesiątki więźniów ubranych w niebieskie krótkie spodnie i rozebranych do pasa zaczęło gonić się we wszystkie strony i krzyczeć; przed chwilą przestali mrużyć oczy, wykaszliwać kłęby pyłu i pocić się przy każdym ruchu.

Mecz, przerwany w ostatni czwartek, został wznowiony, grali drugą połowę przy podwojonej stawce, dziesięć tysięcy koron. Mecz skończył się remisem. Leżeli teraz tak jak wtedy, każda drużyna za swoją bramką, ale tym razem w strumieniach deszczu, z twarzami zwróconymi do nieba, wystawionymi na chłodne powiewy wiatru.

Lillmasen leżał między Hildingiem i Skånem, zmienił ułożenie ciała, a tamci dwaj zrobili to samo, odsuwając się trochę dalej.

— Jak mogłeś być taki pojebany, Skåne? Jak można, kurwa, podwajać stawkę, jak się nie ma kondycji, i to od samego początku?

Skåne podrapał się po głowie, spojrzał na Hildinga, ale ten mu nie pomógł.

— Cholera, przecież mamy remis. O czym ty bredzisz? Przecież nie daliśmy dupy.

— Jeszcze nie, ty tępý łbie. Nie mamy przecież, kurwa, nic. Czy ktoś z was miał piłkę w czasie tej połowy?

Opuścił głowę, rozejrzał się.

— Czy któryś z was robił cokolwiek innego, niż biegał za piłką? Dogrywka, do kurwy! Kapujesz? Będziemy tak gonić za piłką, a oni znowu będą ją do siebie podawać. Ty durny dupku!

Hilding wpatrywał się w spadające krople, nie mógł uleżeć w miejscu, prawie nie odsuwał palca od rany na nosie. Był zaniepokojony, myślami gdzieś daleko od tego pieprzonego meczu o parę tysięcy koron. Zerkał bez przerwy na Skånego, starał się ściągnąć na siebie jego uwagę. Jak na razie tylko ci, którzy wiedzieli, i ci, którzy znali Lillmasena wystarczająco dobrze, orientowali się, że w końcu zabije tego głupka.

Skåne dostał swoją wymarzoną, sześciogodzinną przepustkę do południa, od siódmej do trzynastej. Przepustka na wyjście do miasta bez nadzoru klawiszy. Pożyczył brykę od brata i pognął do Täby, do wybranki swego serca; wypili kawę w kuchni, a potem rozebrali się do naga. On leżał bez ruchu zwrócony w stronę jej nagiego ciała, a ona pieściła jego policzek, mówiąc, że czekała, że miała pełne pożądania fantazje i uświadomiła sobie, iż wytrzyma jeszcze i te cztery następne lata. Został u niej pół godziny za długo i wracał do miasta ze zbyt dużą prędkością; przy wjeździe zrobił się korek, a on stracił cierpliwość, zostawił samochód przy jakiejś budce z kielbaskami i szedł dalej piechotą. Wsiadł do autobusu przy Odengatan i wysiadł przy Flemingatan. W sądzie trwało to piekielnie długo, ale w końcu znalazł to cholerne orzeczenie sądowe, po czym pobiegł z sądu do samochodu i wrócił do Aspsås; miał jeszcze siedemnaście minut w zapasie, kiedy zadzwonił do bramy więzienia.

W orzeczeniu napisane było to, czego się obawiał. Wrócił na oddział tuż przed rozpoczęciem meczu i umówił się z Lillmasenem, że po końcowym gwizdku pogadają o tym, o czym on sam już wiedział, co przeczuwał: Håkan Axelsson został skazany za posiadanie pornografii dziecięcej. Axelsson był jednym z siedmiu członków sieci pedofilów, którzy o wyznaczonej godzinie pokazywali w internecie posiadane przez siebie zdjęcia, stanowiące

dowody ciężkiego przestępstwa. Bernt Lund był jednym z tych siedmiu; dwóch skazano już wcześniej, siedzieli teraz w pierdlu w Aspsås. Skåne rozmawiał w czasie meczu przez chwilę z Hildingiem, kiedy na moment znalazł się przy nim, o tym, co wiedział, o tym, co miało się zdarzyć. Hilding zaczął drapać się po nosie. Rozumiał, że jeśli Lillmasen dowie się, zanim Axelsson stąd zniknie, to skończy się to egzekucją, a żaden z nich nie miał na to ochoty, bo zabójstwo prowadziło do zaostrzenia dyscypliny i do zwielokrotnionych kontroli w celach; po oddziale będzie się kręcić cała masa klawiszy i tak długo będą wywracać do góry nogami każdą celę, aż zrozumieją, że niczego nie znajdują.

Hilding podniósł się i strzepnął błoto, które na skutek deszczu przykleiło mu się do ciała. Lillmasen syknął poirytowany.

— Gdzie się, kurwa, wybierasz? Zaraz gramy dalej.

— Idę do kibla. Nie zaczniemy tak od razu. Nie będę się tu, kurwa, brudził.

Ruszył w stronę szarej bryły więzienia, do wejścia w narożniku. Otworzył drzwi prowadzące na oddział i popędził do celi Axelssona. Była pusta. Popędził do kibla, do łazni, do magazynku przy kuchni. Pusto. Podrapał się w nos, który zaczął krwawić. Pobiegnął do siłowni. Postać przez chwilę przed wejściem, rozejrzał się, a potem wszedł do środka.

Axelsson był tam. Leżał na plecach na ławce, rękami obejmował sztangę na wysokości klatki piersiowej, opuszczał ją i podnosił. Ławka do podnoszenia ciężarów z pozycji leżącej. Osiemdziesiąt kilogramów. Hilding nadal czekał. Axelsson ciężko oddychał, znowu opuścił sztangę. Kilka szybkich kroków. Zanim Axelsson podniósł sztangę, Hilding zdążył podbiec, złapał ją, pochylił się całym ciężarem ciała nad sztangą i nad Axelssonem i przycisnął mu ją do szyi.

— Posłuchaj no, nie robię tego z miłości do ciebie.

Axelsson starał się go kopnąć, poczerwieniał na twarzy, z trudem oddychał.

— O co chodzi?

Hilding wrzasnął, przyciskając sztangę jeszcze mocniej do jego szyi:

— Zamknij ryja, ty zboczku!

Axelsson przestał kopać, nie próbował się bronić. Hilding zmniejszył nacisk na sztangę.

— Gadałem przed chwilą ze Skånem. Przyniósł z sądu wyrok w twojej sprawie. Ty bydlaku, pieprzyłś małolaty!

Håkan Axelsson się przestraszył. Nie mógł nic powiedzieć, ale jego spojrzenie mówiło, że rozumie, o co chodzi.

— Masz cholerne szczęście, gnojku. Nie chcę, żeby na moim oddziale kogoś zabijano na śmierć. I tak mamy tu za dużo kłopotów. Dam ci więc szansę. Odczekam jeszcze dziesięć minut, a potem porozmawiam o tym z Lillmasenem. Jak się dowie, a ty do tej pory stąd nie znikniesz, to będziesz się cieszył, jak cię stąd wywiozą w karetce.

Czerwona twarz Axelssona traciła swą naturalną barwę, stawała się coraz bardziej sina, zaczął się trząść, mówił coś z trudem, znowu zaczął kopać, żeby się oswobodzić.

— Po co mi o tym opowiadasz?

— Nie słuchałeś? Mam cię w dupie, ale nie potrzebuję tu nowej jatki.

— Co mam, kurwa, zrobić? Posadzili mnie przecież tu, a nie gdzie indziej.

Hilding ostatni raz przycisnął sztangę do jego szyi. Axelsson zakaszał, próbował złapać powietrza.

— Jak chcesz przeżyć do końca dnia, to słuchaj, co ci powiem. Słuchaj cholernie uważnie, zrozumiałeś?

Axelsson skinął głową.

— Zaraz stąd wyjdę. Wtedy ty zabierzesz swoje pedofilskie członki, pójdziesz do klawiszy i zażadasz izolatki. Zažadaj izolatki z własnej woli i wyjaśnij, że wiemy, za co siedzisz. Wtedy nie będą z tobą dyskutować. Nie wolno ci tylko, kurwa, powiedzieć, kto cię

ostrzegł. Zrozumiano?

Axelsson skinął głową, tym razem bardziej energicznie. Hilding stał jeszcze nad nim przez chwilę, wybuchnął krótkim śmiechem, nabrał śliny, przesunął głowę tak, że była nad twarzą Axelssona, a potem wolno wypuścił ślinę z ust.

Ewert Grens nie miał zamiaru iść do domu. Był zmęczony, a od dnia, kiedy Lund uciekł z konwoju, zostawał w swoim pokoju do późnego wieczoru, tak jak to czynił zazwyczaj wtedy, kiedy zdarzyło się coś niezwykłego. Postarzał się, tyle rozumiał, siwy mężczyzna pod sześćdziesiątkę, który z trudnością dobiegał do odjeżdżającego autobusu; jego ciało ruszało się teraz wolniej, ramiona zwisały bezwładnie, ale w piersiach nadal tkwiło poczucie obowiązku, które nakręcało go do działania i pchało do przodu, jak to się działo w ciągu tych wszystkich miesięcy, które praca zabrała mu z życia. Dostrzegał to, nadal miał siły, ale coraz częściej wybiegał myślami o kilka lat do przodu, myślał o emeryturze, o końcu, o śmierci. Rzeczywiste życie zastąpił wariantem udawanym, żył tylko pracą i niczym innym, nie był osobą prywatną, ojcem, dziadkiem czy nawet synem — był inspektorem policji Grensem, cieszył się szacunkiem i poważaniem, które wiązały się z tą funkcją, a jednocześnie odczuwał strach na myśl o tym, jak niewiele to znaczy, jak cholernie samotny jest z tego powodu; była to tego rodzaju samotność, która — kiedy się jej doznawało — nie wynikała z własnego wyboru i dlatego była tak okropna.

Tego popołudnia także nie wybierał się do domu. Chciał przejść się korytarzami, siedzieć w swoim gabinecie i słuchać Siwan, a kiedy dobiegnie północ, usiąść w wygodnym krześle dla gości i zdrzemnąć się, jak to często robił, zapaść w krótki, niespokojny sen

— cztery, pięć godzin, aż znowu zrobi się jasno, aż wróci chęć do pracy i poczucie obowiązku. Jeszcze tylko krótki spacer, póki powietrze jest rześkie i łatwiej się oddycha. Wziął beret i wyszedł z pokoju, kierując się w stronę niewielkiego parku, który nie miał nawet nazwy. Chciał właśnie zamknąć drzwi, kiedy zobaczył zbliżającego się Svena.

— Ewert, poczekaj chwilę.

Spojrzał na Svena, jego szczupła twarz wyrażała napięcie, a policzki poczerwieniały.

— Co cię tak, do cholery, zdenerwowało?

— Mamy nowy problem.

Ewert wskazał palcem w stronę korytarza i drzwi wyjściowych.

— Muszę się przejść, potrzebuję świeżego powietrza. Jak chcesz pogadać, to chodź ze mną.

Szli obok siebie, Ewert jak zwykle powoli, Sven niecierpliwie, drobiąc kroki, żeby dostosować tempo.

— Wspominałeś o jakimś problemie.

— Zrobiłem to, co uzgodniliśmy.

Sven nabrał powietrza, szukał słów, od których mógłby zacząć.

— Chłopie, do rzeczy!

— Chodzi o teorię Ågestama na temat firmy taksówkowej. Obdzwońłem wszystkie korporacje taksówkowe w Malardalen.

— I co?

— Korporacja w Enköping. Całkiem blisko.

Weszli na chodnik, czuli zapach spalin i smród bijący od śmieciarek, ale Ewert oddychał głęboko, już od dawna oddychanie nie sprawiało mu takiej przyjemności.

— I co dalej, do cholery?

— Problem polega na tym, że osoba, z którą rozmawiałem, bardzo mądra kobieta, która zna swoją firmę od podszewki, twierdziła, że już do niej dzwoniłem, że już zadawałem jej te same pytania, i to wczoraj przed południem.

Przeszli na drugą stronę ulicy, do parku. Kilka drzew, trawnik,

dwa place zabaw, nie jakaś tam oaza, ale za to kilkaset metrów w cieniu.

— Nie bardzo kojarzę. A dzwoniłeś?

— Ågestam dobrze główkował: korporacja taksówkowa w Enköping potwierdziła, że Lund miał zlecenia na jazdy do szkół i przedszkoli. Dali mi osiem adresów: cztery w Strängnäs i cztery w Enköping. Gołąbek było jednym z nich.

— To drań! To drań!

— Powiadomiłem już firmy ochroniarskie i naszych ludzi, którzy pilnują tych miejsc. Mamy silną obstawę wszystkich ośmiu.

Ewert zatrzymał się na środku alejki.

— W takim razie nie potrwa to już długo. Nie ukryje się. Ten bydlak jest chory, a chore bydlaki muszą zdobyć lekarstwo.

Zamierzał iść dalej parkową alejką, ale zatrzymał się w pół kroku.

— Co miałeś na myśli, mówiąc, że dzwoniłeś wcześniej, przed południem?

— Dokładnie to, co powiedziałem. Ktoś zadzwonił do nich przed południem i zadawał te same pytania. Ktoś, kto przedstawił się jako Sven Sundkvist. Ktoś, kto skojarzył korporację ze zleceniami dla Lunda. Ktoś, kto też szuka Lunda i prawdopodobnie nie zamierza oddać go w ręce sprawiedliwości.

Szli w milczeniu obok siebie. Ewert wiedział, że Sven ma jeszcze coś do powiedzenia, że rozpiera go chęć podzielenia się z nim tą wiadomością, ale zrobił chwilę przerwy. Szli dalej, a Ewert gwizdał głośno, fałszując melodię *Flickor bak i bilen*; gwizdał, oddychał i wiedział, że niedługo nastąpi koniec — zlecenia na jazdy, zdesperowanie Lunda i upływający czas — że wszystko to zbiegnie się w jednym punkcie, jak to zwykle bywa; już od tak dawna miał do czynienia z głupcami, ciągle stawali na jego drodze i wiedział, że niewiele więcej może się zdarzyć.

— No, Sven, możesz opowiedzieć resztę.

Sven zatrzymał się przed ławką i gestem wskazał Ewertowi miejsce. Usiedli obok siebie, mając przed sobą plac zabaw i trójkę

dzieci w wieku około trzech lat, bawiących się w piaskownicy.

— We wszystkich mediach pokazywano tylko ciebie, Ewerta Grensa, to z tobą przeprowadzano wywiady. Mnie tam nie było. Kojarzy mnie z tą sprawą niewiele osób: tutejsi ludzie, parę osób w Aspsås, lekarz sądowy, kilka osób mających do czynienia ze sprawą Marie Steffansson w czasie przesłuchań, kilka osób spotkanych na miejscu przestępstwa. I tylko niewielu z nich mogło mieć jakiś motyw. Postanowiłem sprawdzić wszystkich. Zacząłem od ojca dziewczynki. I już nie musiałem sprawdzać dalej.

Ewert pokręcił głową, machnął niecierpliwie ręką, dając znak, żeby Sven mówił dalej.

— Rozmawiałem z kobietą, z którą Fredrik Steffansson obecnie mieszka, nazywa się Micaela Zwarts. To ta, która pracuje w przedszkolu. Mówi, że nie widziała go od dnia morderstwa, czyli od wtorku. Był oczywiście w fatalnym stanie, i nie ma się co dziwić. Ale mimo to odczuwała zaniepokojenie. Facet nie okazywał bólu, przynajmniej nie w typowy sposób, nie pozwalał, żeby ból nim zawładnął, na razie. Szukała z nim kontaktu, w końcu mieszkają ze sobą od kilku lat, ale opisała go jako osobę nieprzeniknioną, jako kogoś, kogo przestała rozumieć. Prawdopodobnie był w domu dziś rano, podczas gdy ona była w pracy, zostawił jej wiadomość na kartce, a potem powiesił ją na lodówce, przypinając magnesem. Prosił o wybaczenie i obiecywał, że niedługo wróci do domu.

Ewert znowu machnął ręką zniecierpliwiony.

— Rozmawiałem też z Agnes Steffansson, matką dziewczynki. Jest rozsądną kobietą, przejętą bólem, a mimo to natychmiast zrozumiała, co się święci, i potwierdziła opinię wyrażoną przez tamtą. Fredrik Steffansson nie tylko przestał obnosić się z żalobą, ale i zachowywał się dziwnie, po pogrzebie zadzwonił do niej dwa razy i zadawał jakieś niezwiązane ze sprawą pytania. Wydawało jej się, że to próba nawiązania z nią kontaktu, chęć rozmowy, ale teraz się przestraszyła.

— Mów dalej.

— Rozmawiała ze mną przez telefon komórkowy, pojechała do Strängnäs, żeby zabrać z przedszkola resztę rzeczy należących do Marie, i nagle przeprosiła mnie, że musi się rozłączyć, i obiecała, że oddzwoni. Czekalem więc. Zadzwoniła po dwudziestu minutach. Wyjechała już z przedszkola i pojechała do domu, w którym aż do swej śmierci przed czterema laty mieszkał jej ojciec. Powiedziała, że pytania, jakie zadawał jej Fredrik, skłoniły ją do wejścia na strych, do komórki należącej do jej ojca, która nadal tam była. Kiedy ojciec umarł, spakowali jego rzeczy do worków i zostawili je właśnie tam.

Sven odchrząknął, był wzburzony, z trudem wypowiadał słowa, które cisnęły mu się na usta.

— W worku była broń myśliwska jej zmarłego ojca. Sztucer na łosie marki Carl Gustaf trzydzieści zero sześć, świetne przyrządy optyczne, celownik laserowy. Dlaczego, do cholery, ktoś trzyma taką broń w niezamkniętym miejscu?!

Ewert siedział w milczeniu, czekał dalej. Sven wahał się, jakby bał się sformułować to, co chciał teraz powiedzieć.

— Była wystraszona. Płakała. Broni już tam nie było.

. . .

Lars Ågestam miał ochotę zwymiotować. Stał pochylony nad umywalką w toalecie budynku prokuratury. Jeszcze do niedawna wszystko było takie proste! Dostał dużą sprawę, o której tak marzył. Stoczył walkę i pokonał jednego ze zgorzkniałych przedstawicieli starej generacji: to, czego dowiedział się na temat powiązań Lunda z korporacją taksówkową, było policzkiem dla Grensa, a z drugiej strony popchnęło sprawę do przodu.

Wszystko to jednak działo się przed rozmową, o której Sven opowiedział Ewertowi.

Teraz znowu został sam.

Nie chciał mieć jeszcze do czynienia z rodzicem, który zamierzał zemścić się na mordercy swej córki.

Rozumiał, co to dla niego oznacza. Pięcioletnia dziewczynka zgwałcona i zamordowana — czysta sprawa, prosta, nieskomplikowana, duża nośność medialna, prawo przeciwko zbrodni, w jednym szeregu z opinią publiczną. Ale jeśli ojciec dziewczynki będzie szybszy, jeśli posłuży się bronią, żeby kropnąć z odległości trzystu metrów stojącego gdzieś spokojnie człowieka — to już zupełnie inna sprawa. To czyste szaleństwo, lekceważenie prawa. W tym przypadku będzie musiał skierować oskarżenie przeciwko ojcu, który działał pod wpływem rozpaczy; tym samym stanie się katem występującym w imieniu społeczeństwa przeciwko małemu człowiekowi. Sukces będzie oznaczał jednocześnie jego koniec.

Wsadził palce do gardła. Nie miał innego wyjścia. Musi się tego pozbyć, musi mieć jasny umysł, a zazwyczaj robił to w taki właśnie sposób.

Dochodziła godzina siedemnasta. Przedszkole Freja w zachodniej części Enköping przedłużyło godziny otwarcia o jedną godzinę. Przedszkole położone było w ładnym miejscu, jakby w dolince otoczonej wzgórzami. Fredrik siedział w samochodzie już od pół godziny i czekał. Samochód zaparkował na łące, zdecydował się stanąć na najwyższym wzgórzu, żeby mieć nieograniczony widok na przedszkole. Kiedy się tam zjawił, zrobił to samo, co w przypadku innych przedszkoli: wysiadł z samochodu, dokładnie przeszukał okolicę, zataczając szerokie koła wokół zabudowań przedszkola.

Dopiero kiedy wrócił do samochodu i chciał go otworzyć, zobaczył mężczyznę.

Siedział lekko pochylony, właściwie tuż przed nim.

Częściowo zasłaniały go krzaki, plecami opierał się o korzenie przewróconego drzewa na jednym z niższych pagórków, które znajdowało się między przedszkolem a miejscem, gdzie stał Fredrik, kilkaset metrów od dwóch białych budynków. Zielona koszulka, lornetka w ręce. Siedział w ciszy, pół godziny później nadal siedział bez ruchu zwrócony w stronę placu zabaw i dzieci bawiących się po drugiej stronie ogrodzenia. Fredrik przyjrzał mu się przez lunetę: to był Lund, przywitał się z nim przecież sześć dni wcześniej, to ta sama twarz, ta sama sylwetka.

Zamordował jego córkę, odebrał mu ją, a teraz siedzi tam, niedaleko od niego.

Fredrik starał się zapanować nad swymi uczuciami, nie myśleć o bólu.

Przed wejściem do budynku przedszkola stał samochód policyjny. Z przodu siedziało dwóch umundurowanych funkcjonariuszy, zmęczeni czekaniem liczyli wolno upływający czas, wpatrując się w zamkniętą bramę. Było ciepło, a pod karoserią stojącego w słońcu samochodu jeszcze gorącej; w ciągu tego krótkiego czasu, kiedy Fredrik im się przyglądał, obaj zdążyli po dwa razy wyjść z samochodu, aby oprzeć się o maskę i wypalić papierosa. Powietrze było nieruchome, widać było unoszący się dym.

Czasem przeleciał jakiś ptak, raz po raz dobiegały go dźwięki z położonej nieopodal autostrady, a poza tym cisza, usypiający spokój.

Fredrik otworzył przednie drzwi i wyszedł z samochodu. Klęknął, a na jego jasnych spodniach od garnituru zrobiła się zielona plama; skulił się, łokcie ułożył na masce, ocenił odległość, oparł się o czarną maskę, a potem tak długo szukał odpowiedniego miejsca, aż znalazł wygodną pozycję.

Wziął głęboki oddech. Czuł się rześko, ciało było rozluźnione, poruszał się lekko.

Wyciągnął worek z tylnego siedzenia i opróżnił go. Strzelba była ciężka. Już od dawna z niej nie strzelał, ostatni raz chyba przed siedmioma laty, kiedy poszedł z Birgerem na polowanie; było to jeszcze przed urodzeniem się Marie, kiedy to obaj z teściem starali się znaleźć jakieś wspólne zainteresowania. Polowanie było chyba jedynym tematem, na który potrafili ze sobą rozmawiać, mogli wtedy udawać choć przez chwilę, że są teściem i zięciem i że łączy ich cokolwiek więcej niż wspólna miłość do Agnes.

Fredrik zważył broń w ręce, kilka razy pochylił ją w dół, a potem uniósł. Potem przyklęknął, w taki sam sposób, jak próbował przed chwilą; trzymając strzelbę, wsparty o maskę silnika, wycelował — teraz już naprawdę, przez muszkę widział plecy Lunda.

Czekał. Chciał go trafić z przodu.

Minął kwadrans. Lund podniósł się, korzeń drzewa i krzaki przez chwilę go nie zasłaniały, przeciągnął się, zrobił kilka skłonów do przodu, żeby rozruszać zeszytywniałe mięśnie.

Promień lasera przesuwiał się wzdłuż jego ciała, przemieszczał się niespokojnie po człowieku, który oddychał. Fredrik zatrzymał się chwilę na jego rozporku, potrzywał promień na tym miejscu przez kilka sekund, a potem zaczął przesuwając go wyżej.

I nagle Lund zauważył ten czerwony, zabłąkany punkt, zaczął się przed nim bronić jak przed osą, machając bez sensu rękami.

Fredrik oddał pierwszy strzał.

Odgłos strzału rozdarł panującą ciszę i przez chwilę wyglądało to tak, jakby jej w ogóle nie było.

Lund przestał machać rękami, gwałtownie odchylił się do tyłu, a potem zwałił ciężko na ziemię.

Próbował się powoli podnieść, a wtedy Fredrik przesunął czerwony punkt na jego czoło i zatrzymał się na nim; chwilę potem głowa Lunda rozerwała się na kawałki, ale wyglądało to inaczej, niż Fredrik sobie wyobrażał.

. . .

I znowu zapadła cisza.

Fredrik położył karabin na maskę samochodu. Opadł na ziemię, najpierw usiadł, a potem się położył, objął rękami głowę, skulił się, przyjął pozycję embrionalną.

Płakał.

Po raz pierwszy od chwili, kiedy Marie została porwana, płakał, odczuwał ból, piekielny ból, który chciał znaleźć jakieś ujście, ale zamiast tego narastał i stawał się coraz większy; teraz chciał się go pozbyć, więc krzyczał tak, jak krzyczy ktoś, kto traci życie.

. . .

Prowadzący przesłuchanie (PP) Sven Sundkvist: Proszę państwa.

Adwokat Kristina Björnsson (KB): Tutaj?

PP: Może być tutaj.

KB: Dziękuję.

PP: Przesłuchanie prowadzone jest w Kronobergu, jest godzina dwudziesta piętnaście, przesłuchiwany Fredrik Steffansson. Oprócz przesłuchiwanego obecni są: prowadzący przesłuchanie Sven Sundkvist, prokurator Lars Ågestam i adwokat Kristina Björnsson.

Fredrik Steffansson (FS): (*mówi coś niewyraźnie*)

PP: Słucham?

FS: Poproszę trochę wody.

PP: Stoi przed panem, proszę sobie nalać.

FS: Dziękuję.

PP: Czy mógłby nam pan opowiedzieć, co się wydarzyło?

FS: (*mówi coś niewyraźnie*)

PP: Musi pan mówić głośniej.

FS: Chwileczkę.

PP: Czy wszystko w porządku?

FS: Nie.

PP: Czy może pan zeznawać?

FS: Tak, mogę.

PP: Zatem jeszcze raz: czy może nam pan opowiedzieć, co się wydarzyło?

FS: Sam pan wie co.

PP: Chciałbym, żeby pan sam to opisał.

FS: Skazany wcześniej przestępca seksualny zamordował moją córkę.

PP: Chcę się dowiedzieć, co wydarzyło się dzisiaj, w Enköping, w pobliżu przedszkola Freja.

FS: Zastrzeliłem mordercę mojej córki.

KB: Przepraszam, poczekaj chwilę.

FS: Słucham?

KB: Muszę z tobą porozmawiać.

FS: Słucham?

KB: Czy jesteś pewien, że chcesz opowiadać o tym, co się dziś wydarzyło, w taki właśnie sposób?

FS: Nie rozumiem, co masz na myśli.

KB: Mam wrażenie, że zamierzasz mówić o tym, co się dzisiaj wydarzyło, w pewien szczególny sposób.

FS: Zamierzam odpowiadać na pytania.

KB: Jesteś świadomy, że za zabójstwo z premedytacją grozi ci dożywocie? Od szesnastu do dwudziestu pięciu lat.

FS: Być może.

KB: Radzę ci, żebyś uważał na to, co mówisz. Przynajmniej do chwili, aż dadzą nam trochę czasu, żebyśmy mogli ze sobą dłużej porozmawiać.

FS: Nie zrobiłem nic złego.

KB: Jak chcesz.

PP: Możemy kontynuować?

KB: Tak.

PP: Kontynuujemy. Co się dzisiaj wydarzyło?

FS: To pan mnie poinformował.

PP: Ja pana poinformowałem?

FS: Na cmentarzu, po pogrzebie. Był pan tam razem z tym kulawym.

PP: Z komisarzem Grensem?

FS: Tak, z nim.

PP: Na cmentarzu?

FS: Któryś z was powiedział, że istnieje duże ryzyko, iż Lund zrobi to znowu. To chyba pański kolega to powiedział. Właśnie wtedy się zdecydowałem. Teraz już do tego nie dojdzie. Nie zginie już żadne dziecko, żadne. Czy mogę wstać?

PP: Oczywiście.

FS: Przyjmuję, że pan rozumie, o czym mówię: oto Lund siedzi w więzieniu, udaje mu się uciec, wam nie udaje się go

złapać, Lund porywa Marie, a potem ją morduje. Wam znowu nie udaje się go schwycić. Wiecie, że znowu zabije. Wiecie o tym. A mimo to pokazaliście, że nie możecie temu zapobiec.

Lars Ågestam (LA): Czy wolno mi przerwać?

PP: Proszę bardzo.

LA: To była zemsta.

FS: Jeśli państwo nie potrafi ochronić swych obywateli, to muszą oni bronić się sami.

LA: Chciał pan zemścić się za śmierć Marie, zabijając Lunda.

FS: Uratowałem życie przynajmniej jednemu dziecku. Jestem o tym przekonany. Taki był mój motyw.

LA: Czy jest pan zwolennikiem kary śmierci?

FS: Nie.

LA: Pański czyn na to wskazuje.

FS: Wierzę w to, że można uratować czyjeś życie, odbierając je komuś innemu.

LA: Chce pan przez to powiedzieć, że wolno panu decydować o tym, czyje życie warte jest więcej?

FS: Dziecko, które bawi się w ogródku przedszkolnym, czy też przestępca seksualny, który zamierza zhańbić i zarząć to bawiące się dziecko? Czy ich życie ma tę samą wartość?

PP: Zastanawiam się, dlaczego nie pozwolił pan, aby aresztowała go policja.

FS: Rozważałem i tę możliwość. Ale podjąłem inną decyzję.

PP: Wystarczyło tylko podejść do radiowozu, który stał przed bramą przedszkola.

FS: Udało mu się uciec z więzienia. Wcześniej udało mu się uciec ze szpitala dla psychicznie chorych. Gdybym pozwolił policjantom go aresztować i gdyby go potem skazano na pobyt w więzieniu albo w innym zakładzie dla psychicznie chorych, to dlaczego nie miałby uciec znowu?

PP: A więc postanowił pan sam zostać sędzią i katem.

FS: To nie ja dokonałem tego wyboru. Nie było po prostu innego wyboru. Miałem w głowie tylko jedno: zabić go, żeby już w żadnych okolicznościach nie mógł nigdy więcej zrobić tego samego, co uczynił Marie.

LA: Czy ma pan jeszcze jakieś pytania?

PP: Nie.

LA: W takim razie dziękuję. To tyle na dzisiaj.

FS: Naprawdę?

LA: Teraz muszę wygłosić oficjalną formułę.

FS: To znaczy?

LA: Jest pan aresztowany pod zarzutem popełnienia morderstwa.

III

(MIESIĄC)

Wieś nazywała się Tallbacka. Wieś, a raczej osiedle: dwa tysiące sześćset mieszkańców, jeden sklep ICA, kiosk, oddział kasy oszczędnościowej otwarty we wtorki i czwartki, tania restauracja z wyszynkiem, gdzie serwowano obiady, zamknięta stacja kolejowa, dwa puste kościoły należące do niezależnych wyznań i jeden niedawno odremontowany duży kościół.

Było to właśnie jedno z takich miejsc, gdzie życie toczyło się z dnia na dzień.

Gdzie istniało tylko to, co „teraz”.

Gdzie mieszkali ludzie, którzy tu dorastali.

Wszystko w sam raz, nikt stąd nie wyjeżdżał i nie starał się być w jakiś sposób osobliwy. Dzień był tu zawsze tylko dniem, nawet tutaj, mimo że niedawno zbudowano dwa nowe zjazdy z autostrady.

Mimo to, a może właśnie dlatego Tallbacka miała stać się jednym z wielu typowych przykładów, jakie w ciągu kilku miesięcy zmieniły Szwecję w próżnię między prawem obowiązującym na sali sądowej a konsekwencjami wynikającymi z przełożenia tego prawa na język ludu.

Nadeszło niezwykle lato, jedno z tych, o którym się niechętnie pamięta.

• • •

Göran Golas. Tak go nazywano. Miał czterdzieści cztery lata, był z zawodu nauczycielem, ale nigdy i nigdzie nie pracował w swoim zawodzie. Odbył jedynie półroczną praktykę zawodową w wyższej szkole pedagogicznej i w jednym z gimnazjów położonym kilka kilometrów od Tallbacka. Od tamtej pory minęło dwadzieścia lat, to już połowa życia, a on nadal nie miał pojęcia dlaczego. To się po prostu stało. Pewnego popołudnia, kiedy wracał do domu, zatrzymał się nagle na podwórzu szkolnym i obnażył się. Zdejmował jedną sztukę ubrania po drugiej. Stał nago kilka metrów od kącika dla palaczy i wyśpiewywał na cały głos. Zwrócony w stronę okna, przy którym stał dyrektor szkoły, śpiewał hymn narodowy Szwecji, obie zwrotki, głośno fałszując. Potem z powrotem się ubrał, spacerowym krokiem wrócił do domu, przygotował się do zajęć na następny dzień, a w końcu poszedł spać.

Pozwolono mu dokończyć studia i zdać egzamin magisterski. Szukał pracy w promieniu stu kilometrów, odpowiadał na każde ogłoszenie w prasie i wysyłał CV nawet bez takich ogłoszeń, robił kserokopie swoich dokumentów i świadectw pracy parę razy w tygodniu przez kilka następnych lat, aż w końcu zrozumiał, że nie dostanie pracy jako nauczyciel. Nigdy nie kserował wyroku sądowego, który leżał na wierzchu, na stosie dokumentów, i zakrywał resztę: wymierzono mu grzywnę. Przeżywał wieczny wstyd z powodu tego, że w czasie zajęć obnażył się na boisku szkolnym w obecności osób niepełnoletnich. Wiele razy zastanawiał się nad wyjazdem, żeby w innym regionie kraju poszukać pracy, tam, gdzie nikt go nie zna i nie wie o wyroku sądowym, ale jak wielu innych był zbyt wielkim tchórzem, zbyt małym człowieczkiem, zbyt silnie zakorzenionym w Tallbacka.

Na dworze nadal było ciepło. Może nie tak, jak w wyżynnej części Smålandu — był tam wczoraj i handlował dachówką — ale wystarczająco gorąco, żeby nie zakładać długich spodni i nie musieć się pocić, i żeby nie uważać tych trzystu metrów, jakie miał z domu do sklepu, za zbyt dużą odległość.

Usłyszał ich już wtedy, kiedy przechodzili przez ulicę. Zazwyczaj stali pod kioskiem. Wielu z nich pamiętał jeszcze z czasów dzieciństwa, teraz byli już dużymi chłopakami, mieli po piętnaście, szesnaście lat, a ich głosy nie brzmiały już jak głosy małych chłopców.

— Pokaż nam swoje jaja!

— Ty, pedziu, no, pokaż nam je!

Pili coca-colę z puszek, kilku z nich szybko wypilo ją do dna, rzucając puste puszki na ziemię. Chwycili się rękami za kroczę, ustawili w szeregu i zaczęli wykonywać ruchy kopulacyjne.

— No, pokaż jaja, pedziu! Pokaż nam je!

Nie patrzył na nich. Postanowił, że nigdy, pod żadnym pozorem nie będzie na nich patrzył. Wtedy zaczęli wrzeszczeć głośniejsze, czasem któryś rzucił w niego puszką.

— Ty pierdolony Golasie! Wracaj do domu, rozbierz się i wal konia!

Szedł dalej, jeszcze tylko kilka metrów, potem budynek starej poczty, tam już go nie widzieli i nie krzyczeli za nim. Doszedł do małego sklepu, który wygrał konkurencję z dwoma innymi, a teraz został sam na placu boju; na szybach czerwone naklejki z cenami i oferta towarów w promocji.

Był zmęczony. Podobne zmęczenie odczuwał każdego dnia w czasie tego długiego, gorącego lata. Usiadł na ławce przed sklepem i oddychał szybko po intensywnym marszu, przyglądał się, jak ludzie, których znał z nazwiska, wchodzi do sklepu, a potem wynoszą z niego, torby z zakupami, żeby je załadować na rower albo do bagażnika samochodu. Trochę dalej, na następnej ławce, siedziały dwie dziewczynki w wieku dwunastu, trzynastu lat. Córka sąsiada i jej koleżanka szkolna. Chichotały, jak to dziewczynki w tym wieku, które ciągle się śmieją i nie mogą skończyć. Nigdy nie wykrzykiwały nic w jego stronę. Po prostu go nie zauważały. Był dla nich zwykłym sąsiadem, który wchodził do domu i z niego wychodził, a od czasu do czasu kosił trawnik. Nic więcej.

Volvo.

Na ulicy przed sklepem. Za każdym razem, kiedy widział ten samochód, zaczynał go boleć brzuch; wiedział już, że dojdzie do kłótni, że ktoś kogoś ściga, a on ucieka.

Samochód stanął w poprzek drogi. Bengt Söderlund otworzył drzwi i wyskoczył z samochodu. Wielki, potężnie zbudowany mężczyzna w wieku czterdziestu pięciu lat, czapka z napisem Söderlunds Bygg na daszku, niebieskie spodnie, w kieszeni całówka, młotek i nóż fiński. Dopadł do ławki, gdzie siedziały obie dziewczynki, a potem krzyknął w ich stronę, w stronę Golasa i na całą Tallbacka:

— Do samochodu! No już!

Chwycił obie dziewczynki za ręce tak mocno, że aż się skuliły, a widząc jego złość, chciały się wyrwać. Podbiegły do samochodu, usiadły na tylnym siedzeniu, zamknęły drzwi na zamek.

Söderlund podszedł do drugiej ławki, złapał Golasa za kołnierz, pociągnął i zmusił go do wstania.

Potrząsnął nim, zabolalo, kołnierz wpijał się w szyję.

— Mam cię, ty pierdolony pedziu. Złapałem cię na gorącym uczynku!

Dziewczynki siedzące w samochodzie przyglądały się obu mężczyznom, odwróciły wzrok, nie rozumiejąc, o co chodzi.

— Ty pierdolony bydlaku, to moja córka, chciałeś ją przelecieć, co?

Grupa kilkunastoletnich chłopców usłyszała odgłosy szamotaniny i krzyki, zobaczyli, jak Söderlund i Golas szarpiać się, śmiesznie to wyglądało. Szybko pobiegli w tamtą stronę, bo coś się działo — w mieście, gdzie nie działo się zbyt wiele.

— Zabić pedzia!

— Zabić bydlaka!

Ustawili się w szeregu, ręce na krocza, kopulują.

Bengt Söderlund nie oglądał się na innych, potrząsnął Golasem po raz kolejny, z całej siły, a potem go puścił, odepchnął od siebie

i popchnął na ławkę. Podeszedł do samochodu, otworzył kluczykiem zamknięte drzwi, odwrócił się jeszcze raz i krzyknął:

— Nie wiem, czy zrozumiałeś, bydlaku! Dwa tygodnie. Daję ci dwa tygodnie. Dwa pieprzone tygodnie. Jak się nie wyniesiesz, to cię wykończymy.

Wsiadł do samochodu i ruszył gwałtownie z piskiem opon.

Chłopcy stali tam nadal, kilka metrów dalej. Widzieli Bengta Söderlunda. Przestali kołysać biodrami, przestali krzyżeć.

Zrozumieli to, co powiedział. Wiedzieli, że nie żartuje.

• • •

Był piękny wieczór. Dwadzieścia cztery stopnie, bezwietrznie. Bengt Söderlund wyszedł z domu, popatrzył na dom sąsiada, którego nauczył się nienawidzić, i splunął w tamtym kierunku. Urodził się tutaj, chodził do szkoły, pracę rozpoczął w rodzinnej firmie i parę lat później przejął ją, na kilka tygodni przed śmiercią rodziców; oboje odchodzili powoli, aż któregoś dnia odeszli na zawsze. Wcześniej nie myślał o śmierci, nie dotyczyła go przecież. I oto nagle jej doświadczył, zapadł się w niej po kostki, utkwiał w niej. Pochował rodziców i uświadomił sobie, że teraz on sam jest swoją przeszłością, on i nikt inny; każdy dzień będzie teraz jego dniem, jego świętem, poczuciem bezpieczeństwa, przygodą. Byli z Elisabeth w tej samej klasie, chodzili ze sobą, trzymając się za ręce, od dziewiątej klasy, teraz mieli trójkę dzieci, dwoje z nich już wyprowadziło się z domu, a trzecie, które urodziło się później, mieszkalo z nimi na wsi i było już prawie młodą kobietą.

Wiedział, jak pachnie w Tallbacka.

Z łatwością odróżniał dźwięk samochodu jadącego w jakimś kierunku.

Czuł, jak upływają godziny, bo tutaj płynęły wolniej, czasu było aż nadto.

Restauracja, gdzie serwowano lunch, znajdowała się zaraz obok sklepu ICA, w porze obiadowej pełno tam było młodych mężczyzn

z Tallbacka, takich, którzy nigdzie nie pracowali i nigdy nie nauczyli się gotować sobie obiadów, kupowali więc bony obiadowe, a dziesiąty dostawali za darmo. Jedli domowe jedzenie, rozmawiali i czekali, aż z przedpołudnia zrobi się popołudnie. Wieczorem jakiś pub, dwie maszyny do gry w pokera w kącie sali, piwo i orzeszki ziemne po obniżonej cenie. W sali gęsto było od dymu papierosowego i ogólnie było to paskudne miejsce, ale też jedyne neutralne miejsce spotkań w Tallbacka dla mężczyzn i kobiet, którzy nie mieli ochoty chodzić na pogadanki do obu kościołów.

Poprosił, żeby tam przyszli, zadzwonił do nich natychmiast po przyjeździe do domu, wściekły, bezkompromisowy. Elisabeth nie chciała z nim iść, nie podobała jej się ich nienawiść, ale przecież będą tam Ola Gunnarsson i Klas Rilke i Ove Sandell i jego żona Helena. Znał ich od zawsze, chodzili razem do szkoły, przez wiele sezonów grali w piłkę w miejscowej drużynie Tallbacka IF, pili razem pierwszy alkohol na imprezie: byli po prostu dziećmi, które tu zostały, żeby mieć czas dorosnąć.

O nim rozmawiali już wiele razy wcześniej.

Każdy proces dobiega jednak zawsze do rozstrzygającego momentu, kiedy wszystko się kończy albo kiedy już dalej tak się nie da. Teraz właśnie nadszedł taki moment.

Bengt Söderlund kupił dla każdego piwo i podwójne opakowanie orzeszków. Był podekscytowany, chciał wyrzucić z siebie wszystko to, co zdarzyło się po południu, i Golasa, i ławkę przed sklepem z dziewczynkami, które siedziały blisko niego. Opowiadał i przyglądał się im, podniósł kufel do ust, zamoczył je w pianie. Wziął do ręki skrawek papieru, pokazywał coś, rozwijał.

— Popatrzcie tylko. Przyniosłem to dzisiaj z sądu rejonowego. Ale teraz już wystarczy, jestem tego pewien. Byłem tak wpieniony, jak nim potrząsałem, jechałem do miasta jak wariat i zdążyłem, jeszcze zanim zamknęli. Zajęło mi to cholernie dużo czasu, musiałem przekopać całe archiwum tyle lat wstecz, i to ręcznie, bo nie mają tam żadnych komputerów, tylko takie zwykłe segregatory

ułożone alfabetycznie.

Wszyscy pochylili się nad stołem, starając się przeczytać dokument od góry do dołu.

— To wyrok sądu w sprawie tego bydlaka. Czarno na białym. Z chujem na wierzchu, na oczach dzieci. Nie ma żadnej różnicy między nim a tamtym zboczeńcem, którego ktoś zastrzelił w Enköping.

Bengt zapalił papierosa, poczęstował innych.

— To były twoje małe siostry, Ove.

Popatrzył na Ove Sandella. Wiedział, że to jego czuły punkt.

— Pokazywał im swojego ptaszka. Moim siostram. A mnie przy tym nie było. Zabiłbym tego drania i gównu by mnie to obchodziło. Uciąłbym mu go.

Stuknęli się kufłami z piwem. Do pubu weszła grupa chłopaków, tych samych, którzy stali wtedy pod sklepem. Podeszli do automatu do pokera, stanęli za tymi, którzy na nich akurat grali. Przyglądali się, a kiedy ktoś wygrał, wznosili okrzyki radości. Nie zamawiali piwa, bo i tak by go nie dostali, nie próbowali nawet prosić o drobne do automatu, nie chcieli się o to wyklócać, bo zakaz spożywania alkoholu i gry na automatach przez osoby niepełnoletnie obowiązywał wszędzie, nawet w Tallbacka.

Helena Sandell straciła wreszcie cierpliwość, stuknęła ręką w stół, żeby zwrócić na siebie uwagę innych. Przyglądała im się przez chwilę, a potem jej wzrok zatrzymał się na mężu.

— Ove, mamy własne córki.

— Tak, to prawda.

— Czy na nie też przyjdzie kolej?

— Powinni go byli wykastrować. Wtedy, gdy go skazali.

Bengt skinął potwierdzająco głową, podniósł się od stołu, popatrzył na nich i wskazał w kierunku, z którego przyszedł.

— Nie rozumiecie? W tym gównianym miasteczku mieszka ponad dwa tysiące ludzi. Dlaczego właśnie mnie trafił się sąsiad pedofil? No, dlaczego? Czy ktoś może mi to wyjaśnić?

Chłopcy stojący przy automacie znudzili się oglądaniem pleców innych graczy, pożyczili od barmana pilota do telewizora, włączyli go. Za głośno. Bengt pomachał w ich stronę z irytacją, aby ściszyli dźwięk.

— Nie odpowiadacie? Co się robi w takiej sytuacji? Nie możemy zgodzić się, żeby ktoś taki mieszkał tu z nami.

Helena Sandell krzyczała tak głośno, aż ochrypla.

— Musi się stąd wynieść! Słyszałeś, co powiedziałam, Ove?!

Bengt nabrał garść orzeszków, gryzł je powoli, przełknął.

— Musi się wynieść. A jak sam tego nie załatwi, to my mu pomożemy. Obiecuję wam tutaj, że jak się stąd nie wyniesie w ciągu dwóch tygodni, to go załatwię.

Następna kolejka, ponownie płacił Bengt, i tak weźmie rachunek na firmę, bo na fakturach zawsze wpisywano: „za konsumpcję”.

Wypili jeszcze po piwie, kiedy nagle Ove gwizdnął tak przeraźliwie głośno, że w sali zapanowała natychmiastowa cisza. Ove pokazał ręką na telewizor, dawał znaki chłopcom, którzy mieli pilota.

— Zróbcie głośniej.

— No to jak w końcu ma być?

— Teraz chcemy posłuchać. Zrób głośniej, zanim dostaniesz w ryja.

Na ekranie pokazała się twarz Fredrika Steffanssona. Potem korytarz aresztu w Kronobergu. Marynarka naciągnięta na głowę.

— Kurwa, przecież to ojciec tej dziewczynki, ten, który zastrzelił pedofila.

W sali nadal panowała cisza. Wielu z siedzących przy stołach wpatrywało się w ekran, oglądali Steffanssona, który macha przecząco w stronę kamer, kręci głową i znika z ekranu. Przed nim jakaś kobieta. Kamera kieruje się na jej twarz, to adwokat Kristina Björnsson, ktoś przykłada jej do ust mikrofon.

— Tak, to prawda. Mój klient nie zaprzecza, że taki był przebieg wypadków. Zastrzelił Bernta Lunda i planował to od kilku dni.

Jeszcze większe zbliżenie na jej twarz, któryś z dziennikarzy próbuje jej przerwać, stawiając jakieś pytanie, ale Björnsson mówi dalej, głośniej:

— W tym przypadku nie chodzi jednak o morderstwo. Jest to coś zupełnie innego. Było to działanie w obronie koniecznej.

Bengt Söderlund walnął z zachwytem w stół.

— Niech mnie diabli!

Rozejrzał się, inni przytaknęli mu, śledząc każdy ruch kamery na ekranie, słuchając uważnie każdej nowej wypowiedzi.

— Było tylko kwestią czasu, kiedy Bernt Lund popełniłby kolejną zbrodnię. Wszyscy o tym wiemy. Wyraźnie wynika to z portretu osobowego, który dla niego sporządzono. Dlatego też mój klient, Fredrik Steffansson, twierdzi, że zabijając Lunda, uratował życie przynajmniej jednego dziecka.

— No właśnie, kurwa, no właśnie.

Ove Sandell uśmiechnął się, pochylił i pocałował żonę w policzek. Kolejne pytanie dziennikarza.

— Jak on się czuje?

— Biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, dobrze. Stracił przecież córkę. Jest rozczarowany państwem, które nie zdołało uchronić jego córki i innych potencjalnych ofiar. Teraz to on siedzi w areszcie, oczekując na proces, i to on poniesie konsekwencje społecznej obojętności.

Helena Sandell pogładziła męża po policzku, wzięła go za rękę, oboje wstali od stołu.

— Ona ma rację.

Podniosła kufel z piwem, wzniosła toast w stronę telewizora, a potem stuknęła się z Begntem, Olą Klasem, a na końcu z własnym mężem.

— Czy wiecie, kim ten Steffansson jest? Czy macie o tym w ogóle jakiegokolwiek pojęcie? To bohater, rozumiecie? Prawdziwy bohater. Zdrowie Fredrika Steffanssona!

Podnieśli kufle, wypili aż do dna.

• • •

Zostali w pubie dłużej niż zwykle. Podjęli decyzję. Jeszcze nie wiedzieli jak, ale wiedzieli, że to zrobią. Poczynili ten pierwszy krok, akcja zaczęła toczyć się dalej. To przecież ich Tallbacka, ich życie, ich codzienność.

Nie było tam zbyt wielkiego tłumu, ale i tak nie mógł znaleźć tego stoiska, zawsze miał takie same kłopoty w dużych domach towarowych. Sześć pięter, ruchome schody, prezentacje, komunikaty płynące z głośników, naklejki z cenami, maszynki do kart kredytowych; i to wszechobecne kupowanie, ludzie stojący w kolejce, smród potu bijący od niektórych osób, płaczące dzieci, stoisko z perfumami i sprzedawczynie o zapadłych oczach, kobieta, która upuściła ubranie przed przymierzalnią, mężczyzna szukający kąpielówek; i wszystkie te towary: przywiezione, zapakowane, opatrzone metkami z ceną.

Lars Ågestam zmęczył się, jeszcze zanim tam wszedł. Nie znał jednak żadnego innego sklepu, nigdy nie kupował płyt, nie miał czasu ich słuchać, a poza tym w samochodzie miał przecież radio. Udał się na stoisko z płytami, gdzie na widok płyt wielu nieznanych gwiazd zawróciło mu się w głowie, przytłaczały go, więc odchylił się, jakby nie chciał, żeby na niego spadły.

W samym środku stoiska, w punkcie informacyjnym stała młoda kobieta, chyba ładna, choć trudno było to ocenić z powodu grubej warstwy szminki i grzywki opadającej na oczy.

Stanął przed nią i czekał.

— Słucham?

— Siw Malmkvist.

— Tak?

— Czy macie jej nagrania?

Kobieta uśmiechnęła się, a on nie wiedział, czy uśmiechnęła się pobłażliwie, czy ze zrozumieniem. Jak właściwie uśmiechają się młode kobiety?

— Tak, raczej tak. Gdzieś w dziale z muzyką szwedzką. Coś się znajdzie.

Przeszła przez małą bramkę, skinęła na niego, żeby szedł za nią; miała zaczerwienione policzki, na sobie cienkie ubranie. Poszukała na jednej z półek, wyciągnęła stamtąd plastikowe opakowanie z płytą kompaktową, na której widniało zdjęcie młodej kobiety — młodej przed wielu laty.

— To *Klasyczne nagrania Siwan*. Tak nazywa się płyta. Czy tego pan szukał?

Wziął płytę do ręki, sprawdził jej ciężar, tak, chyba tego szukał.

Kobieta uśmiechnęła się szeroko, kiedy podawał jej pieniądze. Zarumienił się, ale zarazem zirytował, że sprzedawczyni śmieje się z niego.

— Coś panią śmieszy?

— Nie.

— Ale widzę, że się pani ze mnie śmieje.

— Nieprawda.

— Ależ tak.

— Nie. Tylko że nie wygląda pan na kogoś, kto kupuje nagrania Siwan.

Uśmiechnął się.

— A jak ktoś taki wygląda? Jest starszy?

— Raczej nie chodzi w garniturze.

— Rozumiem.

— I jest bardziej *cool*.

Szedł Kungsgatan, z płytą Siwan w jednej i lodem w drugiej ręce, przeszedł przez Kungsholmen, minął swoje biuro w budynku prokuratury i szedł dalej w kierunku Scheelegatan, do wydziału zajmującego się sprawami gwałtów.

Był spięty, trochę zbyt długo czekał przed drzwiami, nie mógł się zdecydować, żeby zapukać.

Ten irytujący głos. Wszedł do środka.

Ewert Grens siedział w podobnej pozycji, w jakiej Agestam widział go ostatnim razem: za biurkiem, na krześle odsuniętym trochę od biurka, pochylony z łokciami opartymi na udach. Spojrzał na niego wzrokiem, który mówił: „Wynoście się stąd wszyscy, nie jesteście tu mile widziani, nikt nie jest tu mile widziany”.

Ågestam wsunął się do pokoju. W sam środek pogardy.

— Proszę.

Położył płytę na stole.

— To za to, że byłem ostatnio taki bezczelny.

Grens spojrzał na niego, ale nic nie powiedział.

— Nie wiem, czy pan ją ma. Widziałem tylko pański magnetofon kasetowy.

Znowu żadnej odpowiedzi. Grens zacisnął usta, milczał.

— Chciałbym z panem przez chwilę porozmawiać. Chcę być szczery, tak jak w poniedziałek. Uważam, że jest pan upartym kozłem. Ale jest mi pan potrzebny. Nie ma nikogo innego, z kim mógłbym tę sprawę przedyskutować, bo nikt inny nie postawi mi się, tak jak pan, mówiąc wprost.

Wskazał ręką na krzesło dla interesantów, pytając w ten sposób, czy wolno mu usiąść. Ewert nadal nic nie mówił, zmęczony uniósł rękę i wykonał gest zaproszenia.

Ågestam odchylił się, próbując zacząć jeszcze raz od początku.

— Wczoraj wymiotowałem. Stałem w toalecie i puszczałem pawia, zwymiotowałem śniadanie i obiad. Bałem się. I nadal się boję. Mogła to być dla mnie najważniejsza sprawa w życiu. Teraz, kiedy seryjnego mordercę zastrzelił ojciec dziewczynki, sprawa się komplikuje, nie jestem głupi i rozumiem, że rozpęta się piekło.

Ewert pokręcił głową. Zarechotał. Po raz pierwszy od chwili, kiedy w jego pokoju zjawił się gość, otworzył usta.

— Może pan być tego pewien.

Ågestam zaczął liczyć w myślach. Liczył sekundy, taki miał zwyczaj, do trzynastu. Obnażał się przed Grensem, prosił go o pomoc. Ten dziadga nie powinien tego zauważyć, musi więc dalej zachowywać się godnie. Starał się tego nie dostrzegać.

— Będę domagał się kary dożywotniego więzienia.

Zadziałało. Stary go zauważył. A to znaczyło, że wygłosił opinię, która miała jakąś wagę.

— O czym pan, do cholery, mówi?

— To, co pan słyszał. Nie chcę, żeby po mieście biegał jakiś facet i sam wymierzał sprawiedliwość.

— A po co, do cholery, opowiada pan o tym mnie?

— Nie wiem. Chyba chcę skontrolować swoje myśli, sprawdzić, czy mój mózg nadal funkcjonuje, jak trzeba.

Ewert znowu zarechotał.

— Ci cholerni karierowicze. Dożywocie?

— Tak.

— Oni wszyscy to idioci, zawsze tak uważałem. Połowa z tych, którzy siedzą w naszych więzieniach, została raz albo kilka razy skazana za gwałt. To idioci, co nie przeszkadza, że są także ludźmi. Prawie każdy z nich był ofiarą tego typu przestępstw, popełnianych nierzadko przez ich własnych rodziców. Więc nawet ja rozumiem, że czasami dzieje się tak, jak się dzieje.

— Wiem o tym także.

— Powinien pan się uczyć, Ågestam, to znaczy tego, co prawdziwe. Nie poprzez czytanie tego gówna w książkach, żeby potem w to jeszcze wierzyć.

Ågestam wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki notatnik w czarnej oprawie. Przerzucił kilkakrotnie kartki, szukał czegoś w zapiskach.

— Steffansson przyznał się, że zaplanował to morderstwo. Miał cztery dni, żeby się zastanowić. Przyznał sobie prawo do działania w roli policjanta, prokuratora, sędziego i kata.

— Nie wiedział, czy mu się to uda. Nie wiedział też, czy Lund

kiedykolwiek się jeszcze pojawi.

— Steffansson miał mnóstwo czasu. Mógł się z wami skontaktować. Wasi ludzie stali przecież kilkaset metrów dalej i pilnowali przedszkola. Gdyby się do nich zwrócił, nie musiałby zabijać Lunda.

— Oczywiście, jest to morderstwo. Jak jasna cholera. Ale dożywocie? Nigdy. W przeciwieństwie do pana pracuję w tym mieście od czterdziestu lat, i to porządnie. Widziałem, jak jeszcze więksi głupcy niż Steffansson dostawali mniejsze wyroki, widziałem też innych prokuratorów, którzy siedzieli na sali sądowej i udawali, że są surowi.

Ågestam oddychał głęboko, nie zwracał uwagi na sarkazm tamtego, jego osobiste wycieczki, nie chciał się zniżać do jego poziomu, żeby nie wpaść po raz kolejny w tę samą pułapkę. Znowu przerzucił kartki notatnika. Przełknął swoją złość, na jego twarz wrócił stopniowo uśmiech, bo przecież o to mu chodziło, ten stary cap był dokładnie taki, jak się tego spodziewał. Wyglądało to tak, jakby proces już się rozpoczął, a on ostrzył swoje przemówienie, szlifował postępowanie dowodowe; w końcu zaczął przerzucać kartki, nie patrząc na nie. Był zbyt zadowolony, odczuwał ssanie w żołądku, to był jego egzamin.

Ewert zdenerwował się tą zbyt długo trwającą pauzą, zaklął głośno.

— Co pan, do cholery, robi? Siedzi i wynajduje argumenty z książek? Tak, to morderstwo. Ale jest to morderstwo, do którego można zastosować okoliczności łagodzące. Niech pan domaga się kary wieloletniego więzienia, jeśli uważa pan, że tak trzeba, ale niech to będzie osiem, dziesięć lat. To pan i ja jesteśmy społeczeństwem, nie rozumie pan? Społeczeństwem, które nie potrafiło uchronić ani córki Steffanssona, ani nikogo innego.

Czas na podsumowanie. Zrobił je już w formie słupka, tak jak się tego nauczył: podsumować, ująć w całość, żeby móc ją zobaczyć, a potem rozbić na składniki, na kolejne pytania. Zaczął teraz

mówić trochę głośniej, chociaż wiedział, że ma cienki głos i nie może na to nic poradzić; mimo to musiał mówić głośniej, uderzyć w twardy ton, dodać sobie więcej powagi.

— Słyszę, co pan mówi, Grens. Ale czy zaniedbania ze strony społeczeństwa dają komuś prawo do zabijania ewentualnych przestępców seksualnych? A jeśli Lund był niewinny? Tego pan, do cholery, nie wie. A przede wszystkim Steffansson też o tym nie wiedział. Czego pan chce: czy mamy przyznać, że zabicie Lunda było słuszną rzeczą, ponieważ widziano go w pobliżu miejsca przestępstwa? Czy chce pan być policjantem w tego rodzaju społeczeństwie? Złożonym z ludzi, którzy biorą prawo w swoje ręce? Którzy skazują innych ludzi na śmierć? Nie wiem, ale podręcznik, z którego się uczyłem, nie wspominał nic o karze śmierci. Spoczywa na nas odpowiedzialność. Musimy pokazać każdemu obywatelowi, że jeśli robi to, co Steffansson, to spędzi resztę życia w więzieniu. I to bez względu na to, czy jest, czy nie jest ojcem zamordowanej dziewczynki.

Na suficie wisiał wentylator. Taki sam, jakie znajdowały się w hotelach nad Morzem Śródziemnym. Ågestam dopiero teraz go zauważył, kiedy przestał się obracać, kiedy w pokoju zapanowała zupełna cisza. Spojrzał w górę, potem znowu popatrzył na siedzącego przed nim starszego człowieka, szukając na jego twarzy jakiegoś zgorzknienia, zastanawiał się, skąd się ono bierze, cały ten strach; był przekonany, że chodzi tu właśnie o strach, który zamienił się w niedostępność i agresję. Czego on się bał? Dlaczego tak trudno mu okazać swą obecność, rozmawiać bez tych wszystkich przekleństw i oskarżeń? Już na uniwersytecie słyszał opowieści o policjancie Grensie, który chodził własnymi drogami, który jest lepszy niż wszyscy inni. A teraz? Nie wyglądał tak, jak Grens z tamtych opowiadań. Ågestam widział przed sobą patetycznego skurwysyna, który schował się w swoim kącie i siedział tam, samotny i wyeksploatowany, który nie potrafił wyrwać się stamtąd, który opluwał i nienawidził, i nie miał pojęcia o tym, jak wyjść do

domu.

Nie chcę być taki jak on, pomyślał Ågestam. Zgorzknienie to okropna rzecz, prawie tak samo paskudna jak samotność.

Ewert czekał, trzymając płytę w ręce. *Klasyczne utwory Siwan*, dwadzieścia siedem nagrań. Otworzył pudełko, wyjął cienki krążek. Na powierzchni zrobiły się tłuste plamy od palców; odwrócił krążek na drugą stronę, a potem włożył z powrotem do środka.

— Skończył pan?

— Chyba tak.

— To niech pan to stąd zabierze. Nie mam takiego urządzenia, żebym ją mógł odtwarzać.

Podał płytę Ågestamowi, ale ten pokręcił głową.

— Należy do pana. Jak nie chce jej pan słuchać, to może ją pan po prostu wyrzucić.

Stary człowiek odłożył płytę na bok. Była środa; od dnia, kiedy Lund pobił dwóch strażników i uciekł, upłynęły już dwa tygodnie. Nie żyła mała dziewczynka. Jej morderca też. Ojciec dziewczynki siedział w areszcie śledczym kilka budynków dalej, za zamkniętymi drzwiami, oczekując na dochodzenie i proces. A ten gogusiowaty prokurator będzie się niedługo domagał dla niego dożywocia.

Czasami już mu się nie chciało. Czasami już nie mógł się doczekać dnia, kiedy to wszystko się skończy.

Martwe ciała wyglądają o wiele gorzej, kiedy na dworze jest gorąco. Przypominały mu zawsze filmy przyrodnicze, których nie cierpiał, gdzie spiker swym monotonnym głosem prowadzi widza w gorących promieniach słońca przez pustynie i sawanny Afryki, gdzie muchy, brzęcząc, latają koło mikrofonu, drapieżniki szykują się do polowania, aby w ciągu kilku sekund zbliżyć się do słabszej od siebie ofiary i rzucić się na nią, rozerwać na strzępy, zjeść wszystko to, co się nadaje do zjedzenia, i porzucić resztę — kawałek krwawego mięsa, na które za chwilę rzucą się inne zwierzęta, na przykład chmary much; są one stałym elementem procesu gnilnego, który przebiega w szybkim tempie, a jego cechą charakterystyczną jest okropny smród.

Tak to właśnie widział, to ten właśnie obraz ciągnął się za nim za zamkniętymi drzwiami, wzdłuż wąskich schodów, kiedy schodził do pomieszczenia w budynku medycyny sądowej, w którym dokonywano obdukcji.

To tutaj tydzień wcześniej musiał się odwrócić, kiedy zdjęli przykrycie i zobaczył spokojną twarz dziewczynki, której pozostała część ciała została zmasakrowana. Ewert skinał w jego stronę, informując, że nie musi w tym uczestniczyć, że nie musi napępiać swego wnętrza jeszcze większą beznadzieją, że nie musi szukać tego, co i tak nie ma sensu.

Była taka nierzeczywista. Taka mała, tak wiele życia było jeszcze

przed nią, przecież dopiero je rozpoczęła. Przypomniat sobie jej stopy. Takie drobne, jak drobne są stopy każdej pięcioletniej dziewczynki. Znalaziono na nich ślinę. To Lund je lizał. Już po jej śmierci.

— Sven?

— Tak?

— Jak się czujesz?

Ewert nie wypowiedział tych słów z jakimś poczuciem wyższości czy z sarkazmem. Pytał, bo chciał się dowiedzieć.

— Nienawidzę tego miejsca. Nie rozumiem go. Errfors też wydaje się normalny, więc co go skłoniło do tego, żeby wybrać takie miejsce pracy? Tu jest już sam koniec. Komu to jest potrzebne, kto to wytrzyma? Jak funkcjonuje osoba tnąca na kawałki ciało, które jeszcze niedawno żyło?

Minęli archiwum. Sven był tam kiedyś. Segregatory, szuflady, szafy z dokumentami, teczki. Półka za półką za rozsuwanymi drzwiami. Katalogi z nazwiskami martwych osób. Tamtym razem szukał po omacku, z młodym lekarzem sądowym próbowali znaleźć zdjęcia, nie udało im się. Zmarłych skomasowano w stosach papierów, w postaci notatek posegregowanych alfabetycznie, sporządzonych na maszynie do pisania. Miał nadzieję, że już nigdy więcej nie będzie musiał tych drzwi otwierać, bo było to jak chodzenie po grobach, jak dobieranie się do tych resztek, które jeszcze pozostały.

Ludvig Errfors przywitał się z nim serdecznie. I tym razem żadnych sterylnych ubrań. Nawet nie zaproponował policjantom, żeby je założyli. Weszli do pomieszczenia, w którym przeprowadzano sekcje zwłok, tego samego, w którym kilka dni temu leżała Marie Steffansson. Lekarz wskazał im jakieś nosze.

— To niezwykle. Przeprowadziłem obdukcję zwłok obu jego ofiar ze Skarpholmu, córki Steffanssona, a teraz robię sekcję ich mordercy.

Ewert klepnął leżącego przed nim mężczyznę w nogę.

— To ten bydlak? Był skazany na to, że tu trafi. A więc pan wie? Wie pan z całą pewnością, że i tym razem to on był sprawcą?

— Już to powiedziałem w zeszłym tygodniu. Była to ta sama metoda popełnienia zbrodni. Ten sam rodzaj przemocy. Pracuję tu dłużej, niż ustawa dopuszcza, ale jeszcze nigdy nie widziałem gwałtu dokonanego w taki sposób.

Wskazał na zwłoki leżące pod przykryciem.

— Zaraz wam to pokażę. Czarno na białym. Przyda wam się to na procesie. Badania DNA, bo przecież mamy jego spermę z poprzedniego przestępstwa. Jestem całkowicie pewien, a oskarżyciel, sędzia i ławnicy dostaną to na piśmie.

— Ten bubkowaty prokurator będzie się domagał dożywocia dla Steffanssona.

Sven spojrzał na Ewerta ze zdumieniem.

— No proszę. Próbuje zachowywać się odpowiednio do swego urzędu.

Ewert przesunął nosze z ciałem Lunda trochę dalej, prosto pod lampę. Potem odwrócił się w stronę Svena i uśmiechnął do niego przyjaźnie.

— Marnie wyglądasz. Poprzednim razem ciężko to przechodziłeś, więc może teraz lepiej się odwróć.

Sven skinął głową, spoglądając przez krótką chwilę w oczy Ewerta, a potem odwrócił się do niego plecami. Ewert uniósł prześcieradło, którym przykryte było ciało.

— Widzi pan? Z twarzy niewiele zostało. Steffansson trafił go w czoło. Efekt jak po eksplozji. Żeby dokonać identyfikacji, potrzebowaliśmy jego karty dentystycznej.

Errfors przesunął nosze jeszcze trochę dalej, teraz lampa znajdowała się dokładnie nad brzuchem.

— Pierwsza kula trafiła go tutaj, w biodro. Przeszła na wylot, strzaskała część kości. Dwa strzały. Jeden w biodro, drugi w głowę. Zgadza się to z zeznaniami świadków, którzy słyszeli dwa strzały.

Sven nie musiał tego oglądać. Słuchał. Mimo to odwrócił się w

ich stronę.

— Skończyliście?

Errfors zakrył trupa.

— Teraz już tak.

Sven ponownie się odwrócił, tym razem spoglądając na zarys ciała. Przyjrzał mu się, popatrzył na twarz Lunda leżącego przed nim. Jaki sens miało życie tak chorego człowieka? Czy rozumiał cokolwiek z tego, co się zdarzyło? Jeśli ktoś niszczy innego człowieka, to czy sam nadal jest człowiekiem? Stawiał sobie te pytania już wcześniej, zawsze pojawiały się w tym miejscu, gdzie ludzie leżeli już bez życia; tutaj takie pytania stawały się jeszcze bardziej natrętne.

Szykowali się do wyjścia, założyli marynarki, kończyli rozmowę.

— Zanim sobie pójdziecie, coś wam jeszcze pokażę, chyba warto.

Errfors odsunął się od noszy, otworzył chłodnię, która stała wzdłuż ściany.

— Zobaczcie. Miał to przy sobie. Znalazłem to, kiedy go rozbierałem.

Pistolet. Nóż. Dwa zdjęcia i odręcznie spisana notatka na kawałku papieru.

— Ten pistolet znacie pewnie lepiej niż ja, był przymocowany do jego nogi. A takiego rodzaju noża nigdy nie widziałem, strasznie ostra klinga, trzymał go w pochwie pod pachą.

Ewert sięgnął po plastikowe torebki, obejrzał je. A więc był uzbrojony. Przygotowany na to, że będzie się musiał bronić.

— I ten bubek chce się domagać dożywocia! Za zabicie jakiegoś porąbanego bydlaka, który obwieszony bronią czyhał pod bramą przedszkola na małe dziewczynki.

Sven wziął do ręki zdjęcia i notatkę. Podniósł je do światła i dość długo przyglądał się zrobionym po amatorsku fotografiom. A potem odezwał się, nie odrywając od nich wzroku:

— Zdjęcia dziewczynek zostały zrobione niedaleko przedszkola,

przy którym go zastrzelono. Obie mają na sobie letnie ubranka. Zdjęcia zrobiono niedawno. Te dziewczynki z pewnością chodzą do tego przedszkola. Musimy to sprawdzić. Ale to jasne, że nie może być inaczej.

Ewert odłożył na miejsce pistolet i nóż i stanął obok Svena. Spojrzał na fotografie, na notatkę. Roześmiał się w taki sam sposób jak wcześniej, kiedy rozmawiał z Ågestamem.

— Lund wiedział nawet, jak się nazywają. I tego nam właśnie było potrzeba. Bo to oznacza, że chciał odebrać życie dwójce kolejnych dzieci.

Ewert jeszcze raz podniósł zdjęcia; dwie dziewczynki w tym samym wieku co córka Steffanssona. Jasne, wypłowiałe od słońca włosy, dziewczynki uśmiechają się na fotografiach, siedzą na brzegu piaskownicy i śmieją się z czegoś, o czym wiedzą tylko one.

— Czy wiecie, co to znaczy? Zabijając Lunda, Fredrik Steffansson z całą pewnością uratował życie tym dwóm dziewczynkom. Dwie dziewczynki, które jeszcze nie ukończyły sześciu lat, będą mogły dzięki Steffanssonowi jutro uśmiechać się znowu.

Potem Ewert zrobił to, co zwykle, Sven widział to już tyle razy wcześniej: chwycił zwłoki, uderzył je ręką, kilka razy w ramiona, kilka razy w biodra, potem uszczypnął je w stopę, w palce u nóg, a następnie mruknął coś, czego nie zrozumieli.

Już po raz piąty z rzędu Bengt Söderlund spędzał letnie wakacje w domu. Któregoś roku wynajęli domek letni na Gotlandii, kilka kilometrów od Visby; sporo ich to kosztowało, pogoda nie dopisała, ciągle padało. Była to jego pierwsza wizyta na wyspie, o której wszyscy opowiadali, a on już po tygodniu wlekącym się w nieskończoność postanowił, że nigdy tam nie wróci. Następnego roku pojechali do Ystad, znowu wynajęli domek letni; wiał dość silny wiatr, widzieli Österlen i więcej już nie musieli go oglądać. Dwa urlopy letnie z przyczepą, korki na drogach i dzieci, które bały się zasnąć. Potem jeszcze Rodos, gdzie przez czternaście dni było trzydzieści osiem stopni, tak że na samym końcu wychodzili z hotelu tylko wieczorem, żeby zjeść jakąś kolację. Wybrali się na kilka wycieczek do Sztokholmu, wszędzie ci przemądrzali sztokholmczyccy. Więcej już nie było im potrzeba. W firmie szło idealnie, kiedy nigdzie nie wyjeżdżali, sami też czuli się najlepiej w domu; w Tallbacka było kąpielisko, a nawet dwa, jeśli wliczyć w to jeszcze mniejsze jeziorko, więc dzieci miały się gdzie pluskać, a oni sami mieli czas dla siebie, chodzili na spacer, mogli uprawiać seks, kiedy dzieci wychodziły z domu, każdego dnia o tej samej porze, pili kawę w ogrodzie, zapraszali kogoś na kolację.

Bengt i Elisabeth siedzieli przy kuchennym stole, kiedy przed

otwartym oknem ich domu przeszli Ove i Helena. Pomachali im, była już godzina jedenasta, czas na kawę, prawdziwą czarną kawę z dwoma cynamonowymi bułeczkami dla każdego. Z Ove i Heleną utrzymywali przyjazne stosunki. Kiedyś przez krótki czas — jakieś dziesięć lat temu — trochę się posprzecali i potem przez kilka miesięcy unikali swego towarzystwa: Ove i Elisabeth obejmowali się mocniej, niż powinni, w czasie rakowego party, więc przyjaźń na pewien czas osłabła, aż w końcu zrozumieli, że ich wieś jest zbyt mała, by się w niej ukrywać. Dlatego też któregoś wieczoru krzyczeli na cały głos przed kioskiem — i robili to tak długo, aż wszyscy się o tym dowiedzieli i zrozumieli, że Ove i Elisabeth nie mieli zamiaru doprowadzać do zerwania przyjaźni, że wynikało to tylko ze zbyt dużej ilości wypitego alkoholu i wzajemnej sympatii jeszcze z lat szkolnych, a kiedy ktoś zapalił lampę w kuchni, to oni właściwie w tym silnym blasku światła kończyli to, co jeszcze nie zdążyło się zacząć. Po wieczorze pod kioskiem nikt już więcej o tym nie rozprawiał, każdy miał swoje zmartwienia.

Ove trzymał w ręce gazetę. Bengt miał taką samą gazetę rozłożoną na kuchennym stole. Nie znaleźliby tam zbyt dużo ciekawych wiadomości, o których mogliby porozmawiać, bo dochodzenie w sprawie katastrofy lotniczej pod Moskwą zostało już zakończone, gdyby nie sprawa pedofila ze Sztokholmu, który zgwałcił i zamordował pięcioletnią dziewczynkę, i sprawa jej ojca, który zastrzelił mordercę. Już drugi tydzień ta sprawa nie schodziła z pierwszych stron gazet, wywiady, analizy. To była ich historia, każdy miał prawo mieć pogląd na ten temat, a dziewczynka i jej ojciec stali się częścią życia każdej rodziny.

O pedofilu ze Sztokholmu rozmawiali za każdym razem, kiedy się spotykali, od samego początku tej historii, potem rozmawiali o jego ucieczce i o kolejnym morderstwie. Wszyscy z wyjątkiem Elisabeth, która nie chciała w tym uczestniczyć; siedziała cicho, a kiedy ją pytali dlaczego, odpowiadała, że są dziecinni, że ich nienawiść i zaangażowanie w tę sprawę są błędem. Starali się jej

wytłumaczyć, broniła się, ale w końcu dali jej spokój, bo przecież bycie dziecinny nie jest niezgodne z prawem, a jeśli nie chce o tym mówić, to jej sprawa.

Bengt nalał kawy do kubka, czarnej, palonej, dodał kilka kropli śmietany; zapachniało jak prawdziwa kawa, taka domowa, ciepła, swojska. Nalał każdemu, podsunął koszyczek z wczorajszymi bułeczkami cynamonowymi, bo tak było wygodniej; można je moczyć w kawie, jeśli od wczoraj skórka nieco stwardniała.

Bengt pokazał im zdjęcie Fredrika Steffanssona. To samo, które publikowano od kilku dni, zwykle zdjęcie paszportowe.

— Ja bym zrobił to samo. Bez zmrużenia oka.

Ove zamoczył bułeczkę w kawie, przycisnął ją do dna kubka.

— Ja też. Jak ktoś jest ojcem dziewczynek, to jasna sprawa, że tak trzeba.

Bengt przewrócił stronę gazety.

— Ale ja bym tego nie zrobił tak jak on. Ja bym nie myślał o innych. Zrobiłbym to ze względu na siebie samego. Z czystej zemsty.

Rozejrzał się, chciał sprawdzić ich reakcje. Ove skinął głową. Helena też. Elisabeth wyciągnęła język.

— Czego się, cholera, wygłupiasz?

— Mam was już wszystkich dosyć. Mam dosyć waszego mielenia jęzorami, od rana do wieczora. Za każdym razem, kiedy się spotkamy, ciągle to samo: Göran Golas, pedofile, nienawiść!

— Nie musisz tego słuchać.

— Zemsta! Co za bzdury! Jaka zemsta? Przecież on nic nie zrobił. Nikogo nie dotknął. Stał tylko nago przy maszcie flagowym. Jesteście śmieszni!

Pociągnęła nosem, odchrząknęła, żeby wrócić do normalnego tonu głosu, oczy zaczęły jej błyszczeć.

— Nie chcę was więcej znać. Siedzicie w mojej kuchni i udajecie, że was to obchodzi. Nie chcę już tego dłużej słuchać.

Helena odstawiła kubek na stół i położyła rękę na dłoni Elisabeth.

— Uspokój się.

Elisabeth odtrąciła jej dłoń z niechęcią. Bengt zauważył to i zawołał:

— Do diabła z nią! Przecież ona ich lubi, co? Pedofilów! — Odwrócił się do żony. — Wydaje ci się, że ja po to harowałem przez całe życie? Zapieprzałem jak wół po to, żeby państwo mogło aresztować i zamknąć człowieka, który uratował życie małym dzieciom?

Odwrócił się do okna i okazał swą złość, spluwając na zewnątrz. Patrzył, jak ślina spada na trawnik, i wtedy usłyszał, że otwierają się drzwi. Naprzeciwko. Wiedział dokładnie, w którym to było domu.

— Cholera. To ten skurwysyn.

Podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz.

Göran Golas stał przed drzwiami swego domu i zamykał je na klucz. Bengt odwrócił się do przyjaciół i spojrzał na Elisabeth.

— Powiedziałaś: śmieszni? — Wychylił się przez okno i wrzasnął: — Nie rozumiesz po szwedzku, ty pierdolony bydlaku? Nie chcę cię tu widzieć! Nie wychodź, kurwa, z domu!

Göran Golas spojrzał na niego, słysząc głos, który od razu rozpoznał. Nie zważając na to, ruszył alejką w stronę bramki. Bengt pstryknął palcami, dwa razy. I wtedy natychmiast przybiegł jego pies, rottweiler.

— Do mnie!

Pies podbiegł do swego pana. Bengt chwycił go za obrozę, ścisnął mocno, a potem wydał komendę.

— Baxter! Bierz go!

Puścił psa, który natychmiast wyskoczył przez okno i pobiegł trawnikiem przez ogródek i ogrodzenie. Göran Golas usłyszał psa, który głośno szczekał, zbliżając się do niego. Stał blisko szopy, gdzie znajdowała się kosiarka do trawy, narzędzia i stos tarcicy, zaczął biec w jej kierunku, serce waliło mu w piersiach ze strachu, poczuł skurcze żołądka i... zrobił w spodnie, ale biegł dalej, a

grudki kału plątały mu się w nogawkach. Skobel, złapał go, otworzył drzwi szopy i zaraz je za sobą zamknął. Pies rzucił się na nie z wściekłością i zaczął szczekać jeszcze głośniej. Bengt nadal stał w oknie, obok niego Ove i Helena. Bengt wykrzykiwał z entuzjazmem:

— Dzielny Baxter! A ty możesz tam zostać do końca dnia, bydlaku! Baxter, leżeć!

Pies przestał szczekać, rozłożył się przed drzwiami komórki, patrząc na skobel. Bengt dalej triumfował, śmiał się głośno, odwrócił się w stronę Elisabeth, która nadal siedziała przy stole, i zobaczył, że żona kręci głową; poczuł wtedy, że nią pogardza.

Była brzydka. Zobaczył, jaka naprawdę jest była brzydka. Twarz wykrzywiona grymasem, obwisłe piersi.

I wtedy zrozumiał, że już nigdy nie będzie jej pożałował.

Wydawało się, jakby deszcz padał bardzo dawno temu. Tamten chłodny dzień skończył się szybko i na dworze znowu zrobiło się upalnie. Widać to było zwłaszcza w zakładzie karnym. Wysoki mur, otwarte bramy, piaszczyste podwórze. Hilding spacerował sam po boisku piłkarskim, ubrany tylko w krótkie spodnie. Odczuwał niepokój. Lillmasen niedługo się dowie, domyśli się, kto ostrzegł tamtego popaprańca, i będzie go to gównem obchodzić, że zrobił to jego najbliższy przyjaciel. Hilding wiedział, że dostanie wpierdol. I nawet czekał na to, bo jak się zawiedzie kumpla, to dostaje się w ryj, a teraz to właśnie on zawiódł.

No bo przecież pozbył się Axelssona. Zboczek zgłosił się do klawiszy, a oni poszli na to i w ciągu kilku następnych minut zafundowali mu izolatkę na jego własne żądanie. Lillmasen wpadł we wściekłość, domyślił się, że Axelssona ktoś ostrzegł, ale nie był pewien do końca i nie wiedział, kto go uprzedził. Wrzeszczał z wściekłości i kopał w ściany, ale potem uspokoił się, późnym wieczorem grał nawet w karty w kącie telewizyjnym i udało mu się wygrać dwa rozdania.

Hilding rozdrapał sobie ranę na nosie aż do krwi. Chodził od jednej bramki do drugiej, liczył kroki. Zrobił tak sześćdziesiąt siedem rund, zostało mu jeszcze trzydzieści trzy. Nie, nie powinien był mieszać się w to gówno. Cała ta sprawa z Axelssonem wykończyła go, więc chyba wolno mu było jakoś to sobie

wynagrodzić, było warto, więc poszedł tam, żeby wziąć małą działkę. Stał samotnie w łaźni, odsunął płytę na suficie i wyciągnął „turka”. Wypalił trochę i poczuł się tak samo cholernie błogo jak poprzednim razem; odczuł ulgę w całym ciele, zaciągnął się jeszcze raz, wciągnął resztę, narkotyk uderzył mu od razu do głowy, a potem Hilding wrócił do celi, położył się i obudził w środku nocy. Przypomniawszy sobie, co się stało, usiadł na łóżku i czekał, aż wstanie dzień i dostanie wpierdol. Ale Lillmasen nie przychodził. Nie dowiedział się. Może za parę dni, wtedy i tak się dowie i zabierze się do niego. Godziny wlokły się jedna za drugą. Hilding po prostu czekał, coraz bardziej rozdrapywał ranę i robił kolejną rundę wokół bramek.

Zrobił tak swoje sto rund. Pot ściekał mu z czoła, spływał po piersi i po brzuchu. Hilding zastanawiał się, czy zrobić kolejne sto rund. Kiedy tak chodził, myśli płynęły wolniej, a słońce zalewało podwórze swym blaskiem. Postanowił chodzić tak długo, aż przyjdą inni. Sto pięćdziesiąt rund. Potem przyszedł Rosjanin z piłką pod pachą. Kiedy Hilding go zobaczył, zszedł z boiska.

Wziął zimny prysznic. Woda spływała mu na twarz, na szczypiącą ranę; pot już nie błyszczał na skórze. Ubrał się, założył czyste majtki, skarpetki, szorty. Chodził po korytarzu tam i z powrotem, starając się odpędzić niepokój. Zaczął znowu liczyć. Trzysta razy wzdłuż korytarza, obok cel, do stołu bilardowego i z powrotem. Włączony telewizor — i tak zawsze był włączony — a poza tym wszędzie panowała cisza; morderstwo popełnione na dziewczynce, a potem zabójstwo Lunda huczały mu w głowie, zmuszały do słuchania, odciagały na chwilę jego myśli od innych spraw.

Bał się. Już od dawna tak się nie bał, bo Lillmasen dawał mu poczucie bezpieczeństwa, a teraz to on nawalił. Niepokój, który go rozsadzał, nienawiść, która go wypełniała. Nie ma już co palić. Musi jakoś zaspokoić głód narkotykowy. Musi.

Zastukał do drzwi celi Jochuma.

Nikt nie odpowiadał.

Zastukał znowu.

Chyba go obudził.

— Czego tam, kurwa?

— To ja, Hilding.

— Spadaj.

— Chciałem tylko zapytać, czy nie chce ci się pić.

Hilding się zdecydował. Musi znowu trochę tego podkraść. Musi się pozbyć cholernego bólu w piersiach. Jochum mógłby mu w tym pomóc. Lillmasen nie odważy się z nim zadrzeć.

Jochum otworzył drzwi.

— Gdzie to masz?

— Zobaczysz.

Jochum wrócił do celi, założył buty i zamknął za sobą drzwi. Nigdy nie trzymał ich otwartych, a Hilding nigdy nie był w jego celi. Minęli kuchnię, łazienkę, stół bilardowy, gdzie Hilding niedawno zrobił swoje trzysta rund.

Podszedł do gaśnicy wiszącej na ścianie. Czerwony pojemnik z czarnym węzem gumowym i dokładną instrukcją użytkowania, mnóstwo słów, których i tak nikt nie zdążyłby przeczytać w razie szalejącego pożaru. Rozejrzał się, czy nie ma któregoś z klawiszy, odkręcił zawór na końcu węża i odłożył go na bok. Z kieszeni szortów wyciągnął mały kubek, w którym trzymał szczoteczkę do zębów.

— To zwykła woda, trochę paskudnego chleba i kilka jabłek.

Chwycił pokrętło, odkręcił i napełnił kubek.

— Kurwa mać, smakuje jak szczyny!

Zacier wydzieliał intensywny zapach, dławił w gardle.

— Ale kogo to obchodzi?

Uniósł kubek do ust i połknął mętą ciecz.

— Chodzi o efekt, a nie o smak!

Znowu nalał do kubka i podał go Jochumowi.

— Trzy i pół tygodnia. Prawie gotowy. Przynajmniej dziesięć procent.

Jochumowi zrobiło się niedobrze, ale wypił do dna.

— Jeszcze jeden.

Wypili tak po pięć kolejek. Zaczęli odczuwać w całym ciele błogie ciepło, spokój, alkohol wypełniał ich wnętrza. Wcześniej stał w wiadrze, w schowku na środki chemiczne do czyszczenia, ale to miejsce było lepsze — pusta gaśnica, trochę miękkiego chleba, owoce do smaku, proces fermentacji w zamkniętym pojemniku, do którego był łatwy dostęp. Pili tak długo, aż z korytarza dobiegł ich ochryply głos. To chyba Skåne.

— Klawisz na oddziale!

Strażnicy rzadko wchodzili na oddział, ale system ostrzegania zawsze działał; wystarczyło, że ktoś krzyknął, i wszyscy wiedzieli. Hilding pokazał na zawór, Jochum rzucił mu go, a Hilding szybko go zakręcił. Przeszli w inne miejsce, minęli klawisza, który spojrzał na nich, ale nic nie powiedział, podeszli do kanapy i usiedli na niej.

Obaj byli lekko pijani, na chwilę stali się kompanami do kieliszka, bo przecież nikt nie odmówi wypicia bańki zacieru. Hilding i Jochum przez chwilę byli zaufanymi kumplami.

Telewizor, te same wiadomości, cały oddział z napięciem śledził pościg za Lundem, ale teraz, kiedy ojciec dziewczynki rozwalił łeb tego bydlaka, już im się to przejadło; teraz każdy pieprzony zboczek już wie, co go może czekać. Odchylili się do tyłu, oglądali zdjęcia Lunda i jego zabójcy, nie słuchali komentara, przepełniało ich uczucie spokoju, to ono objęło teraz nad nimi władzę.

— A gdzie jest ten dzikus? Nie widziałem go od kilku dni.

— Lillmasen?

— Tak. Ten wisielec.

Jochum zachichotał, a Hilding razem z nim. Wisielec.

— Przeważnie siedzi w celi. Nie lubi tego, to znaczy tego gówna, które pokazują w telewizji.

— O czym ty bredzisz?

— Nie wiem.

— Jak to: nie wiesz?

— To jakieś jego własne upiory, nie mam o tym pojęcia. Nie wyrabia, jak mówią o tej dziewczynce i tamtym zboczku. Wie, że mógł go załatwić wcześniej.

— Teraz to już nie ma znaczenia.

— Ale mogło do tego nie dojść.

— Ale doszło.

Hilding rozejrzał się. Zobaczył wracającego klawisza, który opuszczał oddział. Zaczął mówić ściszym głosem:

— On też ma córkę, to dlatego.

— I co?

— No właśnie, ma córkę. To jasne, że wtedy się o tym tak myśli.

— Wielu ludzi ma dzieci. A ty nie?

— Jego córka mieszka właśnie tam, gdzie zamordowano tamtą dziewczynkę. Gdzieś pod Strängnäs. Tak mu się wydaje.

— Wydaje?

— Nigdy jej nie widział.

Jochum odwrócił na chwilę wzrok od ekranu, objął swoją ogoloną głowę rękami, spojrzał na Hilinga.

— Nie rozumiem.

— Dla niego jest to ważne.

— Ale przecież jej nic się nie stało?

— Nie, ale mogło się stać.

— Daj spokój.

— On tak myśli. Ma jej zdjęcie. Sam je powiększył. Zajmuje całą ścianę.

Jochum odrzucił głowę do tyłu, na oparcie kanapy. Roześmiał się głośno, tak jak to się dzieje po wypiciu alkoholu.

— Ten pieprzony dzikus! Przecież to głupol! Snuje się i wszystkich podejrzewa z powodu czegoś, co się nie może zdarzyć, bo zboczek dostał kulkę i diabli go wzięli? Twój kumpel jest chyba w gorszym stanie, niż myślałem. To jakieś halucynacje. Ten facet potrzebuje kielicha.

Hilding siedział cały zeszywniały, znowu się bał.

- Tylko nic, kurwa, nie mów.
- O czym?
- O zacierze.
- Boisz się swojego dzikusa?
- Tylko to. Nic nie mów.

Jochum znowu wybuchnął śmiechem, unosząc palec wskazujący. Odwrócił się w stronę telewizora, skąd nadal płynęły wiadomości o zabiciu zboczeńca. Nadawano wywiad z prokuratorem, który stał zwrócony plecami do wejścia do ratusza — porządny gnojek w garniturze z jasną grzywką zaczesaną na bok, mikrofon na wysokości twarzy. Wyglądał tak, jak jemu podobni: zbyt młody, zbyt spragniony kariery, jeden z tych, którymi należałoby wstrząsnąć.

Chyba dopiero wtedy, kiedy aresztowano Steffanssona, Lars Ågestam zrozumiał, co tak naprawdę się stało. O co chodziło w całej tej historii.

Roześmiał się cicho, gdy na początku przydzielono mu sprawę pedofila, bo wtedy chodziło o chorego mordercę seksualnego i o zbrodnię popełnioną przez niego na małej dziewczynce. Potem wymiotował w toalecie prokuratury, kiedy sprawa nabrała nowego kształtu i objęła ojca w żałobie oraz popełnione przez niego zabójstwo.

Kiedy więc Steffanssona aresztowano, dla Ågestama sprawa ta nie była już tylko straconą okazją do wykonania zwrotu w karierze zawodowej.

Stała się czymś więcej.

Był to tego rodzaju strach, że Ågestam nie mógł przejść na drugą stronę ulicy, żeby się nie obejrzeć za siebie, strach o życie, strach przed śmiercią.

W trakcie czynności przygotowawczych domagał się, aby Steffansson, jako „podejrzany o popełnienie morderstwa”, siedział w areszcie aż do rozpoczęcia procesu.

Adwokat Steffanssona, Kristina Björnsson, z którą Ågestam przegrał sprawę Axelssona, twierdziła, że jej klient działał w obronę życia, i wносиła o niestosowanie aresztu.

Zaprzeczała, jakoby czyjekolwiek życie było zagrożone, wskazywała, że istnieje niewielkie ryzyko, iż Steffansson będzie

utrudniał prowadzone dochodzenie albo uchylał się od procesu. Wyjaśniała, że w zupełności wystarczy, jeśli wystawiony zostanie nakaz codziennego meldowania się na posterunku policji w Eskilstunie.

Przewodniczący składu sędziowskiego, sędzina van Balvas, już kilka minut później zdecydowała, że Fredrik Steffansson, podejrzany o popełnienie morderstwa, pozostanie w areszcie aż do rozprawy, której data ustalona zostanie w późniejszym terminie.

I wtedy rozpętało się piekło.

Zaczęli ci, którzy czekali na zewnątrz.

Dziennikarze z mikrofonami, którzy przycisnęli go do ściany przed wejściem.

Przecież Steffansson został bohaterem.

Naprawdę?

Uratował życie dwóm dziewczynkom.

Nic na ten temat nie wiem.

Bernt Lund miał przy sobie ich zdjęcia.

Steffansson popełnił morderstwo.

Lund znał ich imiona. Obserwował przedszkole, do którego chodziły.

Steffansson popełnił morderstwo, taki popełnił czyn. I tylko to mnie obchodzi.

To znaczy, że chce pan, aby ktoś, kto uratował życie niewinnych osób, został wynagrodzony za to wtrąceniem do więzienia?

Nie będę komentował takich stwierdzeń.

Czy osobiście nie uważa pan, że Steffansson postąpił słusznie?

Nie.

Dlaczego?

Było to morderstwo z premedytacją.

Naprawdę?

Tak, właśnie taki będzie postawiony zarzut.

*Grozi mu dożywocie?
Najwyższa dopuszczalna przez prawo kara.
Twierdzi pan więc, że byłoby lepiej, gdyby obie dziewczynki
zostały zamordowane?
Twierdę, że w przypadku morderstwa z premedytacją nie
może być mowy o złagodzeniu kary dla żadnego ojca, który jest
pogrążony w żałobie.
Czy ma pan dzieci?*

A potem cała reszta: opinia publiczna, widzowie, słuchacze, czytelnicy; ci, którzy wrzeszczeli, grozili mu. Nie nadążał odłożyć słuchawki, kiedy znowu ktoś dzwonił.

*Ty pieprzony sługusie!
Wykonuję tylko swoją pracę.
Ty gnido!
Nie mogę zrobić nic innego.
Ty nędzny biurokrato!
Jeśli ktoś łamie prawo, to moim obowiązkiem jest postawić
go w stan oskarżenia.
Spróbuj tylko, to cię załatwimy!
Coś takiego nazywa się „groźbą karalną”.
Giń!
Nazywa się to „groźbą karalną” i podlega karze.
Zabijemy całą twoją rodzinę!*

Zaczął się bać. To, co przeżywał, działo się naprawdę. To jacyś szaleńcy, ale reprezentowali szerokie kręgi opinii publicznej. Nienawidzili go, i to naprawdę, czuł to w głębi i brał na poważnie.

Postanowił poszukać Ewerta Grensa. Znalazł go i został niechętnie przyjęty.

Wydawało mu się, że ich ostatnia rozmowa zapoczątkowała coś nowego, jakieś wzajemne zaufanie, kiedy obnażył się wtedy przed

nim ze swej niepewności co do planowanego oskarżenia. Niestety, był to znowu ten sam Grens: skwaszony, zgorzkniały. Grens uśmiechał się do niego szyderczo, kiedy opowiadał, że mu grożono, że grożono jego rodzinie, że się boi i chce mieć ochronę policji. O mało nie wybuchnął płaczem, przyszło to nagle i Ågestam przeklinał się za to, że dzieje się to właśnie teraz, w tym pokoju. Ewert udawał, że tego nie widzi, wyjaśnił tylko, że gróźb doświadczają wszyscy i że jeśli ktoś chce być prokuratorem, to musi się z tym liczyć. Ewert poprosił Ågestam, żeby wrócił do niego, jeśli wszystkie te grożące mu upiory objawiają się w rzeczywistości, a nie tylko za pomocą głosów.

Ågestam wyszedł z pokoju, trzaskając głośno drzwiami.

Na dworze panował zaduch, powoli wracał do siebie.

W kiosku kupił gazetę i butelkę wody mineralnej, z powodu duchoty pocił się mocno, a od kilku dni sikał ciemnożółtym moczem; uświadomił sobie, że spiekota wysysa z niego więcej płynów, niż sądził. Gazeta, w niej jego zdjęcie i nagłówek: *Prokurator żąda kary dożywocia dla bohatera*. Wszyscy ludzie, grupy turystów gapili się na niego, był przekonany, że chodzą po ulicy z kamerami na szyi, z mapą w ręce i że się gapią. Przyspieszył, znów zaczął się pocić, ale nie zmniejszał tempa w czasie całej drogi przez Kungsholmen do siedziby prokuratury.

Wszedł do swojego pokoju.

Od razu zadzwonił telefon.

Popatrzył na aparat, nie podnosząc słuchawki. Telefon ponownie zadzwonił, a on znowu nie zareagował. Telefon dzwonił osiem razy, a on siedział, mając przed sobą dokumenty z postępowania dowodowego, czytał je na okrągło, aż telefon przestał dzwonić.

Bengt Söderlund opowiadał historię o tym, jak Baxter siedział cały wieczór i całą noc aż do następnego przedpołudnia przed drzwiami szopy i opuścił to miejsce dopiero na komendę swojego pana. Już po raz trzeci słyszeli tę historię, tylko Elisabeth nie chciała jej słuchać; Ove i Helena siedzieli w jego kuchni, kiedy się to zdarzyło, a Ola Gunnarsson i Klas Rilke za każdym razem śmiali się coraz głośniejsze. Przypominało to czasy, kiedy siedzieli w świetlicy szkolnej i rozmawiali o jednym z nauczycieli, któremu nadali przezwisko i z którego postanowili się naśmiewać przez cały rok szkolny; albo wtedy, kiedy siedzieli w szatni klubu Tallbacka IF i poniżali bramkarza drużyny przeciwnej, aby pokazać w ten sposób, że tworzą jedną paczkę. Stali przez chwilę przed automatem w jedynej we wsi restauracji, wrzucali dziesięciokoronówki, tracąc setki koron, wychodzili stamtąd i siadali przy stole, tym samym, przy którym zazwyczaj siadali. Zamawiali po jednym jasnym piwie bez pianki dla każdego, pili na cześć upału, który zmuszał ich do picia, i za zdrowie Baxtera, który dostarczył im powodu do śmiechu.

Wypili do połowy, zazwyczaj zamawiali trzy, cztery kolejki każdego wieczoru; pierwsze piwo gasiło pragnienie i dopiero wtedy zaczynały się dyskusje, jak to zwykle bywa, kiedy alkohol ożywia rozmowę.

Bengt pił wolniej niż zwykle. Wiedział już, co zrobi tego wieczoru. Zdecydował się w tym tygodniu, rozważał wszystkie za

i przeciw, przeglądał podręczniki prawa, czytał dętwie teksty.

Podniósł kufel z piwem, popatrzył na wszystkich.

— Wypijmy. A potem chcę coś powiedzieć.

Stuknęli się, wypili do dna. Bengt uniósł rękę, szukając kontaktu wzrokowego z barmanem za kontuarem, zamówił następną kolejkę. A potem przemówił:

— Trochę się nad tym wszystkim zastanawiałem i już wiem, co zrobimy, żeby w końcu w naszej wsi zapanował cholerny porządek.

Pozostali przysunęli się bliżej do stołu, odstawili piwo. Elisabeth poczerwieniała na twarzy, zacisnęła szczęki, spuściła wzrok na blat stołu. Bengt mówił dalej:

— Pamiętacie, jak tu byliśmy ostatnim razem? Pamiętacie Helenę? — Spojrzał na Helenę i uśmiechnął się do niej. — Pod koniec rozmowy wstała od stołu, zanim poszliśmy do domu. Pokazywali wtedy w telewizji tego pedofila, a Helena kazała nam być cicho. Mówili o ojcu, który zastrzelił mordercę seksualnego. To wtedy Helena to powiedziała: że jest bohaterem. Bohaterem naszych czasów. Nie pozwolił, żeby jakiś pierdolony pedofil wyżywał się na nim. Nie siedział i nie czekał. A kiedy policja nie zrobiła tego, co do nich należało, zrobił to sam.

Helena z zadowoleniem przysłuchiwała się słowom Bengta.

— Tak właśnie powiedziałam, że jest bohaterem. A poza tym jest przystojny.

Uśmiechnęła się z miłością do Ove, poklepała go lekko. Bengt kiwnął głową w jej stronę, zniecierpliwił się, chciał powiedzieć coś więcej.

— Niedługo zacznie się proces, będzie trwał pięć dni. Potem ogłoszą wyrok, pewnie ostatniego dnia procesu. I wtedy musimy tam być.

Rozejrzał się triumfalnie.

— obrońca twierdzi, że to obrona konieczna. Cała Szwecja tak uważa. Jak go zamkną w więzieniu, to faceta czeka parszywe życie. Założę się, że się nie ośmieli. Skład jest taki jak zawsze,

tylko sędzia ma wykształcenie prawnicze, a ławnicy nie. Rozumiecie już? Sąd rejonowy może go uniewinnić. I wtedy przyjdzie kolej na nas. Wtedy zaczniemy działać.

Pozostałe osoby siedzące przy stole nadal nic nie rozumiały, słuchały Bengta, bo on zawsze wiedział, co zrobić.

— W tym samym momencie, kiedy ogłoszą wyrok uniewinniający, uderzymy my. Pozbędziemy się tego bydlaka. Nie chcę tu mieć żadnego pedofila, nie chcę takiego sąsiada, w ogóle nie chcę go w naszej wsi. Pozbędziemy się go, a potem powiemy, że działaliśmy w obronie własnej.

Barman, otyły mężczyzna, będący jeszcze do niedawna właścicielem jednego ze sklepów, które zbankrutowały i zostały zamknięte, przyniósł nowe kufle z piwem, po trzy w każdej ręce. Wypili po kilka łyków. Wtedy Elisabeth spojrzała na męża i powiedziała:

— Bengt, zaczynasz tracić panowanie nad sobą.

— Jak ci się to nie podoba, to możesz wracać do domu.

— Chyba jednak rozumiesz, że nie ma takiego prawa, które pozwala zabić człowieka, żeby rozwiązać jakiś problem. Tamten mężczyzna nie jest żadnym bohaterem. Jest tylko złym wzorem dla wszystkich.

Bengt walnął kuflem o stół.

— To co, do cholery, powinien twoim zdaniem zrobić?

— Porozmawiać z nim.

— Co?

— Zawsze można z ludźmi porozmawiać.

— Wiesz co? Spadaj stąd!

Helena spojrzała na Elisabeth, jej oczy wyrażały pogardę.

— Nie rozumiem, o co ci chodzi. Dlaczego nie chcesz widzieć rzeczy takimi, jakie są. Może opowiesz nam coś o tym uzbrojonym zboczeńcu, który zhańbił czyjeś dzieci? Możesz? O jego tragicznym dzieciństwie? O zepsutych zabawkach i sikaniu do łóżka? — Helena położyła dłoń na ręce męża i mówiła dalej: — Ojciec

dziewczynki zastrzelił pedofila niezgodnie z prawem, ale popełniłby błąd, gdyby go nie zabił. To chyba jasne? Życie jest rzeczą świętą, aż znajdziemy się w sytuacji, kiedy twoja osobista moralność i wartości etyczne muszą nagle zejść na dalszy plan. Gdybym mogła strzelić z jego broni, zrobiłabym to samo co on. Nie rozumiesz tego, Elisabeth?

• • •

Elisabeth podjęła decyzję w chwili, kiedy wyszła z restauracji. Właśnie straciła męża. Szybko wróciła do domu i poprosiła córkę — ich jedyne dziecko, które nadal mieszkało razem z nimi, żeby zabrała to, co zdoła udźwignąć. — Swoje rzeczy zapakowała do walizek. Wzięła samochód, tylko on był jej potrzebny; letni wieczór powoli przechodził w noc, kiedy wyjeżdżała z Tallbacka, żeby już nigdy tam nie wrócić.

Cela aresztu śledczego w Kronobergu miała sto sześćdziesiąt centymetrów szerokości i dwieście pięćdziesiąt centymetrów długości. Wąskie łóżko, obok niewielki stolik, miednica, w której można było się umyć wieczorem i nasikać do niej w nocy. Miał na sobie niebieskoszare ubranie, które na nim wisiało, litery KVV wypisane wersalikami na nogawkach i rękawach. Surowy reżim — żadnych gazet, radia, telewizora. Żadnych wizyt z wyjątkiem osób prowadzących przesłuchanie, prokuratora, adwokata, kapelana więziennego i personelu. Świeże powietrze raz dziennie w postaci dopuszczonego prawem spaceru, który odbywał na metalowym dachu budynku; powietrze stało tam nieruchomo i za każdym razem prosił, aby spacer zakończyć wcześniej, żeby już po pół godzinie mógł wrócić na dół.

Teraz leżał na łóżku, nie myśląc o niczym. Próbował coś zjeść, taca z talerzem i szklanką soku stała na podłodze; paskudnie to smakowało, więc odstawił ją już po kilku kęsach. Nie jadł nic od przyjazdu do Enköping, a to, co zjadł, zwracał, jakby żołądek chciał trochę spokoju.

Ściany wokół niego były puste i szare. Nie miał na czym zatrzymać wzroku. Zamknął oczy, jarzeniówka wyglądała jak jasna błona przysłonięta powieką.

Nagle od strony drzwi dobiegł go jakiś dźwięk. Przez wizjer zobaczył ludzką twarz.

— Steffansson! Chce pan przyjąć księdza?

Fredrik spojrział w stronę otworu, przyglądały mu się stamtąd dwie pary oczu.

— Mam na imię Fredrik. Nie po nazwisku, proszę.

Klapka opadła, ale za chwilę znowu została otwarta.

— Jak pan chce, panie Fredrik. Życzył pan sobie zobaczyć się z księdzem?

— Życzyłem sobie spotkać kogokolwiek, kto nie nosi munduru i nie zamyka moich drzwi na klucz.

Strażnik westchnął.

— Jak to załatwimy? Ona tu stoi, za drzwiami.

— No proszę! No proszę! A ja już sądziłem, że sens zamykania mnie tutaj polega na tym, żeby izolować mnie od świata zewnętrznego. Z jakiegoś cholerne go powodu uważacie, że jak będę na wolności, to mogę stanowić zagrożenie dla ludzi, tak? A teraz, jak już tu siedzę, to uważacie, że wszyscy inni są niebezpieczni dla mnie. Wiecie przynajmniej, na kogo się gapić?

Usiadł na łóżku, kopnął tacę z jedzeniem. Szklanka z sokiem pomarańczowym przewróciła się na podłogę, żółtawa ciecz rozlała się. Strażnik stał w milczeniu. Zauważył, że Fredrik jest bliski załamania, widział to już tyle razy wcześniej: tacy jak on bywali agresywni, krzykliwi, groźni. Aż przychodziło załamanie, a wtedy padali na podłogę i robili w spodnie. Fredrik taplał się jedną stopą w rozlanym soku.

— Nie macie pojęcia. Bo wy patrzycie na człowieka, którego przestępstwo polega na tym, że miał odwagę ukarać śmiercią mordercę dzieci. Mordercę, który mógł wyruchać i zarznąć twoją pięcioletnią córkę, gdyby tylko miał okazję. A teraz wy musicie pilnować człowieka, który uratował życie waszym dzieciom. Lubi pan ten zawód? Czuje pan, że ma uczciwy wkład w rozwój społeczeństwa?

Fredrik podniósł pustą szklankę, a potem rzucił nią w stronę wizjera. Strażnik krzyknął coś, ale zdążył zamknąć klapkę, zanim

szklanka się na niej rozbiła.

Minęła dłuższa chwila. A potem znowu tam były — te gapiące się w niego oczy.

— Powinienem właściwie wezwać pomoc. To, co pan zrobił, kwalifikuje się, żeby przywiązać pana pasami. Ale odpowiem na to pytanie.

Fredrik czekał. Strażnik przełknął ślinę, mówił, jękając się.

— Nie. Odpowiedź brzmi: „Nie”. Nie uważam, żebym miał jakieś wielkie zasługi dla społeczeństwa. Nie uważam też, że powinien pan tu siedzieć. Zrobił pan dobrze, zabijając go. Ale jest tak, że pan tu siedzi. I to wystarczy. Teraz zapytam jeszcze raz: chce pan spotkać się z księdzem czy nie?

Zamknięte drzwi. On po jednej stronie, tamci po drugiej. Szybkie obrazy, zamknięte drzwi, nienawidził ich, nie było nawet wąskiej szczeliny, w drzwiach były za to trzy szyby, mniej więcej takie jak w łazience, z mlecznego szkła, więc to, co widział, nie miało ostrych konturów, ojciec i Frans w pokoju stołowym, włączony telewizor, krzyczący ojciec i nagie ciało Fransa, i wszystko stało się takie groteskowe przez to niewyraźne szkło, Frans, który nie wydawał żadnego dźwięku, matka, która naskarżyła na Fransa i wyjaśniała, dlaczego zasłużył na lanie, a potem tylko wychodziła z pokoju, siadała w kuchni, piła gorącą herbatę i paliła camele, podczas gdy ojciec bił i bił, i bił, aż Frans krzyknął wyzywająco, że bije za słabo, czy nie mógłby mocniej, przecież Frans nic nie czuje, wtedy ojciec zwykle kończył.

Zamknięte drzwi. Patrzący na niego strażnik.

— Pytam jeszcze raz, a potem pójdziemy sobie. Chce pan czy nie?

Fredrik przymknął oczy. Drzwi znikły.

— Dobrze, wpuść tego chałaciarza.

Drzwi się otworzyły. Nie rozumiał.

— Rebecka?

— Fredrik...

— Dlaczego ty?

— Byłam tu kiedyś kapelanem. Teraz zgłosiłam się sama. Pomyślałam, że może będziesz chciał się ze mną spotkać, ponieważ chciałeś zobaczyć kogoś niezwiązanego ze sprawą. W porządku?

— Wejdz.

Zawstydził się. Wstydził się, że siedzi w celi o powierzchni czterech metrów kwadratowych w niebieskoszarym ubraniu i że przed chwilą nasikał do miednicy, i z powodu soku rozlanego na podłodze, i za ten wybuch wściekłości skierowany przeciwko strażnikowi, i że zaczął płakać z radości, kiedy usiadła na jego łóżku.

Objęła go, pogłaskała po włosach, po policzku.

— Rozumiem. Nie musisz się usprawiedliwiać. Widziałam, jak ludzie zamknięci w tych celach reagowali o wiele gorzej niż ty.

Spojrzał na nią, próbował się uśmiechnąć.

— Uważasz, że postąpiłem źle?

Długo siedziała w milczeniu, rozważała, co odpowiedzieć.

— Tak. Uważam, że postąpiłeś źle. Nie masz prawa rozstrzygać o życiu i śmierci.

Fredrik skinął głową. Oczekiwał takiej odpowiedzi.

— Czy wiesz, że dzięki temu uratowałem życie innych dzieci? Gdybym nie zastrzelił Lunda, byłyby dziś martwe. Wiesz o tym? Czy wtedy byłoby lepiej?

Teraz zwleką z odpowiedzią jeszcze dłużej. Znała go jeszcze z czasów dzieciństwa. Przed tygodniem pochował córkę. Jej słowa były mocniejsze niż zwykle, jej odpowiedzialność większa.

— To trudne pytanie. Nie wiem, czy...

Przestała mówić.

Fredrik zaczął nagle głośno, głęboko i szybko oddychać. Położyła rękę na jego piersi.

Położył się na łóżku, drżał na całym ciele.

— Przepraszam. Nie mogę się powstrzymać. To wszystko nie ma sensu.

Pogrzeb. Cmentarz. Zimna podłoga. Dźwięk organów odbijający

się od ścian kościoła. Trumna, trumienka, taka krótka, taka wąska. A na niej kwiaty. Rebecka też tam stała. Zaraz obok, coś mówiła. W środku leżała Marie. Nie widział jej, wieko trumny było zamknięte, ale ładnie ją przygotowali, uczesali i założyli jej nową sukienkę.

Kilka głębokich oddechów, szykował się, żeby coś powiedzieć.

— Marie już nie ma. Ona już nic nie czuje. Nie widzi. Nie słyszy. Już nie. Ani teraz. Ani potem. Nie ma jej już, zupełnie nie ma. Rozumiesz? Rozumiesz, o czym mówię?

— Wiesz, że się z tobą nie zgadzam. Ale rozumiem, jak na to patrzysz.

Klapka w drzwiach uniosła się znowu. I znowu te patrzące oczy.

— Straszny tu hałas. Wszystko w porządku?

Rebecka wyciągnęła dłoń w stronę drzwi.

— Tak, wszystko w porządku.

— No dobrze. To zawołaj, jak będzie trzeba.

Fredrik nadal leżał na łóżku. Ciężko oddychał, ale już nie drżał.

— Kiedy zrozumiałem, że Lund zamierza znowu zabić, zdecydowałem się go zastrzelić. Musiałem go zabić. Zdążyć przed nim.

Szukał słów.

— Uważacie, że tu chodziło o zemstę. Nie miało to z zemstą nic wspólnego. Wraz z Marie umarłem także ja. Kiedy postanowiłem go zabić, odżyłem na nowo.

Podniósł się, uderzył w stół. Najpierw ręką, a potem pochylił się i uderzał głową o blat. Czoło zaczęło silnie krwawić.

— Zabiłem go. I po co mam nadal żyć?

Drzwi się otworzyły. Strażnik wszedł szybko do celi, za nim jeszcze jeden, ubrany w takie same mundury, ten sam wyraz twarzy. Przeszli obok Rebecki, podeszli do Fredrika, wzięli go pod ręce i odciągnęli od stołu. Przycisnęli go mocno do łóżka i przytrzymywali tak długo, aż przestał bić głową w powietrze.

W dniu, w którym rozpoczął się proces, padał deszcz. Przez całe lato temperatura była wyższa od średniej rocznej, a teraz dopiero po raz drugi spadł lekki deszcz, taki, który pojawia się, kiedy wstaje świt. A potem cierpliwie pada przez cały dzień aż do wieczora, gdy zapada zmrok.

Kolejka oczekujących była długa już od samego rana. Był to przecież najbardziej spektakularny proces w Szwecji na przestrzeni ostatnich kilku lat; miał się odbywać w dawnej sali sztokholmskiego ratusza. Dziennikarze i zwykli ciekawscy tłoczyli się na długo przed godziną dziewiątą rano w zbudowanym z kamienia starym holu; liczbę miejsc siedzących ograniczono do czterech numerowanych rzędów, więc z wyjątkiem przedstawicieli kilku większych firm medialnych, dla których dostawiono krzesła, reszta osób po zamknięciu drzwi wejściowych musiała stać.

Zastosowano nadzwyczajne środki ostrożności: umundurowani policjanci i ubrani po cywilnemu funkcjonariusze policji stali w towarzystwie wynajętych pracowników ochrony. Wśród tłumu obserwatorów wyczuwało się atmosferę nienawiści, a frustracja i agresja, jakie pojawiły się w ciągu ostatnich kilku tygodni, od dnia ucieczki Lunda i popełnionej przez niego zbrodni, zrodziły wśród tych, którzy normalnie ograniczali się tylko do czytania i komentowania, masowe zainteresowanie, któremu towarzyszyła nienawiść do pedofilów; jakby czaiła się i czekała, obserwowała,

przygotowywała się.

Micaela stała na samym przedzie. Przyszła tu już po siódmej, deszcz był wtedy bardziej intensywny, na dworze prawie zimno. Nie widziała Fredrika od prawie dwóch tygodni, od dnia pogrzebu.

Przepadł gdzieś. Teraz już wiedziała, że to z powodu polowania na Lunda. I dlatego, że potem zamknęli go w areszcie śledczym w Kronobergu, poddając surowym rygorom.

Bała się.

Była to jej pierwsza wizyta w sali sądowej, a mężczyzna, którego kochała, miał zasiadać w ławie oskarżonych kilka metrów dalej, oskarżony o morderstwo i przesłuchiwany przez prokuratora, który zamierzał wystąpić o dożywocie.

Micaela miała rodzinę.

Fredrika, obok którego zasypiała każdej nocy i którego nauczyła się obejmować. Marie, która była prawie jak córka: karmiła ją, ubierała, wychowywała. Tak dużej rodziny wcześniej nigdy nie miała.

W ciągu kilku tygodni wszystko się skończyło.

Uśmiechnęła się jak najserdeczniej do strażnika, który sprawdzał zawartość jej torebki, ale ten nie odwzajemnił uśmiechu. Potem przechodziła przez bramkę elektroniczną, i to aż trzy razy, bo za każdym razem rozlegał się brzęczyk; okazało się, że miała klucz w kieszeni kurtki, jeden z kluczy do roweru Marie. Znalazła dobre miejsce w trzecim rzędzie, zaraz za miejscami dla stacji telewizyjnych. Rozpoznała kilku dziennikarzy, którzy zazwyczaj przekazywali relacje z miejsc, gdzie doszło do jakiejś tragedii. Dzisiaj też tu przyszli, aby w swoich notatnikach zapisywać krótkie zdania; próbowała odczytać, co piszą, ale zapiski były nieczytelne. Widziała tylko, że obaj dziennikarze zapisywali na samej górze dokładne godziny i za każdym razem, obok każdej wypowiedzi, zapisywali pełną godzinę. Trochę dalej od niej siedziało dwóch rysowników. Ich ołówki zręcznie przesuwali się po powierzchni kartek, na których wyłaniały się ściany, podłoga, krzesła; na razie

rysowali tło, wkrótce umieszczą na nim wizerunki ludzi.

Zobaczyła Agnes. Siedziała w ostatnim rzędzie, po skosie od niej. Odwróciła wzrok o ułamek sekundy za późno, została odkryta. Agnes skinęła jej głową, a ona odpowiedziała tak samo. To dziwne, ale nigdy ze sobą nie rozmawiały. Kilka razy odebrała telefon, kiedy dzwoniła Agnes i chciała porozmawiać z Marie. Padało wtedy krótkie: „Poproszę Marie”, a potem: „Już podchodzi”, i to wszystko, tak wyglądały ich rozmowy w ciągu trzech lat. Jeszcze dalej siedzieli obaj policjanci, którzy przesłuchiwali zarówno ją, jak też dzieci i rodziców, i wszystkich innych, którzy tamtego dnia znajdowali się w pobliżu przedszkola. Jeden starszy, który kulał i był zwierzchnikiem tego drugiego, młodszego, który wydawał się bardziej cierpliwy. Zobaczyli ją, obaj skinęli jej głową, a ona im.

Sala pękała w szwach. Wiele osób stało na zewnątrz, słyszała, jak ci, których nie wpuszczono do środka, protestują. Ktoś gwizdnął z niezadowoleniem na strażników, ktoś inny nazwał ich faszystowskimi świniami.

Za stołem sędziowskim znajdowały się drzwi. Zauważyła je dopiero wtedy, kiedy się otworzyły i do sali wszedł skład sędziowski, jedna osoba za drugą. Najpierw sędzia, kobieta, nazywała się van Balvas. Potem ławnicy, których nigdy wcześniej nie widziała, ale czytała o nich w gazetach; wszyscy w podeszłym wieku, politycy gminni, którzy musieli oderwać się od swych codziennych zajęć. Prokurator Lars Ågestam, którego widziała w telewizji, jeden z tych ważniaków; był od niej starszy tylko o kilka lat, ale sprawiał, że czuła się przy nim o wiele młodsza. Adwokat Kristina Björnsson wyglądała równie pewnie i spokojnie jak wtedy, kiedy spotkali się z nią w jej kancelarii naprzeciwko Humlegården.

Na samym końcu pojawił się Fredrik. Towarzyszyło mu dwóch strażników.

Miał na sobie garnitur i krawat, którego nigdy u niego nie widziała. Był blady i równie przestraszony jak ona.

Fredrik miał spuszczonego wzrok, unikał widoku sali.

Van Balvas (VB): Proszę podać pełne imię i nazwisko.

Fredrik Steffansson (FS): Nils Fredrik Steffansson.

VB: Adres?

FS: Hamngatan dwadzieścia osiem, Strängnäs.

VB: Czy wie pan, dlaczego tu dzisiaj jest?

FS: Co za głupie pytanie.

VB: Powtarzam pytanie: czy wie pan, dlaczego tu dzisiaj jest?

FS: Tak.

W czasie przerwy Micaela wypaliła trzy papierosy. Obok niej, w ponurej poczekalni z ciemnymi, ciężkimi panelami dębowymi i twardymi, zużytymi ławkami ustawionymi pośrodku sali, przystanął jeden z dziennikarzy. Zapytał ją, jak Fredrik się czuje, a ona odpowiedziała, że nie wie, bo nie pozwolono im ze sobą rozmawiać, że co prawda mieszka z nim, ale to nie wystarczyło, by uzyskać zgodę na widzenie; a potem, kiedy dziennikarz wyciągnął w jej stronę paczkę papierosów bez filtra pochodzących z jednego z krajów południowej Europy i poczęstował ją, podziękowała i wzięła jednego. Wiedziała, że Fredrik nienawidzi, kiedy pali, a od ostatniego papierosa upłynęło już kilka miesięcy, teraz jednak wypaliła zachłannie jednego papierosa za drugim, przez co zakręciło jej się w głowie — papierosy były mocne, a ona się odzwyczaiła. Niedaleko od niej stała Agnes, sama, piła wodę mineralną z butelki. Unikały swych spojrzeń, nie były zainteresowane nawiązywaniem kontaktu, bo i po co? Nie było takiej potrzeby, nie miały ze sobą nic wspólnego. Jakiś bardzo młody dziennikarz z rzadkimi włosami siedział na ławce ze słuchawkami na uszach, spisując to, co nagrał na kasetę magnetofonową. Obok niego siedział jego starszy kolega, zerknął na rysunek, który podał mu rysownik, przedstawiający jeden z epizodów na sali: Fredrik gestykulujący ręką i prokurator, który pokazywał mu zdjęcie przedszkola w Enköping zrobione w miejscu, z którego strzelał Fredrik.

Lars Ågestam (LA): Panie Steffansson, nie rozumiem. Nie rozumiem, dlaczego nie zaalarmował pan policjantów, którzy znajdowali się nie dalej niż kilkaset metrów od pana?

FS: Nie zdążyłem.

LA: Nie zdążył pan?

FS: Przecież z Lundem nie poradziło sobie nawet dwóch specjalnie przeszkolonych strażników, prawda? Jak więc ze schwytaniem uzbrojonego Lunda mogło sobie poradzić dwóch na wpół śpiących policjantów?

LA: Nawet nie próbował pan się z nimi skontaktować?

FS: Nie mogłem ryzykować, że ucieknie, porywając kolejną dziewczynkę.

LA: Nie bardzo pana rozumiem.

FS: Naprawdę?

LA: Nie rozumiem, dlaczego czuł się pan w obowiązku zamordować Bernta Lunda.

FS: Czy to, do cholery, tak trudne do zrozumienia?

VB: Proszę, aby oskarżony wrócił na swoje miejsce.

FS: Czy wy nie słyszycie, o czym ja mówię? Przecież sami udowodniliście, że nie umiecie go złapać. Że nie mogliście pomóc mu w jego problemach. Że nawet nie potrafiliście go schwycić po zamordowaniu przez niego Marie. To co mam wam jeszcze wyjaśniać?

VB: Powtarzam: nakazuję oskarżonemu, żeby wrócił na swoje miejsce. Czy pani mecenas może mi pomóc?

Kristina Björnsson (KB): Fredrik, uspokój się. Jeśli chcesz im to wyjaśnić, to musisz zostać na swoim miejscu.

FS: Czy możesz im kazać odejść ode mnie?

KB: Jak się uspokoisz, to strażnicy wrócą na swoje miejsce.

Ich spojrzenia spotkały się tylko jeden jedyny raz — po trwającej godzinę mowie wstępnej i następującym po niej pierwszym przesłuchaniu prowadzonym przez prokuratora. Zmuszono go do

pozostania na swoim miejscu po tym, jak kilka razy zdarzył mu się wybuch wściekłości, a kiedy już siedział, odwrócił się i spojrzał zarówno na Micaelę, jak i na Agnes. Na jego twarzy pojawił się lekki uśmiech, Micaela była pewna, że próbuje się uśmiechać. Położyła dłoń na ustach, a potem przesłała mu całus; całe jej ciało mówiło, jak bardzo za nim tęskni, kiedy tak siedzi ubrany w garnitur i krawat, z bladą twarzą, w drodze donikąd.

LA: Chciałbym przypomnieć panu, że Szwecja jest jednym z wielu krajów na świecie, gdzie prawodawstwo nie przewiduje kary śmierci.

FS: Gdyby policji udało się go złapać, zostałby skazany na pobyt w zamkniętym zakładzie dla psychicznie chorych. Stamtąd można uciec jeszcze łatwiej.

LA: Naprawdę?

FS: Gdyby Bernt Lund został schwytany, to tylko odsunęlibyśmy w czasie to, co nieuniknione: zabiłby kolejne dzieci.

LA: I dlatego zdecydował się pan zadziałać jako policjant, prokurator, sędzia i kat.

FS: Udaje pan, że nie rozumie.

LA: Wcale nie.

FS: Powtórzę więc jeszcze raz: nie zabiłem go dlatego, że chciałem go ukarać. Zabiłem go, bo tak długo, jak żył, był niebezpieczny. Tak samo postępuje się z wściekłymi psami.

LA: Z wściekłymi psami?

FS: Usypia się je, żeby nie stanowiły zagrożenia dla ludzi. Bernt Lund był takim właśnie wściekłym psem. Dlatego go zabiłem.

Po każdej rozprawie czekała jeszcze przez chwilę. Miała nadzieję, że przeprowadzą go obok niej, że będzie mogła go zobaczyć z bliska. Wyczekiwała przy różnych bramach, przy wszystkich drzwiach wejściowych, ale nigdy nie zobaczyła ani strażników, ani

jego.

Po pierwszym dniu rozprawy Fredrik przestał się golić. Nie prosił już o krawat. Wyglądało to tak, jakby mu nie zależało, jakby chciał się poddać. Spoglądali na siebie po kilka razy w czasie przerw w rozprawie, Fredrik odwracał się w jej stronę, a ona starała się wyglądać na spokojną, jakby wiedziała, że wszystko dobrze się skończy.

Agnes już tam nie przychodziła, wykruszali się też pojedynczy dziennikarze, dwaj policjanci pojawiali się na zmianę; Micaela rozmawiała z młodszym z nich, który nazywał się Sundkvist, był bardziej przystępny i łagodny niż większość policjantów.

Każdego dnia po rozprawie wracała do Strängnäs, do miejsca, które kiedyś było ich wspólnym domem.

Nocami miała kłopoty ze snem.

Ågestam wysiadł na stacji metra Åkeshov i wolnym krokiem spacerował po dzielnicy willowej. Podśpiewywał cicho, bo był to jeden z tych rześkich wieczorów. Dopiero kiedy skręcił w swoją ulicę, dostrzegł to, czego nie widział wcześniej.

Najlepiej widać to było na samochodzie — słowa wymalowane sprayem. Czarne litery na czerwonym lakierze. Litery uderzyły go, zaatakowały.

Zwolennik pedofilów

Gwałciciel dzieci

Gnojek

Kto tak naprawdę jest psychopata?

Napisy na obojgu drzwiach. Na dachu, na masce. Ktoś wyrzucił tu z siebie swoją nienawiść, a potem zniszczył to, co się dało: szyby były potłuczone, reflektory wciśnięte do środka, urwane boczne lusterka.

• • •

Zwymiotował do umywalki w toalecie prokuratury, kiedy dowiedział się, że ojciec dziewczynki wykonał wyrok. Zrozumiał — już wtedy.

• • •

Dom, lata czterdzieste, pokryty żółtą farbą; cała rodzina pomagała w jego malowaniu, zanim zaczęło się lato.

A teraz od frontowej strony napisy były go po oczach, od okna kuchennego z lewej strony przez drzwi wejściowe aż do okna dużego pokoju po prawej stronie.

Ta sama czarna farba w sprayu. Napis złożony z dwóch słów, od podstaw domu aż do górnej rynny, złożony tą samą ręką.

Umrzesz, gnojku

Marina, jego żona, siedziała w ogrodzie, kilka metrów od koślawego napisu. Siedziała z zamkniętymi oczami, kołysząc się w hamaku, który kupili na aukcji tydzień wcześniej.

Zakaszła z trudem, ale kiedy zbliżył się do niej i objął ją, nie powiedziała ani słowa.

• • •

Po trzecim dniu procesu stało się to, co wcześniej lub później musiało się zdarzyć.

Ojciec, który zastrzelił mordercę córki, ryzykując tym samym, że zostanie skazany na dożywocie, był na ustach wszystkich.

Nie mógł dłużej pozostawać w domu, którego całą frontową ścianę zabrudzono sprayem.

Obudził się w nocy, ponieważ musiał iść do toalety, a potem już nie mógł zasnąć. Leżał w łóżku nago, bo w kołdrę owinęła się Marina, i wodził wzrokiem po suficie.

Na zewnątrz, naprzeciwko okna kuchennego, stał jego samochód — zniszczony, pobrudzony farbą.

Jest miłośnikiem pedofilów. Gwałcicielem dzieci, gnojkiem i psychopata.

Oczy miała nadal spuchnięte od płaczu, nie potrafiła spojrzeć na niego, uciekała wzrokiem na bok, aby na niego nie patrzeć. Spytał, czy się boi — tak, boi się. Potrząsnęła głową, wtedy on ją objął, a ona odwróciła się od niego twarzą do ściany. On leżał sam z tekstem o psychopacie przed oczyma i zniszczonym samochodem; po godzinie zaczął gwałtownie oddychać, zauważył to, ale nadal gapił się w ścianę, kilka razy wyszeptał imię żony, aż w końcu odwróciła się do niego, przeprosiła go i wtedy objęli się, czuli ciepło i nagość swoich ciał, kochali się dłużej niż zwykle, a potem leżeli obok siebie przez dłuższą chwilę, aż znowu odwróciła się twarzą do ściany.

Wstał z łóżka i chodził nago po domu.

Spojrzał na zegarek. Była czwarta.

Wyszedł z kuchni, zagotował wodę i wsypał kawę rozpuszczalną,

nakroił sera na dwie kanapki, nalał chudego mleka do szklanki, a do drugiej soku pomarańczowego. Przeczytał ostatnie wydanie „Dagens Nyheter” i „Svenska Dagbladet”; dziwił się, czytając artykuły i oglądając zdjęcia, że aż tyle miejsca poświęcano procesowi w sprawie zabójstwa pedofila.

A jednak nie dało się. Niepokój, bezradność, złość zawładnęły jego wnętrzem i już po wypiciu połowy filiżanki kawy przerwał to wczesne śniadanie, ubrał się, zabrał portfel. Podeszedł do łóżka i pocałował Marinę w ramię, a kiedy drgnęła, wyjaśnił jej, że wychodzi, aby uspokoić myśli, póki całe miasto jeszcze śpi. Powiedziała coś, czego nie dosłyszał, a wtedy puścił jej ramię i wyszedł.

Siedem kroków wzdłuż betonowych płyt leżących na trawniku. Potem się odwrócił.

Umrzesz, gnojku

W blasku poranka litery zdawały się jeszcze większe, jeszcze bardziej czarne. Był to dziecięcy charakter pisma. Sztwywny, kanciasty, niewprawny. Wyglądało to tak, jakby nie napisano tego naprawdę. Jakby wkrótce napis miał spłynąć ze ściany, tworząc lepkie plamy wśród róż.

Przeszedł obok samochodu. Miał dopiero rok. Na kredyt. Teraz wyglądał jak wrak: zniszczony, ograbiony, taki jak te, które stały na przedmieściach wielkich amerykańskich miast.

Niech stoi. Może ktoś go sobie weźmie.

Poszedł do miasta. Dwugodzinny spacer przez zachodnie przedmieścia. Portfel do ręki, marynarka przerzucona przez ramię, czarne buty, które go trochę uciskały. Miał czas, żeby się zastanowić, żeby spróbować zrozumieć. O co tu właściwie chodziło? Chciał zostać prokuratorem. I został nim. Chciał dostać dużą sprawę. I dostał ją. Ale to już koniec. Nie jest jeszcze dojrzały. Jest zbyt młody, nie nadaje się. Wielki proces oznacza duże

zainteresowanie. Wraz z nim pojawia się sława i zagrożenie. Przecież wiedział o tym. Widział to u starszych kolegów. Dlaczego więc przerażało go kilka napisów na samochodzie i na domu? Dlaczego zrozumiał, kiedy w nocnej ciszy kochał się z Mariną, że jego kariera dobiega kresu, że właśnie stracił marzenia, że się zestarzał? Miał doprowadzić ten proces do końca. Miał domagać się możliwie najwyższego wyroku. Ale teraz już nie wie. Odeszło gdzieś to przekłète poczucie pewności. Jakby został sam.

Tuż po szóstej dotarł do Kungsholmen i do Scheelegatan. W ratuszu panowała jeszcze zupełna cisza, gdzieś jakaś mewa grzebiąca w koszach na śmieci, poza tym pusto. Podeszedł do wejścia, wyjął z portfela klucz, otworzył. Wiele razy wcześniej przesiadywał w sali rozpraw, całe noce i dni. Strażnik pilnujący gmachu regularnie wpuszczał go do środka, zanim podjęto niezwykłą jak na sąd rejonowy decyzję, aby dorobić jeszcze jeden komplet kluczy dla tego młodego prokuratora, który w starym budynku spędzał część swego życia.

Wchodził po krzywych schodach, kierował się do sali rozpraw. Wszedł do środka i usiadł na miejscu, które miał zająć za trzy godziny. Otworzył swoje segregatory i wyjął z nich dokumenty, które będą mu potrzebne tego dnia. Te, dla których nie wystarczyło miejsca, położył na podłodze w takiej kolejności, w jakiej zamierzał się nimi posłużyć.

Czynności te zajęły mu czterdzieści pięć minut. Potem ktoś otworzył drzwi.

— Ågestam.

Usłyszał ten syczący głos. Nienawidził go. Nie podniósł nawet wzroku znad stosu papierów.

— Pańska żona mówiła, że znajdę pana tutaj. Chyba ją obudziłem.

Ewert Grens nie pytał, czy może wejść. Założył dzisiaj ciężkie buty. Odgłos jego chwiejnych kroków odbijał się echem za każdym razem, kiedy stawiał na posadzce prawą nogę. Staął za Ågestamem,

rzucił szybkie spojrzenie na stos papierów, wszedł na podest i usiadł na krześle dla sędziego.

— Ja też mam zwyczaj zaczynać wcześniej. Jest wtedy tak cholernie cicho. I żaden dupek nie przeszkadza swoją gadaniną.

Ågestam nadal zajęty był pracą; przeszukiwał dokumenty, uczył się na pamięć pytań, odpowiedzi, obserwacji.

— Czy może pan przestać zajmować się tym teraz? Rozmawiam z panem.

Ågestam odwrócił się w jego stronę. Na jego twarzy malowała się wściekłość.

— A niby dlaczego? Gównu mnie to obchodzi, tak samo jak pan ma mnie w dupie.

— Właśnie w tej sprawie przychodzę.

Grens odchrząknął, przesuwając palcami po drewnianym młotku leżącym przed nim.

— Źle to wszystko oceniłem.

Ågestam zatrzymał się w pół ruchu. Spojrzał na starego, zgorzkniałego człowieka, który starannie dobierał słowa.

— Jak mówię, że popełniłem błąd, to znaczy, że popełniłem błąd.

— To świetnie.

— I rzeczywiście tak było. Powinienem wziąć pańską gadaninę na poważnie.

W wielkiej sali panowała taka sama cisza jak za wielkimi, brzydkimi oknami. Wczesny ranek ciepłego, letniego dnia.

— Powinien pan dostać ochronę policyjną. I dostanie ją pan. Wysłaliśmy już jeden samochód, który stoi teraz przed pańskim domem. Drugi będzie stał tu, na dole. Niedługo przyjedzie.

Ågestam wstał i zbliżył się do okna. Jakiś policjant otwierał właśnie drzwi samochodu. Zamknął je i podszedł do schodów przed wejściem.

Prokurator westchnął. Poczuł się nagle zmęczony, jakby nieprzespana noc dała o sobie znać przerwany snem.

— Trochę za późno.

— Jest, jak jest.

— To pan tak mówi.

Grens trzymał w dłoni młotek sędziowski. Zamachnął się nim, dźwięk odbił się echem od ścian. Powiedział, co miał do powiedzenia, nie zbierał się jednak do wyjścia. Ågestam czekał, aż Grens znowu coś powie, ale nadal panowała cisza. Ten kulawy drań tylko tam siedział, jakby czegoś oczekiwał.

— Skończył pan? Mam tu jeszcze sporo roboty.

Ewert cmoknął. Denerwujący dźwięk.

— Rozumiem, że już pan skończył.

— Jest jeszcze jedna rzecz.

— Co takiego?

— Kupiłem sobie odtwarzacz płyt kompaktowych. Mam go u siebie w pokoju, stoi na półce obok magnetofonu. Będę teraz mógł posłuchać pańskiej płyty.

* * *

Został tam jeszcze przed dłuższy czas. Siedział na krześle sędziego, ale nic nie mówił, a Ågestam zajął się po chwili swoją pracą. Wyszukiwał najlepsze argumenty, aby wyjaśnić wystawionym na presję ławnikom, że mord z premedytacją należy ocenić właśnie tak, jak na to zasługuje, bez względu na okoliczności. Pisał, kreślił, znowu pisał. Grens od czasu do czasu cmokał, jakby tym denerwującym dźwiękiem chciał pokazać, że nadal tu jest. Siedział odchylony, wpatrzony w sufit i zdawało się, że drzemie.

O wpół do dziewiątej usłyszeli głosy dochodzące z zewnątrz, ludzi krzyczących coś za grubymi szybami.

Podeszli do okien i otworzyli jedno z nich. Do środka wpadło trochę świeżego, łagodnego powietrza. Wychylili się na zewnątrz, żeby popatrzeć na pustą przestrzeń cztery piętra niżej.

Ale nie na długo: zaczęli liczyć, każdy osobno, na dole stało już mniej więcej dwieście osób. Tłum poruszających się ludzi, jakby ruch elektronów, fala, puls, w czasie którego zebrani robili kilka

kroków do przodu, a policjanci ukryci za plastikowymi tarczami z równą siłą odpychali ich do tyłu. Krzyczeli, mieli ze sobą plakaty, demonstrowali głośno przeciwko procesowi, który miał się zacząć za pół godziny, szydzili z państwa, które woli oskarżać i karać człowieka dającego ludziom ochronę, jakiej potrzebowali, a jakiej to państwo nie mogło im zapewnić.

Spojrzeli na siebie. Ewert Grens pokręcił głową.

— Za cholerę rozumu w głowie. Czy im się wydaje, że coś osiągną, stojąc tam i wrzeszcząc? Czy im się wydaje, że policja wpuści tu tych gnojków, którzy nam grożą?

Poleciał pierwszy kamień. Upadł obok policjanta, który stał na samym skraju ukrytych za tarczami innych policjantów. Lars Ågestam drgnął, pomyślał o samochodzie i o domu, i o Marinie, która może już się obudziła. Stał tam samochód policyjny, to musi wystarczyć. Zauważył spoczywający na sobie wzrok Grensa, poczuł się w obowiązku wyjaśnić mu to na głos.

— Oni się tylko boją. Boją się przestępców seksualnych, i to tak bardzo, że aż nienawidzą. Aż tu nagle jeden z ojców odebrał życie jednemu z takich, nic więc dziwnego, że robią z niego bohatera. Zrobił przecież to, co sami chcieli, ale na co się nie odważyli.

Grens prychnął.

— Wie pan, nie cierpię bandziorów. Walczyłem z nimi przez całe swoje życie. Ale na świecie jest wielu różnych bandziorów. Z tego tutaj nie zrobiono bohatera. On jest bohaterem. Zrobił to, czego my nie potrafiliśmy zrobić. Dał tym ludziom poczucie bezpieczeństwa.

Dwunastu policjantom stojącym przed wejściem do ratusza wysłano posiłki. Przyjechały dwa mikrobusy, w każdym po sześciu funkcjonariuszy wyposażonych w tarcze; szybko ruszyli w stronę tłoczącego się tłumu.

Stanęli w miejscu, kiedy w pewnej chwili dwóch demonstrantów wyłamało się z szeregu i ruszyło prosto na nich. Dwunastu policjantów wypadło z samochodów i przyłączyło się do

pozostałych, tworząc jeszcze szerszy mur z ludzkich ciał.

Tłum powoli uspokajał się, krzyki osłabły, sytuacja przestała być groźna, wszyscy czekali, co będzie dalej.

Ågestam zamknął okno, dźwięki dochodzące z zewnątrz umilkły całkowicie. Korciło go, żeby popchnąć Grensa, bo miał wrażenie, jakby ten przez cały cholerny czas chciał go pouczać. Zamiast tego kontynuował wyszukiwanie argumentów, które już niedługo miał wytoczyć w tej sali.

— Nie rozumiem, co chce pan przez to powiedzieć? Jak to: bohater? Jak to: poczucie bezpieczeństwa?

— Sprawił, że czują się bezpieczniej.

— On jest mordercą. Jego czyn nie różni się od tego, co zrobił Lund. Pozbawił człowieka życia. To, co tym na dole wydaje się czynem bohaterskim, w normalnym procesie sądowym nie powinno być nawet uznane za okoliczność łagodzącą.

— Ale musi pan, do cholery, przyznać, że my nie potrafimy ich obronić. To on zdołał to zrobić.

Na dole, przed zamkniętymi drzwiami, kłębił się tłum ludzi. Takich, których można określić mianem „zwykłych ludzi”. Rozstrzygnęli, że ojciec dziewczynki postąpił słusznie.

Powinien być taki jak oni. I był taki. A zarazem nie był.

— Ale to nie daje Fredrikowi Steffanssonowi, czy też innemu pogrążonemu w żałobie ojcu, prawa do decydowania o czymś życiu i śmierci. Pan mnie nie zna, Grens. Nie wie pan, czy w głębi duszy uważam, że Steffansson postąpił słusznie, kiedy odstrzelił głowę temu zboczeńcowi seksualnemu. Nie ma pan o tym zielonego pojęcia. A ja nie pomogę panu w tym względzie. Każdy inny wyrok niż długoletnie więzienie byłby pomyłką. On musi zapłacić za to, co zrobił. Nie możemy dać społeczeństwu innego sygnału.

Ågestam odszedł od okna. Podeszedł do stosu papierów leżących na podłodze. Zebrał dokumenty i ułożył je we właściwej kolejności w dwóch segregatorach.

Ewert Grens został jeszcze przez chwilę, rzucił ostatnie spojrzenie

na tłum ludzi, który stopniowo zaczął się rozchodzić. Podeszedł do ławek ustawionych na samym końcu sali, a przeznaczonych dla publiczności, usiadł na tym samym krześle, na którym siedział przez te kilka dni.

Drzwi się otworzyły. Do sali wszedł strażnik, za nim długi rząd dziennikarzy i widzów, którzy czekali w kolejce na zewnątrz, a potem przeszli dokładną kontrolę osobistą.

Był to już piąty i zarazem ostatni dzień procesu przeciwko Fredrikowi Steffanssonowi.

Bengt Söderlund obudził się wcześniej rano. Jeszcze dwa tygodnie do końca urlopu. Chodziło o to, aby jak najlepiej wykorzystać pozostałe dni. Przez ostatni tydzień sypiał tylko po kilka godzin. Jednak jedynie wtedy, kiedy był w ruchu, kiedy coś robił, jedynie wtedy nie myślał o Elisabeth i o córce. Wyjechały, a on nawet nie wiedział dokąd. Przez pierwszą dobę wydzwaniał wszędzie jak opętany, do jej rodziców, przyjaciółek i dawnych koleżanek z pracy, ale nikt jej nie widział, a ponieważ nikt jej nie widział, on też nie wyjaśniał, po co dzwoni. Za cholerę nie chciał, żeby ktokolwiek robił sobie żarty jego kosztem.

Mieli się spotkać o wpół do dziesiątej. Zostało jeszcze kilka minut. Wyrzwał przez okno dużego pokoju. Już tam stali. Ove i Helena. Ola Gunnarsson i Klas Rilke. Strzelił palcami, a wtedy z kuchni nadbiegł Baxter. Wyszli z domu.

Szopa w ogrodzie była duża, stała naprzeciwko domu Görana Golasa. Chodziło o to, aby widział, jak do niej wchodzi, żeby się zaczął zastanawiać, co tam robią; niech zgaduje, niech się zesra ze strachu.

Przywitani się, wzięli się jak zwykle za ręce — mieli taki zwyczaj jeszcze z czasów dzieciństwa. Nie wiedział dlaczego, ale tak właśnie robiono w Tallbacka.

Bengt miał dwa kozły do rżnięcia drewna. Długa, szeroka deska na górze, po dwie kiwające się nogi na każdym rogu. Podniósł

jedną z nich, położył obok górnej deski, dzięki czemu długość szerokiej deski się podwoiła. Ove i Klas Rilke przynieśli plastikowe worki i puste butelki. Czterdzieści sztuk. Połowa to butelki po winie o pojemności siedmuset pięćdziesięciu mililitrów, druga połowa to butelki po wodzie mineralnej, trzysta trzydzieści mililitrów. Wszystkie ze szkła. Ułożyli je jedna obok drugiej na długiej desce do rżnięcia. Ola otworzył w tym samym czasie pokrywę wielkiego pojemnika na olej, który stał za kosiarką do trawy w jednym z kątów szopy. Pojemnik aż po brzegi wypełniony był benzyną. Zanurzył w nim kanister, a kiedy go napełniał, w środku zabulgotało. Gdy go wyciągnął, spływała z niego benzyna. Helena spojrzała na Olę, czekając, aż będzie gotowy, a potem podeszła do pierwszej butelki po winie i włożyła do niej plastikowy lejek. Ola nalał przez niego do środka benzyny i wypełnił butelkę do połowy. To samo zrobili z pozostałymi butelkami, używając do tego celu łącznie prawie dziesięć litrów benzyny. Tymczasem Bengt rozwinął brudne prześcieradło, które przyniósł z kosza na bieliznę, i rozciągnął je na stosie drewna. Potem przeciągnął swoim fińskim nożem i pociął prześcieradło na kawałki tej samej długości — czterdzieści sztuk po trzydzieści centymetrów. Następnie zwinął je w ruloniki i powsadzał do butelek, zostawiając niewielki fragment wystający z każdej z nich. Potem przenieśli wszystkie butelki do stojącej na ziemi skrzyni, ustawiając je ciasno obok siebie, żeby się nie kiwały. Do mniejszej skrzynki stojącej obok wrzucili dziesięć zapalniczek, na wypadek gdyby coś poszło źle.

Wszystko to nie zabrało im zbyt dużo czasu, do dwunastej zostało jeszcze kilka godzin.

Fredrik siedział w samym środku sali sądowej. Siedział z przymkniętymi oczami, chciał się rozejrzeć po sali, ale

Lars Ågestam (LA): Steffansson zamordował Bernta Lunda bez cienia litości. Nie widzę żadnych okoliczności łagodzących w odniesieniu do postępków oskarżonego Steffanssona i dlatego za popełnione przez niego morderstwo wnioskuję dla niego o karę dożywocia.

nie zdołał. To był piąty, ostatni dzień, chciał wrócić do celi i

Kristina Björnsson (KB): Fredrik Steffansson stał naprzeciwko przedszkola. Jego czyn należy uznać za obronę konieczną, ponieważ gdyby nie zastrzelił Bernta Lunda, ten morderca seksualny zabiłby dwie kolejne pięcioletnie dziewczynki, jak to już wcześniej wykazałam.

wysikać się do miednicy, tylko tyle.

Sala była pełna, wszyscy ci ludzie wokół niego sprawiali, że czuł się tak cholernie samotny.

Jak w tamte święta Bożego Narodzenia, kiedy opuściła go Agnes, kilka tygodni przed poznaniem Micaeli. Zapomniał wtedy o upływającym czasie, o mijających dniach i o wszystkim, czym się

zajmował, i nagle w samym środku świąt został sam, próbując je jakoś przeżyć, ale nie bardzo mu to wychodziło, więc o godzinie siedemnastej, kiedy na dworze panowały zupełne ciemności, wybrał się do jednego z otwartych barów w centrum Sztokholmu; nigdy nie zapomni ludzi, których tam spotkał, tej wspólnej samotności, którą starali się jakoś przeczekać. Z trudem przychodziło mu wyrzucić z siebie całe zgorzknienie, a sytuacja okazała się nie do wytrzymania, kiedy w telewizji rozpoczął się program wigilijny, przez co telewizor stojący w kącie baru stał się przez następne pół godziny główną atrakcją, bo ten program opowiadał właściwie o nich samych. Śmiali się, przez chwilę panowała nawet ciepła atmosfera, wieczór jakoś im przeleciał, jeszcze jeden pilsner, jeszcze jeden papieros, aż w końcu wszyscy poszli do domu, do swoich mieszkań cuchnących stęchlizną, które trzeba by właściwie posprzątać.

Rozejrzał się po sali. Oto siedzi tu, tak jak wtedy, wśród obcych osób, doświadczając systemu, którego nie rozumiał, który oszukał go co do przeszłości. Oskarżyciel,

LA: Według kodeksu karnego, rozdział trzeci, paragraf pierwszy, „ten, kto pozbawia życia inną osobę, skazany zostanie za morderstwo na karę dziesięciu lat więzienia albo na karę dożywocia”.

który domagał się kary więzienia, jego adwokat,

KB: Zgodnie z kodeksem karnym, rozdział dwudziesty czwarty, paragraf pierwszy, ustęp pierwszy, „czyn, który ktoś popełnia w obronie koniecznej, nie jest uznawany za przestępstwo jedynie wówczas, jeśli ze względu na formę napaści i na jej okoliczności nie można zastosować innych środków obrony”.

która twierdziła, że działał w obronie koniecznej, ławnicy, którzy

przez większą część czasu zdawali się w ogóle nie słuchać, dziennikarze siedzący za nim, ci, którzy coś zapisywali i rysowali, i tak jak on nie mogli sobie pozwolić na czytanie czegokolwiek; nie wiedział, kim są, jaką reprezentują rzeczywistość. Za nimi publiczność, ciekawscy, których nauczył się nienawidzić, wszyscy ci, którzy z zachwytem i radością klepali się po kolanach, że z tak bliska i bez przeszkód mogą oglądać ojca, „któremu zamordowano córkę i który się za to zemścił”;

LA: Fredrik Steffansson planował zabójstwo Bernta Lunda przez cztery dni. Miał więc wystarczająco dużo czasu, żeby się opamiętać. Zamordował, żeby, używając jego własnych słów, „pozbyć się tego wściekłego psa ze społeczeństwa”.

starał się nie oglądać w ich stronę, bo wtedy dosłownie pożerali jego twarz i czytali w myślach. Jednak kilka razy odwrócił się, żeby popatrzeć na Micaelę, chciał coś powiedzieć, pokazać,

KB: Obrona konieczna zachodzi wtedy, kiedy zagrożone jest życie, zdrowie, własność albo coś innego, co zgodnie z prawem powinno być chronione. Uważamy, że zachodziło uzasadnione zagrożenie życia tych dwóch dziewczynek i że czyn Fredrika Steffanssona uratował te dwa młode życia.

ale bał się spojrzeń, które się na niego kierowały, i nosów, które węszyły, i dlatego nie przestawał być kimś. Siedział przez wszystkie te godziny zwrócony do przodu, z przymkniętymi oczami, nie chcąc tego wszystkiego słuchać, widział tylko Marie zapakowaną do worka na noszach w sali wydziału medycyny sądowej, widział jej śliczną buzię i jej pozszywaną klatkę piersiową, jej podbrzusze pocięte metalowym przedmiotem i zupełnie czyste stopy ze śladami śliny, słyszał oskarżyciela, który występował przeciwko niemu, i panią mecenas, która go broniła, odpowiadał na ich pytania, ale

przeżywał to tak, jakby się to w ogóle nie zdarzyło, jakby dziewczynka w worku leżąca na noszach była jedyną istotą, która go tak naprawdę obchodzi.

Lato zbliżało się powoli do końca. Upał, który panował przez tyle tygodni, zelżał, nadeszło chłodniejsze powietrze i zrobiła się taka pogoda, jakby nigdy wcześniej nie było gorąco; żar, który przedtem dominował, teraz należał już do przeszłości. A kiedy na dodatek zaczęło padać, a deszcz padał bez przerwy, niektórzy zaczęli żałować tego, co jeszcze niedawno tak im przeszkadzało; marzli, wilgoć chłodziła ich opaloną skórę, szorty i T-shirty zostały zastąpione przez długie spodnie i kurtki, a gazety wieczorne któregoś dnia zmieniły nagłówki na pierwszych stronach. W miejsce procesu ojca, który zastrzelił pedofila, pojawiły się artykuły o pewnym starszym Niemcu, który wróżył pogodę z rybich wnętrzności, przewidując deszczową jesień i długą, mroźną zimę.

Charlotte van Balvas oddychała lekko. Czekwała na ten deszcz, na chłody, żeby móc wreszcie przejść się spokojnie ulicami Sztokholmu i zmoczyć sobie włosy, żeby nie musiała się już przy każdym kroku pocić ani mrużyć oczu przed promieniami słońca. Już niedługo brak opalenizny nie będzie powodem do krytyki; jej jasna skóra robiła się jaskrawoczerwona, kiedy wystawiała ją na słońce, dlatego każdego dnia pozostawała w sali sądowej dłużej, niż trzeba, a potem chowała się w restauracjach albo w bibliotece, czekając, aż będzie mogła znowu wyjść na ulicę jak wszyscy inni, którzy wyglądali na szczęśliwych.

Miała czterdzieści sześć lat i bała się.

Słyszała, co przytrafiło się prokuratorowi Ågestamowi, jak mu grożono, jak zniszczono mu dom, ponieważ reprezentował państwo i robił to, co do niego należało: domagał się kary dożywocia za morderstwo popełnione z premedytacją. Była sędzią, wspieraną przez kilku ławników — ławników, których wyznaczono po zakończeniu przez nich wiernej służby politycznej; to z nimi miała się spotkać za chwilę w sali posiedzeń położonej obok sali sądowej i to ich miała przekonywać, że oskarżony mężczyzna, o którego winie mieli orzekać, jest winny popełnionej zbrodni i dlatego powinien zostać skazany na długoletnie więzienie.

Nie miała innego wyjścia.

Reprezentowała społeczeństwo, a w społeczeństwie nie ma miejsca na akty linczu, dokonywane według własnego pojęcia sprawiedliwości.

Przeszła przez plac Kungsholms Torg, zbliżała się do ratusza. Przyglądała się mijanym ludziom, którzy szli skuleni pod parasolami. Zastanawiała się, co sobie myślą. Czy oddaliby strzał, gdyby wybór należał do nich? Czy uważali, że jeden człowiek może mieć prawo do życia, a inny nie? Zastanawiała się, czy ją rozpoznają, przecież prawie we wszystkich gazetach umieszczono zdjęcia jej i ławników.

„To oni wydadzą wyrok w procesie o zabójstwo pedofila”.

„To oni rozstrzygną, czy zabójca miał prawo zabić”.

„To oni przywrócą karę śmierci w Szwecji”.

Kupowała gazety, oglądała nagłówki, ale nigdy nie czytała nic więcej.

Widziała przed sobą postać zabójcy. Studiowała przez pięć dni jego twarz — delikatną, pełną bólu; starał się unikać spojrzeń rzucanych przez te hieny siedzące w ławkach dla publiczności, więc przez cały czas jego wzrok skierowany był przed siebie. Zaczęła rozmyślać o tym, co widziała. Wieczorami czytała nawet jedną z jego książek. Zrozumiała, że rzeczywiście tak było, że Steffansson przeszkodził Lundowi w skrzywdzeniu kolejnych dwóch

dziewczynek. Zrozumiała też, że zastrzelił go tylko z tego powodu. Mój Boże, myślała, mogłaby pogłaskać jego zmęczoną twarz, mogłaby się rozebrać przed nim do naga, nie przerażał jej, nie był żadny zemsty, wierzyła mu, kiedy powiedział, że zastrzelił mordercę córki, aby inni rodzice nie musieli przeżywać tego samego co on.

Jeden z ławników zapytał ją, jak by postąpiła, gdyby Steffansson uratował jej własne dziecko. Gdyby to ona mieszkała w pobliżu tamtego przedszkola w Enköping.

Ale ona nie miała dzieci.

Nie była jednak na tyle głupia, żeby twierdzić, że zachowałaby się wtedy inaczej.

Nie wiedziała. Wymigała się od odpowiedzi na to pytanie.

Ratusz. Już go widzi, jest blisko.

Deszcz stał się jeszcze bardziej intensywny. Wielkie krople tworzyły duże kałuże. Zaczęła się burza z piorunami.

Stała spokojnie, w przemokniętym ubraniu.

Kiedy woda spływała jej po policzkach i po szyi, uspokoiła się, deszcz dodawał jej otuchy, będzie mogła teraz bez problemu zagłębić się w rozważania, za pomocą których postara się wkrótce przekonać pozostałych członków składu sędziowskiego, aby jednogłośnie skazali pogrążonego w żałobie ojca na dożywocie.

Na dworze padał deszcz. Fredrik stał przy kracie okiennej, szukając źródła irytującego go dźwięku. Dźwięk pochodził z obłamanego, luźno wiszącego kawałka blachy okiennej. Widział go, metal w kolorze miedzi, i widział, jak spadają na niego krople deszczu, wywołując ten właśnie dźwięk, który denerwował go za każdym razem, kiedy się rozlegał. Położył się na łóżku; zabrudzony sufit, gołe ściany, zamknięte na klucz drzwi z zasuniętym wizjerem. Przymknął oczy, starał się odpłynąć, ale w ciągu ostatnich dni sypiał tak dużo, że nie mógł zagłębić się we śnie, nie potrafił przespać tylu godzin.

Siedział w areszcie już od trzech tygodni.

Strażnicy śmiali się z niego, kiedy się skarżył, i wyjaśniali mu, że Szwecja należy do tych krajów, w których czas spędzony w areszcie śledczym jest najkrótszy, a poza tym jego sprawa została już rozpatrzona.

A byli przecież tacy, którzy siedzieli w areszcie długie miesiące, nawet rok, zanim dochodziło do rozprawy i do wydania wyroku.

Ma więc szczęście, dodawali strażnicy, że zastrzelili tego pedofila i media zajęły się jego sprawą, drażąc ją, domagając się wyjaśnień i zmuszając do przyspieszonego procesu. Mówili też, że nie ma zielonego pojęcia o oczekiwaniu w sytuacjach, kiedy nie ma określonej daty końcowej, co czasami zmuszało ludzi do popełnienia nocą samobójstwa.

Ktoś przyszedł.

Szybko policzył sobie w myślach, że do obiadu została jeszcze godzina. Spojrzał na drzwi. Ktoś za nimi stał. Oczy w wizjerze.

— Fredrik?

— Słucham.

— Ktoś z wizytą do pana.

Podniósł się na łóżku, poprawił palcami grzywkę, po raz pierwszy od kilku dni pomyślał o tym, jak wyglądają jego włosy. Drzwi się otworzyły.

Pastor i adwokat. Rebecka i Kristina Björnsson. Przeszły przez próg równocześnie. Wyglądały na promieniejące radością.

— Cześć.

Nie potrafił odpowiedzieć.

— Na dworze pada deszcz.

Siedział w milczeniu. Przyszły do niego osoby, które lubi, powinien się z nimi przywitać, ale nie miał już na to sił, nie miał ochoty na pogawędkę. Obie chciały dobrze, ale to jego pokój, nawet jarzeniówka, która czyniła go brzydszym, jest jego, w całym pokoju nie było więcej życia — teraz.

— Czego chcecie?

— Jest ładny dzień.

— Jestem zmęczony. To cholerne stukanie. — Pokazał ręką na okno. — Słyszycie?

Przysłuchiwały się przez moment, skinęły głową potwierdzająco. Rebecka dłubała coś przez chwilę przy swoim kołnierzu, a potem wyciągnęła rękę i położyła mu ją na ramieniu.

— Posłuchaj, mam ci coś do powiedzenia. Kristina ma dobre wiadomości.

Odwróciła się w stronę Kristiny, która przysiadła obok niego na łóżku. Miała takie krągłe ciało i spokojny głos.

— Sprawa wygląda tak: jesteś wolnym człowiekiem.

Nie słyszał. Nic nie powiedział.

— Nie rozumiesz? Wolnym! Przed chwilą zostałeś uniewinniony.

Skład sędziowski niejednogłośnie stwierdził, że działałeś w obronie koniecznej.

Nie mógł słuchać tego, co ona mówi.

— Możesz opuścić celę i zdjąć z siebie te szmaty, które masz na sobie. A wieczorem zamkniesz drzwi na klucz tylko wtedy, jeśli będziesz chciał.

Podniósł się znowu z łóżka, podszedł do okna, popatrzył na kawałek blachy, który trząsał bardziej niż przedtem. Deszcz rozpadał się na dobre. Zanosilo się na burzę.

— No, nie wiem.

— Co takiego?

— Nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie.

— Czy co ma jakieś znaczenie?

— W zasadzie mógłbym zostać także tutaj.

Nie wiadomo dlaczego przyszła mu nagle na myśl służba wojskowa. Tak strasznie jej nienawidził, tak bardzo liczył każdą upływającą minutę, i tak nagle któregoś dnia dobiegła końca, a on po prostu wyszedł przez otwartą bramę; a jednak w tej samej chwili skończyła się cała radość, tęsknota i oczekiwanie, które utrzymywały go przy życiu, a potem straciły rację bytu. Jak wtedy, tak i teraz.

— Chyba tego nie zrozumiecie. Moje życie już się skończyło.

Rebecka i Kristina spojrzały na siebie.

— Nie, chyba jednak nie rozumiemy.

Nie chciał im tego wyjaśniać. Ale szanował je na tyle, żeby przynajmniej spróbować.

— Mnie już nie ma. Nie mam nic. Miałem dziecko, ale już go nie ma. Ktoś, kto to zrobił, pociął jej podbrzusze na kawałki. Miałem swoje poglądy dotyczące człowieczeństwa, ale już nie mam. Uważałem, że życie jest nienaruszalne... a jednak zastrzeliłem człowieka. Nie wiem, już sam nie wiem, do cholery. No bo jeśli stracisz życie, to co ci więcej pozostaje?

Siedziały na jego łóżku i czekały, aż się przebierze, aż zmieni swój świat.

Nie był już jednym z aresztantów.

Skinął głową w stronę przyglądającego mu się strażnika, a idąc korytarzem, przystanął na chwilę, kupił kubek kawy z automatu, przeszedł przez bramę wejściową obok dwudziestu oczekujących tam dziennikarzy. Tak jak w sali sądowej, chcieli zobaczyć jego twarz, ale nic nie powiedział, nie wykonał żadnego gestu; objął tylko Rebeckę i Kristinę i wsiadł do czekającej na niego taksówki.

Bengt Söderlund pędził przez Tallbacka tak szybko, jak tylko mógł. Wybiegł z domu z bolącym biodrem, pędził tak samo jak wtedy, kiedy był dzieckiem i brał udział w mistrzostwach szkoły w biegu na przełaj, w którym zwyciężył, i to nie dlatego, że był najsilniejszy czy najlepiej wytrenowany, tylko dlatego, że postanowił wygrać. Teraz znowu pędził, i to tak szybko, jakby nie mógł nadążyć, jakby chciał wykorzystać i zaoszczędzić każdą sekundę. Widział już dom Ovego i Heleny; byli w domu, bo samochód stał na podjeździe do garażu, a w kuchni świeciła się lampa. Wbiegł po schodach i nie dzwoniąc do drzwi, wpadł do przedpokoju, machając kawałkiem papieru, który trzymał w ręce, a następnie krzyknął w stronę dużego pokoju!

— Wiedziałem, kurwa, wiedziałem!

Helena siedziała w swoim fotelu zupełnie naga. Czytała książkę i patrzyła ze strachem na człowieka, który wykrzykiwał coś do niej z przedpokoju. Bengt nigdy wcześniej nie widział jej nago, bo gdyby kiedyś jej się bliżej przyjrzał, to dostrzegłby, że jest piękną kobietą; teraz jednak nie zauważał jej, to znaczy widział ją i jednocześnie nie widział, nie mógł się zatrzymać, ustać w miejscu, wszedł do dużego pokoju, nie zdejmując butów, i chodził wokół Heleny, wymachując papierem, a jednocześnie wyglądał przez okno, żeby sprawdzić, czy Ove jest w ogrodzie i czy w ogóle jest w domu.

— Gdzie on jest?

- O co chodzi?
- Gdzie on jest?
- W piwnicy. Bierze prysznic.
- Pójdę po niego.
- Niedługo sam przyjdzie.
- Nie, pójdę po niego.

Otworzył drzwi do piwnicy i nieporadnie, z hałasem zszedł po stromych schodkach na dół. Wiedział, gdzie jest prysznic, wiele razy z niego korzystał, kiedy kilka lat temu przebudowywali swoją łazienkę, bo Elisabeth chciała ją powiększyć; zniszczył wtedy garderobę, a ona dostała za to kafelkową podłogę. Otworzył następne drzwi, podszedł do zasłony z wielkimi ptakami i rozchylił ją. Ove potknął się i skulił, w końcu zobaczył, kto przyszedł.

— Popatrz, popatrz tutaj! Wiedziałem, kurwa, że tak będzie!

Ove zakręcił kurek prysznica, wytarł się byle jak i poszedł schodkami na górę z ręcznikiem owiniętym wokół bioder; szedł zaraz za Bengtem, który wymachiwał w powietrzu papierem. Kilka szybkich kroków przez przedpokój i oto znowu są w dużym pokoju. Helena nadal tam siedziała w milczeniu, ale zarzuciła na siebie szlafrok.

— Rozumiecie to? Rozumiecie?

Położył papier na stole, rozwinął go. Ove i Helena przysunęli się bliżej, skierowali wzrok na jego ręce, żeby lepiej widzieć.

— Wydrukowałem to z internetu, pojawiło się to tam dopiero przed dwudziestoma minutami, a właściwie przed dziewiętnastoma. Popatrzcie, godzina jedenasta.

Ove i Helena zaczęli czytać. Dwie strony, długi tekst. Bengt czekał niecierpliwie, podniósł się i chodził po pokoju tam i z powrotem.

— Kapujecie? Rozumiecie to? Uniewinnili go! Obrona konieczna! Zastrzelił pedofila i uratował życie dwóm małym dziewczynkom, a sąd rejonowy stwierdził, że chodziło o obronę konieczną! Facet wrócił do domu! Siedzi sobie teraz w fotelu i

popija. Cztery do jednego, tylko sędzina zgłosiła zastrzeżenia, a pozostali nawet się nie wahali!

Ove przeczytał jeszcze raz, Helena usiadła znowu w swoim fotelu, podniosła ręce. Bengt pochylił się, objął ją, a potem trzepnął Ovego w plecy.

— Nadszedł już czas, wynocha z nim! To nasze cholerne prawo! Ma się wynosić, to będzie obrona konieczna, kurwa, obrona konieczna!

. . .

Czekali, aż zrobi się ciemno. Siedzieli u Bengta w domu od popołudnia, nie rozmawiali zbyt wiele, ot, po prostu spędzali razem czas. Wiedzieli już, co zrobić. Jeszcze jedna filiżanka kawy, bułeczka do moczenia, potem było już wpół do jedenastej, okolica tonęła w ciemnościach, nie było aż tak strasznie ciemno, ale wystarczająco, żeby człowiek stał się anonimowy.

Zaczaili się w ogrodzie. Bengt, Ove, Helena, Ola, Klas. Odczekali, aż oczy przyzwyczają się do ciemności. Na dworze panowała cisza. W Tallbacka zawsze było cicho nocą. W wielu oknach pogasło już światło, bo tutaj dzień zaczynał się i kończył szybko. Bengt poprosił pozostałych, żeby poczekali na niego, wrócił do domu, poszedł do kuchni, dał znak psu i zaraz poczuł jego wilgotny język na dłoni, poklepał go lekko i wyszedł do pozostałych.

Później wszystko szło jak z płatka: poszli do szopy w ogrodzie, otworzyli kłódkę, podnieśli pokrywy obu skrzyń, najpierw tej z dwudziestoma ciasno stojącymi butelkami po winie i dwudziestoma butelkami po wodzie mineralnej; wszystkie wypełnione do połowy benzyną, szybki butelek zatkałe kawałkiem materiału. Potem Bengt zabrał się do mniejszej skrzyni, która stała obok, było w niej dziesięć zapalniczek. Pomógł Oveму i Klasowi trzymać równo skrzynię z butelkami, Ola zajął się skrzynką z zapalniczkami, zatrzymał dla siebie dwie i po tyle samo dał pozostałym.

Jeszcze tylko kilka metrów. Dom obok, cały oświetlony. Stali

ukryci, jeszcze tylko kilka minut, widzieli go, jak chodzi po domu, z kuchni do salonu, z salonu do toalety. Kiedy w toalecie zapaliło się światło, Bengt dał znak Baxterowi, żeby nie ruszał się z miejsca, zrobił kilka kroków i zaczął się wspinać po stojącym przed nim słupie. Był na tyle sprawny, że szybko się z tym uwinął, dotarł do szczytu i uchwycił się słupa, z bocznej kieszeni spodni wyciągnął kombinerki i ścisnął nimi kabel telefoniczny, przerywając łączność. Światło w łazience nadal się paliło, właściciel domu wciąż stał przy umywalce. Bengt ześlizgnął się na ziemię, podszedł do następnego słupa i za pomocą klucza otworzył skrzynkę wiszącą na wysokości około metra. Taką samą miał u siebie w domu, wiedział więc, gdzie znajduje się wyłącznik światła.

W domu zapanowała zupełna ciemność.

Czekali.

Upłynęło więcej czasu, niż zakładali. Najpierw kilka zapalonych świeczek, które tamten ustawił w każdym pokoju. Potem latarka. Jej światło przesuwano się po ścianach domu.

Jeszcze tylko kilka sekund.

Latarka zbliżyła się do przedpokoju, do drzwi wyjściowych.

Bengt trzymał Baxtera za obrożę. Pies wiedział, że nadszedł jego czas, że ma zaatakować, że jego pan wkrótce wyda mu komendę.

— Baxter! Bierz go!

Latarka przy drzwiach. Otwierają się.

Bengt puścił Baxtera w tej samej chwili, kiedy Göran Golas wychodził na schody. Pies przebiegł przez trawnik, rozległ się głośny skowyt, a Göran zbyt późno zrozumiał, co się dzieje. Odwrócił się i dopadł do drzwi w chwili, kiedy pies dobiegał do schodów; potem zatrzasnął je za sobą w momencie, kiedy pies szykował się do skoku.

— Baxter, leżeć!

Pies przestał skowytać, rozłożył się przed drzwiami w gotowości.

Bengt starał się śledzić przez szyby okienne cień człowieka biegnącego po domu, mignął mu kilka razy przed oczami, więc był

najzupełniej pewien, że Göran Golas jest teraz w kuchni. Krzyknął, odwrócony w tamtą stronę:

— Boisz się, Göran? Teraz, kiedy jest ciemno i zimno? Pomożemy ci, będziesz znowu miał światło i ciepło.

Bengt dał znak Ovemu, Oli i Klasowi, którzy szybko podbiegli do szopy, weszli do środka i stanęli przed beczką z benzyną. Była ciężka, ale podnieśli ją wspólnymi siłami, wynieśli na trawnik, przewrócili na ziemię i przetoczyli aż pod dom Golasa. Ove wyciągnął zatyczkę śrubokrętem i wtedy przechylił beczkę w taki sposób, aby benzyna mogła z niej wyciekać. Obnieśli beczkę wokół domu, aż opróżnili ją do dna; benzynę rozlali nawet na grządki i na alejki ogrodowe.

W tym samym czasie Helena przyniosła butelki i ustawiła je w pięciu równych rzędach. Każdy z nich wziął po jednej, trzymając w drugiej ręce zapalniczkę. Zapalili zwitki materiału wciśnięte w szyjki butelek, a potem na sygnał Bengta rzucili je po kolei — pięć butelek poleciało w ciemność.

Trafiły w różne części domu, ale wybuch był za każdym razem taki sam.

Rzucili po raz drugi, jednocześnie w pięć nowych punktów. Po jednej za każdym razem, po osiem butelek na osobę. Dom stał już w płomieniach, ogień pochłaniał go ze wszystkich stron jednocześnie.

Z tej samej kieszeni, z której przedtem wyjął kombinerki, Bengt wyciągnął teraz papier. Podczas kiedy dom płonął, zaczął czytać na głos. Odczytywał wyrok sądowy ogłoszony w sprawie Fredrika Steffanssona. Czytał o ojcu, który zastrzelił mordercę córki, który przeszkodził pedofilowi w skrzywdzeniu kolejnych dziewczynek, którego uniewinniono, ponieważ jego czyn popełniony dla dobra społeczeństwa uznano za obronę konieczną.

Kiedy skończył, otworzyło się kuchenne okno.

Göran Golas krzyknął i wyskoczył na zewnątrz.

Upadł ciężko na ziemię, nie poruszał się. Bengt zdążył jeszcze

pomyśleć, że Elisabeth chyba by to zrozumiała, gdyby to widziała; pomyślał, że powinna tu teraz stać obok niego.

Zobaczył, że Göran Golas poruszył się, więc wydał komendę Baxterowi, który nadal warował na swoim miejscu i pilnował drzwi wyjściowych. Pies zbiegł po schodach, pędząc w stronę człowieka, który podnosił się z ziemi; rzucił się na niego i zaczął szarpać zębami jego ramię, którym tamten starał się przed nim bronić.

IV

(LATO)

Tallbacka płonęła tego samego dnia, kiedy ogłoszono wyrok. Napad na czterdziestoletniego mężczyznę, który dwadzieścia lat wcześniej rozebrał się do naga na szkolnym podwórzu, za co skazano go na grzywnę, był jednocześnie jednym z dziewięciu aktów przemocy na terenie Szwecji, do których w ciągu tamtego tygodnia doszło na skutek oskarżeń o pedofilię, a których dopuszczono się pod pozorem obrony koniecznej. Trzy spośród osób, które zostały zaatakowane i ciężko pobite przez linczujący je tłum, zmarły.

Prowadzący przesłuchanie (PP): Rozpaczynam przesłuchanie.

Bengt Söderlund (BS): Proszę bardzo.

PP: Przesłuchanie dotyczy wydarzeń, które rozegrały się po tym, jak obrzuciliście dom butelkami z benzyną.

BS: Rozumiem.

PP: Nie podoba mi się pański stosunek do tej sprawy.

BS: Nie rozumiem.

PP: Pański sarkazm.

BS: Jeśli nie potrzebuje pan moich odpowiedzi na swoje pytania, to chętnie sobie pójdę.

PP: Będziemy tu tkwić tak długo, jak nam się będzie podobać. Jeśli będzie pan odpowiadał na moje pytania, to nie zabierze nam to zbyt wiele czasu.

BS: Pan to powiedział.

PP: Co się stało, kiedy rzuciliście ostatnią butelkę?

BS: Zaczęło się palić.

PP: Co pan wtedy zrobił?

BS: Czytałem.

PP: Co pan czytał?

BS: Wyrok.

PP: Niech się pan, do cholery, wyraża jaśniej!

BS: Odczytałem wyrok.

PP: Jaki wyrok?

BS: Wyrok w sprawie ojca dziewczynki ze Strängnäs. Tego, który zastrzelił pedofila, mordercę jego córki. To był tamten wyrok.

PP: Dlaczego?

BS: Społeczeństwo orzekło, że dobrze zrobił, strzelając. Kapuje pan? Trzeba się pozbyć tych bydlaków.

PP: Co zrobił pan potem? Kiedy już odczytał ten wyrok?

BS: Zobaczyłem, jak Göran Golas skacze.

PP: Skąd?

BS: Z okna. Z okna kuchni.

PP: Co pan wtedy zrobił?

BS: Poszczułem go Baxterem.

PP: Poszczuł go pan Baxterem?

BS: Tak.

PP: A dlaczego?

BS: Bo chciał uciekać. Zaczął się podnosić.

PP: I wtedy poszczuł go pan psem?

BS: Tak.

PP: Co zrobił pies?

BS: Ugryzł tego bydlaka.

PP: Jak to: ugryzł?

BS: No, gryzł: w ręce, uda, parę razy kłapnął go mocniej w twarz.

PP: W szyję też?

BS: Tak, tam też.

PP: Jak długo go gryzł?

BS: Aż go odwołałem.

PP: Jak długo?

BS: Dwie, trzy minuty.

PP: Dwie, trzy minuty?

BS: Powiedzmy, że trzy. Tyle wystarczyło.

PP: A potem?

BS: Poszliśmy sobie.

PP: Poszliście sobie?

BS: Tak.

PP: A dokąd?

BS: Do domu. Zadzwoniliśmy po straż pożarną, bo nieźle się paliło, a nie chciałem, żeby ogień się gdzieś przeniósł. Mieszkam przecież tuż obok.

Oprócz Görana Golasa z Tallbacka, który zmarł na skutek pogryzienia przez psa, na północy Szwecji, w Umeå, czterech nastolatków pobiło na śmierć żelaznymi rurkami mężczyznę, który miał na koncie dwa wyroki za przestępstwa na tle seksualnym, kiedy przechodził obok placu zabaw położonego na przedmieściu.

Prowadzący przesłuchanie (PP): Będę znowu nagrywał.

Ilrian Raistrovic (IR): Spoko.

PP: Czujesz się już lepiej?

IR: Tak, ta przerwa była mi zająebicie potrzebna.

PP: No to idziemy dalej.

IR: Jasne, kurna.

PP: To ty zadałeś większość ciosów?

IR: Tego to nie wiem.

PP: Tak mówili inni przesłuchiwani.

IR: No to chyba tak było.

PP: Dlaczego biłeś?

IR: No bo to był przecież pedzio.

PP: Pedzio?

IR: Ten typ obłąpywał dwie małe dziewczyny za piersi. Dzieci jego kumpla. Kapujesz, człowieku?

PP: Jak uderzałeś?

IR: Zwyczajnie, w niego.

PP: Ile było uderzeń?

IR: Nie wiem.

PP: W przybliżeniu...

IR: Gdzieś tak dwadzieścia. Może trzydzieści.

PP: Aż umarł.

IR: Chyba tak.

Dwa dni później w Sztokholmie doszło do najokrutniejszego aktu samosądu, kiedy to pewien pijak został w samym środku dnia otoczony przez grupę młodych krzyczących mężczyzn uzbrojonych w kije bejsbolowe.

Prowadzący przesłuchanie (PP): Gdzie siedziałeś?

Roger Karlsson (RK): Na drugiej ławce.

PP: Co tam robiłeś?

RK: Gapiałem się na niego. Wiem, kim on jest. Ciągłe robił to samo.

PP: To znaczy co?

RK: No, dziewczynkom. Małym.

PP: A co takiego robił?

RK: Krzyczał w ich stronę. Były ich trzy. Krzyczał, że są kurwami.

PP: Używał słowa „kurwy”?

RK: A jak go miały, to chciał je złapać za tyłki.

PP: I co, udało mu się?

RK: Nie, jest tak cholernie powolny. Ale próbował.

PP: Co wtedy zrobiłeś?

RK: Dziewczyny uciekły, bo je przstraszył. Zawsze je straszy.

PP: Ale co ty wtedy zrobiłeś?
RK: Walnąłem go.
PP: Jak?
RK: Kijem w brzuch. A potem w głowę.
PP: Czy tylko ty biłeś?
RK: Inni też podeszli.
PP: Inni?
RK: Było nas tam więcej. Tych, co czekali.
PP: Czy wszyscy byli uzbrojeni?
RK: Wszyscy mieli kije.
PP: Kiedy go uderzyłeś?
RK: Coś tam pokrzykiwał. „Co się, kurwa, dzieje”, chyba.
PP: I co wtedy zrobiłeś?
RK: Ja też zacząłem krzyczeć, że jest bydlakiem.
PP: A potem?
RK: Potem spuściliśmy mu wpierdol. Wszyscy razem. Nie trwało to długo.
PP: Kiedy ten człowiek zmarł?
RK: Miałem też młotek i użyłem go.
PP: Kiedy go użyłeś?
RK: Potem. Żeby się upewnić.
PP: Żeby być pewnym, że on już nie żyje?
RK: Tak. Wściekłe psy trzeba zabijać. Jest już przecież praktyka sądowa na takie przypadki.

Z trudnością udało się go potem zidentyfikować, dwóch policjantów z posterunku dzielnicowego odgadło po ubraniu, że nazywa się Gurra B., że to znana w okolicy postać; zawsze pijany wysiadywał na ławce w parku Vasaparken już od trzydziestu lat i wykrzykiwał nieprzyzwoite słowa w kierunku wszystkich osób, które tamtędy przechodziły.

Rozebrali się do naga, jak tylko zamknęli za sobą drzwi. Potem długo się kochali, tulili się do siebie, aż z powodu ciepła ich ciała zrobiły się śliskie i lepkie, leżeli tak objęci przez całą dobę. Wyglądało to tak, jakby ktoś chciał niespodziewanie wślizgnąć się między nich i zabrać im ich bliskość, jakby leżenie tak blisko dawało im coś więcej niż tylko poczucie bezpieczeństwa, jakby rościli sobie prawo do przeżycia. Fredrik nigdy przedtem nie kochał się w taki sposób z żadną kobietą, żadnej nie potrzebował tak bardzo, nie potrzebował tak bardzo innego człowieka. Wdychał zapach jej ciała, pieścił ją, wchodził w nią, ale to wszystko mu nie wystarczało, nie było mu jej dosyć, chciał wejść w nią jeszcze głębiej, kilka razy nawet ją ugryzł — w pośladki, uda, ramiona; roześmiała się, ale on nadal był poważny, chciał mieć ją przy sobie.

Nie wychodził z domu przez cały tydzień. Przed domem czekali dziennikarze ze swoimi pytaniami, kamerami i uśmiechami na twarzy; Fredrik chciał przeczekać, aż sobie pójda. Micaela dwa razy wychodziła z domu, żeby zrobić zakupy, a wtedy nie odstępowali jej na krok. Towarzyszyli jej od płotu, a potem wzdłuż Storgatan aż do sklepu ICA Bengtsson, szli za nią w sklepie, pytając, jak on się czuje; Micaela zachowywała milczenie, tak jak uzgodniła z Fredrikiem, a kiedy po powrocie zamykała drzwi wejściowe do domu, ktoś jeszcze zawołał na nią głośno.

Fredrik unikał pokoju Marie. Ona ciągle tu była, choć nie było jej tam fizycznie, nie tak dosłownie. Pokój, który zamierzał zachować na zawsze, pochłaniał go całkowicie, a on nie miał na to zupełnie ochoty. Wiedział, że wcześniej czy później to uczucie się ulotni. Jeśli życie miało się nadal gdzieś toczyć, to na pewno nie tu, pośród śladów tego, co było czymś innym.

Był wolnym człowiekiem, ale nadal pozostawał w zamknięciu. Nie czytał gazet, brakło mu na to sił, nie oglądał telewizji, gdzie powtarzano, że została zamordowana dziewczynka, a jej ojciec zastrzelił zabójcę; miał tego dosyć, nie potrafił zrozumieć, że kilka tygodni później nadal istniała potrzeba publikowania takich materiałów, że nadal utrzymywało się zainteresowanie. Kiedyś miał swoje życie, teraz już nie, odebrali mu je i uczynili ogólnie dostępnym.

Również drugiego dnia mocno obejmował Micaelę. Kochali się raz za razem, wkładając w to całą energię, smutek, żal, poczucie winy i strach, a ostatnich kilka stosunków odbyli w sposób mechaniczny, dotykając miejsc, o których wiedzieli, że ich dotknięcie doprowadzi do szybkiego orgazmu. Nie potrafili patrzeć na siebie, poznawać się, dochodziło między nimi do napięć, aż w końcu oboje zaczęli płakać ze spuszczoneymi głowami, przyglądając się, jak on powoli wsuwa swój członek do jej pochwy. Nie mieli już siły i nie mogli zrobić tego kolejny raz, wiedzieli jednak, że ciągle istnieje ten duszący strach, który da o sobie znać zaraz po tym, jak sobie ulżą.

Pił już trzeci dzień. Kiedyś tak właśnie zaplanował sobie swoją śmierć, gdy jego czas dobiegnie końca, gdy ciało osłabnie tak bardzo, że zrozumie, iż to już koniec. Był przekonany, że taka śmierć będzie łatwiejsza. Sprawdzał to teraz, i rzeczywiście, alkohol obezwładniał, na chwilę oddalał od niego tę codzienność, ale strach pozostał i dawał o sobie znać.

Większą część czasu spędzał w łóżku. Przez trzy dni nie zasnął, przez cały czas trzymał ją mocno w objęciach, ale nie mógł się już

z nią kochać. Chciał otworzyć kolejną butelkę, ale nie dał rady wypić więcej, nie mógł nawet nic jeść. Micaela kilka razy proponowała, żeby poszli do lekarza, zaoferowano mu już wcześniej pomoc w tej tak trudnej dla niego sytuacji, ale wtedy odmówił; teraz odmówił po raz kolejny.

To właśnie dlatego nie zareagował w jakiś szczególny sposób, kiedy tamtego wieczoru zadzwoniła do niego Kristina Björnsson. Było wpół do jedenastej, on i Micaela spojrzeli na siebie, sądząc, że to jakiś dziennikarz, ale w końcu podnieśli słuchawkę.

Kiedy Micaela zrozumiała, o co chodzi, zaczęła histerycznie protestować już w czasie rozmowy; można było się domyślić, że Kristina starała się ją pocieszać w jakiś prawniczy, oficjalny sposób, ale przecież nijak nie mogła doświadczyć tego, co oboje czuli.

Wiadomość o tym, że prokurator zaskarżył wyrok sądu rejonowego i dlatego też postanowił następnego dnia wystąpić o ponowne aresztowanie Fredrika, brzmiała prawie jak wybawienie.

Znowu odbiorą mu jego codzienne życie.

Sprawia, że godziny staną się procesem, który będzie się rozwijał poza nim, przez co nie będzie prawdziwy, a mimo to zmusi go do uczestniczenia i uniemożliwi mu dostrzeganie innych rzeczy, tych, które były rzeczywiste, które istniały obok niego, teraz i potem.

Zakończył rozmowę i odłożył słuchawkę. Długo całował Micaelę, zamierzał znowu się z nią kochać.

Samochód był czarny, one zawsze są czarne, mają dodatkowe boczne lusterka i przyciemniane szyby, przez które z zewnątrz nic nie widać. Przyjechał po niego wczesnym rankiem, było w nim trzech policjantów. Dwóch poznał już wcześniej — tego kulawego i tego grzecznego; trzeci siedział za kierownicą, był młody i dobrze zbudowany. Wszyscy trzej czekali na niego przy drzwiach, ubrani po cywilnemu, nie mówili zbyt wiele, pozwolili mu jeszcze, żeby przed odjazdem objął Micaelę. Przez Strängnäs przejechali w milczeniu. Fredrik siedział na tylnym siedzeniu razem z tym kulawym, który nazywał się Grens. Kilka minut później byli już na drodze E20, wtedy zwiększyli prędkość. Towarzyszył im z tyłu inny wóz policyjny, a z przodu pilotował ich policjant na motocyklu.

Grens poprosił kolegów siedzących na przednich siedzeniach, żeby przyciszyli trochę radiostację policyjną i żeby włożyli do odtwarzacza płytę, którą trzymał w ręce. Ten greczny, Sundkvist, spytał wtedy, czy w drodze powrotnej też muszą tego słuchać, na co Grens mruknął coś pod nosem wyraźnie poirytowany; swe niezadowolenie wyrażał tak długo, aż trzeci policjant powiedział: „Do cholery, włóż w końcu tę płytę”, a potem ją włączył.

Siw Malmkvist. Fredrik był tego najzupełniej pewien.

Ciągle mi coś obiecujesz, a to samochód, a to futro z norek,

sądząc, że będę na każde twoje skinienie.

Grens przymknął oczy, kołysał się powoli do przodu i do tyłu. Fredrik drżał. Tekst piosenki był nie do zniesienia, a mocny i radosny głos gwiazdy muzyki szwedzkiej lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych przywodził na myśl tę dawną Szwecję: naiwną, niezniszczalną i pełną nadziei, która tak naprawdę stanowiła tylko dawny mit, bo przecież wcale tak wtedy nie było; on sam był małym chłopcem, ale nadal pamiętał ojca i lanie, jakie od niego dostawał, mamę i jej camele, i nie było tam wtedy żadnej Siw Malmkvist, nie ma jej też teraz, to tylko okłamywanie się i ucieczka. Chciał nawet zapytać siedzącego z przymkniętymi oczami policjanta, od czego tak ucieka, dlaczego nie chce uwolnić się od czegoś, czego wtedy, przed tak wielu laty, nawet przecież nie było, jakież to ciężar przygniata go od tak wielu lat.

Przez całą drogę śpiewał. Pięćdziesiąt minut, aż do aresztu śledczego w Kronobergu. Grens nie otworzył oczu nawet na chwilę. Dwaj pozostali policjanci patrzyli przed siebie, byli myślami gdzie indziej.

Zobaczyli ich już w chwili, kiedy skręcali w Bergsgatan.

Było ich jeszcze więcej niż poprzednim razem.

Dwustu demonstrantów wtedy, pięciuset dzisiaj.

Stali zwrócenii twarzą w stronę aresztu, wznosili okrzyki, machali plakatami, pluli, szydzili, a od czasu do czasu rzucali w stronę wejścia dużymi kamieniami. Kilka sekund później jeden z nich zauważył motocykl policyjny i oba nadjeżdżające samochody. Rzucili się w ich stronę, złapali za ręce i w kilka chwil utworzyli pierścień wokół trzech pojazdów. Potem położyli się na ziemi, tworząc łańcuch złożony z ludzkich ciał, przez co motocykl i samochody nie mogły jechać ani do przodu, ani do tyłu. Młody policjant za kierownicą popatrzył na kolegów, jakby szukał ich pomocy, a potem chwycił za mikrofon radiostacji.

— Policjant w niebezpieczeństwie! Powtarzam, policjant w

niebezpieczeństwie!

Prawie natychmiast odezwał się głos z centrali.

— Ilu ich jest?

— Kilkuset! Demonstranci przed aresztem w Kronobergu.

— Zaraz wysyłamy do was wsparcie.

— Istnieje ryzyko odbicia więźnia!

— Jedźcie dalej! Jedźcie dalej!

Fredrik spojrzął na ludzi otaczających samochód. Słyszał, co krzyczą, czytał o tym wcześniej, ale nie rozumiał tego. Co oni tu robią? Nie znał ich wcale. Dlaczego wykrzykiwali jego nazwisko? To, co się zdarzyło, nie miało przecież z nimi nic wspólnego. To była jego walka, jego piekło. Większość z nich leżała na ziemi, tuż obok niego. Ryzykowali życie. Za co? Czy sami wiedzieli? Nie prosił ich o to. Nie było żadnej różnicy między nimi a dziennikarzami wyczekującymi przed jego domem. Żyli kimś innym. Teraz żyli nim. Po co to robią? Czy oni też utracili swoje córeczki? Czy sami też zastrzelili innego człowieka? Żałował, że nie ma wystarczająco dużo odwagi, aby opuścić szybę i zapytać ich, zmusić ich, żeby spojrzeli mu w oczy.

Siedzieli w samochodzie w milczeniu, otoczeni, sparaliżowani. Młody policjant wyglądał na zdenerwowanego, gwałtownie oddychał, machał rękami, kiedy delikatnie zwolnił hamulec ręczny i przesunął dźwignię skrzyni biegów. Sundkvist i Grens siedzieli w spokoju, wydawało się, że nie przejmują się całą tą sytuacją; nie poruszali się i czekali cierpliwie na pomoc.

Z radiostacji umieszczonej pod deską rozdzielczą ponownie rozległ się głos.

— Do wszystkich samochodów! Policjant w niebezpieczeństwie w Kronobergu, wejście od Bergsgatan. Około pięciuset demonstrantów, mają kamienie. Należy ich rozprędzić, nic więcej. Swoje prywatne opinie możecie sobie wsadzić.

Grens spojrzął na Fredrika, chciał sprawdzić jego reakcję. Ale nic nie dostrzegł. Fredrik usłyszał komunikat, zdumiał się jego

treścią, ale nie okazał żadnej reakcji, nic nie powiedział.

Młody policjant wrzucił wsteczny bieg. Zapuścił silnik. Przejechał kilkadziesiąt centymetrów, jakby chciał wypróbować determinację demonstrantów.

Nie ruszyli się z miejsca.

Krzyczeli.

Wrzucił jedynkę, ruszył do przodu, jakiś metr, zwiększył obroty silnika. Tamci nadal leżeli, szydzili z niego, śpiewali coś na temat świńskich glin.

Nagle kilku z nich podniosło się z ziemi, podeszło do samochodu.

Podnieśli kamień i rzucili nim w przednią szybę. Szyba pękła, kamień upadł na siedzenie między Fredrikiem a Grensem, potem odbił się od siedzenia kierowcy i spadł na podłogę. Fredrik poczuł kawałki szkła na karku. Zabolalo. Spojrzał na Grensa, który krwawił z policzka. Młody policjant krzychał: „Cholera! Kurwa!”, opuścił szybę i wyciągnął pistolet. Wycelował w górę i oddał strzał ostrzegawczy.

Demonstranci rzucili się na ziemię. Policjant nadal trzymał pistolet w ręce.

Nagle coś uderzyło go w ramię, i znowu, pistolet wypadł mu z ręki. Jakiś mężczyzna w wieku około dwudziestu lat podniósł go z ziemi, potem wyprostował się, trzymając broń dwoma rękami, i wycelował w twarz młodego policjanta.

Ewert Grens krzyknął:

— Jedź! Jedź, do cholery!

Policjant miał pistolet tuż przy głowie. Przed nim, na ziemi leżeli ludzie. Za nim też leżeli ludzie na ziemi.

Wahał się.

Kula przeleciała tuż obok jego lewego ucha i wyleciała przez przednią szybę.

Więcej już nic nie słyszał, utkwiał wzrok w stojącym gdzieś w oddali drzewie i wcisnął pedał gazu. Ludzie leżący na ziemi krzyczeli, kiedy przez nich przejechał. Ich ciała odbijały się od

podwozia samochodu. Samochód wyjechał znowu na Bergsgatan, stało się to w tej samej chwili, kiedy na plac wjechały dwa pierwsze autobusy z policjantami. Demonstranci czekali już w gotowości, ruszyli gromadą w stronę obu samochodów, w których siedzieli gotowi wkroczyć do akcji policjanci, potem otoczyli ich, rzucili się na autobusy, rozkołysali je kilka razy i przewrócili. Potem cofnęli się na chwilę, czekając, aż uzbrojeni w specjalny sprzęt do rozpędzania demonstracji policjanci wydostaną się na zewnątrz, a wtedy ustawili się przed nimi w jednym rzędzie, spuścili spodnie i zaczęli na nich sikać.

Nie dostał tej samej celi co poprzednio. Przydzielili mu inne pomieszczenie, pośrodku. Ale wyglądało dokładnie tak samo. Cztery metry kwadratowe, łóżko, stół, miednica do mycia i do sikania. Ubrania wiszące na ścianach. Żadnych gazet, radia, telewizji, żadnych widzeń.

Nie miał nic przeciwko temu.

Nie uda im się go złamać. Jest, jak jest. Nie miał ochoty na czytanie, nie chciał się z nikim spotykać, nie chciał za nikim tęsknić.

Kiedy prowadzili go korytarzem do jego celi, spotkał innego aresztanta. Od razu się rozpoznali. Fredrik widział go kilka razy na zdjęciach. Był to jeden z najbardziej znanych przestępców w kraju, jeden z tych, którzy raz za razem zyskiwali sobie miłość ludu, popełniając po wyjściu z więzienia jakieś drobne przestępstwo, jakby chcieli uniknąć życia w tym innym społeczeństwie, istniejącym za więziennym murem. Aresztant drgnął, kiedy zobaczył Fredrika, podszedł do niego, poklepał go mocno po plecach i po ramionach, powiedział coś w tym stylu, że Fredrik jest bohaterem i że nie powinien się poddawać, a jak klawisze nie będą o niego dbać, to niech tylko powie, a on to załatwi, żeby zajęli się nim, jak trzeba.

Klawisze starali się jednak. Czy to dlatego, że robili to spontanicznie, czy też dlatego, że chcieli mu pomóc — w każdym razie nie śledzono go już tak intensywnie przez wizjer w drzwiach,

częściej dostawał kawę, niż mu przysługiwała, a kiedy wychodził na spacer na dach aresztu, to trwał on dłużej niż godzinę. Fredrik dostrzegał to i klawisze też to zauważali, a przez kilka dni dostawał nawet podwójne racje jedzenia, dwie godziny między drucianą siatką a ogrodzeniem z drutu kolczastego, ale za to niebo nad głową.

Kristina Björnsson odwiedzała go każdego dnia. Pokazywała mu różne dokumenty i dyskutowała o strategii, ale i tak nie pojawiło się nic nowego, argumentacja sądu apelacyjnego nie będzie się różniła od tej, jaką posłużył się sąd rejonowy; przychodziła tam raczej po to, żeby podtrzymać go na duchu, przekazać pozdrowienia od Micaeli, przywrócić mu wiarę w przyszłość, w to, co będzie się działo dalej.

Doceniał jej wizyty, słyszał, że jest bardzo skuteczna. Ale tym razem się chyba nie uda, na pewno się nie uda. W sądzie rejonowym innego zdania niż ławnicy była tylko sędzina, jedyny prawnik w tym gronie. Natomiast w sądzie apelacyjnym zasiadali sami prawnicy, nie było tam żadnych ławników, a przecież prawnicy podchodzą do rzeczywistości z punktu widzenia litery prawa, opierając się na paragrafach i na praktyce sądowej. Poddął się. Poinformował ją o tym, a ona się zdenerwowała; powiedziała mu, że ten, kto się poddaje, jest już skazany, że da się to odczuć na sali sądowej, że to tak samo, jakby przyznał się do winy. Zarzucała go licznymi przykładami, broniła przecież ludzi, którzy popełnili najbardziej idiotyczne przestępstwa, a jednak uniewinniano ich, bo byli święcie przekonani o tym, że tak się właśnie stanie, a stanowisko, jakie prezentowali, dominowało w sali sądowej.

Strażnik zapukał do drzwi. Taca z jakimś sokiem, kawałek mięsa, kilka ziemniaków. Pokręcił głową. Nie interesowało go to. Na pewno było to smaczne jedzenie, ale nie odczuwał głodu. Czuł się tak, jakby spożywanie posiłków stało się czymś obrzydliwym, jakby poprzez posiłek zgadzał się, że nic się nie wydarzyło. Nie jem — nie uczestniczę w tym wszystkim. To nie było jego życie. On go nie wybierał.

Kiedy proces rozpoczął się na nowo, przewożono go każdego ranka do nowej sali sądowej przy Bergsgatan; posiedzenia sądu przeniesiono tam po odebraniu kilku gróźb. Procedura w sądzie apelacyjnym trwała krócej: zamiast wysłuchiwać ponownie niektórych świadków, odtworzono ich zeznania nagrane na magnetofon, kilka pytań zadano w ostrzejszym tonie. Proces trwał trzy dni. Siedział na tym samym krześle co przedtem, odpowiadał na te same pytania. Wyglądało to jak przedstawienie, poprzednio trwały próby, a teraz odbywała się premiera. Starał się siedzieć w pozycji wyprostowanej, wyglądać na spokojnego, przekonany o tym, że znowu zapadnie wyrok uniewinniający, ale przychodziło mu to z trudnością, bo przecież nic go to wszystko nie obchodziło, nawet nie był pewien, czy chce wrócić do domu. Mogli to wyczytać w jego postawie, było to widać.

. . .

Już nie tęsknił. Już się natęsknił. Po każdej zakończonej rozprawie leżał wieczorem na łóżku i patrzył w sufit, starając się dostrzec na żółtej jak mocz powłoce ślady jakiegoś życia.

Godzina.

Nie miał zbyt wielu przyjaciół, nigdy ich nie miał, a ci, których za takich uważał, mieszkali dość daleko stąd, w Göteborgu, Kristianstadzie, i nie brali właściwie udziału w jego życiu codziennym, więc kara więzienia i tak nie zmieni stosunków, jakie między nimi panowały.

Kolejna godzina.

Miał swoją Micaelę, uważał, że ją kocha, chyba rzeczywiście ją kochał, ale ona ciągle jeszcze była młoda, nie mogła przecież spędzić z nim reszty życia, oplakując jego dziecko; to nie byłoby uczciwe.

Następna godzina.

Powiedziała mu, że właśnie tego chce, a on jej uwierzył, kiedy wypowiedziała te słowa, ale to działo się teraz, a któregoś dnia

będą zmuszeni iść wspólnie przed siebie, ona by tego nie wytrzymała, mając ciągle przed oczyma pięcioletnią dziewczynkę zamordowaną przez zbrojnego seksualnego, która nadal żyje w każdym jego tchnieniu.

Kolejna godzina.

Sufit w kolorze moczu.

Następna godzina.

To dziwne.

I znowu upłynęła godzina.

Pędził przez całe swoje życie, wypełniał każdą chwilę, bojąc się, że nagle ogarnie go pustka, że go gdzieś zabraknie.

Następna godzina.

Postępował tak przez długi czas, starając się znaleźć sobie nowe miejsce każdego dnia, aby zwalczyć bezradność i uniknąć samotności.

I znowu godzina.

Wtedy, kiedy miał wokół siebie ludzi, od których zależał, kiedy szukał kontaktu z rzeczywistością, żeby móc ich widzieć.

Następna godzina.

I nagle, kiedy wszyscy oni znikli, kiedy ta cholerna rzeczywistość już na nic nie była mu potrzebna, zostało mu tylko to, co miał teraz: sufit w kolorze moczu, czas, myśli, tamto nie grało już żadnej roli, nie miał na to wpływu, nie mógł nic zmienić i właśnie to czyniło go spokojnym, o wiele bardziej spokojnym, niż kiedykolwiek był. Jak śmierć.

. . .

Sąd wstrzymywał się z wydaniem orzeczenia prawie przez tydzień. Dwa razy odraczano termin, każdy dokument miał zasadnicze znaczenie, każde słowo zawierało swój ładunek emocjonalny, miał to być wyrok, który będzie roztrząsany w mediach, zostanie w całości wydrukowany w gazetach, specjaliści od prawa o wyglądzie gwiazd telewizyjnych będą analizować go w

wiadomościach, a oprócz dyskusji o ojcu, który zastrzelił zabójcę swej pięcioletniej córki, toczyć się będą dyskusje prowadzone przez ludzi:

- którzy dzielili jego smutek z powodu zmarłej córki,
- którzy uważali, że morderstwo pozostanie morderstwem bez względu na przyczynę,
- którzy składali hołd jego odwadze i dziękowali mu za ochronę, jaką im dał poprzez usunięcie z ich otoczenia człowieka, którego państwo nie potrafiło usunąć,
- którzy wypowiadali się na temat jego nieusprawiedliwionego poczucia zemsty i domagali się długoletniego wyroku skazującego, żeby raz na zawsze dać przykład innym,
- którzy bili i zabijali innych przestępców seksualnych, opierając się na orzeczeniu sądu rejonowego.

. . .

I wreszcie nadeszła sobota. Godzina dziewiąta czternaście rano. Wyrok był do odbioru u strażnika stojącego przed salą rozpraw w ratuszu w Sztokholmie. Dziennikarze stali w długiej kolejce, trzymając w rękach telefony komórkowe, aby jak najszybciej dodzwonić się do swych redakcji i przekazać treść wyroku; fotoreporterzy stali obok, żeby za pomocą zdjęć udokumentować wszystko, co się wokół nich działo. Był tam także prokurator Ågestam, Kristina Björnsson, kilku ciekawskich. Fredrikowi przekazano tę wiadomość przez wizjer w drzwiach, którego tak nienawidził. Strażnik, który przyniósł mu dodatkową porcję kawy i przyznał dodatkowy czas na spacer, rzucił mu kilka słów, stojąc za drzwiami. Powiedział, że jest mu przykro, że to cholernie zła wiadomość, że to cholernie nieporozumienie.

Dziesięć lat.

Sąd apelacyjny skazał go na dziesięć lat więzienia.

Lillmasen żałował tego, co zrobił. Nie, nie powinien był tego robić. Nie powinien był tak ciężko pobić Hildinga. Ten dupek Hilding! Pieprzony cymbał! Po jaką cholere zżył całego „turka”? Po jakiego chuja wysiadywał z Jochumem i opróżniał z nim gaśnicę? Zacier diabli wzięli. Musiał mu jednak przyłożyć. No bo jak by to wyglądało, gdyby zżył cały zapas, a potem za niego nie zabulił? Nie ma szans! Nie ma takiej możliwości. Z drugiej strony nie powinien mu aż tak dowalić, Hilding wyglądał potem fatalnie. Pozszywają go, to prawda, bo to ich psi obowiązek, ale już tu nie wróci. Przeniosą go do Tidaholm albo do Hall. Zawsze tak robią. Nigdy nie odsyłają ich w poprzednie miejsce.

Niewielu ich tu jeszcze zostało.

Hilding w szpitalu. Ten pierdolony pedofil Axelsson, którego ktoś ostrzegł, dostał izolatkę, gdzie się ukrył. No i Bekir, który niedługo wychodzi na wolność.

Skåne. Dragan. Kurwa, myślał, nie ma już z kim się najarać haszem. Potem jeszcze ten Cyngiel. I Rosjanin. I wszyscy inni głupcy.

Teraz żałował. Nie powinien bić aż tak długo. Powinien przestać, kiedy Hilding się przyznał.

Na zewnątrz nadal padał deszcz. To już kolejny tydzień, jak pada. Cholernie dziwna sprawa. Najpierw kilka tygodni takiego upału, że aż chuj nie staje. Potem znowu tak mokro, że nikomu nie

chce się wyjść na świeże powietrze. Jak tu się w tym, kurwa, połapać? Pierdoleni idioci.

Wyrzwał przez okno. Strumienie deszczu ściekały po ścianach. Dwie bramki na boisku, które prawie wyginały się od podmuchów wiatru. Dwóch osadzonych, którzy wybrali się akurat na spacer, szło właśnie po spacerniaku. Nie widział, kto to był, bo obaj mieli na sobie płaszcze przeciwdeszczowe i kaptury nasunięte na czoła.

Odwrócił się. Czterech przy stole bilardowym, po sali włączył się Rosjanin, który coś pochrząkiwał i czekał na swoją kolej, uderzył kilka kul, oddał kij Janozowi, ten też coś chrząkał, trochę głośniej, kiedy uderzył w czarną bilę i przegrał. Lillmasen nigdy nie lubił bilardu, tej babskiej gry, tych długich kijów na zielonym stole. Wolał grać w karty. Oczko, od czasu do czasu partyjka pokera. Ale nie dziś. Nie teraz. Nie miał ochoty. Przy stole siedzieli Jochum, Skåne i Dragan, rozdawali karty i blefowali. To już nie to samo co wtedy, kiedy był tu Hilding-Vilding.

Musi stąd wyjść, złapać świeżego powietrza, i gównu go obchodzi, że pada. Skierował się w stronę wyjścia. Zbliżył się do drzwi i zajrzał do dyżurki. Trzech klawiszy. Czym oni się, kurwa, zajmują przez cały dzień? Siedzą na tyłkach i biorą za to forse! Kurwa mać!

Zatrzymał się tuż przed szybą. Nie widział ich, ale słyszał. Rozmawiali głośno. Wyglądali na wzburzonych. Nie udało mu się wyłapać wszystkich zdań, wszystkich słów, nie potrafił ich złożyć w całość.

Ale rozpoznał dwa słowa: „przestępca seksualny”. Słyszał je kilka razy. I jeszcze coś: „kara długoletniego więzienia”. Usłyszał też część innego zdania: „u Oscarssona na oddziale dla zboczków”.

O kim oni, kurwa, gadają? — zastanawiał się. Chyba nie o jakimś nowym zboczeńcu. Nie daj Boże tutaj, do nich. Czy naprawdę nic nie zrozumieli? Czy nie widzieli, jak Axelsson stąd zwiewał? Rozpoznali go po numerze osobowym i udało im się wydobyć jego wyrok, i załatwiliby go na cacy, gdyby ktoś go nie

ostrzegł.

Nigdy im o niczym nie mówili. Chodzą tylko po oddziale z pękiem kluczy i trzymają gęby na kłódkę. Teraz coś ich wzburzyło. Gadali wszyscy trzej. Usłyszał słowo „bohater”. I inne: „zamordował”. I znowu to samo: „przestępca seksualny”.

Chcą im tu wsadzić pedofila! Jeszcze jednego! Chuje pierdolone!

Lillmasen z trudem się opanował. Poczuł, jak ogarnia go wściekłość, jak robi się czerwony na twarzy, jak powoli całe jego wnętrze wypełnia złość.

Usłyszał dźwięk odsuwanych krzeseł. To tamci wstali od stołu. Szybko cofnął się o krok. Klawisze wyszli z dyżurki, nadal rozmawiali, a jeden z nich wymachiwał gwałtownie rękami. Lillmasen usłyszał wyraźnie ostatnie zdania, bo stali już za drzwiami. Pierwszy z nich pytał, czy bohater ma trafić na ich oddział i co w tej sprawie trzeba zrobić. Drugi odpowiedział, że nie wie, że przecież nie mieli tu jeszcze nikogo z tak długim wyrokiem. I znowu ten pierwszy, który powiedział, że nie ma już niebezpieczeństwa, że tamten już nikogo nie zaatakuje, że ma już dosyć wszystkiego. Weszli na oddział, Rosjanin uniósł głowę znad stołu bilardowego i krzyknął: „Klawisze na oddziale!”. Lillmasen szedł dalej, minął dyżurkę, wybrał sobie płaszcz przeciwdeszczowy. Znalazł taki, który na niego pasował. Para kaloszy, trochę zbyt duże, ale założył je. Wyszedł na deszcz, łało jak z cebra, poszedł w stronę alejki spacerowej, wydłużył krok. Złość, która dławiła go wcześniej, powoli ustępowała, drżał. Poczekajcie, wy chuj! — krzyczał w myślach. Postanowił, że zajmie się tym bydlakiem, nie pozwoli, żeby znowu wcisnęli na jego oddział jakiegoś zboczką, już nigdy więcej. Jeśli na oddziale zjawi się znowu jakiś pedofil, to żywy stąd nie wyjdzie.

Wysikał się do miednicy. Nie miał ochoty przywoływać strażnika i prosić go o odprowadzenie do toalety, nie miał ochoty odpowiadać na ich ciekawskie pytania dotyczące wyroku.

Dziesięć lat.

Nie wiedział nawet, co to oznacza. Dzień wcześniej odwiedziła go Kristina Björnsson. Przyszła po południu, przestudiowali razem orzeczenie sądu, wyjaśniła mu brzmienie różnych paragrafów. Chciała apelować do Sądu Najwyższego. Zależało jej na precedensowym wyroku, chciała udowodnić, że prawo do obrony koniecznej nadal jest w mocy. Odpowiedział, że nie chce już tego ciągnąć, ma dosyć, nie interesuje go to. Co się stało, już się nie odstanie. Zastrzelił człowieka, który odebrał mu córkę. To mu wystarcza. Więzienie czy wolność, to to samo.

Dziesięć lat.

Będzie miał wtedy już prawie pięćdziesiąt lat.

Oplukał ręce, stanął na samym środku celi.

Przestępca seksualny skazany prawomocnym wyrokiem sądu uciekł z więzienia, wsadził ostry, metalowy przedmiot w podbrzusze Marie, onanizował się nad nią, porozrywał ją na strzępy. Ojciec zamordowanej dziewczynki uniemożliwił mu popełnienie kolejnego takiego przestępstwa. Dlatego siedzi teraz w celi, oddzielony od życia zewnętrznego, spędzi tu dziesięć lat i wyjdzie dopiero, kiedy skończy pięćdziesiątkę. Poczuł, że musi się roześmiać. Kopnął

miednicę i wybuchnął gwałtownym śmiechem, aż poczuł ból w piersiach.

Strażnik, który przyznał mu kilka przywilejów, zastukał niespokojnie w drzwi i otworzył wizjer.

— Co się tu dzieje?

— Jak to?

— Coś tu za głośno.

— Nie wolno się śmiać?

— Wolno.

— No to zostawcie mnie w spokoju.

— Nie chcę tylko, żeby pan zrobił coś głupiego.

— Nie mam takiego zamiaru.

— Z powodu takiego wyroku ludzie robią różne głupstwa.

— Ja się tylko śmieję, w porządku?

— Dobrze. Przyjdę za kilka minut, niech się pan spakuje.

— Spakuje?

— Przenoszą pana do więzienia.

Usiadł na łóżku. Sufit w kolorze moczu, białe ściany, brudna podłoga. Mają go przenieść. Ma się pakować. Jak to? Plastikowa torba ze szczoteczką do zębów, pasta, mydło. Podniósł się, otworzył torbę, włożył do środka swoje przybory toaletowe. Był już gotów.

Strażnik zastukał w drzwi. Otworzył je. Był to młody chłopak, nie miał chyba dwudziestu pięciu lat. Włosy na jeża. Kolczyk w nosie. Był muzykiem, a właściwie chciał zostać muzykiem. Często o tym mówił, jakby sądził, że Fredrik chce o tym wiedzieć. Jakby chciał pokazać, że strażnik też może być kimś innym, człowiekiem z marzeniami. Przyszedł tu co prawda do pracy, ale czekał na kontrakt na nagranie płyty. Cekał już kilka lat i gotów był czekać kilka następnych. Aż będzie za stary, aż skończy trzydziestkę, może więcej. Teraz jednak wszedł do celi, położył Fredrikowi rękę na ramieniu.

— Pan wie, co ja o tym sędę.

— Przykro mi, ale nie interesuje mnie, co pan sądzi.

— To jakiś absurd. Zamykanie pana tutaj to jakaś paranoja.

— Nie ciekawi mnie to.

— Wszyscy tutaj tak uważamy. I strażnicy, i osadzeni, bez różnicy, wszyscy są tego samego zdania. Chyba nigdy wcześniej nie byliśmy bardziej zgodni w żadnej innej sprawie niż ta.

Fredrik podsunął mu torbę.

— Jestem spakowany.

— Domyślam się, że to, co pan słyszy, nie jest żadnym pocieszeniem.

— Jestem już gotowy do wyjścia.

— Powinni pana uniewinnić.

— Jestem gotów.

— Spotkamy po drodze sporo osób. Wiedzą już, dokąd pana przenoszą.

— A ja nie wiem nawet tego.

— Wielu z nas wie o tym. Dopilnujemy, żeby nasze protesty były słyszalne.

— Miał pan rację. To żadne pocieszenie.

I znowu jest sam. Czekał. Dostał swoje cywilne ubranie. Będzie je miał na sobie przez kilka godzin. Potem rozbierze się, zamknie je w szafce, gdzie zostanie aż do dnia, kiedy go wypuszczą na wolność. Będzie nosił teraz inne ubranie, takie, jakie będzie po prostu miał na sobie. Ubranie więzienne.

Tym razem nikt nie zastukał. Drzwi otworzyły się gwałtownie, do środka weszło dwóch strażników i dwóch umundurowanych policjantów. Trochę dalej od nich stał Grens, a obok niego Sundkvist.

Fredrik wiedział, że przyjdą, a mimo to był zaskoczony. Odwrócił się plecami do tych, którzy weszli do celi, szukając kontaktu wzrokowego z Grensem przez otwarte drzwi.

— Dlaczego?

Grens uśmiechnął się, że nie rozumie.

— Dlaczego aż tyłu? I jeszcze policjanci w mundurach?

Sven nie potrafił udawać. Odpowiedział Fredrikowi.

— Uznaliśmy, że tak będzie lepiej.

— Widzę. Zastanawiam się tylko, po co?

— Doszły nas słuchy, że mogą być problemy, kiedy będziemy pana przewozić do zakładu w Aspsås.

Fredrik drgnął.

— Aspsås? To tam mnie przenoszą?

— Tak.

— To stamtąd uciekł Lund.

— Trafi pan na inny oddział. Dla zwykłych więźniów. Lund siedział na oddziale specjalnym, dla przestępców seksualnych.

Fredrik zrobił krok w kierunku drzwi, bliżej Svena. Policjanci w mundurach natychmiast stanęli między nimi, obezwładnili go. Fredrik trząsł się z irytacji, aż go puścili, a wtedy wrócił do celi.

— Powiedział pan „problemy”?

— Będzie pan eskortowany przez policję.

— Podejrzewa pan, że mógłbym uciec?

— Tylko tyle mogę powiedzieć.

Był jeszcze wczesny ranek. Na dworze padał deszcz, krople regularnie bębniły o okienną blachę, równie mocno i nieprzerwanie jak od wielu dni.

Czuł się prawie tak, jakby miało mu tego zabraknąć.

Szli w stronę więźniarki. Nadal padał ulewny deszcz, Fredrik przemókł zupełnie, pokonując te kilka metrów od wejścia do aresztu do wozu, który stał na luźnym biegu na ulicy przed wejściem do budynku. Stawiał krótkie kroki, bo kajdanki, w które zakuto mu nogi, nie pozwalały na robienie dłuższych, chociaż próbował.

Nie uważano jednak, że w jego przypadku istnieje ryzyko ucieczki: on już zastrzelił tego, którego chciał zastrzelić.

Mimo to postanowiono go przewieźć z zachowaniem najwyższych środków ostrożności. Dwa samochody policyjne z włączonym „kogutem” jadące przed więźniarką; dwa motocykle z umundurowanymi policjantami za nimi. Wszyscy mieli jeszcze żywo w pamięci demonstrację sprzed kilku tygodni przed aresztem w Kronobergu. To, co się wtedy stało, nadal napawało strachem. Ludzie leżący na ziemi i samochód policyjny, który po nich przejechał; pistolet skierowany w głowę policjanta, przewrócone na ziemię autobusy i demonstranci sikający na wyczołgujących się ze środka funkcjonariuszy. Nie, wystarczy ten jeden raz. Chroń nas, Panie Boże, przed kolejnym razem, myśleli policjanci.

Siedział na tylnym siedzeniu, między Ewertem Grensem a Svenem Sundkvistem. Czuł się tak, jakby znali się od lat. To oni stali wtedy przed wejściem do przedszkola i przesłuchiwali świadków po zaginięciu Marie. To oni stali w budynku wydziału medycyny sądowej przy noszach z ciałem Marie. Na pogrzeb

przyszli ubrani na czarno. To oni odwieźli go ze Strängnäs po wyroku sądu apelacyjnego; przez godzinę słuchał wtedy piosenek Siw Malmkvist. No i teraz. Potem już się chyba więcej nie zobaczą.

Powinien z nimi jeszcze porozmawiać. O czymkolwiek.

Nie potrafił.

Nie czuł takiej potrzeby.

Ten grzeczny, Sundkvist, zaczął pierwszy.

— Mam czterdzieści lat.

Potem spojrzął na Fredrika.

— Skończyłem je tego samego dnia, w którym została zamordowana pana córka. Miałem wtedy w samochodzie tort i wino. Do dzisiaj jeszcze nie miałem okazji świętować urodzin.

Fredrik nie rozumiał. Żartuje sobie z niego? A może mu się wydaje, że Fredrik będzie mu współczuł? Nie odezwał się, nie czuł takiej potrzeby. Sundkvist też nie szukał okazji do rozmowy.

— Jestem policjantem od dwudziestu lat. To całe moje dorosłe życie. To okropny zawód. Ale taki mam. I tylko to potrafię robić.

Mieli do przejechania pięćdziesiąt kilometrów, około czterdziestu minut jazdy. Fredrik nie miał już ochoty go słuchać. Chciał przymknąć oczy, zacząć liczyć godziny. Przez dziesięć lat.

— Zawsze uważałem, że robię coś pożytecznego. Że jestem porządnym człowiekiem. Że postępuję słusznie. I może tak było.

Sundkvist siedział przez cały czas zwrócony w jego stronę. Twarz blisko jego twarzy, Fredrik czuł jego oddech.

— Ale ta sprawa? Chyba pan rozumie, jak bardzo się wstydzę, że muszę tu siedzieć i pilnować pana, nadzorować przenosiny do więzienia, gdzie pana zamkną. Do diabła! Nigdy nie przeklinam, ale teraz muszę, cholera jasna!

To chyba jakiś objaw sympatii. Fredrik miał gdzieś jego sympatię.

Sundkvist pochylił się w jego stronę, pociągnął Fredrika za jego mokrą od deszczu koszulę.

— Dokładnie tak samo siedział tu przed kilkoma miesiącami Lund. Teraz pan tu jest. Jak zwykły morderca. A ja mam

dopilnować, żeby tak było. Panie Steffansson, ja naprawdę proszę pana o wybaczenie.

Do tej pory Ewert Grens, siedzący po drugiej stronie, zachowywał milczenie. Teraz odchrząknął głośno.

— Sven, już wystarczy.

— Wystarczy?

— Tak, wystarczy.

Przez chwilę jechali w ciszy. Droga numer 90, kilkadziesiąt kilometrów na północ od Sztokholmu. Nadal padał deszcz. Wycieraczki przesuwwały się równomiernie, usuwając wodę, która ściekała po przedniej szybie.

Więźniarka zjechała z głównej drogi, przejechała przez rondo, minęła dwie stacje benzynowe, wjechała na jakąś drogę lokalną, wzdłuż której widać było zabudowania. To właśnie tutaj zaczęli się zbierać pierwsi demonstranci.

Kilometr za kilometrem. Długi łańcuch ludzi, którzy śpiewali, wykrzykiwali coś wspólnie, wymachiwali wielkimi plakatami.

Fredrik poczuł ten sam ucisk w żołądku, co w czasie demonstracji w Kronobergu. Jacyś obcy ludzie, którzy go nie znali, nie mieli z nim nic wspólnego, skandowali jego nazwisko. Kto dał im do tego prawo? Nie stali tam ze względu na niego. Stali tam we własnym interesie. To była ich własna manifestacja, nie jego. To był ich strach, ich nienawiść.

Na samym końcu stała zbita masa ludzi. Konwój wjechał teraz na piaszczystą drogę dojazdową prowadzącą do zakładu karnego. Fredrik spuścił wzrok, patrzył na swoje uda. Tym razem protest miał spokojniejszy przebieg, nie był groźny ani agresywny, ale Fredrik nie zdołał na nich spojrzeć, bo mimo wszystko była od nich jakaś siła, a on czuł coś w rodzaju obrzydzenia.

Więźniarka zatrzymała się tuż przed bramą wjazdową. Dalej już się nie dało jechać. Ewert Grens szybko coś przeliczył, doliczył się kilku tysięcy demonstrantów. Stali spokojnie. Na ich drodze. Między mikrobusem a wejściem do więzienia.

— Siedźcie. Czekamy.

Ewert zamienił kilka słów z policjantami siedzącymi na przednim siedzeniu, z Fredrikiem, ze Svenem.

— Teraz już nie będzie jak ostatnim razem. Oni chcą tylko pokazać, że tu są. Nie prowokujcie ich, niedługo zostaną usunięci.

Fredrik nadal spoglądał w dół. Był zmęczony. Chciał się przespać. Chciał wyjść z samochodu, ominąć ludzi zgromadzonych na zewnątrz, włożyć ubranie więzienne i położyć się na łóżku w swojej celi. Chciał znowu widzieć sufit, lampę, liczyć godziny.

Czekali tak dwadzieścia minut. Demonstranci nie śpiewali, nie krzyczeli, tylko po prostu stali, jak milczący mur złożony z ludzi. W końcu przybyły obiecane posiłki. Sześćdziesięciu policjantów. Uzbrojeni i schowani za tarczami ruszyli w kierunku demonstrantów, usuwali ich pojedynczo. Bez bicia, bez gróźb. Systematycznie wynosili sprzed bramy nieruchomo siedzących ludzi, którzy zwisali im bezwładnie u ramion. Kiedy odstęp zrobił się większy, więźniarka ruszyła powoli do przodu. Ci, których wyniesiono sprzed bramy, nie wracali już na swoje miejsca. W ogóle się nie ruszali. Ci, którzy tam jeszcze stali, znajdowali się tylko kilka centymetrów od pojazdu. Stali wyprostowani, patrzyli, jak więźniarka przejeżdża obok nich, zbliża się do bramy, wjeżdża do środka na teren więzienia.

Ewert i Sven trzymali Fredrika za ręce. Podeszli wraz z nim do dyżurki przy bramie. Popatrzyli na niego, skinęli mu głowami, odwrócili się i odeszli. Fredrik Steffansson nie znajdował się już pod ich opieką. Złapali go, został skazany, dostarczyli go do więzienia. Teraz będzie tu odbywał karę. Przez dziesięć lat. Żeby znowu nie popełnił podobnej zbrodni.

Fredrik spojrzał za odchodzącymi policjantami. Wracali do tego drugiego społeczeństwa, na zewnątrz więziennych murów. Dwaj strażnicy wprowadzili go do budynku, do otwartej sali po lewej stronie. Mieli tam spisać jego dane.

Obaj strażnicy przyglądali mu się, kiedy zdejmował ubranie.

Mieli na rękach gumowe rękawiczki, zajrzeli mu do ust, do odbytnicy. Zabrali jego ubranie i schowali do szafki. Dali mu w zamian inne ubranie. Wziął je od nich i założył. Był teraz więźniem, miał na sobie więzienne ubranie, był jednym z wielu innych więźniów. Strażnicy zaprowadzili go do następnego pokoju, było tam łóżko, krzesło, kraty w oknie, a na zewnątrz mur; poprosili, aby chwilę poczekał, i wyjaśnili, że niedługo zaprowadzą go na oddział, po czym zamknęli drzwi na klucz.

Siedział na krześle i czekał już od godziny.

Na dworze padał deszcz, a na trawie, między zabezpieczonym kratą oknem a betonową ścianą, utworzyły się kałuże wody.

Próbował myśleć o Marie, ale nie potrafił.

Nie chciała zostać w jego myślach. Nie potrafił do niej dotrzeć. Jej twarz była niewyraźna, nie słyszał jej głosu, nie pamiętał, jak brzmiała.

Ktoś zapukał do drzwi.

Klucz w zamku. Jakiś mężczyzna w mundurze wszedł do środka. Fredrik przypominał go sobie jak przez mgłę, gdzieś już go wcześniej widział, ale nie pamiętał gdzie.

— Bardzo przepraszam, szukałem kogoś innego.

Strażnik rozejrzał się szybko po pokoju, zbierał się do wyjścia.

Fredrik szukał gorączkowo w pamięci. Ktoś znany, a zarazem nieznany.

— Dzień dobry.

Strażnik się odwrócił.

— Słucham?

— Czego pan szuka?

— Niczego. Chciałem wejść do innego pokoju.

— Skądś pana znam. Kim pan jest?

Strażnik się zawahał. Przez kilka miesięcy starał się bronić przed poczuciem winy, ale w tej samej chwili to uczucie wróciło.

— Nazywam się Lennart Oscarsson. Pracuję na jednym z oddziałów, tym, który nazywają „oddziałem dla zboczków”. To jeden z dwóch, na którym siedzą przestępcy seksualni.

W telewizji. Wywiady. To tam Fredrik go widział.

— To pan ponosi winę.

— To ja ponosiłem za niego odpowiedzialność. To ja nadzorowałem transport, z którego uciekł.

— To pan jest winien.

Oscarsson spojrzał na siedzącego przed nim mężczyznę. Myślał o czasie, jaki upłynął od dnia ucieczki Lunda, od dnia, w którym ten oto człowiek, oskarżony o zabójstwo, stracił swą córeczkę. Już wtedy miał poczucie winy: zdradzanie Marii, uczucia, jakie żywił wobec Nilsa. Próbował kochać dwie osoby, ale wszystko się popieprzyło. A potem ten Lund i dziewczynka, którą pociął i zostawił pod drzewem; czuł się wtedy tak, jakby poczucie winy miało się nigdy nie skończyć: Maria i Nils, Lund i Marie Steffansson, i jej ojciec, wszyscy oni nawiedzali go po nocach i ukazywali mu się za dnia. Chciał się gdzieś ukryć, więc leżał w łóżku, nie mając odwagi wstać.

— Sporo o panu rozmawiałem z jednym z moich kolegów. To jeden z tych, którym ufam. Żyjemy ze sobą. Zawsze go słucham i jesteśmy w tej sprawie zgodni. Lund był tutaj, ale zapewniliśmy mu możliwie najlepszą opiekę. Zastosowaliśmy każdą terapię, jaka tylko jest dostępna.

Oscarsson nadal stał w otwartych drzwiach. Byli rówieśnikami. Na jego czole pojawiły się krople potu, grzywka zrobiła się wilgotna.

— Przykro mi z powodu tego, co się stało. Muszę już iść.

— To pan jest winien.

Oscarsson wyciągnął rękę w jego kierunku.

— Wszystkiego dobrego.

Fredrik spojrzał na wyciągniętą rękę. Nie odwzajemnił gestu.

— Niech ją pan opuści. Nie podam panu ręki.

Słowa Fredrika uderzyły Oscarssona z taką siłą, że skulił się,

zaczął ciężko oddychać, patrząc prosząco na Fredrika.

Ręka nadal wisiała w powietrzu. Drżała. Fredrik odwrócił wzrok.

Oscarsson czekał jeszcze przez chwilę, ale zrezygnował, na moment położył dłoń na ramieniu Fredrika, a potem zamknął drzwi i przekreślił klucz w zamku.

* * *

Deszcz przestał padać zaraz po obiedzie, do tej pory był to jedyny dźwięk, jaki słyszał — uderzenia kropli deszczu, które w pewnej chwili nagle ustały. Kilka dni nieustannych opadów i nagle ulewa przeszła. Podeszedł do okna, spojrzął w niebo, na horyzoncie przejaśniało się i pod wieczór robi się znowu ładna pogoda.

Siedział na krześle i czekał jeszcze przez sześć godzin. Kiedy przebijali się przez grupę demonstrantów, było przedpołudnie, a kiedy dwóch strażników otworzyło drzwi i weszło do środka, było już dość późno. Dwóch dobrze zbudowanych mężczyzn z pałkami u boku, o władczej postawie, to oni wcześniej przywozili nowych więźniów; to właśnie wtedy pokazywano im, kto tu rządzi, wobec kogo należy odczuwać respekt i kto dba o porządek. Pierwszy z nich, w okularach z niebieską oprawką, trzymał w ręce jakiś dokument, przejrzał go, a potem przeczytał.

— Steffansson. Tak się pan nazywa?

— Tak.

— To dobrze. Pójdziemy teraz na oddział.

Fredrik nie ruszył się z miejsca.

— Siedzę tu już od siedmiu godzin.

— Naprawdę?

— Dlaczego?

— Tak to już jest.

— Czy chcecie mi coś powiedzieć?

— O czym pan mówi?

— Czy to dlatego tak długo tu siedziałem?

— Nie ma jakiegoś specjalnego powodu. Tak wyszło.

Fredrik westchnął. Podniósł się, przygotował się do wyjścia.

— Dokąd mnie zabieracie?

— Na oddział.

— Co to za oddział?

— Zwykły.

— A kto tam siedzi?

Strażnik starał się zachować spokój. Rozejrzał się po sterylnym pokoju z gołymi ścianami, łóżkiem bez pościeli i krzesłem, które teraz stało puste.

— Zadaje pan dużo pytań.

— Chcę wiedzieć.

— A co mam powiedzieć? To zwykły oddział. Ludzie, którzy tam siedzą, popełnili wszystkie możliwe rodzaje przestępstw. Za wyjątkiem przestępstw seksualnych. Dla takich mamy specjalny oddział.

Przerwał, a potem rozłożył ramiona.

— Chyba pan jeszcze nie zrozumiał, Steffansson. To teraz pański dom. A ci, którzy tu siedzą, to pańscy nowi kumple.

. . .

Szli wolno podziemnym tunelem. Fredrik przyglądał się malunkom na ścianach, stanowiącym rodzaj zajęć terapeutycznych dla więźniów, nieudanym obrazkom bez sensu. Przechodzili przez zamykane na klucz drzwi, jedno, drugie, trzecie, przy każdym powtarzała się taka sama procedura: spojrzenie strażnika w górę do kamery, potem dźwięk otwieranych drzwi, ponowne, przyzwalające skinienie głową przez strażnika w stronę kamery, jakby podziękowanie. Liczył kroki, podziemny korytarz miał przynajmniej czterysta metrów długości. Spotykali innych więźniów, prowadzonych przez strażników. Potem weszli w ostatnią część korytarza, z namalowanymi na ścianie białymi strzałkami i napisem „Oddział H”. A więc tak nazywa się miejsce jego odosobnienia.

Dwa razy szli schodami. Znowu zamknięte drzwi. Tablica z

napisem „Oddział H” umieszczona na drzwiach.

Poczuł silny zapach jedzenia. Coś smażonego. Śledź? Strażnik, który otwierał drzwi, zauważył, że Fredrik wciągnął powietrze.

— Właśnie skończyli jeść. Pan zje później.

Rozejrzał się po brzydkim korytarzu. Najpierw zobaczył kącik telewizyjny, kilku więźniów na wpół leżało na kanapie i grało w karty przy stole. Dalej wąski korytarz z drzwiami prowadzącymi do cel, większość z nich otwarta. Na samym końcu niewielki pokój z ustawionym pośrodku stołem do ping-ponga.

— Pańska cela jest trochę dalej. Prawie na samym końcu. Cela numer czternaście.

Więźniowie grający w karty przyglądali mu się, kiedy ich mijał. Jeden ciemny, pokryty bliznami, ze złotym łańcuszkiem, przed chwilą mówił coś podniesionym głosem, a teraz patrzył na niego i nie spuszczał wzroku. Obok niego inny, z warkoczykiem, wyglądający na kulturystę. Pośrodku trzeci, niewyglądający na Szweda, niski, o ciemnej karnacji, z wąsami, może Turek albo Grek. W rogu czwarty z nich, chudy, jeden z tych, na których wołają Narkoman, Pyszczytaty albo coś w tym stylu.

Wszedł przez otwarte drzwi do pustej celi. Była trochę większa niż cela w areszcie. Poza tym taka sama: łóżko, stół, krzesło, wąska szafka, miednica. Kraty w oknie, widok na mur. Bładozielone ściany, taki sam sufit w kolorze moczu. Usiadł na niezaścielonym łóżku. Koc i prześcieradło w nogach, poduszka bez powłoczki u wezglowia.

Zachował się tak samo jak w celi aresztu tego ranka: ulżył sobie w bólu, uderzając otwartą dłońią o ścianę, a potem wybuchnął głośnym śmiechem.

— O co chodzi?

— O nic.

Strażnik przyglądał mu się znad niebieskich oprawek.

— Śmieje się pan.

— A co, nie wolno?

— Wydawało mi się, że przeżywa pan załamanie.

Fredrik wziął koc i prześcieradło, pościelił łóżko. Chciał odpocząć. Chciał zamknąć drzwi i patrzeć w sufit.

— Częściowo miał pan wtedy rację.

Fredrik spojrział na strażnika, który wypowiedział te słowa.

— Zbyt długo pan dzisiaj czekał. Może chce się pan teraz wykapać? Jeśli tak, to przyniosę panu ręcznik kąpielowy.

Fredrik wypuścił poduszkę z rąk.

— Dobrze, chyba tak.

— No to idę.

Fredrik zatrzymał go jeszcze.

— Czy nie grozi mi niebezpieczeństwo?

— Co pan ma na myśli?

— No, w czasie kąpieli.

— Kąpieli?

— Ryzyko zgwałcenia.

Strażnik się uśmiechnął.

— Może pan być absolutnie spokojny. W szwedzkich więzieniach osadzeni nie tolerują pedałów i przestępców seksualnych. Nikt nie gwałci pod prysznicem.

Fredrik usiadł na zasłanym do połowy łóżku i czekał. Powinien zaścielić łóżko do końca, rozpakować torbę z przyborami toaletowymi. Zaczął liczyć kreski. Ktoś narysował czerwoną kredką mnóstwo długich kresek wzdłuż listwy przypodłogowej. Policzył je: sto szesnaście. Wrócił strażnik, przynosząc ręcznik kąpielowy.

Szedł korytarzem w klapkach kąpielowych. Dwóch więźniów, prawdopodobnie najbliżsi sąsiedzi, przywitali się z nim, ściskając mu dłoń swymi potężnymi rękami. Minął kącik telewizyjny i tych, którzy grali w karty. Narkoman marudził coś, że w talii jest o jednego króla za dużo, a ten ciemny, ze złotym łańcuszkiem, kazał mu zamknąć gębę. Ten ciemny zauważył Fredrika, przyglądał mu się tak, jak poprzednim razem, oczami szaleńca, nienawidził go i Fredrik domyślał się tego.

Duża sala. Cztery prysznice. Był tu sam. Zamknął drzwi prowadzące na korytarz, nie chciał słyszeć ich głosów, wolał szum wody spływającej po jego ciele. Może w ten sposób uda mu się przez chwilę uciec myślami gdzie indziej.

. . .

Lillmasen zauważył nowego. Przypomniiał sobie rozmowę podekscytowanych klawiszy, którą podsłuchiwał wczoraj pod dyżurką. Pamiętał, co powiedzieli. Kiedy więc ten bydlak szedł do łaźni z ręcznikiem przewieszonym przez ramię, złożył karty w samym środku rozdania.

— Idę do kibla. — Potem zwrócił się do Skånego: — Skåne, ty dupku.

— Czego, kurwa?

— Dokończ i dopilnuj, żebyś zgarnął dla mnie całą pulę.

Oddał mu swoje karty, poszedł w stronę toalety, odwrócił się, a kiedy zobaczył, że tamci grają dalej, minął toaletę i otworzył następne drzwi prowadzące do łaźni. Był tam może przez minutę, nie dłużej.

. . .

Zabrzmiało to jak uderzenie w drzwi. Tak przynajmniej opisał to później jeden ze strażników, który zareagował pierwszy. Brzmiało to tak, jakby ktoś uderzał w zamknięte drzwi, żeby ktoś go usłyszał, jakby chciał stamtąd wyjść. A kiedy potem zobaczył, jak Fredrik otwiera drzwi i upada na podłogę, zauważył najpierw dłoń, którą tamten przyciskał do brzucha w miejscu, z którego krwawienie było najobfitsze, gdzie ostrze weszło najgłębiej. Strażnik włączył alarm i podbiegł do mężczyzny, który leżał na podłodze; ten chciał mu coś powiedzieć, leżąc w tej pozycji, podczas gdy z ust buchały mu strumienie krwi. Nie mogąc wypowiedzieć ani słowa, starał się wzrokiem odnaleźć Lillmasena Lindgrena. Wyglądał na przerażonego, tak powiedział strażnik, jego oczy były pełne strachu.

Chwilę potem nadbiegło dwóch innych strażników, próbowali zatamować krew, potem badali mu tętno, podnieśli go z podłogi, ale zrozumieli, że niosą już martwego człowieka.

• • •

Na stole leżał stos kart. Przestali grać natychmiast po tym, jak nowy otworzył drzwi i krwawiąc, upadł na podłogę. Już kiedyś widzieli, jak kilka pchnięć nożem potrafi uszkodzić organy wewnętrzne, i zrozumieli, że niedługo będzie koniec. Jochum stał trochę dalej, na korytarzu. Jego łysa głowa błyszczała, spocił się. Kilka minut wcześniej przywitał się ze Steffanssonem, powiedział, że siedzi w celi obok, że śledził w telewizji jego losy i że może na niego liczyć, jeśli będzie potrzebował jakiejś pomocy. A teraz tamten leżał martwy. Przeszedł szybkim krokiem obok strażników, którzy próbowali zatamować krwawienie, podszedł do stolika z kartami. Zbliżył swoją twarz na centymetr do twarzy Lillmasena i zapytał go syczącym głosem:

— Po jakiego chuja to zrobiłeś?

Lillmasen cmoknął ustami.

— Gównu cię to obchodzi.

Jochum podniósł głos.

— Ty bydlaku... Wiesz, kogo załatwiłeś?

Lillmasen uśmiechnął się, wyglądał na zadowolonego, szepnął w stronę pochylonej ku niemu twarzy Jochuma.

— Pewnie, że wiem. Pewnie, do chuja. Zboczka, pierdolonego zboczka. Teraz już nie zgwałci żadnego dziecka.

W tym momencie otworzyły się drzwi prowadzące na oddział.

Było ich piętnastu. W hełmach, maskach na twarzy, z tarczami.

Jednostka specjalna rozstawiła się w półkolu naprzeciwko więźniów.

— Wiecie, co macie zrobić!

Jochum odepchnął od siebie Lillmasena. Popatrzył na klawisza, który wykrzykiwał w ich stronę i uderzał pałką w stół.

— Bez gadania! Znacie zasady! Wchodzić do cel, pojedynczo!

Najpierw weszli ci, których cele znajdowały się na samym końcu korytarza. Pojedynczo, w towarzystwie dwóch strażników, którzy zamykali za nimi drzwi na klucz. Potem dwaj następni, którzy stali w kuchni. Kierowali się bez słowa w stronę otwartych drzwi, na całym oddziale zapanowała teraz absolutna cisza. Strażnik, który kierował akcją, wskazał na kanapę, na tych, którzy przed chwilą grali w karty.

— Ty.

Skałane podniósł się, zerknął na klawiszy, których tak nienawidził, i zanim odsunął się od stołu, podniósł środkowy palec.

— I ty.

Strażnik wskazał na Lillmasena. Ten nie podnosił się jednak.

— Do celi.

— Nie ma mowy.

— Natychmiast!

Lillmasen wstał. Jednak zamiast skierować się na korytarz i wejść do celi, pochylił się, chwycił za blat stołu i przewrócił go w stronę ubranych na czarno strażników. Karty rozsypały się po podłodze i spadły u stóp ustawionych w półkole strażników. Potem stanął na kanapie, a stamtąd przeskoczył zręcznie przez wielkie akwarium stojące pod ścianą.

— Pierdoleni klawisze! Czy już nie można spokojnie zagrać w karty? Co? No to teraz się poślizgacie!

Wykrzykiwał jeszcze ostatnie słowa, a jednocześnie objął obiema rękami szklane ścianki akwarium i popchnął je. Czteryście litrów wody popłynęło w stronę strażników, kiedy akwarium spadło na podłogę. Zanim dopadli go pierwsi uzbrojeni strażnicy, Lillmasen skoczył w stronę stołu bilardowego i porwał ze ściany wiszący na niej kij bilardowy. Zaczął nim wymachiwać jak szalony, ciężko raniąc w szyję pierwszego ze strażników. Potem pobiegł w stronę dyżurki, otworzył drzwi, następnie zamknął je od wewnątrz na klucz i zaczął rozbijać kijem wszystko, co wpadło mu w ręce:

telewizor, centralkę, lodówkę, lampy, doniczki z kwiatami, lusterka. Pięciu strażników wyważyło drzwi i po chwili zaatakowali Lillmasena, kryjąc się za tarczami przed uderzeniami jego kija. Otoczyli go, tworząc barierę z tarcz, uniemożliwiając mu ucieczkę.

Kierujący akcją stał nadal w korytarzu, obok rozbitego akwarium. Wydawał rozkazy.

— Trzymać go tam! Do izolatki z nim!

Na korytarzu nadal czekało czterech więźniów, których nie zdążono zaprowadzić do cel i zamknąć za nimi drzwi. Obserwowali wybuch wściekłości Lillmasena, jego ucieczkę, pościg za nim. Jochum przyglądał mu się poirytowany przez szybę dyżurki klawiszy, patrzył też na samych klawiszy, którzy stali rozstawieni wokół niego. Odwrócił się do Dragana, szepnął mu kilka słów do ucha. Dragan skinął głową, zrozumiał, podbiegł nagle do jednego ze strażników, którzy stali przed dyżurką, i kopnął go z całej siły w krocze. Strażnik upadł, inni odwrócili się w jego stronę. Powstało chwilowe zamieszanie. I tego właśnie chciał Jochum. Z całej siły uderzył w skroń stojącego najbliżej niego strażnika, a potem szybko pobiegł do dyżurki. Przedarł się przez mur utworzony przez otaczających Lillmasena strażników i ustawił się obok niego.

Lillmasen uśmiechnął się, a potem krzyknął:

— Kurwa mać, Jochum! Na nich, koleś! Teraz te świny zobacz!

Lillmasen odwrócił się do strażników, zamachnął się kijem bilardowym, znowu poczuł, że jest silny, zwłaszcza że u jego boku stał inny więzień. Nie zdążył nawet zauważyć, jak Jochum zamachnął się na niego swą potężną pięścią, dotarło to do niego dopiero wtedy, kiedy poczuł ją na twarzy, a potem na żołądku. Zgiął się wpół, jęcząc.

— Co ty, kurwa, robisz?

Jochum rzucił się na jego zgięte ciało, złapał go mocno za głowę, a potem uderzył nią o ścianę. Kiedy Jochum go puścił i podbiegł strażnicy, Lillmasen leżał nieprzytomny.

Ewert Grens zamknął drzwi samochodu. Odwrócił się do Svena i pokręcił głową.

— To się nigdy nie skończy. To już trwa przez całe lato, a oni nadal to robią.

Sven spojrzał na chodnik. Chciał kopnąć leżący na nim kamień.

— Powiedziałem Jonasowi, że to już koniec. Że ojciec dziewczynki trafił do więzienia, że zostanie tam przez jakiś czas, a potem go wypuszczą. Jonas na to, że świetnie. Dokładnie tak powiedział. Świetnie, że skazali go za to, co zrobił, bo jest to sprawiedliwe, ale sprawiedliwe jest też to, że go wypuszczą, bo najpierw zamordowano jego córkę. Nie wiem, co teraz powiedzieć. Jonas już o tym oczywiście wie. W telewizji podają za dużo wiadomości.

Podeszli pod mur. Zatrzymali się przed małymi drzwiami znajdującymi się w głównej bramie. Ewert wdusił przycisk dzwonka.

— Słucham?

— Grens i Sundkvist z policji.

— Teraz już was poznaję. Możecie wejść.

Przeszli przez parking znajdujący się na terenie więzienia. Skierowali się w stronę centralnej wartowni, stał tam Bergh, który machał do nich ręką.

Zatrzymali się w wielkim holu przy wejściu. Nie musieli iść

dalej, poprosili tylko, aby zaprowadzono ich do pokoju widzeń, który znajdował się tuż obok. Drzwi były otwarte, weszli do środka. Niezbyt dużo miejsca. Ewert wskazał na łóżko, na zwój papieru leżącego na stole, brzydził się na samą myśl o tym, że znajduje się w miejscu, w którym więźniowie raz w miesiącu spotykali się na jedną godzinę ze swoimi kobietami, żeby pieprzyć je, pozbyć się choć na chwilę uczucia strachu. Przesunęli stolik na środek pokoju, przystawili z jednej strony oba krzeselka, wyszli do holu, żeby znaleźć trzecie krzesło. Jeszcze tylko magnetofon na stole i mikrofony, po jednym z każdej strony.

* * *

Przyszedł w towarzystwie dwóch strażników. Ewert przywitał się z nim, a potem zwrócił się do strażników:

— Możecie poczekać na zewnątrz.

Jeden z nich, który uśmiechał się znad brzydkich, niebieskich oprawek okularów, zaprotestował gwałtownie.

— Poczekamy tutaj.

— Nie. Poczekacie na zewnątrz. Jak was będziemy potrzebować, to zawołamy. To nie jest przesłuchanie przeznaczone dla osób postronnych.

Ewert Grens (EG): Zaczynam nagranie.

Jochum Lang (JL): Dobra.

EG: Pełne imię i nazwisko?

JL: Jochum Hans Lang.

EG: W porządku. Wiesz, po co tu jesteśmy?

JL: Nie.

Ewert rzucił szybkie spojrzenie na Svena. Był już zmęczony. Będzie potrzebował pomocy. Ten bydlak nic nie powie. Wiedział o wszystkim, ale nie będzie chciał nic powiedzieć.

EG: Masz odpowiadać na pytania. Powiesz nam, dlaczego Fredrik Steffansson upadł, kiedy otworzył drzwi od łaźni, a potem zamienił się w trupa.

Przez chwilę w pokoju panowała cisza. Ewert patrzył na Jochuma, który gapił się gdzieś przez kraty okna.

EG: Podoba ci się ten widok?

JL: Tak.

EG: Do diabła, Jochum. Obaj dobrze wiemy, że to Lillmasen dźgnął Steffanssona!

JL: W porządku!

EG: Obaj to wiemy!

JL: Powiedziałem: „W porządku”. Po co mnie pan jeszcze pyta?

EG: Bo to ty z jakiegoś nieznanego mi powodu powaliłeś Lillmasena. Chcę wiedzieć dlaczego.

Ewert czekał, aż Jochum coś odpowie. Przyglądał mu się i uświadomił sobie, że na wolności musiał być cholernie niebezpiecznym typem. Był potężnie zbudowany, wysoki, no i ta ogolona głowa, twarde spojrzenie, już wcześniej pochłastał parę osób.

JL: Był mi winien pieniądze.

EG: Daj spokój!

JL: Dostyc sporo!

EG: Nie opowiadaj mi pierdół! Dragan odciągnął uwagę strażników, a ty wałnąłeś Lillmasena. Jesteście na niego wściekli, bo załatwił nożem Steffanssona.

Grens podniósł się z krzesła. Poczzerwieniał na twarzy. Pochylił się nad stołem w stronę Jochuma, zniżył głos.

EG: Posłuchaj, do cholery. Tym razem obaj stoimy po tej samej stronie. Jeśli tylko zeznasz, że sprawcą był Lillmasen, to obiecuję ci, że nikt się nigdy nie dowie o tym, co powiedziałeś. Zrozum, że jeśli nikt z waszych na oddziale nie powie prawdy o tym, co się zdarzyło, to mordercy Steffanssona ujdzie to na sucho.

JL: Ja nic nie widziałem.

EG: Pomóż mi!

JL: Nie widziałem zupełnie nic.

EG: Naprawdę?

JL: Niech pan wyłączy magnetofon.

Ewert odwrócił się do Svena, rozłożył ręce. Sven wzruszył ramionami, a potem skinął przyzwalająco głową. Ewert szukał przez chwilę przycisku, którym wyłącza się taśmę.

— Zadowolony?

Jochum pochylił się nad magnetofonem, sprawdzając, czy rzeczywiście jest wyłączony. Potem uniósł wzrok, na jego twarzy widać było napięcie.

— Grens, do cholery, zna pan zasady, jakie tu panują. Bez względu na to, jakie przestępstwo zostanie popełnione w tych murach, każdy milczy jak kamień, bo inaczej śmierć. Ujmę to tak, a pan niech mnie wysłucha bardzo uważnie: tak, wiemy, kto załatwił Steffanssona. I ten, kto to zrobił, opuści nas na zawsze, nogami do przodu. To wszystko. A teraz chcę wrócić do celi.

Wstał z krzesła, podszedł do drzwi. Grens nawet nie próbował go zatrzymywać.

Był już kwadrans po ósmej. Przesłuchanie Jochuma nie trwało nawet pół godziny. Ewert westchnął. Tego się właśnie spodziewał. Czy kiedykolwiek uda mu się przekonać więźnia do złożenia zeznań? Ten pieprzony kodeks honorowy. Mogą zarębać kogoś na śmierć i to jest w porządku. Ale mówienie o tym policji już nie jest w porządku. Całuj mnie w dupę! — pomyślał Grens.

Uderzył pięścią w stół, aż Sven się wzdrygnął.

— Jak myślisz, co powinniśmy zrobić?

— Nie mamy chyba zbyt wielkiego wyboru.

— Nie. Chyba nie.

Ewert włączył magnetofon, cofnął taśmę kawałek, a potem przewinął ją dalej. Chciał się upewnić, że wszystko działa dobrze. Najpierw głos Jochuma, flegmatyczny, znudzony. Potem jego własny głos, pełen złości, wymuszony; wiedział, że taką ma barwę głosu, ale i tak zawsze się zdumiewał, kiedy siebie słuchał, bo głos za każdym razem brzmiał zbyt głośno, bardziej agresywnie, niż sądził. Sven też wysłuchał nagrania, potem spojrzął na Ewerta.

— Myślę, że powinniśmy zrezygnować z przesłuchiwania teraz, wieczorem. Nie usłyszymy nic innego niż to co do tej pory. Lillmasen też nie powie więcej niż Jochum. Przywitamy się z nim tylko, pogadamy przez chwilę, tak bardziej nieformalnie. Gorzej już przecież nie może być.

* * *

Naczelnik więzienia w Aspsås, Arne Bertolsson, postanowił wieczorem izolować cały oddział H. Niektórzy z więźniów zostali na pewien czas zamknięci w celach i pozbawiono ich prawa wychodzenia na oddział. Jedli, sikali i liczyli upływające godziny w odosobnieniu. Dzięki temu Ewert i Sven mogli przejść się po pustym korytarzu. Niedawno zginął tu człowiek. Ktoś, kogo zaczęli szanować i lubić. Weszli do zniszczonej dyżurki, do której Jochum dostał się przez mur złożony ze strażników i dotarł do Lillmasena, aby go potem wałnąć jego głową o ścianę. Ewert dotknął ściany ręką, nadal był tam ślad po krwi, a tapeta była podarta. Chodzili po kawałkach szkła i szczątkach centralki, ostre kawałki wbijały im się w buty. Trochę dalej rozbite akwarium, kawałki szkła leżące na piasku i martwe błyszczące rybki. Plastikowa mata, po której chodzili, nadal była mokra, obaj poślizgnęli się nawet, a ich zelówki zostawiały ślady na podłodze, kiedy szli w stronę cel.

Podeszli do łaźni, zatrzymali się tam, plamy krwi były duże. Jeszcze całkiem niedawno tam leżał. Ewert spojrzał na Svena, który pokręcił głową. Weszli do łaźni po śladach krwi; Fredrik został pchnięty nożem kilka razy, jeszcze zanim zdążył zbliżyć się do pryszniców, stało się to gdzieś w pobliżu umywalki, jej biała porcelana błyszczała czerwonym kolorem.

Lillmasen leżał w swoim łóżku, ubrany w sportowe spodnie, nagi do pasa.

Leżał i palił skręta. Przywitali się, podał obu policjantom rękę. Uśmiechnął się szeroko, jego twarz była podrapana, jedno oko ukrywało się pod wielkim siniakiem, a na gołej piersi błyszczał złoty łańcuch.

— Proszę, proszę, Grens i jego policyjny sługus. Niech mnie diabli! Czemu zawdzięczam ten zaszczyt?

Obaj goście rozglądali się z ciekawością po celi. Urządzona jak przez kogoś, kto przebywał tu od dłuższego czasu, kto traktował ją

jak swój dom. Telewizor, ekspres do kawy, doniczki z kwiatami, firanki z czerwoną obwódką, jedna ze ścian zasłonięta afiszem, na drugiej zdjęcie w ogromnym powiększeniu.

— Moja córka. Ta sama co tutaj.

Mówiąc to, Lillmasen wskazał na ramkę ze zdjęciem stojącym na szafce przy łóżku. Ta sama dziewczynka, uśmiechnięta, jasne włosy, warkoczyki z kokardkami.

— Może was czymś poczęstować? Herbata?

— Nie — odpowiedział Ewert. — Piliśmy już jakąś lurę podczas rozmowy z Jochumem.

Lillmasen udał, że nie usłyszał ostatnich słów. A nawet jeśli zrobiło na nim wrażenie to, że już kogoś przesłuchiwali, to nie okazał tego po sobie.

— Coś takiego! Nie chcecie herbaty? To sam się napiję.

Wziął dzbanek z wodą, który stał obok, i napełnił nią maszynkę do parzenia. Kilka czubatych łyżeczek herbaty z plastikowego pudełka.

— Siadajcie, kurwa.

Ewert i Sven usiedli na łóżku. W pokoju było czysto. Pachniało czystością. Lillmasen porozwieszał kulki zapachowe na drążkach podtrzymujących firanki. Ewert zakreślił ręką łuk w powietrzu.

— Ładnie się tu urządziłeś.

— Trochę już tu jestem. W domu musi być ładnie.

— Kwiaty i firanki.

— A pan nie ma ich u siebie w domu?

Ewert zacisnął zęby, przełknął w milczeniu tę złośliwość. Sven zdążył jeszcze pomyśleć, że właściwie nie wie, czy Ewert ma w domu kwiaty i firanki, bo po prostu nigdy u niego nie był. Stwierdził, że to dziwne, tak dobrze go znał, często ze sobą rozmawiali, Ewert gościł u nich w domu kilka razy, ale ani on, ani jego żona Anita nigdy nie byli w mieszkaniu Ewerta.

Lillmasen nalał sobie herbaty, pił ją, póki była gorąca. Ewert odczekał, aż Lillmasen odstawi kubek na stół.

— Już kilka razy się spotkaliśmy, Stig.

— Rzeczywiście.

— Pamiętam cię jeszcze jako nastolatka. Zgarnęliśmy cię w Blekinge. Wbiłeś wtedy kolec w jaja swojemu stryjowi.

I znowu te obrazy, z którymi musi walczyć. Przypomniawszy sobie, jak Per krwawi, a on chce go wykastrować, jak chce mu porozrywać jaja, a potem śmiać się z tego.

— Rozumiesz, że jesteś podejrzany o spowodowanie śmierci za pomocą noża. Rozumiesz chyba, że przyszliśmy tutaj, bo uważamy, że to ty zabiłeś przed kilkoma godzinami Fredrika Steffanssona.

Lillmasen westchnął. Przewracał oczami, znowu westchnął, odgrywał przedstawienie.

— Rozumiem, że jestem podejrzany. Oczywiście, że rozumiem. Ja sam i wszyscy inni na tym oddziale.

— Ale teraz rozmawiam z tobą.

Lillmasen spoważniał nagle.

— Mogę wam tylko powiedzieć, że dostał to, co mu się należało. I tyle. To był pierdolony zboczek, który dostał to, na co zasłużył.

Ewert słuchał tego, co mówił Lillmasen. Słuchał, ale nie rozumiał.

— Stig, czy rozmawiamy o tej samej sprawie? Można oczywiście nazywać Steffanssona w różny sposób, ale na pewno nie zboczeńcem. Wprost przeciwnie.

Lillmasen odstawił kubek, który przed chwilą napełnił herbatą. Spojrzał ze zdumieniem na obu policjantów, jego głos brzmiał teraz bardziej agresywnie.

— Co pan, kurwa, mówi?

Ewert zauważył zdumienie Lillmasena, nagłą zmianę humoru. Była prawdziwa. Reakcja Lillmasena była prawdziwa.

— Co ja mówię? A oglądasz ty czasem telewizję?

— Czasami tak. A co to ma z tym wspólnego?

— To na pewno oglądałeś reportaże o ojcu, który zastrzelił mordercę swej pięcioletniej córki?

— Oglądałem czy nie... słuchałem tego na początku. Nie lubię

takich rzeczy.

Lillmasen wskazał znowu na zdjęcie stojące na stole, zdjęcie dziewczynki z warkoczami.

— Nie oglądałem zbyt często, ale swoje wiem. Wiem, że facet jest prawdziwym bohaterem. A te bydlaki niech zdychają! A co to ma w ogóle wspólnego z naszym zbrojennikiem?

Ewert odwrócił się do Svena. Obaj pomyśleli o tym samym. Ponownie zwrócił się do Lillmasena, spojrzał na niego, ale nic nie powiedział.

— O co tu, kurwa, chodzi, Grens? Co to ma wspólnego z tym zbrojennikiem?

— Tym ojcem był Fredrik Steffansson.

Lillmasen podniósł się z krzesła. Jego twarz drżała.

— Przestań! Przestań! Nie możesz tu siedzieć i opowiadać takich pierdół!

— Chciałbym, żeby to była nieprawda — odparł Grens.

Znowu odwrócił się do Svena i wskazał ręką na jego teczkę.

— Daj mi je.

Sven otworzył teczkę, poszperał przez chwilę wśród papierów i plastikowych koszulek, znalazł to, czego szukał, dwie gazety, wyjął je i położył na stole. Ewert wziął je do ręki i pokazał Lillmasenowi.

— Masz. Czytaj.

Dwie gazety wieczorne z następnego dnia po tym, jak Steffansson zastrzelił Bernta Lunda. Nagłówki, czarny kolor w obu wydaniach, ta sama treść: „Zastrzelił zbrojennika swej córki — uratował życie dwóm innym dziewczynkom”.

Dwa zdjęcia obok tekstu, te, które znaleziono przy Lundzie w trakcie obdukcji. Jego następne ofiary, już sfotografowane i wybrane, z podwórka przedszkola w Enköping; obie uśmiechnięte, jedna z nich ma jasne włosy i warkocze.

Lillmasen długo przyglądał się gazetom.

Tekstom.

Zdjęciom obu pięcioletnich dziewczynek.

Potem spojrzał na zdjęcie stojące w ramce na szafce przy łóżku i na powiększenie na ścianie.

Jakby to była ona. Jakby to była jego córeczka, tam, w gazecie.

Nadal stał bez ruchu.

A potem zaczął krzyczeć.

OD AUTORÓW

Pisanie powieści to czasami niezwykła praca, bo za pomocą klawiatury komputera jakby rządzi się światem, wskazuje i mówi o tym, jak ma wyglądać.

Tak właśnie zrobiliśmy. Pokazaliśmy więzienia, lasy i drogi, których nikt nie widział, przenosiliśmy się do przedszkola w Strängnäs i do przedszkola w Enköping, opisaliśmy budynek policji w Sztokholmie i wydział do spraw zwalczania przestępstw na tle seksualnym. Budynek ten nie istnieje.

Są inne rzeczy, o których chcielibyśmy powiedzieć, że to my je wymyśliliśmy. I że zostały pokazane w przesadny sposób, aby dramatyzm książki przyczynił się do jej lepszej sprzedaży.

Niestety, tak nie jest.

Bo rzeczywiście istnieje człowiek destrukcyjny, który pluje na innych i unicestwia sam siebie. Bernt Lund, który liże stopy i wciska metalowe przedmioty w narządy płciowe małych dziewczynek, któremu brak umiejętności emocjonalnej identyfikacji z innymi ludźmi — istnieje. Lillmasen, którego skrzywdzono w dzieciństwie, a który później wbija metalowy kolec we wszystko, co mu o tym przypomina — istnieje. Fredrik i Agnes Steffanssonowie, którzy utracili ukochaną córeczkę, a potem mimo tej tragedii muszą znaleźć dla siebie nowy sposób na życie — istnieją. Lennart Oscarsson, który gardzi zboczeńcami, choć to przecież dzięki nim robi karierę — istnieje. Hilding Oldéus, który przestał już odczuwać cokolwiek i dlatego ucieka w świat heroiny, który boi się,

siedzi w pierdłu i liże dupę innemu więźniowi, bo dzięki temu choć przez krótką chwilę może się bać trochę mniej — istnieje. Göran Golas, który tylko raz w życiu popełnił błąd, przez co lokalne społeczeństwo skazało go na wieczną śmierć cywilną — istnieje. Bengt Söderlund, który ma śliczne dzieci, mieszka w pięknej willi z ogrodem i uważa, że jeśli prawo nie chroni obywatela, to trzeba je nagiąć dla własnych potrzeb — istnieje.

Wszyscy oni gdzieś istnieją, wśród nas, ale są zbyt absurdalni, żeby na nich trafić.

Chcielibyśmy podziękować wielu osobom, takim jak Rolle, który dzielił się z nami myślami, jakie nachodzą człowieka zamkniętego za kratami; jak Sofia Brattselius Thunfors — nasz wydawca — której udało się wyjść naprzeciw naszym oczekiwaniom, a także za to, że była wobec nas wymagająca, że zmuszała nas do tego, byśmy twardo stąpali po ziemi, choć nie przeszkadzała nam też fantazjować; jak Fia, która była pierwszym czytelnikiem tego tekstu i przekonała nas do wprowadzenia różnych przeróbek; jak Ewa, która otworzyła nam drzwi, kiedy tego potrzebowaliśmy; jak Dick — za to, że natchnął nas odwagą do pisania; jak Wy, czytelnicy, którzy tę książkę czytaliście i dobrnęliście aż do tego miejsca.

SZTOKHOLM, MARZEC 2004

Anders Roslund Börge Hellström